

JASON ELLIOT

NETWORK

The Network

Tłumaczenie
Grzegorz Ciecieląg



*Należy rozważać, czym jest przyczyna obnażona
z osłony, jakie są cele działań, czym jest ból,
czym rozkosz, czym śmierć, czym sława, kto sam
jest sprawcą własnego niepokoju, jak nikt nikomu
nie staje w drodze, jak wszystko polega na sądzie!*

Marek Aureliusz, *Rozmyślania*

(tłum. M. Reiter, Państwowy

Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997)

CZEŚĆ I

KWIECIEŃ 2001
HEREFORDSHIRE, ANGLIA
PIĘĆ MIESIĘCY PRZED 11 WRZEŚNIA

Rozdział 1

Na krótką chwilę opanowuje mnie złudzenie, że wykonałem swoje zadanie i mogę wreszcie odpocząć, wolny od wszelkich zagrożeń i niepewności. Mam otwarte oczy, ale nie obudziłem się i moje zmysły pozostają w stanie zawieszenia, schwymane przez dziwny sen, który nie podporządkowuje się zasadom czasu i przestrzeni. Nie odczuwam zimna ani bólu. Wpatruję się w rozciągający się nade mną przestwór nieba, pozbawiony wyrazu tak bardzo, jak tylko można się tego spodziewać po kwietniowym poranku w Anglii. W samym centrum hipnotyzującej bieli unosi się samotny jastrząb.

Dostrzegam jedynie jego odosobnioną na tle nieba sylwetkę, ale mój umysł nie stara się umiejscowić tego obrazu w obrębie żadnej skali ani w żadnym kontekście. Zawieszony nade mną, jakby schwymany w sidła mojego wzroku, zdaje się zaprzeczać grawitacji i zasadom dynamiki. Jego ciało jest w ciągłym ruchu, ale głowę ma nieruchomą, niczym strzelec wyborowy, pozostając w idealnej równowadze z niewidzialnym strumieniem, którym płynie. Owiewający jego skrzydła wiatr sprawia, że lotki drgają i trzepocą, a klinowaty ogon przecina powietrze z niemożliwą do określenia prędkością i precyzją. Przednia krawędź skrzydła jest ustawiona skośnie niczym w myśliwcu, przypominająca ostrze włóczni głowa ma opływowy kształt, zaś dziób przywodzi na myśl wzniesiony wysoko nad ofiarą bułat.

Każda linia ciała i każdy ruch podkreślają piękno i zabójczą sprawność tego drapieżnego ptaka. Przez moment mam wrażenie, że zjednoczyłem się z jego duchem i czuję to samo, co on. Ale wszystko nabiera kształtów jedynie w obcym, wolnym od myśli języku, bowiem zauroczył mnie krążący nad moją głową kształt, a umysł nie miał jeszcze możliwości dojść do głosu.

Nagle, szybciej niż ludzkie oko jest w stanie zarejestrować, obniża lot o kilka metrów, gwałtownie zatrzymuje się, rekompensując uderzeniami skrzydeł utratę prędkości i ponownie zawisa w powietrzu. Powtarza ten proces podczas wznoszenia, próbując dokładniej przyjrzeć się swojej ofierze, ukrytej w poszyciu lasu. Zafascynowany, obserwuję ten perfekcyjny, podniebny balet, aż słyszę nierówno niesiony przez wiatr krzyk jego partnerki.

Przenikliwe wezwanie powtarza się, po czym przycicha i milknie. Czar pryska.

Słyszę, jak ktoś gwałtownie chwyta powietrze niczym przychodzące na świat dziecko - i zdaję sobie sprawę, że to ja sam, a wraz z oddechem powracają zmysły i ich brzemień. W nagłym przypiływie strachu dźwigam ciało do pozycji siedzącej, wracając do świata i jego koszmarów. Ręce spuchły mi od zadrapań i cierni, a w każdym mięśniu czuję ból wywołany

zmęczeniem. Zrywam się na równe nogi, odrzucając na bok liście paproci, którymi przykryłem się w swoim zaimprovizowanym łóżku - błotnistej dziurze po buku wyrwanym z korzeniami - i głośno przeklinam. Złamałem jedną, jedyną zasadę: nigdy się nie zatrzymuj.

Zastanawiam się, jak długo spałem. Nie za długo, jeśli wziąć pod uwagę jak bardzo jestem wyczerpany. W świetle półksiężyca biegłem, maszerowałem, ślaniałem się na nogach, brnąłem i czołgałem się. Jestem brudny i przemarznięty, ale cieszę się, że mam chociaż kurtkę chroniącą mnie przed największym z zagrożeń - przenikliwym wichrem. Macam dłonią po kieszeniach i przypominam sobie, że zabrano mi wszystko, co przy sobie miałem, nie ma więc sensu wracać do samochodu, nawet jeśli wiedziałbym, jak do niego trafić. Wzdrygam się na wspomnienie swojego uprowadzenia. Doszło do niego ledwo wczoraj, ale teraz, po dłuższej, okropnej nocy wydaje się, że minęły już całe lata.

Wracałem do domu po weekendowym spotkaniu z H, poświęconym w przeważającej części improwizowanym ładunkom wybuchowym i sposobom ich odpalania. H twierdzi, że nawet jeśli nigdy nie mielibyśmy okazji z nich skorzystać, i tak jest to przydatna umiejętność - powtarza praktycznie przy każdym naszym spotkaniu. Pokazuje mi, jak zbudować urządzenie pobudzające - reagujące na wstrząs - gdy mamy pod ręką dwa wygięte w podkówkę gwoździe; jak klamerką do bielizny zamknąć obwód aktywowany przez pociągnięcie drutu-potykalca i jak z dwóch kawałków starej szuflady i cienkiej miedzianej uszczelki wykonać pokrywę naciskową pozwalającą zdetonować dowolny ładunek. Zapoznaje mnie również z nowocześniejszymi wynalazkami, które wykorzystują telefon komórkowy do odpalenia jednego lub wielu obwodów zapłonu - operację tę można wręcz niepokojąco łatwo zainicjować, wykonując jedno połączenie z dowolnego miejsca na świecie. To przydatne umiejętności, jak sam mówi.

Niczego nie podejrzewając, zatrzymałem się po paliwo na peryferiach Hereford, gdzie H, w przerwach między częstymi wyprawami do afrykańskich republik, o których rzadko się słyszy, przekazuje takie i podobne umiejętności swoim protegowanym z Pułku. Jestem wyczerpany po nocy spędzonej w przejmującym zimnie na zboczu masywu Black Mountains i nie mogę się pochwalić specjalną rzeźkością umysłu. Nawet po tych wszystkich prowadzonych przez H spotkaniach poświęconych bezpieczeństwu, nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie śledzi - to wyjaśnia moje zaskoczenie i złość w chwili, gdy wysiadłem z samochodu, a tuż przede mną zatrzymał się czarny range rover.

Kierowca zostaje w środku, ale przez tylne drzwi wychodzi dwóch krótko ostrzyżonych, wąsatych, niezobowiązująco ubranych mężczyzn. Jeden z nich zwraca się do mnie po imieniu pozbawionym akcentu głosem, prosząc, żebym do niego dołączył. Nie

zachowują się wrogo, ale powściągliwy ton głosu wskazuje, że doskonale wiedzą, czego chcą.

- Jestem aresztowany? - pytam.

- Nic z tych rzeczy, sir.

- Więc to spotkanie towarzyskie, tak? Ale nie zachowują się panowie zbyt przyjaźnie.

- Pozwoli pan z nami, sir.

Sprawiają wrażenie wysportowanych i emanują powściągliwością połączoną z pewnością siebie - cecha ludzi chętnie wykorzystujących siłę fizyczną. Nie mam najmniejszej ochoty się z nimi kłócić. Po ich zachowaniu wnioskuję, że nie należą do Pułku - mieliby wtedy większe poczucie humoru. Zastanawiam się, co też w najgorszym wypadku może mi grozić. Jesteśmy w Anglii. Nie będę przetrzymywany wbrew swojej woli. Może to Seethrough, z całym tym swoim zamiłowaniem do tajemnic, wydał rozkaz przewiezienia mnie pod eskortą do ściśle tajnej placówki. Może chodzi o Pontrilas lub jakieś pobliskie podziemne centrum komunikacji.

Chcąc zyskać na czasie z oburzeniem protestuję, mówiąc, że nie mogę zostawić samochodu na podjeździe - jeśli uda mi się jeszcze do niego wejść, będę miał szansę skontaktować się z Seethroughem zanim udam się gdziekolwiek w towarzystwie tych bezkompromisowych nieznajomych.

- Zajmiemy się tym, sir - odpowiada jeden z nich. Nie jestem pewien czy to „sir” jest wyrazem autentycznego czy też udawanego szacunku, ale moje wątpliwości zostają rozwiane, gdy wchodząc do range rovera pochylają mi głowę niczym aresztantowi, wciskają między siebie i proszą o opróżnienie kieszeni. Nie jest to specjalnie przyjazne traktowanie, ale może chodzi o wymogi bezpieczeństwa, jak w kwaterze głównej Firmy w Vauxhall Cross, kiedy musiałem zdać telefon komórkowy. Podczas gdy ja podporządkowuję się zaleceniom, nasz kierowca wychodzi z pojazdu, zawraca moim samochodem, przestawiając go na krawędź podjazdu i dołącza do nas. Zawartość kieszeni, włączając w to zegarek i kluczyki, zostaje włożona do torebki termoizolacyjnej, która łąduje w kieszeni fotela. Kierowca, nie opuszczając wzroku, poprawia dyskretnie przytroczoną do paska krótkofalówkę, z której dobywa się szmer zakłóceń. Wyjeżdżamy z parkingu.

- Jeśli mógłby się pan pochylić, sir - mówi jeden z siedzących obok mnie mężczyzn, w efekcie czego jestem zmuszony skrzyżować ramiona na kolanach i, nie będąc w stanie podnieść głowy, nie mogę śledzić trasy, którą jedziemy. Podróż zajmuje nam szesnaście minut spędzonych w ciszy - liczę je na palcach, które jeden po drugim zaciskam, formując pięść. Wnioskując po tym, jak często skręcamy i stajemy, stwierdzam, że musimy się trzymać wiejskich dróg. Z torebki schowanej w kieszeni fotela dobiega mnie dźwięk mojej komórki.

Zapomnieli ją wyłączyć. Po chwili namysłu mój sąsiad po lewej wyciąga telefon i przygląda się ekranowi.

- Lili Marlene. Kim jest Lili Marlene? - czuję, jak odwraca się lekko w stronę drugiego, jakby radząc się go.

- To moja dziewczyna - moja odpowiedź to wkalkulowane ryzyko - pewnie się zastanawia, dlaczego nie oddzwoniłem. Nie widzę jego twarzy, ale wiem, że rozważa, czy powinien mi podać telefon. - Miałem się z nią dzisiaj spotkać.

- No to lepiej odwołaj - podaje komórkę, nie zaszczycając mnie spojrzeniem, ale jednocześnie popycha, żebym nie mógł zobaczyć, gdzie się obecnie znajdujemy. - Streszczaj się.

Przypisałem nazwisko Lili Marlene do dzwoniącego numeru, ale głos w słuchawce należy do H, który całe swoje życie poświęcił żołnierce - odsłużył dwadzieścia dwa lata w Special Air Service (SAS), zwanym przez jego członków Pułkiem. Słyszając jego głos, cieszę się jak nigdy dotąd.

- Słuchaj - mówi tonem zdradzającym troskę, ale nie niepokój. To mi dodaje odrobinę otuchy. - Właśnie się dowiedziałem, że cię zgarnęli. Z tego co słyszę, jesteś w jakimś pojeździe. Odpowiadaj tylko „tak” albo „nie” - zniża głos - czy ktoś może nas podsłuchać?

- Nie wydaje mi się.

- Wiesz, gdzie jesteś?

- Nie.

- Powiedzieli gdzie cię zabierają?

- Nie. Ogromnie mi przykro.

- No to mamy lekki bajzel. Nie będę ci teraz wszystkiego wyjaśniał, ale musisz im uciec.

- Tak - odpowiadam po krótkiej pauzie.

- Zrób wszystko, co będzie konieczne. Musisz uciec, nieważne dokąd. I nie zatrzymuj się, pamiętasz? Nic im nie mów, dopóki znowu się nie zobaczymy - jego głos nabiera szorstkości. - Ani słowa, tylko to, co zawsze¹. Zrozumiałeś?

- W porządku - odpowiadam.

- Dogonię cię, gdy tylko będę mógł. A teraz zabieraj się z tego samochodu i ruszaj.

Zwracam telefon posępnemu sąsiadowi, ten zaś wkłada go do kieszeni fotela, nie

¹ W przypadku schwytania przez przeciwnika, żołnierz, wedle konwencji genewskiej, zobowiązany jest podać nazwisko, imiona, stopień wojskowy, datę urodzenia i numer identyfikacyjny (przyp. tłum.).

odrywając wzroku od widoku za przednią szybą.

- Przesyła całusy - mówię. - Też powinieneś obudzić w sobie romantyka. - Żadnej widocznej reakcji.

Prawda jednak jest taka, że nie jestem na to przygotowany i czuję strach rozprzestrzeniający się z brzucha na resztę ciała. Potrzebuję planu, na którym mógłbym się skoncentrować i przejąć w ten sposób kontrolę nad, jak to określa H, czynnikiem strachu. Już prawie zmierzcha. Za pół godziny na moją korzyść będzie przemawiać ciemność. Po piętnastu minutach decyduję się wykonać ruch i zaczynam adekwatnie gestykulować.

- Zaraz się porzygam - mówię.

Odpowiedź nie nadchodzi od razu. Oczami wyobraźni widzę, jak wymieniają za moimi plecami pytające spojrzenia.

- Jeśli nie odetchnę świeżym powietrzem, to zrzygam się na was.

- Zatrzymaj się, Snapper - odzywa się ten od gadania.

- Nasz pasażer potrzebuje postoju.

- Szybciej, proszę was - rzucam, zasłaniając usta dłonią.

Drzwi po lewej otwierają się i jeden z nich kładzie rękę na moim prawym ramieniu.

- Pilnuj go - słyszę warknięcie tego drugiego, który zostaje w samochodzie.

Oddalamy się po skosie od samochodu, kierując się w miejsce, gdzie, mam nadzieję, kierowca nie będzie mógł nas dostrzec w lusterkach. Mój towarzysz nie zdejmuje mi ręki z ramienia. Przy drodze wznosi się ogrodzenie, jest tam też łąka i las, który zapewni mi potrzebną osłonę.

Na poboczu padam na ziemię i przez minutę udaję, że wymiotuję jakbym był męczony najgorszym z możliwych kaców, dorzucając do kompletu bluźniercze pomruki dla osiągnięcia dodatkowego efektu. Mój przybrany opiekun stoi za mną bez słowa.

Wstając obracam się w jego kierunku i udając irytację podnoszę prawą rękę narzekając, że nikt już nie nosi ze sobą chusteczek. Chcę w ten sposób odwrócić uwagę od lewej ręki, zmierzającej właśnie ku grzbietowi nosa mojej ofiary. Sekundę później dochodzi do zderzenia, słychać chrzęst i bolesny wstrząs przeszywa moje ramię, zaś ofiara przewraca się do tyłu. Gdy stara się zorientować w sytuacji, wymierzam kolejny cios.

Zanim rozległ się pierwszy krzyk, zdążyłem już przeskoczyć ogrodzenie i od kilku sekund biegnę przez łąkę. Spoglądając za siebie widzę jak samochód, ślizgając się i podskakując, pędzi za mną z włączonymi światłami. Gdy docieram na drugą stronę, do kredowej skarpy stromo opadającej ku płynącej za drzewami szerokiej rzece, nie mam chwili do stracenia. Prześlizguję się pod drutem kolczastym i zjeżdżam w dół zbocza, słyszę krzyki

trzech ścigających mnie mężczyzn, którzy rozproszyli się teraz na krawędzi skarpy. Dostrzegam ich sylwetki i trzymaną u boku broń. Zawahali się - zyskuję kilka cennych sekund. Zanim decydują się ruszyć za mną po stoku, docieram już do drzew po drugiej stronie i wskakuję do przesywająco zimnej rzeki, której nurt niesie mnie około pięćdziesiąt metrów w dół strumienia. Moje szanse na ucieczkę znacznie wzrosły, o ile oczywiście nie utonę.

A teraz, choć nie mam ściśle określonego celu, marudzę, nie mogąc zdecydować się na dalszy krok. Muszę tylko określić swoje położenie i będę mógł dotrzeć do domu H, najlepszego azylu w tej sytuacji. Powinien znajdować się w promieniu trzydziestu kilometrów ode mnie. Muszę znaleźć przystanek autobusowy z mapą albo otwarty samochód. Po zimnie i nocnej konsternacji, światło słoneczne stanowi luksus. Nacieram twarz błotem i zbliżam się do linii drzew zapewniających mi schronienie, trzymając się poniżej krawędzi, tak, aby moja sylwetka nie stała się momentalnie widoczna z dystansu.

Rozciąga się wokół mnie krajobraz angielskiej wsi niczym z obrazka. Wzgórza są niskie i zaokrąglone, a na stokach można dostrzec szachownicę z różnych odcieni zielonego, poprzecinaną ciemnymi liniami żywopłotu. Okalające je pasy zadbanego lasu przywodzą na myśl dziecięcą układankę. Wszystko trwa w absolutnym bezruchu, jeśli nie liczyć chmur, pędzących z jednego krańca świata na drugi w bystrym, poznaczonym cętkami konwoju różnych odcieni szarości. Niebo jest całkowicie zachmurzone, nie jestem nawet w stanie ocenić pozycji słońca. Zastanawiam się, jaki dystans pokonałem w trakcie nocy i jak dobrze zdążyli w tym czasie zorganizować się moi prześladowcy.

Trudniej będzie mnie wypatrzyć, jeśli będę się trzymał drzew, nakreślam więc w myślach najlepszą trasę pomiędzy nimi. Widząc kilka rozrzuconych po okolicy domów zastanawiam się, czy ktoś będzie wyglądał pieszego uciekiniera. Wszystko zależy od tego, jakie środki chcą wykorzystać myśliwi podczas polowania na swoją zwierzynę. Ledwo zdążyłem o tym pomyśleć, gdy dociera do mnie budzące strach wycie psów. Wnioskując ze szczekania, dochodzącego z przypominających farmę budynków, położonych półtora kilometra dalej i kilkadziesiąt metrów niżej, mam do czynienia z całą sforą. W kierunku farmy zmierza, jadąc po pozostałościach drogi, ciemny land rover, ale nie mam czasu na obserwowanie jego postępów. Skoro wypuszczono za mną psy, to nie mogę poświęcić nawet chwili na odpoczynek i muszę znaleźć sposób na wyswobodzenie się z zarzuconej na mnie sieci, zanim ta się zaciśnie. Cały drzę z zimna i żeby utrzymać ciepłotę ciała nieustannie biegnę. Nad całą sytuacją zastanowię się po drodze.

W moim umyśle krystalizuje się wstępny plan, ale próba odsunięcia na bok strachu przypomina napieranie na ciężkie, niedomykające się drzwi. Jeśli podczas ucieczki wiatr będzie wiał mi w plecy to istnieje szansa utrudnić psom zadanie. Nie wiem jednak, na ile się to zda. Jeśli udałoby się znaleźć jakąś pustą plastikową torbę lub worek, wciągnąłbym je na buty, aby częściowo zakamuflować swój zapach, ale póki co jedyną nadzieją na uniknięcie spotkania z psami jest znalezienie odpowiednio szerokiej rzeki i wędrówka z nurtem - wtedy zgubią mój ślad. Z takim rozwiązaniem zaś wiąże się zejście z drogich mi wzniesień w rozciągającą się po drugiej stronie wzgórza dolinę. Podbiegam do krawędzi lasu, przebijam się przez rosnące tam drzewa i wpadam na jednopasmówkę, wciśniętą między wysokie sosny. Ma zniszczoną nawierzchnię, więc to nie droga publiczna, ale raczej należąca do zarządu lasów. Nikt nie będzie nią jeździł. Po utwardzonej drodze mogę poruszać się szybciej niż na przełaj, więc przebiegam niecały kilometr aż do punktu, gdzie znikają drzewa. Dziękuję w duchu za te codzienne biegi pod nadzorem H, dzięki którym, nawet gdy moje płuca zaczynają płonąć, jestem w stanie utrzymać stałe tempo biegu. Droga się rozwidla, a jedna z odnóg prowadzi prostą linią wzdłuż granicy lasu, ku podstawie wzgórza. Nie zatrzymując się obieram ten kierunek. Kilka razy, gdy słyszę coś, co przypomina hamowanie opon na mokrej nawierzchni, wskakuję w zarośla, ale to nie samochód, tylko wiatr hulający pomiędzy wierzchołkami sosen. Gdzieś w lesie odzywa się sójka, a przede mną spłoszony bażant przebiega kilka metrów i znika w zaroślach. Dwa razy zatrzymuję się, nasłuchując. Nie dobiega mnie żaden dźwięk, poza kroplami uderzającymi wokół mnie o liście. Żadnego szczekania, na szczęście. Chcąc ulżyć okropnemu pragnieniu przystawiam usta do płynącego skrajem drogi strumyczka. Nie mogę sobie pozwolić na zmniejszenie tempa.

Biegając w dół mogę przyspieszyć, ale płuca dają o sobie znać. Docieram do końca drogi, odbijającej teraz ostro w lewo. Gwałtownie się zatrzymuję, gdy niespodziewanie, niecałe dziesięć metrów przed sobą, dostrzegam jakiegoś mężczyznę. Zaskoczony, rzucam się w bok, ślizgając na mokrej powierzchni, ale gdy amortyzuję upadek, uświadamiam sobie w ułamku sekundy, że ten człowiek mnie nie ściga. Stoi bez ruchu przy otwartej bramie - na głowie ma tweedową czapkę, na nogach kalosze, a w ręku strzelbę kalibru 12 mm z wypolerowanymi lufami. W lewej dłoni trzyma smycz, na końcu której znajduje się ubłocony spaniel, teraz kulący się ze strachu na mój widok, gdy ni stąd, ni zowąd pojawia się w zasięgu wzroku.

- Wcześniej pan wstaje. Na śmierć się wystraszyłem - rzucam nonszalancko, o ile jest to możliwe biorąc pod uwagę okoliczności. Wstając, macham do niego uspokajająco ręką i

doprowadzam się do ładu, po czym ruszam w jego kierunku. Ma około pięćdziesiątki, jest krępy, ma gęstą, czarną brodę i nie spuszcza ze mnie wzroku. Pewnie wystraszyłem go równie mocno, jak on mnie, ale jeśli mam zdobyć jego zaufanie i pomoc, będzie to przemawiać na moją korzyść. Jednak muszę działać szybko.

- Nie spodziewałem się kogoś zobaczyć... - zaczynam mówić, robiąc kolejny krok, ale zatrzymuję się słysząc jego słowa.

- Nie musisz bliżej podchodzić - ma głęboki, opanowany głos i mówi z silnym, trudnym do zidentyfikowania akcentem. Herefordshire? Shropshire? Na pewno nie walijski. Wykonuję kolejny krok; jeszcze sześć lub siedem i zmniejszę dystans między nami.

- Kapitan Taverner, SAS - mówię, wyciągając ku niemu dłoń. - To pańskie ziemie? - Nie odwzajemnia gestu, wskazuję więc za siebie. - Za tym wzgórzem jest kilku ludzi, którzy próbują mnie dogonić. Cały kłopot w tym, że nie powinienem im na to pozwolić. Może mógłby mi pan pomóc i podrzucić gdzieś samochodem? - Liczę, że dzięki tej racjonalnej prośbie z jego spojrzenia wyparuje nuta podejrzliwości, ale nie udaje mi się osiągnąć zamierzonego efektu. Ruchem lewej dłoni odbezpiecza strzelbę i wkłada kolbę pod pachę.

- Wystarczy - mówi tym razem bardziej stanowczym głosem.

- Nie ma potrzeby uciekać się do takich środków - odpowiadam, zasłaniając się wyciągniętymi przed siebie rękoma. - Jestem oficerem armii i mogę to udowodnić. Proszę opuścić broń.

Jego odpowiedź wprawia mnie w zdumienie.

- Dobrze wiem, kim jesteś, morderco - spokoj, z jakim to mówi i bijąca od niego pewność powstrzymują mnie przed podejściem bliżej. - Nie warto sobie zdzierać gardła tą gadką.

Podczas naszych spotkań H powiedział mi, że do odparcia napastnika można wykorzystać wszystko: jeśli z odpowiednią prędkością zakręcimy skarpeta wypchaną ziemią to uderzenie może pozbawić człowieka przytomności, zwiniętą w rulon gazetą można wymierzyć cios w gardło, nawet rozwinięta tubka po paście do zębów może posłużyć do przecięcia tętnicy szyjnej. Ale nic przy sobie nie mam. Trening, który odbyłem z H miał służyć rozbrojeniu złodzieja samochodów z AK-47, a nie angielskiego farmera uzbrojonego w strzelbę.

- Nikogo nie zabiłem - mówię tak spokojnie, jak tylko potrafię. - Jestem oficerem armii odbywającym trening ucieczki przed przeciwnikiem. Mogę to udowodnić - powtarzam, zdając sobie jednocześnie sprawę z faktu, że tak naprawdę nie jestem w stanie tego zrobić. Oczyma wyobraźni widzę podążającą moimi śladami, wspinającą się po wzgórzu sforę psów.

- To nie zmienia faktu, że jesteś mordercą. Będziesz się tłumaczył policji - skinieniem lufy daje mi do zrozumienia, co mam zrobić. - Ręce na bramę.

Stosuję się do jego rozkazu i podchodzę do krawędzi ścieżki, zastanawiając się, jak udało im się go zwerbować. Górna sztacheta jest zimna w dotyku.

- Popęlnia pan błąd - mówię.

- To się jeszcze okaże - odpowiada warknięciem.

Staje z boku, zachowując bezpieczną odległość i nie spuszczać mnie z oka, po czym przekłada smycz do dłoni, w której trzyma broń. Następnie wolną ręką wyjmuje z kieszeni kurtki telefon komórkowy i kciukiem wybiera numer.

Wsluchując się w sygnał połączenia rzuca okiem na psa, wpatzonego w niego wyczekująco.

- Spokojnie, moja mała - mówi.

W telefonie rozlega się głos jego rozmówcy.

- Tu Tom. Pospiesz się. Mam tu jednego cwane go skurwiela - chichocze w makabryczny sposób. - Dobrze. Zaprowadzę go do bramy wjazdowej i tam na ciebie poczekamy.

H powiedział mi także, że trzeba uciekać jak najszybciej po schwytaniu. Im więcej czasu przeciwnik ma na utrwalenie kontroli, tym mniejsze szanse na ucieczkę i większe prawdopodobieństwo ponownego schwytania. Każdy żołnierz, nieważne - były czy obecny, wie, że jeśli nie zrobi wszystkiego, co w jego mocy, aby wydostać się z rąk wroga, to jego zachowanie zostanie zaklasyfikowane jako wykroczenie. A każdy, kto celuje do mnie z broni, utwierdzam się ostatecznie w tym przekonaniu, jest moim wrogiem.

Ponownym skinieniem lufy wskazuje mi, że mam przejść przez bramę i udać się w kierunku wznoszących się kilkaset metrów od nas budynków, spośród których jeden przypomina wyglądem szopę. Nie mam najmniejszej ochoty tam iść. Nie przestaję protestować w nadziei, że w końcu uda mi się rozproszyć rolnika Toma na tyle, że zbliży się ze strzelbą i będę mógł mu ją wybić, a jej właściciela powalić na ziemię. Mówię, że mogę podać numer, pod którym potwierdzą moją tożsamość, że może porozmawiać z moim dowódcą i że SAS nie spodoba się ingerencja cywila. Wszystko to kłamstwa, ale on o tym nie wie.

- Trzymaj ręce tak, żebym je widział - mówi tym swoim opanowanym głosem, nie słuchając nawet słowa z tego, co mu tłumaczę. Gdy wchodzę przez bramę i podążam podmokłą ścieżką, idzie za mną, zachowując bezpieczny dystans.

Jak na rozważnego rolnika przystało, popycha mocno bramę, która zatrząskuje się z

głośnym trzaskiem. W efekcie dochodzi do jednego z tych zdarzeń, dzięki którym człowiek odzyskuje wiarę w Opatrzność. Wystraszona tym dźwiękiem, chowająca się w zaroślach pod naszymi nogami, samica bażanta wzbija się do lotu, a pies skacze za nią, pociągając smycz wciąż owiniętą wokół przegubu prawej dłoni rolnika Toma. Przez chwilę udaje mu się utrzymać broń, która jednak w końcu wysuwa się spod jego ramienia, a on sam, próbując utrzymać psa, odwraca się do mnie plecami.

- Leżeć, zarazo jedna - wrzeszczy.

I w tej krótkiej chwili pojawia się moja szansa na ucieczkę. Wykorzystuję ją.

Rzucam się w bok i wykonując przewrót przebijam się za linię drzew oddzielających ścieżkę od znajdującego się za nimi pola. Klnę, gdy z powodu zmęczenia uderzam o ziemię mocniej niż powinienem. Nie oglądając się za siebie, pędzę wzdłuż krawędzi pola i wtedy słyszę pierwszy wystrzał. Śrut rozrywa liście obok mnie, ale Tomowi nie dopisuje szczęście i uchodzę bez szwanku. Kilka sekund później strzela ponownie, znowu pudłując. Dobiegam do żywopłotu i ostro skręcam w lewo, w pole. Będąc po drugiej stronie, przecinam wiejską drogę i ślizgiem wpadam do zarośniętego trawą rowu, starając się złapać oddech i zastanowić.

Prawie postradałem życie przez ten cały, jak to ujął H, „bajzel” i zastanawiam się, czy rola mordercy, która przypadła mi w udziale to efekt przemyślanego kłamstwa, zbiegu okoliczności czy zwykłego przypadku. Jakkolwiek by nie brzmiała odpowiedź, ten, który mnie ściga ma spore wpływy. Dobiegający z góry warkot zdaje się potwierdzać moje przypuszczenia i gdy patrzę w niebo dostrzegam lekki samolot lecący dokładnie w moim kierunku na pułapie około sześćdziesięciu metrów. Później zastanowię się, jakim cudem udało im się tak szybko mnie znaleźć.

Przywieram do mokrej trawy z nadzieją, że nie uda im się mnie wypatrzyć, jeśli tylko zachowam całkowity bezruch. Nie mam odwagi spojrzeć w górę ze strachu, że zdradzi mnie biała plama twarzy. Samolot przelatuje nade mną, nie zbacząc z kursu, a gdy już mnie mija, stwierdzam, że obniżenie pułapu i stopień nachylenia wskazują na podejście do lądowania. Obserwuję, jak wykonuje łagodny skręt i znika poniżej linii drzew, zbliżając się do dna doliny, niecały kilometr ode mnie. A ponieważ nie wzlazuje ponownie po drugiej stronie, wnioskuję, że po pierwsze: to, że ten lekki samolot przeleciał nad moją głową, było tylko zbiegiem okoliczności i nie ma najmniejszego powodu, aby wpadać w popłoch. Po drugie zaś stwierdzam, i odgrywa to większą rolę w moim nowym planie, że gdzieś w pobliżu musi znajdować się lotnisko. Nie zastanawiam się nad konsekwencjami. To jedyny pomysł, jakim w tej chwili dysponuję.

Staram się biec w prostej linii do punktu, gdzie zobaczyłem samolot ostatni raz, na przestrzał przez dwa pola ciągnące się wzdłuż żywo płotu. Przecinam wiejską dróżkę i mijam pozbawioną okien fermę drobiu wraz z otaczającym ją skupiskiem budynków. Gdy dobiegam do kolejnej, szerszej tym razem drogi, po raz kolejny wysiłek prawie rozrywa mi płuca. Znajdujący się po jej drugiej stronie żywo płot jest nie do przejścia i muszę zaryzykować bieg wzdłuż niego. Póki co żadnych samochodów. Przypominam sobie o obecności innych ludzi i jak najstaranniej wycieram twarz z błota, z nadzieją, że nie wzbudzę podejrzeń gapiów, ale chyba jest już na to za późno.

Z tablicy informacyjnej dowiaduję się, że właśnie wkraczam do SHOBDON. Nie znam tej miejscowości. Po przebiegnięciu kilkuset metrów, chcąc uniknąć majaczących przede mną budynków, skręcam w lewo, w dróżkę wijącą się niepostrzeżenie w dół z boku. Odbijam w kierunku, gdzie widziałem lądujący samolot i przez koszmarnie półtora kilometra biegnę po drogach gruntowych, nie natykając się na żadną alternatywę. A gdy zaczynam się już zastanawiać, czy to w tej właśnie dolinie lądował, dostrzegam przelotnie linię dachów zbudowanych z prefabrykatów budynków i skręcam ku nim. Trzepocący na wietrze pomarańczowy rękaw upewnia mnie, że znalazłem się we właściwym miejscu. Nisko pochylony, zaczynam się skradać wzdłuż otaczającego lotnisko żywo płotu, aż docieram do ustawionych w jedną linię białych przyczep, w których, sądząc po ich długości i niezwyklej formie kształcie, muszą znajdować się szybowce.

Wczołguję się pod jedną z nich i leżąc na plecach czekam, aż mój oddech się uspokoi. Spoglądam w kierunku budynków lotniska, szukając oznak życia. Nie dostrzegam żadnych. Zero ruchu w pobliżu wielkiego hangaru, oddalonego ode mnie o kilkaset metrów. Wieża kontroli lotów, przypominająca raczej szopę umieszczoną na czterometrowym podwyższeniu, jest pusta. Oczami wyobraźni widzę, jak Tom opowiada o swoim spotkaniu przewodnikom psów, a ci łapią za telefony komórkowe. Obserwuję budynek raptem od dziesięciu minut, ale nie mogę zwlekać ani chwili dłużej.

Wzdłuż pasa startowego zaparkowano około tuzina jednosilnikowych samolotów skierowanych ku wylotowi. Większość z nich ma kabiny pilota przykryte niebieskimi plandekami, pokrowcami przypominającymi narzutę dla konia, ale kilka jest odsłoniętych. Betonowe ciężarki i czterdziestopięciolitrowe plastikowe beczki, podłączone do spodniej części płatów, pełnią funkcję kotwic. Mój własny oddech zagłusza wszystkie inne odgłosy. Teraz albo nigdy. Opuszczam swoją kryjówkę, starając się przy tym sprawiać wrażenie jak najbardziej pewnego siebie i sprawdzam po kolei drzwiczki odsłoniętych samolotów. Piper i

Cessna 172 są zamknięte. Trzeci samolot - Cessna 152, pierwszy, na którym uczyłem się latać, jest otwarty. W pobliżu budynków nie dostrzegam żadnego ruchu i myśl, że może mi się udać, wywołuje drżenie rąk.

Sprawdzam poziom paliwa w skrzydle bliżej mnie: jest go wystarczająco dużo jak dla moich potrzeb. Nie będę przekraczał dystansu osiemdziesięciu kilometrów. Nie zamierzam opuszczać klasy G przestrzeni powietrznej² i będę leciał z wyłączonym transponderem, z nadzieją, że wojskowe myśliwce nie wykonują właśnie ćwiczeń na niskim pułapie. Będę kierował się na zachód, aż dotrę do wybrzeża i posadzę maszynę na jakimś odosobnionym polu. Wtedy znajdę sposób, żeby zadzwonić do H, a on wyciągnie mnie z potrzasku, w który wpadłem. Po chwili jestem już w kokpicie. W stacyjce nie ma kluczyka, ale grzebiąc pod aerodynamiczną osłoną silnika wyciągam dwa kable iskrowników, obchodząc w ten sposób obwód zapłonowy. Wybieram bogatą mieszankę paliwa, a podgrzewanie gaźnika ustawiam na „zimne”. Zalewam silnik. Otwieram przepustnicę na centymetr. Wyłącznik główny włączony, hamulce odblokowane. Muszę tylko ręcznie zakręcić śmigłem i usunąć ciężarki.

A zakręcić muszę ręcznie, ponieważ skutecznie usunąłem zapłon. Nie powinno się wykonywać tych działań w tej kolejności, ale najważniejsze jest dla mnie, aby zaskoczył silnik. Nie mam czasu na przeprowadzenie kontroli maszyny. Z całej siły kręcę śmigłem, w efekcie z silnika dochodzi mnie głuchy odgłos i syczenie.

- Co za suka! - krzyczę.

Kręcę raz jeszcze. I kolejny głuchy odgłos. I jeszcze jeden. Przy piątym podejściu słyszę cudowną serię łomotów i przyciszonych eksplozji, a silnik z impetem budzi się do życia. Kadłub samolotu wychyla się do przodu niczym pies na smyczy. Pozostało tylko odczepić ciężarki. Mając pod ręką ostry nóż przeciąłbym mocowania w zaledwie kilka sekund, a po minucie byłbym już w powietrzu. W filmach, w których ktoś kradnie samolot nigdy nie pojawiają się mocowania. A już na pewno nie takie o sztywnych, za mocno splecionych sznurach, z którymi trzeba sobie radzić na zimnie z trzęsącymi się dłońmi.

Robię, co w mojej mocy, ale wiązania nie ustępują. A że samolot prze do przodu, napinając sznury, to i zadanie staje się coraz trudniejsze. Już mam wyłączać silnik, gdy przez pleksyglas kokpitu dostrzegam pojazdy mijające pędem bramę za hangarem. Dwa range rovery pełne pasażerów. Nie poddam się. Jeden z samochodów ślizga się, staje przed

² Przestrzeń powietrzna klasy G to przestrzeń niekontrolowana, zarezerwowana m.in. dla działań prowadzonych w ramach szkolenia lotniczego bądź ćwiczeń, gdy manewry statku powietrznego stają się nieprzewidywalne (przyp. tłum.).

samolotem, drugi za nim. Zdrowy rozsądek podpowiada, że bez realnej możliwości wystartowania powinienem przyznać się do porażki, ale ponieważ nie chcę rezygnować ze zwycięstwa, wdrapuję się z powrotem do kokpitu. H powiedział, że nigdy nie wolno się poddawać. Maksymalnie wychylam przepustnicę i zwalniam hamulec ręczny. Samolot powolutku przesuwa się do przodu, podczas gdy z samochodów wysypują się mężczyźni w kurtkach. Przy drzwiach po prawej pojawia się twarz wężacza, próbującego dostać się do środka. Kopię w drzwi i trafiony nimi wężacz znika, ale pozostali zdążyli już otworzyć także te drugie i czyjeś ręce szarpia mnie za ramię. Mojej głowy dosięga uderzenie pięścią. Przy lewych drzwiach pojawia się dwóch kolejnych osobników, próbujących teraz chwycić mnie za wierzgające nogi. Imponuje mi fakt, że nie krzyczą. Wyciągają mnie z kokpitu jak dźdźownicę z ziemi i ktoś tłucze mnie po rękach, kurczowo trzymających się fotela. Gdy upadam na ziemię czyjeś kolano uderza mnie w lewe oko i pole widzenia wypełniają mi lawirujące na czarnym tle drobne rozbłyśki światła.

Obroty silnika spadają, co oznacza, że ktoś znalazł przepustnicę i ją wcisnął. Po kolejnym uderzeniu z płuc uchodzi mi całe powietrze, a z klatki piersiowej dobywa się trzask. Zastanawiam się, ile siły potrzeba, aby złamać żebro. Nie czuję bólu. Ktoś wciska mi twarz w ziemię - zapach trawy i błota wypełnia mi nozdrza. Dwie pary kolan przyciskają mi plecy do ziemi, dwie kolejne robią to samo z nogami. Na nadgarstkach zaciska się plastikowa pętla.

I gdy tak wloką mnie do jednego z samochodów, zauważam, że światło słońca przebija się przez chmury na drugim końcu pasa startowego, a szeroki, złocisty promień spływa pod kątem w dół niczym szyderczy uśmiech.

Rozdział 2

Nie potrafię określić, ile czasu upłynęło od momentu pojmania, czy to z powodu utraty przytomności czy otumanienia narkotykami. Gdy otwieram prawe oko - lewe jest całkowicie zapuchnięte - widzę coś jakby tunel ciągnący się pod długim rzędem lamp w metalowych abażurach. Część z nich nie świeci. Leżę na boku na betonowej podłodze, otaczają mnie drewniane ściany. Mam wrażenie, że na zewnątrz zapadł zmrok, ale nie potrafię wyjaśnić, skąd to wiem. Przypominam sobie, jakie podłużne budowle mijalem po drodze i eliminuję z listy tunel oraz stodołę, stawiając na opuszczoną fermę drobiu. Za tą opcją przemawia także obrzydliwy smród. Przekręcając powoli głowę - gdy poruszam oczami ból jest zbyt duży - dostrzegam mężczyznę, którego twarz pojawiła się w drzwiach samolotu podczas mojej niefortunnej próby wzbicia się w powietrze; twarz, która wyraźnie zapisała się w mojej pamięci. Gdy kuca przy mnie, widzę, że nosi podniszczone buty robocze, czarne jeansy i brązową, skórzaną kurtkę z paskiem, który przytomnie trzyma nad podłogą.

- Pobudeczka - odzywa się Twarz tonem wyrażającym perwersyjną zażyłość. To chyba akcent z południowego Londynu. Przygląda mi się uważnie, czekając na jakąkolwiek reakcję, co może wynikać z jego przeszkolenia, jak również wskazywać na zdolności obserwacyjne zdobyte na ulicy.

- Coś mi się wydaje, że nasz kaskader nie pogardziłby czymś na ząb - mówi. Głośniej, i nie odrywając wzroku ode mnie, rzuca - Billy, przynieś panu jakiś posiłek. - Z tyłu, gdzie znajduje się drugi osobnik, którego jeszcze nie zobaczyłem, dobiega mnie szuranie. - Co pan na to, panie kaskader? Szamanko na rozgrzewkę po tych wszystkich wyczynach?

Chętnie bym coś zjadł, ale nie odzywam się. To taniec, w którym ja i moi porywacze wykonujemy wybrane przez siebie figury. Śpiewny ton w głosie Twarzy ma mnie sprowokować.

- Zapomniał języka w gębie - odzywa się Twarz. - Szkoda, że nie dostałeś zezwolenia na start. Jak się nazywa ten aktor, co to lata samolotami? Trochę mi go przypominasz. John Travolta? Billy - zwraca się do tego kogoś za mną - co to za jeden, ten aktor, co to wszędzie lata swoim odrzutowcem? Nie John Travolta? - wstaje i cofa się kilka kroków.

- A chuj wie - mruczy pod nosem Billy, który w tej właśnie chwili przymierza się do chluśnięcia na mnie wiadrem zimnej wody. Jednocześnie zwracam uwagę na jego silny, północny akcent i wzdygam się, oblanym wodą.

- Sorry - mówi Twarz, znowu przykucając - ciepła się skończyła.

Ręce mam związane na plecach i nie mogę wytrzeć wody z oczu. Chcę mu o tym powiedzieć. Udaje mi się przechylić głowę akurat na tyle, żeby kilka kropli spadło z brwi na język, dzięki czemu mogę zwilżyć usta, ale nic poza tym. Widzi jak drzę.

- Chłodno, co nie? Zamarzniesz na śmierć jak będziesz tak sobie leżał na podłodze. Pomóc wstać? Rozprostujemy nóżki? - przygląda mi się, prześmiewczo udając zainteresowanie. - Jak chcesz to możesz spróbować sił ze mną i z Billym. Rozruszasz się trochę. To jak, chcesz?

Podnosi pięści, przyjmując postawę boksera.

- Teraz postawimy cię na nogi, a jeśli jesteś zbyt pewny siebie - mówi, odsuwając na bok poły marynarki i pokazując przyczepioną do paska kaburę z sig sauerem w środku - jeśli naprawdę jesteś taki pewny siebie, to cię kurwa zastrzelimy. Nie przeszkadza ci to?

Spogląda w górę i skinieniem głowy daje znak Billy'emu, który przecina mi plastikowe więzy na nadgarstkach. Ulga jest nie do opisania. Jedną rękę przesuwam nad sobą, a drugą pod ciałem i ściskam dłonie, żeby złagodzić ból.

- Wstawaj, cipo - rzuca obojętnym tonem Billy. Czuję jak dwie silne ręce dźwigają mnie do góry. Twarz podnosi się i cofa o krok, podczas gdy Billy, większy z ich dwojga, bierze na siebie dźwiganie mnie. Stając na nogi, opieram się na nim bardziej niż muszę, po części, aby sprawdzić jego siłę, a także aby przekonać go, że jestem słabszy niż w rzeczywistości. Twarz natychmiast rozgryza mój podstęp i krąży wokół mnie jak hiena, której ofiara nie wyzionęła jeszcze ducha.

- Patrzcie no państwo, słabo mu. Może by go znowu sprowadzić do parteru i związać? Tylko tym razem wcisnąć coś do ust? Billy? Możesz poszukać jakiegoś zdechłego szczura? - w jego głosie przebrzmiewa nagle groźba. - Nie leć z nami w chuja, żołnierzyku.

A więc orientuje się, że służyłem w armii, co oznacza, że wiedzą, kim jestem. Coś mi się zdaje, że Twarz właśnie popełnił błąd i mimo że to drobnostka, pozwala mi poczuć coś na kształt nadziei. Bo to oznacza, że nie są nieomylni, że są tylko ludźmi. Tymczasem Billy mnie ustawia, rozstawiając mi ręce na ścianie i kopniakami odsuwając od niej łydki, tak, że przyjmuję pozycję jak do przeszukania.

- A teraz daj mu jego śliczny kapelusik - mówi Twarz.

Billy zakłada mi na głowę białą poszewkę. Nie mam możliwości przyjrzeć się otoczeniu, ale już sam fakt, że czuję na twarzy własny oddech niesie ze sobą pocieszenie, o którym nie mają pojęcia. Mogę także niezauważenie poruszać mięśniami twarzy i napiąć brew, oceniając rozmiar rany wokół oka, a to sprawia, że czuję się jakbym odniósł ciche zwycięstwo. Ale nie trwa ono długo. Pozycja napięcia mięśni to niewinnie wyglądająca

technika, której zadaniem jest całkowite pozbawienie, i tak już wyczerpanego człowieka, resztek energii. Ponieważ wcześniej leżałem na zimnej podłodze, to pierwszych kilka minut w nowej pozycji niesie ze sobą ulgę. Ale po chwili zaczynam odczuwać nadwyrężenie nadgarstków i kostek, szczególnie w miejscach, w które mnie kopano i ból zaczyna rozprzestrzeniać się na inne partie ciała.

Odczuwam przemożną potrzebę rozruszania członków. Najpierw próbuję opuścić głowę i rozluźnić mięśnie karku. Najwyraźniej Billy, który został ze mną w pokoju, ma przypilnować, żebym tego nie robił. Za każdym razem, gdy głowa mi opada, słyszę dobiegający zza moich pleców, naznaczony północnym akcentem, urokliwy głos:

- Głowa DO GÓRY, cipo.

I podnoszę głowę - nie ze strachu, ale po to, by nie sprawiać wrażenia opornego. Jeśli nie dam niczego po sobie poznać - wygram, ponieważ pokonam swoje pragnienia, a żeby tego dokonać, muszę wykazać się pewną kontrolą. Nie zmienię świata, ale w pewnym stopniu kontroluję swoje reakcje, które z kolei w nieznaczny sposób, ale jednak, wpływają na wydarzenia. Muszę tego bronić. Uczono mnie, że drobne wybory mogą skutkować poważnymi konsekwencjami.

Chciałbym także przyciągnąć bliżej nogi, żeby opuściło mnie uczucie zapadania się w podłogę, niczym belka pękająca pod własnym ciężarem. Ale Billy został przygotowany, aby i to wyłapać.

- Rozstaw kurwa nogi - jak zwykł to ujmować.

Gdy trzeci raz przesuwam nogi, rozsuwa mi je, kopiąc po kostkach, a na dokładkę odciąga mi głowę do tyłu.

- Łeb do góry, powiedziałem. Głuchy kurwa jesteś, czy co?

Niedługo potem, po upływie okresu, który wydawał mi się wiecznością, nie tylko nie jestem już w stanie utrzymać głowy w górze dłużej niż kilka sekund, ale i nogi zaczynają mi się trząść ze zmęczenia. Na początku lekko, później już w zauważalny sposób. Dwa razy po prostu załamują się pode mną, gdy zasypiam, aby po chwili odruchowo się wyprostować i być może to oznaki mojego rychłego załamania przyspieszają przybycie do mojego świata trzeciego nieznanego mi głosu. Nie słyszę zbyt wyraźnie, ale wydaje mi się, że mówi: „zdejmij mu to, na miłość boską”, a ton głosu jest łagodnie modulowany i niespodziewanie głęboki.

Słyszę przy uchu rozmyślnie radosny głos Twarzy.

- Wciąż jest pan w środku, kapitanie? - ściągają mi z głowy poszewkę. - Orzeźwiający

łyk świeżego powietrza, specjalnie dla ciebie. I wszystkie domowe wygody. Żebyś nie mówił, że o ciebie nie dbamy. Klepniesz sobie i przywitasz się z naszym dowódcą.

Prowadzi mnie za ramię do składanego krzeselka z podartym siedzeniem, ustawionego kilka metrów od stołu, przy którym siedzi mężczyzna w mundurze. Gdy sadzają mnie na krześle nie podnosi wzroku, ale zdrowym okiem widzę, że nosi pulower, a trzy gwiazdki na ramionach wskazują na rangę kapitana, zaś naszywka z różą i wawrzynem na berecie o charakterystycznych barwach mówią mi, do jakiego przynależy pułku.

- Załatwmy to szybko, a ktoś się zajmie pana okiem - mówi cichym, ale mocnym głosem.

Mając w pamięci, jak obeszli się ze mną Twarz i jego pochodzący z północy kompan Billy, zaczynam odczuwać swoistą więź z tym oficerem, ale nie pozwalam sobie robić zbyt dużych nadziei. Muszę być obojętny, szary, jakby to ujął H. Z każdym oddechem czuję ukłucie bólu w boku, a na dodatek jestem praktycznie zupełnie wyczerpany. Głowa opada mi do przodu.

- Łeb do góry! - na całe gardło wrzeszczy za moimi plecami Billy. Głowa instynktownie odskakuje mi do tyłu i wtedy właśnie zauważam, że gwiazdki na pagonach oficera nie są takie same. Jest pośród nich korona. To nie kapitan, ale pułkownik. Wyteżam umysł, starając się pojąć znaczenie tego faktu. Protokół wojskowy stwierdza, że oficera może przesłuchiwać jedynie oficer równy lub wyższy rangą, ale widok pułkownika wywołuje u mnie niepokój.

Odkręca wieko termosu, napełnia je, wypija zawartość i odstawia obok trzech teczek z dokumentami. Czuję zapach kawy. Być może cała ta scenka jest wyreżyserowana i ma osłabić moją wolę.

- Czy potwierdza pan, że nazywa się Anthony Hugh Taverner, pozostający w randze kapitana w pierwszym batalionie Gwardii Szkockiej, przez ostatnie lata służący jako S03/E2 w Kuwejcie pod Joint Services Interrogation Wing³?

„To, co zawsze”, o czym wspominał H, oznacza nazwisko, stopień, numer identyfikacyjny oraz datę urodzenia. Jednak, ponieważ posiadają już wszystkie te informacje, jak i wiele innych, nie widzę powodu, aby się odzywać. Nawet jeśli potwierdziłbym swoją tożsamość, to nie mam pojęcia, jak mogłoby mi to pomóc, ponieważ od dziewięciu lat nie służę w armii i jako cywila nie obowiązują mnie przepisy prawa wojskowego.

- Ach! - wykrzykuje, zupełnie jakby moje milczenie było odpowiedzią, której

³ Skrzydło Połączonych Służb Przesłuchujących (przyp. tłum.).

oczekiwał. - *Nemo me impune lanceſsit*⁴. Daliſcie niezły pokaz pod Tumbledown⁵, ale to chyba jęszcze nie za pańskiej kadencji.

Pułkownik zna motto mego pułku i jego odznaczenia bojowe - zaczynam czuć się nieswojo, widząc, jaką posiada wiedzę czy też przygotowanie. Jedna z teczek ma znajomy czerwony kolor i zastanawiam się, czy może to być moja 108, zawierająca przebieg służby w Zespole Zielonym. Wolę o tym nie myśleć. Pewnie ma też zeznania ſwiadków z czwartkowych nocy w Abbots i menu z chińskiej restauracji Roast Seagull w Ashford.

Przygryza wargę w zadumie.

- Zamierza pan współpracować, panie Taverner? Jeſli się pan zdecyduje, to szybciej nam pójdzie. Pewnie chciałby pan już pojechać do domu, podobnie jak i ja. To co pan powie?

Jego pozorna ſzczerość przypomina linę ratunkową, kuszącą by ją chwycić. Muszę założyć, że wszystko to jest częścią planu, chociaż nie potrafię okreſlić, jaki miałby być jego cel. Jestem prawie rozczarowany ſmiesznością tej farsy; pozory przesłuchania wojskowego, zupełnie jak oznaki władzy, której kiedyś się podporządkowywałem i charakterystyczne dla niej zachowanie - miały mnie zmusić do uległości. Zastanawiam się właſnie, kto też mógł obmyśleć tak dziecinny plan, gdy pułkownik ponownie się odzywa.

- Na wypadek, gdyby wydawało się panu, że już nie służy w armii, to jest wręcz przeciwnie - spogląda mi prosto w oczy, zachowując kamienny wyraz twarzy, po czym ponownie kieruje wzrok w dół. - Mam tutaj pańskie zobowiązanie dotyczące dodatkowej służby wojskowej z dnia 11 stycznia. To pański podpis, czyż nie? - podnosi kartkę, która wydaje się potwierdzać jego słowa. Ale niczego takiego nie podpisywałem i mój umysł zaczyna pracować jak szalony. Jedynym dokumentem, na którym składałem swój podpis, były papiery, które wziąłem za klauzulę tajemnicy państwowej, podsunięte mi miesiąc temu w Vauxhall Cross przez Seethrougha. Ale teraz zaczynam się zastanawiać czy nie zostałem oszukany, co, jak sobie uſwiadamię, stanowi jeden ze sposobów działań służb, z przynależności do których Seethrough czerpie tak wielką dumę. Muszę wyzbyć się tych obaw albo chociaż znaleźć jakiś sposób na przejście nad nimi kontroli. Czas na moją mantrę, którą wpoił mi H.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, sir. - wypowiedzenie tych słów przynosi ulgę.

- A więc potrafi pan mówić.

W tym momencie przypominam sobie żart, jakim uraczył mnie Seethrough, gdy

⁴ Z łac. Nikt ze mną bezkarnie nie zadziera (przyp. tłum.).

⁵ Gwardia Szkocka brała udział w bitwie o wzgórze Tumbledown podczas wojny o Falklandy (przyp. tłum.).

miałem przejrzeć dokumenty. Powiedział: „jeszcze bardziej drakońskie, niż kiedyś”, czy jakoś tak. Wtedy wydawało mi się to dziwne: rozdział piąty ustawy podpisuje się tylko raz, dlatego, że nigdy nie wygasa. Czy żart miał odwrócić moją uwagę, abym nie przyjrzał się dokładniej podpisywanym kartkom? Czy to możliwe, że podstępem nakłoniono mnie do podpisania dokumentu, według którego ponoszę odpowiedzialność za swoje czyny w świetle prawa wojskowego? Czy możliwe, że wszystko co wydarzyło się do tej pory to pułapka? Że operacja w Afganistanie to tylko wybieg? A może tylko starają się wmówić mi, że to oszustwo? Nachodzą mnie wątpliwości. Może na tym właśnie polega zadanie pułkownika - wzbudzić nieufność.

- Czyż nie mówi się, że zawsze trzeba czytać to, co zapisano drobnym drukiem? - mówi to jakby do siebie.

Przechyliam głowę do tyłu, żeby spod spuchniętej linii brwi lepiej mu się przyjrzeć. Zastanawia mnie, czy rzucałby taki komentarz, jeśli nie mówiłby serio?

Kontynuuje swój atak.

- Biorąc pod uwagę pańską obecną sytuację, muszę pana ostrzec, że w świetle paragrafu 52 „Ustawy o Siłach Zbrojnych”, „możliwe jest postawienie zarzutów w trybie przyspieszonym, jeśli oskarżony posiada rangę niższą od podpułkownika oraz jeśli podlega prawu wojskowemu”. A wymienione kryteria odnoszą się do pana, panie Taverner. Do wykroczeń, które mogą zostać rozpatrzone w trybie przyspieszonym zalicza się te wymienione w rozdziale 13, zatytułowanym „Przekroczenie ogólnie obowiązujących rozkazów”, w rozdziale 30: „Nielegalne zwolnienie więźniów” oraz w rozdziale 42 pt. „Zachowania przestępcze”. Przypominam panu również, że sąd wojskowy posiada uprawnienia zezwalające na rozpatrywanie wszelkich wykroczeń dotyczących służby wojskowej na podstawie rozdziału 328, tj. „Podanie nieprawdziwych danych podczas werbunku do zawodowych sił zbrojnych”. A na wypadek, gdyby chciał pan przeciągnąć procedurę w nadziei, że z nieba spadnie ratunek, to przypominam, że areszt może zostać przedłużony, jeśli aresztant poddawany jest właśnie przesłuchaniu, a przeprowadzający je oficer jest przekonany, że przerwanie go skutkowałoby niepożądanym efektem dla śledztwa. W pana przypadku pierwsze rozpatrzenie zwolnienia będzie miało miejsce za dziewięćdziesiąt sześć godzin. Nadąza pan, panie Taverner? 96 godzin to może być mnóstwo czasu.

Po raz pierwszy zaczynam mieć wątpliwości, co do prawdziwego celu tego spotkania. To paradoks, że ten zwyczajnie wyglądający mężczyzna, o głosie zdradzającym pewność siebie, gestykulujący w przemyślany sposób, martwi mnie bardziej, niż groźby użycia

przemocy ze strony jego podwładnych - zachowujących się w bardziej teatralny sposób. Ale na tym polega kunszt przesłuchującego. Było mi już dane obserwować kilku z nich w akcji. I przypominam sobie, że ci najlepsi potrafili doprowadzić oskarżonego do całkowitej uległości, nie dotykając go nawet palcem.

Pułkownik raz jeszcze spogląda na dokumenty, tym razem jakby z rozczarowaniem. Ma ściągnięte usta i kiwa głową. Zastanawiam się, ile z dokumentów jest autentycznych, a ile pochodzi z teczek kogoś innego. Rozpoznaję taktykę „na teczkę”, służącą przekonaniu przesłuchiwanego, że wszystkie informacje na jego temat zostały zarejestrowane i są znane.

- Cofnijmy się dziewięć lat, do Kuwejtu - udało mu się przykuć moją uwagę, przynajmniej w takim stopniu, w jakim jest to możliwe w obecnej sytuacji. - Powierzony został panu dozór nad jeńcem pierwszej kategorii, numer... - spogląda na kartkę - LBN428571, znanym szerzej jako Elias Rashid Gemayel, czy nie tak? Tak, wiem, nie może pan odpowiedzieć na to pytanie. Zrobię to za pana. Jest pan oficerem operacyjnym E2 należącym do Połączonego Zespołu Przesłuchującego, któremu powierzono zadanie wydania oceny dotyczącej IP wspomnianego internowanego i wyciągnięcia adekwatnych TIR. Już pan sobie przypomina?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, sir.

Zdażyłem już zapomnieć, jakiego hopla mają w wojsku na punkcie akronimów i skrótów. To jak zupełnie inny język. E2 opisuje moją funkcję jako oficera spoza pułku, IP oznacza Potencjał Przydatności dla Wywiadu, a TIR to dokument, który powinien zostać spisany przez oficera operacyjnego po zakończeniu przesłuchania.

- Czy mógłby pan opisać swoje relacje z Gemayelem? Określił go pan jako: „nad wyraz skłonnego do współpracy, ale o niskiej przydatności dla wywiadu”. Nie uważa pan tego za niezwykle? Wydaje się panu, że odszukano go dla czystej zabawy, biorąc pod uwagę, ile to wymagało wysiłku? - przerywa na chwilę, żeby pociągnąć łyk kawy. - Polubił go pan, nieprawdaż? To pańskie słowa, nie moje - protestuje od razu, jakbym to ja kwestionował jego słowa.

Nie było powodu, żeby go nie lubić. 14 Kompania Wywiadu dostała cynk i zgrnęła go w Kuwejcie. Działania wojenne zbliżały się ku końcowi i został przewieziony do obozu jenieckiego, gdzie mieli się nim zająć poza kolejnością. Irak został poddany tak intensywnemu bombardowaniu, że wojna miała zakończyć się w okamgnieniu, a formalnie rzecz biorąc Gemayel nie był w ogóle jeńcem. W późniejszym okresie zakwalifikowano go jako internowanego cywila i przeniesiono do osobnej, choć zabezpieczonej kwatery. Mimo że

okoliczności temu nie sprzyjały, nasze spotkania utrzymane były w przyjacielskiej atmosferze. Gemayel był libijskim Arabem i muzułmaninem, choć jego matka przed ślubem wyznawała chrześcijaństwo. Dobijał do pięćdziesiątki, był wykształcony i obyty, a także niepozbowiony poczucia humoru. Twierdził, że gdy rozpętała się wojna odwiedzał krewnych mieszkających w Kuwejcie, a ja nie miałem żadnych podstaw, żeby mu nie wierzyć. W trakcie przesłuchań rozmawialiśmy o libijskich potrawach i winie oraz literackiej twórczości Gibrana⁶ i Naimy'ego⁷. Po tygodniu przesłuchaniami zająć się miał zespół wchodzący w skład nowo utworzonej jednostki, której nazwa do tamtej pory nie obijała mi się o uszy. Byli ubrani w cywilne ciuchy i nosili broń u boku, a surowość, z jaką się z nim obchodzili, wzbudziła moją niechęć. Jako E2 i tłumacz miałem prawo uczestniczyć w przesłuchaniach i po kilku dniach obserwowania jak go maltretują i odmawiają pożywienia, złożyłem protest, wskazujący, że według Konwencji Genewskiej jeńiec traktowany jest w sposób niehumanitarny. Przyniosłem mu papierosy i starałem się nakłonić, aby wyjawiał śledczym to, czego chcą się dowiedzieć. Za każdym razem zbywał mnie wymuszonym śmiechem, odpowiadając, że oni nigdy nie dadzą sobie spokoju. Przyjdą po mnie, mówił. Nie wiedziałem, co miał na myśli. Jednak te wydarzenia to przeszłość, myślę. Sprawa została załatwiona lata temu.

- Zatem przejdźmy dalej - kontynuuje pułkownik. - Rankiem 9 lutego do ośrodka dostają się nieznani osobnicy, których celem jest, jak pan twierdzi, uprowadzenie Gemayela.

„Jak twierdzą”? Lewe oko daje o sobie znać, gdy próbuję je otworzyć szeroko ze zdumienia. Nieznani osobnicy to jednostka do działań specjalnych wyposażona w materiały wybuchowe i broń automatyczną, do której, jak się okazało, amunicja pochodziła z Izraela. Chcę mu powiedzieć, że nie wpadli na herbatkę. Chyba, że chcieli jej skosztować w więziennym korytarzu wypełnionym dymem po eksplozji plastiku, który został użyty do wyrwania z zawiasów drzwi celi Gemayela, z której to wyciągali swoją wrzeszczącą ofiarę za włosy. „Jak twierdzą”?

- Pozwolę sobie zapytać, jakie należało podjąć działania w przypadku naruszenia bezpieczeństwa, gdy wtargnęli do środka, po ustaniu działań wojennych 7 lutego? Czy nie należało zastosować słownego wezwania w stosunku do intruzów? A czy zrobił pan to?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, sir - bo jest to najgłupsza rzecz, jaką dane mi było usłyszeć.

⁶ Khalil Gibran, libański pisarz, poeta i malarz, autor m.in. *Proroka i Szaleńca*, które ukazały się na polskim rynku nakładem wydawnictwa Drzewo Babel (przyp. tłum.).

⁷ Mikhail Naimy, libański pisarz i poeta, autor m.in. *Księgi Mirdada* opublikowanej w Polsce przez

- Nie zrobił pan.

Oczywiście, kurwa, że „nie zrobiłem”. Gdy ktoś celuje w ciebie z broni automatycznej, to nie próbujesz go wciągnąć w rozmowę.

- Zamiast tego zabił go pan. Zastrzelił, pakując w niego osiem kul ze swojej broni - pułkownik wypija kolejny łyk kawy. - Istnieją ludzie, i nie mówię tutaj, że ja również się zaliczam się do ich grona, którzy nie są usatysfakcjonowani. Pewna rodzina mieszkająca w Tel Awiwie została pozbawiona ojca i niektórzy chcieliby się dowiedzieć nieco więcej na temat tego, co panem tamtego ranka kierowało.

Pyta o moje motywacje? Wyraźnie stara się mnie sprowokować. Chciałem ocalić skórę i przeszkodzić w uprowadzeniu mojego więźnia. Aż do teraz nie wzbudzało to niczyjej wątpliwości. Wystarczająco wiele razy powracałem w myślach do całej tej sytuacji. Do traumy, składania sprawozdań, do poczucia winy i pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Grupa uderzeniowa nie spodziewała się oporu. Ich plan zakładał uporanie się ze strażnikami przy wjeździe do ośrodka - rozbijono ich i wzięto na muszkę już na samym początku ataku. Ale nie byli przygotowani na dwóch dodatkowych, uzbrojonych oficerów wewnątrz budynku, którzy powinni być zakwaterowani po drugiej stronie kompleksu. Odsypiałem w swoim biurze po spisywaniu raportów do późna, a po przeciwnej stronie korytarza tym samym zajmował się mój najlepszy przyjaciel i towarzysz z E2. O ataku dowiedzieliśmy się w momencie, gdy eksplodowały ładunki, którymi obłożono zawiasy i zamki drzwi celi Gemayela. Włączyłem awaryjne oświetlenie i pobiegłem z bronią w rękę do cel, w których powietrze było gęste od dymu i słychać było krzyki.

W niczym to nie przypominało popołudniowej herbatki. Wycelowałem swojego browninga w ubraną na czarno postać wyciągającą Gemayela z jego pokoju. Gdy tylko mnie dostrzegł, sięgnął po broń, ale z powodów, których nigdy nie było mi dane poznać, zawahał się i pozwolił, abym korzystając z jego chwilowego wahania, nacisnął spust. Strzelałem raz za razem, aż padł na ziemię. Stojący za nim towarzysz puścił długą serię z broni automatycznej, zmuszając mnie do cofnięcia się za zasłonę. Mój przyjaciel i zastępca dowódcy, który jako pierwszy opuścił swój pokój, został uderzony kolbą karabinu w twarz, zanim miał szansę sięgnąć po broń. Zabrano go razem z Gemayelem i nigdy nie odnaleziono. Podczas składania raportu cały personel musiał podpisać klauzulę tajności, a wszelkie informacje dotyczące tego wydarzenia doczekały się lepszego zabezpieczenia niż odpady radioaktywne.

Chciałoby się powiedzieć: koniec i kropka, pułkowniku. Niech mi pan nie każe do

tego wracać. Bo nie na taką wojnę się pisałem. Nie na szaleńczą rzeź wycofujących się żołnierzy, dokonaną przez amerykańskie odrzutowce na przełęczy Mutla, bomby paliwowe wysysające ze swoich ofiar płuca i oczy, poborowych pogrzebanych żywcem w okopach, pociski ze zubożonego uranu, który skaził pustynię na tysiące lat, ani na zniknięcie mojego najlepszego przyjaciela. Niech mi pan nie każe do tego wracać.

- Muszę panu powiedzieć - kontynuuje pułkownik - że wedle pewnych osób nieco za bardzo zaprzyjaźnił się pan ze swoim więźniem. Pojawiły się opinie, jakoby ubił pan z nim interes. Czy tak właśnie było, panie Taverner?

Obrzydliwa sugestia, ale robi swoje. Jest tak perwersyjnie pokrętna, że aż zastanawiam się, czy nie dobito równie pokrętnego targu, czyniąc ze mnie kozła ofiarnego i na myśl o takiej ewentualności dopada mnie przygnębienie. Nie potrafię teraz o tym myśleć. Ale pułkownik nie odpuszcza.

- Na co się pan zgodził? Że będzie go pan ochraniał, nie pozwoli zabrać? Zabije jakiego Żyda? Czy też zamierzał ich pan poprosić, aby łaskawie raczyli wrócić do Izraela? Jeśli się okaże, że tak się właśnie sprawy miały, grozić będzie panu wyższa kara za „wykroczenie na tle rasowym” z rozdziału 220, o ile nie zostanie pan oskarżony o nielegalne zabójstwo z rozdziału 42, które może panu w efekcie załatwić dożywocie. Czy chciałby pan o tym porozmawiać, wyjaśnić te sprawy? Czy woli pan zgrywać bohatera i wylądować w więzieniu? A tam pan właśnie zmierza. Chce pan tego?

- Nie mogę... - oddychaj. - Nie mogę odpowiedzieć - oddychaj. - Na to pytanie, sir.

Mam zamknięte oczy. Z drugiego pokoju dochodzi mnie szuranie, czyli ktoś wstał z krzesła. Twarz wrócił, aby odprowadzić mnie pod ścianę.

- Miło się gadało z pułkownikiem? - słyszę jego pytanie. - Jejku, był dla ciebie za surowy? Tak na moje oko to masz kompletnie przesrane. A teraz zakładaj czapkę.

I znowu opieram się o ścianę z poszewką na głowie, zastanawiając się, czy rzeczywiście jakaś izraelska jednostka domaga się zemsty za przypadkową śmierć jednego z komandosów. Raport sporządzony przez pułkownika nada ton wszystkiemu, co się teraz stanie, a ja nie wykazałem woli współpracy. Przemyślenie tego wszystkiego wymaga zbyt dużo wysiłku, a mój mózg pracuje teraz jak puszczony w zwolnionym tempie film, który można oglądać klatka po klatce.

- Billy, co byś powiedział, gdybyśmy mu zaserwowali trochę białego szumu?

Przeszywa mnie dreszcz, a strach dodatkowo nasila się, ponieważ nie mogę niczego zobaczyć.

- Przystaw mu do ucha i włącz.

Słyszę jak się do mnie zbliżają i zaczynam się zastanawiać, czy wytrzymam. Słyszę dziwne, dźwięczne zawrodozenie i po kilku sekundach zdaję sobie sprawę, że to Billy - fałszując, wygwizduje swoją interpretację *Rule Britannia*⁸.

- To czysta tortura, mówię ci - oznajmia Twarz i obaj wybuchają bezdusznym rechotem.

Zasypiam. Kilka razy uginają się pode mną kolana, ale Billy zawsze jest pod ręką, aby we właściwy sobie sposób zachęcić mnie do wytrwałości. Dwa razy upadam, ale on jest na miejscu, żeby mnie podnieść i przypomnieć, jak to tylko on potrafi, żebym z nim nie zadzierał, i że ma serdecznie dość takich pieprzonych zagrywek. Ściąga mi poszewkę i spoglądam na niego jednym okiem. Góruje nade mną, wydaje się straszliwie wielki. Wątpię, żebym długo jeszcze wytrzymał.

Ciało odmawia współpracy. Billy sadza mnie na krześle, a pułkownik cierpliwie czeka. Mam głęboko w nosie, czy naprawdę ma taką rangę. Coś zdecydowanie poszło nie tak, ale nie potrafię określić, co dokładnie. Nie wolno im traktować mnie w ten sposób.

- Porozmawiajmy o Afganistanie - mówi, przerzucając kilka kartek w swojej teczce.

Ktoś przedstawił mu krótką, a zarazem dokładną relację z mojego dwuletniego pobytu w Kabulu, połączonego z pracą dla trustu⁹ i bardzo mnie zastanawia, kto to był. Sporządzam myślową notatkę, aby dowiedzieć się jak do tego doszło, ale zaczynam wątpić, czy naprawdę mi zależy. Pyta z kim się tam spotykałem, po czym wymienia w kółko kompletnie nieznanne mi nazwiska. Niektóre są arabskie, inne afgańskie. Przy każdym pyta, czy poznałem danego człowieka oraz, używając durnego określenia, jakim się posiłkuje, czy w trakcie swojego pobytu w Afganistanie „zbratałem się z tubylcami”. Pyta też, czy spotkałem się w Kabulu z Abdullahem Salafim, z Ahmadem Popalzaiem w Kandaharze, z Khalilem Razzą w Herat i kimś tam jeszcze w Dżalalabad. Opisuje popełnione przez nich przestępstwa, ale szybko się w nich gubię, ponieważ nie dociera do mnie większość jego przemowy.

A to dlatego, że odnalazłem to, czego szukałem. Spaceruję po najpiękniejszej okolicy, jaką kiedykolwiek było mi dane zobaczyć, w rejonie przełęczy Shibar, po wysokich zboczach nad doliną Bamiyan, gdzie światło słońca rozprasza brzydotę świata i wlewa się w duszę czystością, jakiej nigdzie indziej nie widziałem. Maszerujemy, ponieważ samochód padł, a

⁸ Brytyjska pieśń patriotyczna mocno rozpowszechniona w Królewskiej Marynarce Wojennej i Armii Brytyjskiej (przyp. tłum.).

⁹ Połączenie samodzielnych wcześniej przedsiębiorstw należących do tej samej branży (przyp. tłum.).

otaczające nas góry uniemożliwiają nawiązanie kontaktu radiowego z Kabulem. Nie możemy przejść doliną Bamiyan ze względu na toczące się tam walki, bo mój kierowca, Salahuddin, jest Hazarem i talibowie zabiliby go. Kierujemy się na południe, do Hajigak, z nadzieją, że uda nam się przeżyć trzydniową wędrówkę, mając w zapasie kilka kromek chleba. Czwartego dnia Salahuddin wprawia całą naszą trójkę w zdumienie, wyciągając z torby zawiniętego w szmaty pieczonego kurczaka, bowiem byliśmy już święcie przekonani, że pożywienie całkowicie się skończyło.

Billy opiera mnie o mur i ściąga z głowy poszewkę - na pierwszy rzut oka widać, że nie dam już rady ustać.

Rozmiarami bardziej przypomina gołębia, niż kurczaka. Jak większość Afgańczyków musiał wieść niełatwe, ale honorowe życie. Każdemu z nas przypada raptem po kęsie. Po wygłoszeniu *Bismallah* nad żalosną tuszą, Salahuddin z namaszczeniem dzieli mięso i wspólnie zabieramy się za posiłek, wsłuchani w odległe strzały i eksplozje dobiegające z dolin, gdzie talibowie zabijają krewnych Salahuddina - Hazarów. Zastanawiamy się, czy uda nam się przeżyć. Mięso ma posmak dymu, pochodzącego od drewna, na którym je pieczono i jest to najsmaczniejsza potrawa, jaką było mi dane kiedykolwiek jeść. Na nowo się nim rozkoszuję, odrywając mięso od kości i wysysając je do gładkości, a satysfakcja, jaką z tego czerpię, jest niemożliwa do opisanía. Jestem świadom, że widać ją na mojej twarzy, ponieważ Billy przygląda mi się zmieszany, pytając - co też do cholery jest takie zabawne. Nie może przecież wiedzieć, że właśnie jem kurczaka i, pomimo okoliczności, czerpię z tego większą przyjemność, niż byłby to sobie w stanie wyobrazić.

Od dłuższej chwili jestem sam w moim marnie oświetlonym tunelu, a Billy i Twarz maszerują w moim kierunku z wyrazem determinacji na twarzach. Cokolwiek by mnie teraz nie czekało, mam już dość. *Nemo me impune lancecessit*. Albo też, ujmując to nieco bardziej kolokwialnie, nie odpuszczam nikomu, kto ze mną pogrywa. Przykładuję łokciem w krocze Billy'emu, uderzę Twarz z byka i zatopię zęby w tej części jego ciała, która mi się akurat nawinie. Potem zabiorę mu broń i ucieknę, ponieważ nie mam najmniejszego powodu, żeby wierzyć, że, jak mówi rozdział 29 „zatrzymania dokonano w zgodzie z prawem”.

Ponownie stawiają mnie na nogi, choć tym razem łagodniej.

- No dalej, kapitanie - mówi Twarz tonem, jakiego u niego jeszcze nie słyszałem. - Załadujmy pana do powozu, zanim zamieni się w dynię - z jego głosu wyparowały złowrogie żarciki, w efekcie czego mój plan wali się w gruzy. On to mówi poważnie. Powłóczę nogami. Mijamy kolejne mniejsze pomieszczenie i wychodzimy na dwór, w ciemność, zimne

powietrze owiewa mi twarz. Dłonie kierują mnie na tylne siedzenie samochodu, gdzie kładę się na boku, a ból w żebrach eksploduje, pozbawiając tchu. Silnik jest na chodzie.

- Jezu, co oni ci zrobili? - rozpoznaję ten głos, choć jestem otumaniony z wyczerpania.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - mamroczę.

- Włącz ogrzewanie i to już - nakazuje znajomy głos. Zdaję sobie sprawę, że należy on do H, który teraz zajmuje miejsce z tyłu samochodu, opiera mnie o siedzenie i przystawia mi do ust małą piersiówkę z jego błogosławionym Glenlivet.

- Ostrożnie - mówi - koniec ćwiczenia. Udało ci się, skurczybyku - ściąga kurtkę i zakłada mi ją na ramiona zakrywając plecy. - Co ty na to, żebyśmy zabrali cię do domu?

Cały się trzęsę, ale z klatki piersiowej rozchodzi się ciepło i czuję tak wielką ulgę, że nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa, jednocześnie złościąc się na siebie z tego powodu. Próbuję mrugnąć do H, ale oczy mam już zamknięte i zamiast tego wykrzywiam twarz. Do tylnego okna podchodzi Twarz i H opuszcza szybę. Twarz opiera się o nie ramionami i wzdycha.

- Jest pański, kapitanie - mówi. - Nic nie powiedział. Pierwsza klasa. Jeśliby mu się kiedyś znudziło, przyśle go pan do nas, dobra? - obok niego pojawia się Billy i podaje przez okno torbę z moimi rzeczami.

- No dajesz mu szluga - rzuca ze spojrzeniem pełnym oburzenia. Twarz podaje Billy'emu papierosa, ten zaś zapala go i wkłada mi do ust. Dym momentalnie przyprawia mnie o zawroty głowy.

- Ni chujja nie potrafisz gwizdać, Billy - mówię.

- A z ciebie uparta cipa - odpowiada. I uśmiecha się od ucha do ucha, jak chłopiec, który znalazł sobie nowego przyjaciela.

Przesypiam cały dzień i noc, budząc się otoczony nierealnym wręcz luksusem w postaci czystego, ciepłego łóżka. H sprowadził miejscowego lekarza, zwykle nieodwiedzającego pacjentów w domu, ale najwyraźniej znają się od dłuższego czasu. To nie jego pierwsza wizyta tutaj, mająca na celu opatrzenie lekkiej rany, której pochodzenia poszkodowany nigdy dostatecznie jasno nie wyjaśnił.

- Był pan na wojnie - mówi lekarz oglądając mnie.

- Raptem na dwóch - odpowiadam.

Jak mówi, z pękniętym żebrzem niewiele da się zrobić, trzeba wykazać cierpliwość i zdać się na środki przeciwbólowe, które pomogą pozbyć się opuchlizny spod oka i lewej dłoni. Lekarz zakłada mi szew i cierpkim tonem radzi, żebym trzymał się z daleka od drzwi.

Cudownie jest wykąpać się w gorącej wodzie, a śniadanie przygotowane przez H ma dla mnie większą wartość niż wygrana na loterii. Po posiłku H pyta, czy jestem gotów do złożenia raportu. Wyciąga jedną ze swoich laminowanych map i wskazuje skrzyżowanie, na którym zatrzymałem się po benzynę oraz miejsce, z którego rozpocząłem swoją nocną ucieczkę. Odnajdujemy też grań, przy której się obudziłem, wioskę Shobdon oraz lotnisko, gdzie moje wojaże dobiegły końca.

- Tylko skąd wiedziałeś, że będę na lotnisku? - pytam.

- To było sprytne zagranie - odpowiada ze znaczącym uśmiechem. - Gdzie to ja posiałem twoją kurtkę? - wyciąga ją i przecina scyzorykiem szwy na kołnierzu, wydobywając ze środka cienki kawałek czarnego plastiku rozmiarów dużego znaczka pocztowego z cienkim kablem długości piętnastu centymetrów. W tym momencie dociera do mnie, że nie miałem nawet cienia szansy umknąć pościgowi.

- Pluskwa - wyjaśnia, podrzucając znalezione w dłoni. - Taki mały podstęp. Używaliśmy ich na kontynencie non stop. Zamierzaliśmy dać ci jeszcze pobiegać, ale nie mogliśmy pozwolić na podprowadzenie samolotu. Świetny pomysł, tak przy okazji - uśmiecha się.

Na tym właśnie lotnisku Pułk prowadzi ćwiczenia polegające na dostarczeniu kogoś do kraju lub jego ewakuację, gdy nie ma czasu na pogaduszkę i trzeba rozpędzonym range roverem wjechać na rampę poruszającego się herculesa¹⁰ (H nazywa go „Grubym Albertem”) bądź z niej zjechać. Nie ma pojęcia, dlaczego Herculesy otrzymały akurat taki przydomek, tak już po prostu jest.

Jak zdążyłem się domyślić, pułkownik - i to prawdziwy pułkownik wywiadu - uciął sobie ze mną pogadankę na opuszczonej fermie drobiu na skraju lotniska.

- Arogancki skurczybyk, ale dobry żołnierz - przyznaje.

Billy to tak naprawdę poczciwina o wielkich gabarytach, a Nick, czyli Twarz, był najmłodszym członkiem oddziału Pagoda biorącego udział w odbiciu zakładników w hotelu Princes Gate.

- Powiedział, że mnie rozwali - informuję go.

- Nie bądź głupi - rzuca H. - Nie wolno nam nosić broni. To był pewnie pistolet na wodę - mrugnięciem daje mi do zrozumienia, że nie powiedział mi wszystkiego, ale nie drażę tematu.

- A co z tym całym pieprzonym rolnikiem, który próbował mnie rozwalić?

¹⁰ Wojskowy czterosilnikowy samolot transportowy (przyp. tłum.).

- Chodzi ci o Starego Toma? Znaliliśmy twoją pozycję, więc ustawiliśmy go przy krawędzi lasu. Muchy by nie skrzywdził. Znam go kawał czasu. Część chłopaków trenuje na jego farmie umiejętności operacyjne.

- A co się stało z psami? - zadaję nurtujące mnie pytanie.

- Psami? - pyta. - Ale my nie mieliśmy żadnych psów. Pewnie w okolicy odbywało się polowanie. Przydarzyło mi się coś takiego, gdy sam ćwiczyłem ucieczkę - opowiada, wspominając własną selekcję. - Dopadło nas całe stado. Byłem święcie przekonany, że zrobię z siebie niezłe przedstawienie. Na śmierć mnie wystraszyły, a chwile później zniknęły - składa mapę. - Przepraszam za te wszystkie psychologiczne gierki. Czasami mocno się w nie angażują. Musieli cię polubić.

- Nie mają pojęcia, do czego przyzwyczała mnie moja była - mówię, a wysiłek włożony w śmiech wywołuje na nowo ból w oku.

Odzyскую i włączam magiczny telefon komórkowy. Czeka na mnie nieodebrany SMS o treści: INT LOCKSTAT, co w języku Seethrougha oznacza pytanie dotyczące mojego miejsca pobytu i aktualnego zajęcia. Dzwonię do Londynu, włączam kodowanie i wsłuchuję się w kiepski sygnał, aż ten znika.

- SAFO do MAKAWITEGO - mówię do słuchawki.

- Mówi MAKAWITY. Zdaje się, że czas ci pogratulować. Dałeś niezłe show.

Rzeczowo, na temat i zabawnie, czyli bez zmian.

- Czeka cię niedługo podróż. Przyjdź do mnie w sobotę, dobrze? Podesłemy ci samochód.

Zgadzam się, chociaż nie mam pojęcia, jaki mamy dzień.

- Naprawdę próbowałeś ukraść samolot? - pyta.

- Tak.

- Niech ci to tylko nie wejdzie w zwyczaj. I żeby woda sodowa nie uderzyła ci do głowy.

- Zrozumiano - odpowiadam.

Ale wcale nie będzie tak łatwo.

CZEŚĆ II

Rozdział 3

Ale nie wtedy się to wszystko zaczęło, a miesiąc wcześniej, od drobnej, i w moim odczuciu wybaczalnej, kradzieży dokonanej pewnego szarego, styczniowego poranka razem z Gerhardtem, moim współnikiem zbrodni. Podwędzaliśmy właśnie drewno na opał z małego lasku, korzystając z dobrodziejstwa powszechnie dostępnej, błotnistej drogi, która dla Gerhardta nie stanowiła żadnego wyzwania nawet pomimo tego, że do jego tylnej osi podczepione były ciężkie kłody. Fakt, widać już po nim te szesnaście lat i do ideału wiele mu brakuje, ale i tak należy do bardzo charakterystycznych i najpiękniejszych samochodów z napędem na cztery koła na świecie. W zamyśle projektujących go inżynierów, ten mercedes klasy G miał być niezniszczalny i zdolny do dostania się wszędzie tam, gdzie każe mu jechać kierowca.

Wyratowałem Gerhardta z rąk okrutnego, zaniedbującego go właściciela, który trzymał go pod kluczem w zimnym garażu nie pojmując, jak wielki potencjał w nim drzemie. Nie ukrywam, że w schowku mam młotek, na wypadek, gdyby pompa paliwowa zaczęła wyczyniać cuda lub gdyby z powodu wilgoci zaciął się solenoid. Kilka stuknięć we właściwym miejscu zazwyczaj załatwia sprawę. Mam też pod ręką butelkę oleju, żeby zawsze móc uzupełnić jego stan, gdy wycieknie przez pokrywę skrzyni biegów. Staram się też nie wnikać, dlaczego pompa wodna wydaje z siebie dźwięk przypominający jednostajne sapanie, coś jak „czyk czyk bach bach”.

Ale pomijając te niedoskonałości, Gerhardt jest moją dumą. W terenie pokazuje, na co go stać. A ponieważ waży ponad dwie tony, bardzo wyraźnie pamiętam, co się wtedy dzieje.

Dojeżdżam już do domu, pędząc wąską, wiejską drogą. Za kolejnym zakrętem czeka mnie niespodziewany widok - drogę zablokował traktor, ciągnący złowieszczą wyglądającą, szeroką na całą drogę, maszynę. To ogromny kultywator, wyposażony w kilka rzędów zakrzywionych, lśniących ostrzy. Dociskam pedał hamulca do podłogi, a z okolic podwozia dochodzi mnie odgłos darcia, gdy koła z prawej strony samochodu blokują się o luźny, mokry żwir. Kłody przelatują na przednie siedzenie, a oczami wyobraźni widzę już Gerhardta pociętego na plasterki po zderzeniu z ciągnikiem. Gwałtownie hamujemy - w samą porę, bo samochód zatrzymuje się jakieś dwa metry od połyskujących ostrzy.

Kierowca ciągnika nie słyszy jak klnę. Nawet mnie nie zauważył i po prostu kontynuuje podróż w swoim ślimaczym tempie. Próbuję się precyzyjnie bokiem, ale droga jest zbyt wąska i uczucie ulgi zastępuje frustracja. Mogę go wyprzedzić tylko odbijając na

porośnięte wysoką trawą, błotniste pobocze. Zdarzyło mi się już kiedyś nim jechać. Nadłożę kilometr drogi, ale jednocześnie będę miał świetną wymówkę, aby wystawić Gerhardta na próbę.

Gdy dojeżdżam do znaku informującego o zjeździe na ścieżkę konną, odbijam na nią, rzucając ostatnie przekleństwo pod adresem ciągnika i włączam napęd na cztery koła. W momencie włączenia blokady dyferencjału układ kierowniczy sztywnieje, a silnik rozdziela moc na obie osie. Podskakujący na głębokich, błotnistych koleinach Gerhardt zachowuje się niczym koń puszczony luzem na otwartym terenie. Ścieżka w dalszej części zęża się, aż do punktu, gdzie całkowicie blokują ją zarośla, posłuszenie rozplaszczające się teraz na ziemi w miarę czynionych przez nas postępów. Dziesięć minut później ponownie wjeżdżamy na drogę. Wyłączam blokadę, przełączam na napęd na dwa koła i ruszam do domu, wsłuchany w dźwięk odrywającego się od opon błota, przywodzący na myśl psa strzepującego wodę z sierści po udanym spacerze.

Od domu dzieli mnie jeszcze kilka minut jazdy, gdy mój wzrok przyciąga kolejny niecodzienny widok. Na trawiastym poboczu, z włączonymi światłami awaryjnymi, stoi jaskrawoczerwony, nowy model alfa romeo. To osobliwe miejsce na pozostawienie samochodu. Pomijając puste pola, nie ma tu niczego, co skłaniałoby do zatrzymania się. Przejżdżając obok, zwalniam i widzę, że przednie koła samochodu ugrzęzły w miękkiej ziemi, a spod maski wydobywa się gorące powietrze. Ktoś utknął i potrzebuje holowania.

Sto metrów dalej dostrzegam jakąś postać. To pewnie kierowca - przechadzająca się poboczem brunetka odwrócona do mnie tyłem. Gdy podjeżdżam bliżej, nie potrafię powstrzymać się od myśli, że ma niezwykle proporcjonalną figurę. Ma na sobie krótką, bordową kurtkę ozdobioną haftem z kwiatami i koralikami, ciemne, obcisłe spodnie i buty do wysokości kolan z kremowo-brązowej skóry. Te drogie, miejskie ciuchy nijak nie pasują do wiejskiej drogi w Wiltshire. Słyszac silnik Gerhardta, kobieta spogląda przelotnie w naszym kierunku, po czym kontynuuje przechadzkę w tym samym tempie. Przez krótką chwilę moją uwagę przykuwa twarz o wyrazistych, dalekowschodnich rysach.

Ponieważ nie próbuje mnie zatrzymać, sam zjeżdżam na pobocze tuż przed nią. Gdy pochylam się, żeby otworzyć szybę po stronie pasażera, widzę nad wyraz urodziwą trzydziestolatkę o długich, kruczoczarnych włosach i wysokich kościach policzkowych. Ma ciemne, wąskie i głęboko osadzone oczy, których skośne linie przywodzą na myśl wyskakujące ponad taflę wody delfiny. Odgarnia z czoła kosmyk włosów i zbliża się do okna z zatroskanym uśmiechem. Wygląda na Japonkę i jest bardzo piękna.

- Ładnie pani zaparkowała - mówię.

Z lewego ramienia zwisa jej luźna, skórzana torebka. W prawej dłoni trzyma telefon komórkowy, którym wymachuje z zakłopotaniem.

- Mógłby mi pan pomóc? - pyta. - Brak sygnału! - po akcencie stwierdzam, ku własnemu zdziwieniu, że jest Rosjanką.

- Muszę zadzwonić. Nie wie pan, gdzie znajdę telefon?

- Tutaj nie ma zasięgu - odpowiadam. - Mam ten sam problem - szukam w kieszeni swojej komórki, do czasu, gdy przypominam sobie, że zostawiłem ją w domu. - Może mógłbym pomóc - proponuję, bo nie co dzień zdarza się okazja wybawienia z opresji damy ze Wschodu. - Mam linę - informuję, zastanawiając się jednocześnie jak ją wyciągnę spod kłód drewna ważących pół tony. - Możemy cofnąć się do pani samochodu i spróbować go wyciągnąć.

Otwieram drzwi od strony pasażera, przepaszając za kłody, które przeleciały na przednie siedzenie. Widzę jej chwilowe wahanie na widok kawałków kory na fotelu.

- Jest pan rolnikiem?

Nie mogę jej przecież powiedzieć, że właśnie kradłem drewno, pozostaje więc przytaknąć.

- Mieszkam w tej okolicy - wyjaśniam, strzepując korę z siedzenia i przerzucając drewno na tył. Z całą pewnością mówi z rosyjskim akcentem, choć wygląd wskazuje na Azję Środkową. Uśmiecha się, po dziewczęcemu wzruszając ramionami na znak aprobaty, po czym wsiada.

- Anthony - przedstawiam się, zaskakująco poddenerwowany w towarzystwie tak pięknej nieznajomej. Kręcę kierownicą, aby zawrócić.

- Anthony - powtarza moje imię - a mogę ci mówić Tony?

- W żadnym razie. Przyjaciele zwracają się do mnie Ant. Wiesz, jak ten zwierzak - przebieram palcami po desce rozdzielczej, imitując biegnącą mrówkę.

Wybucha śmiechem, a jej złote kolczyki podzwaniają, gdy potrząsa głową.

- Mam na imię Ziyba - mówi.

- Czyli „piękna”.

- O Boże! - piszczy - mówisz po uzbecku! Jakim cudem?

- Rolnik musi się znać na wielu rzeczach - odpowiadam.

Tak naprawdę, to nie znam nawet jednego słowa w tym języku, ale jej imię ma identyczne znaczenie w perskim, a tym władam wystarczająco dobrze.

- Co za szczęście, że trafił mi się taki rolnik - rzuca ironicznie. Ale to ja nie dowierzam własnemu szczęściu. Jej kurtka odsłania teraz przykuwający wzrok zarys swetra i

klamrę paska, przypominającą medalion złożony z koncentrycznych okręgów różowych koralików. Prawie mijam jej unieruchomiony samochód, ale zwraca mi uwagę i zjeżdżam na bok. Wyciągam spod fotela linę holowniczą i z ostentacyjnym wysiłkiem podczepiam śruby do wsporników haków przy obu samochodach.

- Zapal silnik i ruszaj powoli do przodu, zobaczmy co z tego wyjdzie.

Wyjeżdżam przed nią, powolutku naciągam linę i obserwuję w lusterku, jak alfa romeo wtacza się z powrotem na drogę. Wychodzimy z samochodów, aby podziwiać wspólnie odniesione zwycięstwo.

- Udało się! - jej twarz rozświetla promienny uśmiech.

- Dziękuję.

Na chwilę zapada niezręczna cisza. Mieszkam niecały kilometr dalej, ale nie mam odwagi zaprosić jej na kawę. Zwijam linę i wrzucam ją do samochodu. Nie potrafię tak po prostu pozwolić odejść tej niezwyklej kobiecie. Jest niczym rajski ptak, który wylądował mi na kolanach i łamię sobie głowę, co powinienem zrobić, żeby nie zniknął.

- Jeśli musisz gdzieś zadzwonić, możesz pojechać za mną do pubu. To dwie minuty drogi stąd.

Po chwili namysłu ponownie wzrusza ramionami i przystaje na moją propozycję.

To miejscowy bar, ale nie odwiedzam go jakoś szczególnie często. Zaparkowano przed nim kilka zaniedbanych samochodów należących do miejscowych oraz potężne, szare, psujące ten obrazek BMW. Wchodzimy od tyłu i wskazuję jej automat w korytarzu. Upewniam się, że ma drobne na telefon i proponuję drinka.

- Dla mnie tylko woda mineralna - odpowiada z uśmiechem.

Otwieram drzwi do baru przesiąkniętego zapachem dymu i piwa. Przy pobliskich stolikach siedzi kilku tutejszych. Przy barze, odwrócony do mnie plecami, stoi samotny mężczyzna w skórzanej, wytartej kurtce firmy Barbour. Zamawiam wodę mineralną i miejscowe piwo, rzucam okiem na stojącego kilka metrów dalej osobnika, wpatzonego z zadumą w swoją szklankę. Dostaję swoje zamówienie. Czekać na przybycie Ziyby, pociągam parę łyków piwa i spoglądam w kierunku drzwi, ale po kilku minutach tracę ciepłość.

Idę na tył, żeby sprawdzić, czy mogę jej jakoś pomóc. Korytarz jest pusty.

Na zewnątrz Gerhardt stoi tam, gdzie go zostawiłem, ale jej samochód zniknął. Rozczarowany, smutny, czując się jak głupek, wracam do baru. Podnosząc kufel do ust, słyszę głos należący wyraźnie do kogoś z angielskiej klasy wyższej.

- Odnoszę wrażenie, że został pan właśnie wystawiony do wiatru.

Zaskoczony, przekręcam głowę i spoglądam w twarz stojącego tuż obok mężczyzny, patrzącego teraz na mnie z szerokim, znaczącym uśmiechem.

- Cześć, Ant - mówi przyciszonym głosem. - Jakże miło cię tu spotkać.

Co za zdumiewający zbieg okoliczności. Nie widziałem tej twarzy od sześciu czy siedmiu lat - twarzy szerokiej i kwadratowej, z dużym, wydatnym czołem okolonym starannie przyczesanymi, rudawozłotymi włosami. Ma te same wąskie usta, odznaczające się policzki i szelmowskie spojrzenie - wszystko dokładnie takie, jakimi je zapamiętałem. I jest wprost niesamowicie podobny do postaci z portretu Fransa Halsa *Śmiejący się kawaler*. Najbardziej żywe wspomnienie, jakie z nim wiążę, dotyczy sytuacji sprzed dziesięciu lat, gdy wisiałem do góry nogami, przyczepiony pasem bezpieczeństwa do fotela wojskowego land rovera, którym naszej dwójce udało się z powodzeniem dachować na Salisbury Plain. Alle od tamtego czasu utracił wiele ze swojego chłopięcego uroku.

- Kapitan Seethrough, jak mniemam - odpowiadam, szczerze zaskoczony. - Co też pan tutaj porabia? - gdy wypowiadam na głos jego nazwisko nachodzi mnie ochota, żeby wybuchnąć śmiechem. Naprawdę nazywa się Carlton-Cooper¹¹, czy jakoś tak, co w armii nastrocza mniej więcej tyle samo kłopotów, co „Hiperwentylatorowski” czy „Penisogłowy”. Gdy został kapitanem Carltonem-Cooperem¹², ktoś wpadł na pomysł, aby zwracać się do niego K3. Nie trzeba było wiele czasu, aby inny oficer, któremu zebrało się akurat na żarty, wprowadził pewną modyfikację i tak powstał „Seethrough”, przezwisko, które przyłgnęło z racji swojej niedokładności i nieprzyzwoitych skojarzeń, jakie wywołuje. Nigdy za nim specjalnie nie przepadał.

- Dobrze pytanie, Ant, dobre pytanie - odpowiada tonem, jakby wiedział więcej niż ja.

Wciąż ma tę samą manierę wysławiania się: mówi przez zęby w urywany sposób, przez co wszystkie jego wypowiedzi brzmią bardzo zdecydowanie. Nadal również nie wyżył się zabawnego nawyku poruszania brwiami, jakby sugerował, że szykuje się spisek.

- Pytanie chyba jednak powinno brzmieć inaczej, co też TY tutaj robisz? - uśmiecha się w czarujący sposób. To niekonwencjonalne powitanie, jak na starego znajomego po tak długim czasie i przez chwilę zastanawiam się, czy przypadkiem w jego dystyngowanej rodzinie nie występuje dziedziczna choroba psychiczna.

- Zajechałem do pubu - wyjaśniam pobłaźliwie - bo gdy wracałem do domu, drogę zablokował mi ciągnik - nie potrafię się zdecydować, czy powinienem mu wspomnieć o

¹¹ W wolnym tłumaczeniu „wioskowy bednarz” (przyp. tłum.).

¹² Każdy człon oryginalnego „Captain Carlton-Cooper” zaczyna się od dźwięku odczytywanego w języku polskim jako „K”, i stąd K3 (przyp. tłum.).

niespodziewanym spotkaniu z Uzbekką, więc dorzucam: - I podwoziłem przyjaciółkę.

Obdarza mnie uśmiechem graniczącym z wyrazem samozadowolenia.

- Niegrzeczny chłopcze - odpowiada, jakby napominał dziecko - znowu opowiadasz bzdury.

Z tonu jego głosu można wyczytać, że jestem całkowitym głupcem. Czuję urazę pomieszaną z ciekawością, ta zaś jeszcze przybiera na sile, gdy dodaje:

- Fakt, ładna z niej dziewczyna. Nic dziwnego, że ci się spodobała. Wiedziałem, że tak będzie - pociąga łyk ze swojej szklanki i wzdycha z przesadnym uwielbieniem. - Boże, ależ wy tu macie dobre piwo. Trzymaj - podaje mi nietkniętą szklankę wody mineralnej - może usiądziemy?

Zajmujemy miejsca przy stoliku w kącie pomieszczenia, zwróceniu twarzami do głównego wejścia. Jestem zbyt skonsternowany, żeby wydusić z siebie słowo.

- Dasz wiarę, że jej ojciec był pułkownikiem KGB? - kontynuuje przerwany wątek. - Kilka lat temu to było nie do pomyślenia. A teraz ona pracuje dla nas. I nawet nie trzeba było jej przyciskać.

- Możesz mi wyjaśnić, co to za bzdury? - przerywam.

- Poznałem ją przypadkiem dziesięć minut temu.

- Przypadek to potężne złudzenie, nieprawdaż? Poznałeś ją, bo się zatrzymałeś. Zatrzymałeś się, bo była piękna i prowadziła sportowy samochód. Samochód rzucił ci się w oczy, bo jechałeś do domu dłuższą trasą. A wybrałeś ją, ponieważ drogę zablokował ci ciągnik.

- Pewnie mi teraz powiesz, że ten ciągnik to twoja sprawka.

Za bardzo naciągana ta teoria. Blefuje w żywe oczy, ale mój umysł rozważa wszystkie możliwości. I skąd wie, że zjechałem z drogi, przecież nic mu o tym nie wspominałem.

- Prawdę powiedziawszy, to trafiłeś w sedno. Wystarczył skromny datek dla uczynnego rolnika.

- A gdybym wtedy nie skręcił?

- Przyznaję, że musieliśmy z góry ustalić odpowiednie miejsce. Ale nie lubisz, gdy psuje ci się szyki i masz hopla na punkcie jazdy terenowej. Wiedzieliśmy, że wybierzesz jazdę po błocie.

- Nie musiałem zabierać jej właśnie tutaj - ripostuję, zastanawiając się, kim są ci „my”.

- Musiała zadzwonić. To najbliższy punkt z telefonem.

- Mogłem dać jej skorzystać z mojej komórki.

- Nie miałeś jej przy sobie, Ant. Wiemy, że zostawiłeś ją w domu, ponieważ właśnie stamtąd ostatni raz rejestrowała się w sieci. Nazywa się to wymianą potwierżeń, a dzięki gęstemu rozlokowaniu nadajników jesteśmy w stanie dość dokładnie ją zlokalizować. Już niedługo wszystkie komórki będą miały GPS, a my będziemy wiedzieć, w której kieszeni ich szukać - szczerzy się zadowolony z siebie i wypija kolejny łyk piwa.

- Mogłem ją zaprosić do domu - ripostuję.

- No proszę cię - drwi lekceważąco. - Za bardzo jesteś staromodny na takie zagrywki.

- Nie musiałem wchodzić do baru. Mogłem ją zostawić na parkingu.

- Ant, obaj wiemy, że lubisz się napić.

Tu mnie ma. Czuję się, jakby ktoś naruszył moją sferę intymną. Przewidział każde moje posunięcie.

- Ale po co tyle zacho... - pytam. - Jeśli chciałeś się ze mną spotkać, to dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś, jak zwykły człowiek?

Pociąga kolejny łyk piwa, a jego oczy dokładnie lustrują pomieszczenie. Ścisza głos.

- To nie są głupie zagrywki, Ant. Jesteśmy obserwowani. Tym sposobem nasze spotkanie wygląda na czysto przypadkowe. Żadnych zapisów, telefonów ani ustaleń.

- Przestań. Kogo to obchodzi?

- Twoich niedoszłych pracodawców - odpowiada i odwraca się do mnie, niczym rodzic upominający dziecko, które nabroilo.

Czuję, jak włosy stają mi dęba. Nikt nie zna tej historii. Nikomu o niej nie opowiadałem. Zastanawiałem się, czy mój stary przyjaciel nie postradał zmysłów, ale teraz zadaję sobie pytanie skąd - o ile nie przeglądał mojej teczki w Firmie - zna szczegóły sekretnego rozdziału mojego życia, które dawno już pogrzebałem. Staram przypomnieć sobie wszystko, co wiem na temat Seethrougha.

Gdy poznaliśmy się w Sandhurst, miałem jeszcze stopień kadeta, on zaś dawał już wykłady w Faraday Hall. Po raz drugi spotkaliśmy się w trakcie ćwiczeń w pobliżu Warminster, gdzie udało nam się wywrócić land rovera. W trakcie wojny w Zatoce, jako młody porucznik z regimentu Gwardii, dołączył do oddziału SAS, znanego jako Komórka Przewidywania Działań Sił Zbrojnych, stacjonującego w Riyadh, gdzie raz jeszcze na siebie wpadliśmy, pod koniec działań wojennych. Potem kilkakrotnie spotykaliśmy się w Londynie, ale w końcu nasza znajomość się rozluźniła. Nieustannie podróżuje, a przy tych nielicznych okazjach, gdy w trakcie rozmowy telefonicznej pytam, czym się zajmuje, odpowiada, że nie może o tym mówić. Żałuję, że straciliśmy kontakt. To odważny żołnierz, z zasadami, obdarzony urokiem, energią, mający krąg wytwornych przyjaciół, ja zaś nie obracam się, z

racji własnego wyboru jak i temperamentu, w takim towarzystwie. Zdaję sobie sprawę z faktu, że zazdrościłem mu tej ogromnej pewności siebie, swobodnie przychodzącej zdolności samoobserwacji i sięgania do staromodnych wyrażen przywodzących mi na myśl mojego ojca. Ale teraz wszystkie kawałki układanki trafiają na swoje miejsca. Mój koleżka, kapitan Seethrough, został szpiegiem.

- Czemu to wszystko ma służyć? - pytam niezobowiązująco z nadzieją, że uda mi się ukryć zdumienie. - Wzięliście mnie na celownik? Architektura zieleni nie może się poszczycić wieloma tajemnicami. Znam parę żab i traszek, które mógłbyś zwerbować.

- Nie bądź niepoważny, Ant - mówi, upijając kolejny łyk ze swojej szklanki. - Przyszło nam do głowy, że może chciałbyś wrócić do Afganistanu. Tym razem na koszt Firmy - przygląda mi się, czekając na reakcję. Staram się zachować kamienną twarz. - Może zainteresuje cię fakt, że przygotowujemy tam operację. Szef szuka kandydatów i udało mi się go przekonać, że to właśnie o ciebie mu chodzi. Może chciałbyś się tego podjąć? Nikt tam nie myślał o ty, ani równie dobrze nie zna języków - zawiesza głos, pozwalając, żeby propozycja dotarła do mnie w pełni. - Za pierwszym podejściem zawałiłeś, ja oferuję ci drugą szansę.

- Nie zawałiłem - odpowiadam. - Sam się wycofałem.

- Nie taką opinię znajdziemy w twoich aktach, Ant - ripostuje, sceptycznie przechylając głowę.

A więc widział moją teczkę. Nagle jego zachowanie ulega całkowitej zmianie i rozgląda się po pomieszczeniu, jakby dopiero co przyszedł.

- Można tu coś zjeść? - pyta głośno.

- Jakoś nie mam apetytu - odpowiadam.

Seethrough idzie do baru, gdzie zamawia jeszcze dwa piwa, a ja obserwuję jak rozmawia i żartuje z barmanem, zupełnie jakby od dawna byli przyjaciółmi. To jego dar - ogromny i najwyraźniej całkiem spontaniczny urok. Potrafiłby przekonać kompletnie obcą osobę praktycznie do wszystkiego, wykorzystując swoją na pozór całkowitą szczerą i dostosować się do każdego możliwego tematu rozmowy, nawet jeśli nie będzie miał o nim bladego pojęcia. Właśnie wmawia barmanowi zmyśloną historyjkę, tłumaczącą dlaczego znalazł się w tej okolicy. Mówi coś o kupowaniu dzieciakom jurty, żeby mogły się w niej bawić. Na koniec tej zaaranżowanej dyskusji sięga do portfela po banknot, który podaje barmanowi teatralnym gestem.

Gdy tak go obserwuję, wracam myślami do etapu swojego życia, o którym pozwoliłem już sobie zapomnieć. Nie zawałiłem. Chciałem dołączyć do Firmy, ponieważ na

własnej skórze doświadczyłem, co niesie ze sobą wojna i wierzyłem, że słabości wywiadu, odpowiedzialne za wybuch konfliktu, można wyeliminować dzięki bardziej skrupulatnemu zarządzaniu pracownikami. Wybrałem konwencjonalną ścieżkę - zaliczyłem sprawdzenie przez służby bezpieczeństwa i selekcję, podpisałem Dział 5. przy herbatce w pokoju z widokiem na The Mall, zdałem testy kwalifikacyjne w ponurym biurze niedaleko Admiralicji. Ale wydarzenia z życia osobistego posłały mnie lotem nurkowym w zupełnie innym kierunku. Właśnie się rozwodziłem i żona zakomunikowała, że jeśli zostanę oddelegowany za granicę, to nigdy już nie zobaczę swoich dzieci. Miałem dwie córeczki i nie potrafiłem sobie wyobrazić bez nich życia. Ostatecznie przeprowadziła się z dziewczynkami do Stanów, a ja poczułem, jakby moje życie rozpadło się na tysiąc kawałków.

Gdy dostrzegłem na horyzoncie zastawioną na mnie pułapkę, postanowiłem dobrowolnie w nią wpaść, aby nie musieć przyznawać się do upokorzeń doznanych w życiu prywatnym. Miesiąc po testach kwalifikacyjnych, gdy wciąż znajdowałem się pod obserwacją, ni stąd, ni zowąd skontaktował się ze mną stary kumpel. Pracował w londyńskim City i do oporu korzystał z dobrodziejstw wynikających z tego stylu życia. Chętnie wprowadził mnie do nieznanego, bez reszty wciągającego świata, udzielał lekcji pilotażu na swoim prywatnym samolocie, pożyczał pieniądze i, ogólnie rzecz biorąc, poprawiał mi nastrój. Aż zaproponował wspólną kolację z małżeństwem, które, jak to ujął, lubiło sobie poszaleć.

Wiedziałem, że stary przyjaciel próbuje mnie zrobić i byłem głęboko rozczarowany faktem, że moim potencjalnym pracodawcom udało się przekonać go do zdrady. Tego samego wieczoru kobieta złożyła mi propozycję, z której skorzystałem, mając cały czas świadomość, że zaprzepaszczam swoją szansę na karierę w Służbach. Z wyglądu przypominała nieco Madonnę. Ale oficer wywiadu nie może ulegać seksualnej prowokacji. Może się zdarzyć, że zostanie nafaszerowany środkami odurzającymi, a ktoś przetrząśnie zawartość jego komputera albo też, uwiedziony, zdradzi ważne tajemnice. Ryzyko jest zbyt duże. Niedługo potem za pośrednictwem oschłego listu poinformowano mnie, że nie mam czego szukać w Służbach. Dokładnie tego się spodziewałem.

- Przepraszam cię bardzo - mówi Seethrough, gdy pokrótce wyjaśniam powody, dla których sabotowałem swoją karierę. - Ale nie kupuję tego. To było zagranie w starym stylu, a ty dałeś się złapać. Nie wmawiaj mi, że wiedziałeś, co się święci. Nikt nie przechytrzył Firmy.

- Nie wydaje mi się - odpowiadam. - Byli tacy, co korzystali ze zmyślonych źródeł i dostawali za to niezłe wynagrodzenie.

- Tylko wtedy, gdy nam to odpowiadało, Ant. Posłuchaj. Ktoś chce, żebyś dołączył do ekipy, a ja jestem skłonny się na to zgodzić. Jeśli nie jesteś zainteresowany tą operacją, możesz zapomnieć o naszym spotkaniu i śmiało wrócić do kopania stawów.

- Architektury krajobrazu - poprawiam go. - Stawy to tylko część tego, czym się zajmuję, ale kto wie, może najbardziej fascynująca.

- Nie pierdol, Ant. To ważne.

Czerpię niekłamaną przyjemność z naszej potyczki, ale teraz mówi poważnie.

- To jaki będzie następny krok? - pytam.

- Pogadajmy na zewnątrz - odpowiada.

Spogląda na zegarek i przeklina pod nosem widząc, że zalał mankiet piwem.

- W Turnbull i Asser mają wyprzedaż - podpowiadam.

- Skończyła się w zeszłym tygodniu - poprawia mnie.

- A swoją drogą to skąd o niej wiesz? Stać cię na koszule z Jermyn Street¹³? Budując domki dla traszek?

- Prawdę mówiąc, to koszule szyje mi krawiec w Rzymie.

To nie do końca prawda. Mam tylko jedną taką koszulę, a to dlatego, że są cholernie drogie.

- Nic się nie zmieniłeś, Ant - mówi z namysłem, gdy wstajemy od stolika i na ułamek sekundy jego maska znika, a ja przypominam sobie młodego żołnierza, z którym tak dobrze się bawiłem. - Ale miło cię było zobaczyć.

Korytarzem wychodzimy na parking. Gdy otwieram drzwi Gerhardta, Seethrough zajmuje miejsce na siedzeniu pasażera, obrzucając deskę rozdzielczą pełnym dezaprobaty spojrzeniem, po czym z roztargnieniem pociąga jedną z blokad dyferencjału.

- Coś ci nie pasuje w angielskich samochodach? - pyta. - Dlaczego po prostu nie sprawisz sobie land rovera, jak inni?

Puszczam to pytanie mimo uszu, choć rzeczywiście ciągnie mnie czasami do innego samochodu - młodszego modelu Gerhardta ze stałym napędem na cztery koła i elektroniczną kontrolą centralnego dyferencjału.

- Zamierzasz mi coś w końcu powiedzieć o tej operacji, czy nie? - pytam.

Wzdycha, jakby robiąc miejsce dla poważnej części swojej osobowości. Patrzy na mnie przez chwilę, po czym przenosi wzrok na jakiś odległy punkt za przednią szybą.

¹³ Ulica w centralnej części Londynu, na której znajdują się słynne sklepy z odzieżą dla dżentelmenów, w tym także Turnbull & Asser (przyp. tłum.).

- Jeszcze nie teraz. Pojedziesz do domu i będziesz się zachowywał jak gdyby nigdy nic, kopiąc te swoje stawy, czy co tam robisz. Do nikogo nie dzwoń, nikomu nie mów, niczego nie zapisuj. Równo za tydzień, w południe, pojaw się w Legolandzie.

- Tak to nazywają? Legoland? - w mojej głowie pojawia się obraz wznoszącej się nad brzegiem Tamizy, przy południowym końcu Vauxhall Bridge, kwatery głównej brytyjskiego wywiadu. Rzeczywiście wygląda trochę, jakby zbudowano ją z klocków Lego.

- Wejdiesz głównym wejściem - kontynuuje Seethrough, ignorując moje pytanie - i zapytasz w recepcji o MAKAWITEGO. Przedstaw się jako SAFO, a ktoś po ciebie przyjdzie.

- Makawity? Safo? To koty z wierszy T. S. Eliota, prawda? Jakie to oryginalne.

- Poniekąd - odpowiada zbity z tropu.

Otwiera drzwi i już ma wysiąść, ale raz jeszcze odwraca się do mnie.

- I na miłość boską, Ant, nie paplaj o tym. Bo - dodaje obrzucając mnie belfrowskim spojrzeniem - Makawity się nie zjawi.

To odniesienie do wiersza, i przypominam sobie adekwatny fragment.

*Miniesz go na ulicy i przejdiesz tuż obok niego,
ale na miejscu zbrodni NIE MA MAKAWITEGO!*¹⁴

Drzwi się zamykają z trzaśnięciem i jego zachowanie ponownie ulega zmianie, gdy w wyjątkowo radosny sposób macha mi, jakby żegnając się ze starym przyjacielem. Na potrzeby ewentualnych obserwatorów, jak mniemam. Może daje o sobie znać nawyk nabyty w wywiadzie. Szare BMW odjeżdża szybko i cicho, niczym rekin kierujący się na głębiny i ponownie zostają sam ze sobą.

To dopiero pora obiadowa, a wydaje mi się, jakby minął cały dzień. Jadąc do domu, przez chwilę żywię nadzieję, że gdy skręcę na swój podjazd zobaczę zaparkowane tam czerwone alfa romeo, a obok niego będzie na mnie czekała piękna Ziyba.

Ale ani jej, ani samochodu tam nie ma.

¹⁴ T.S. Eliot, Wiersze o kotach, przeł. A. Nowicki i J. Grabiański, Warszawa 1970 (przyp. tłum.).

Rozdział 4

W ciągu kolejnego tygodnia czekają mnie dwie podróże. Aby pierwsza doszła do skutku, potrzebuję współnika. Stary przyjaciel w Londynie jest gotów wyświadczyć mi tę przysługę. Wieki temu ustaliliśmy niewinnie brzmiące hasło alarmowe, którego można bezpiecznie użyć w trakcie rozmowy telefonicznej, tak, że każdy, kto by nas podsłuchiwał, uznałby propozycję wspólnego obiadu w Londynie za spontaniczną. Pozwala mi to również wymienić nazwę pewnej restauracji, w drodze do której, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, mijam róg ulic w rejonie Maida Vale i, wysyłając list, pozostawiam wypisany kredą znak przeznaczony dla starszej damy, odbywającej następnego ranka swój codzienny spacer w tej okolicy. To staroświecka metoda, ale zdaje egzamin i pozwala mi uniknąć rozmowy telefonicznej, do przechwycenia, której totumfaccy Seethrougha zostali już bez wątpienia upoważnieni.

W środkowej części Pall Mall, wciśnięty między budynki uznawane przez jego mieszkańców za mniej istotne, wznosi się kamienica zainspirowana podobno rzymskim Palazzo Farnese Michała Anioła. Wspiąwszy się po dziewięciu stopniach, stoję przed ciemnymi, ciężkimi drzwiami. Jest późny rano. Sprawdzam godzinę i kieruję się ku imponującemu wejściu, gdzie portier, jak to w takich przybytkach mają w zwyczaju, taksuje mnie surowym, pytającym spojrzeniem.

- Baronowa K oczekuje mnie w bibliotece - mówię. Spogląda na leżące przed nim dokumenty, a gdy powraca wzrokiem do mnie, na jego twarzy pojawia się nieco bardziej przyjazny wyraz.

- W rzeczy samej, sir.

Pokonawszy kolejne schody, wchodzę do ekstrawaganckiego atrium. Wysoko nad sobą widzę dach z pełnych wdzięku łuków z ołowiowego szkła w kształcie rombów, zaś na galerii powyżej ciemne, smukłe kolumny jońskie. Skręcam w lewo i kieruję się ku schodom, przechodząc po drodze pod wielkimi, zawieszonymi na ścianach obrazami olejnymi oraz marmurową okładziną w kolorze głębokiej czerwieni i zieleni, aż wreszcie dochodzę do przestronnej, bogatej biblioteki.

W porównaniu z panującym na zewnątrz szaleńczym ruchem ulicznym, podłużny pokój sprawia wrażenie magicznie wyciszonego. Kilka osób dyskretnie podnosi wzrok, obserwując pojawienie się nieznajomego w rytualnym półmroku, po czym powraca do prowadzonych półgłosem rozmów.

We wschodnim krańcu pomieszczenia, przy oknie, studiując grzbiety oprawionych w skórę woluminów, stoi kobieta, z którą przybyłem się tutaj spotkać. Gdy wchodzę do pokoju odwraca się i spogląda na mnie znad okularów, po czym rusza w moim kierunku, aby mnie przywitać.

- Mój drogi chłopcze - mówi, gdy wymieniamy uścisk. - Za każdym razem, gdy cię widzę, coraz bardziej przypominasz swojego ojca.

„A ty wyglądasz coraz starzej” - myślę. Od naszego ostatniego spotkania upłynął ledwie miesiąc, ale radioterapia dała się jej we znaki. Bardzo wychudła, między kołnierzem czarnego, kaszmirowego swetra a ścięgnami szyi widać wyraźny odstęp. Jej szczupła sylwetka przygarbiła się jeszcze bardziej, a kości sprawiają wrażenie zbyt wąskich i kruchych, aby pomieścić doświadczenie całego życia. Mimo to ruchy ma zwinne i pełne gracji, zaś w głosie przebrzmiewa pewność siebie oraz autorytet doradczyni ministrów i powiernicy głów państw, cechy typowe również dla profesji, którymi parowała się całe życie - uczonej i szpiega. Prowadzi mnie do kamiennego kominka i zasiadamy w czerwonych, skórzanych fotelach pod białym, marmurowym popiersiem zmęczonego, surowego Milona. Ścisza głos.

- Ledwo co dojrzałam twój sygnał, nie byłam pewna, czy to ty. A może to kwestia okularów. Często gdzieś mi się gubią.

- Nie robią już takiej kredy jak kiedyś - sugeruję.

Naciska przycisk, dyskretnie umieszczony przy kominku.

Gdy chwilę później zjawia się kelner, zamawia to, co zawsze, whisky z sodą bez lodu. Proszę o to samo.

- Dobrze wyglądasz - mówię.

- Osiemdziesiąt siedem lat to całkiem niezły wynik, jeśli się nad tym zastanowić. Mam problemy z otwieraniem tego i owego i to właśnie jest najgorsze w starzeniu się, ale poza tym wszystko jest raczej w najlepszym porządku - uśmiecha się, a jej surowy wyraz twarzy na chwilę łagodnieje. - Ciesz się młodością, póki możesz. Czy wspominałam ci, że prezydent Narondy proponował mi państwowy pogrzeb? Nie wydaje mi się, aby było to tylko ciche gadanie. Był jeszcze dzieckiem, gdy musieliśmy odejść, ale chyba nie zapomniał, jak korzystny stał się dla niego przygotowany przeze mnie szkic konstytucji.

- Mam nadzieję, że każesz mu jeszcze na siebie poczekać - odpowiadam.

Gawędzimy przez jakiś czas, nadrabiając zaległości i opóźniając nieuniknione. W końcu stawia delikatnie swoją szklankę na stoliku między nami. Jej policzki i skóra pod oczami wyraźnie opadają, nadając twarzy Baronowej smutny, pytający wyraz psa gończego.

Szczere, stalowe spojrzenie nie uległo jednak zmianie i teraz jej wzrok utkwiony jest we mnie.

- Mamy jednak ważniejsze sprawy do omówienia. Opowiedz mi o nich.

Opisuję szczegółowo swoje spotkanie z Seethroughem, mówiąc o operacji, w której zaproponował mi udział i o decyzji, jaką będę musiał niedługo podjąć. Baronowa słucha uważnie, a gdy kończę, przytakuje z powagą i spogląda w kierunku okna, recytując przyciszonym głosem:

Któż jest jak Makawity? Któż jest jak Makawity?

*Tak gładki i zwodniczy, i tak niesamowity?*¹⁵

- Twoja pamięć nie przestaje mnie zadziwiać - mówię.

- Za naszych czasów wszystkie szczegóły dotyczące misji musieliśmy z twoim ojcem zapamiętywać. Miał przewagę, perfekcyjnie znał francuski, nie to co ja. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś zapytał niemieckiego żołnierza o drogę. Byliśmy wtedy gdzieś w Wogezach. Żołnierz był bardzo uprzejmy, ale oczywiście nie miał pojęcia, że w kieszeniach trzymamy wycelowane w niego pistolety. Gdyby odezwał się do mnie, mógłby się doigrać. Byłam w Sekcji D i jakoś nie odnoszę wrażenia, aby moja znajomość arabskiego na wiele się nam przydała.

- W Sekcji D?

- Tak powiedziałam? Minęło już tyle czasu. Hotel St. Ermin chyba już nie istnieje. Ale twój ojciec był patriotą i odważnym człowiekiem, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Po Blitzu¹⁶ jego stosunek do Niemców uległ zmianie. Chyba nigdy im nie przebaczył, ale nie pozwalał, aby żądza zemsty wzięła górę. Również i ty musisz o tym pamiętać.

- Nie zastanawiałem się nad tym specjalnie - kłamię.

- Ale musisz być przygotowany. Znasz może opowieść o Alim i Rycerzu? Rumi przytacza ją w *Masnawi*¹⁷.

Nie słyszałem tej historii, wiem jednak jak wielkim szacunkiem słynny poeta darzony jest w krajach perskojęzycznych. Dziwny to moment na przytaczanie baśni ze Wschodu, ale Baronowa musi mieć ku temu powód, zawsze ma.

- Opowiem ci ją, ale potem musimy zjeść razem lunch.

Przez chwilę studiuje uważnie swoje dłonie, po czym splata je i składa na kolanach.

¹⁵ T.S. Eliot, *Wiersze o kotach*, przeł. A. Nowicki, Warszawa 1970 (przyp. tłum.).

¹⁶ Naloty niemieckie na Wielką Brytanię w okresie od 7 września 1940 roku do 10 maja 1941 roku, etap bitwy o Anglię.

¹⁷ Sześcioczęściowy, złożony z dwuwierszy poemat uważany za „Koran w języku perskim” (przyp. tłum.).

- Jak wiesz, czwarty kalif, Ali, uznawany był zarówno za mężnego wojownika, jak i za przywódcę politycznego; nie to, co ci dzisiejsi, nie muszą chyba dodawać - prycha. - No cóż. Podczas bitwy Ali pojedynkuje się z rycerzem chrześcijańskim i w trakcie starcia powala go na ziemię. Już ma go zabić, gdy rycerz, w ostatnim akcie oporu, pluje Aliemu w twarz. Zamiast jednak odrąbać mu głowę, Ali chowa miecz do pochwy i pozwala swojemu przeciwnikowi odejść wolno. Rycerz jest zdumiony rozwojem sytuacji i pyta, dlaczego Ali nie zabił go, gdy miał ku temu okazję. „Ponieważ gdybym cię zabił” - odpowiada wielki wojownik - „uczyniłbym to w gniewie i wbrew zasadom wojny”. Rycerzowi tak bardzo to zaimponowało, że przeszedł na islam. To dobra opowieść, a szyici ją oczywiście uwielbiają.

Baronowa wzdycha.

- Bojownik o wolność nie daje się sprowokować nawet w ogniu walki. Przynajmniej ja to tak odbieram. Wolność. Musisz dążyć do tego samego - milknie na chwilę. - Teraz, gdy mają dla ciebie zadanie, sprawy potoczą się już szybko. Ta sytuacja sprzyja naszemu celowi i musisz odegrać w niej swoją rolę.

- Powiedziałas, że przygotujesz dla mnie kontekst. Nie zapytam, jak ci się to udało.

Nie daje mi się sprowokować i tylko uśmiecha się łagodnie. Ta krucha staruszka zwerbowała mnie do SAS dla celu, którego nie zna nawet ta organizacja.

- Zgódź się i bądź przygotowany na wszystko. Gdy dowiesz się czegoś więcej, skontaktuj się ze mną w zwyczajny sposób. Tymczasem ja będę obserwować rozwój sytuacji i się modlić.

Nie mówi już nic więcej i prostym gestem daje mi do zrozumienia, że czas już przenieść się do jadalni. W ciszy pokonujemy prowadzące w dół, wyłożone wykładziną schody, a członek personelu noszący marynarkę wita nas pełnym szacunku ukłonem, po czym prowadzi do stołu. Każde z nas otrzymuje menu, lecz w moim nie podano cen.

Spoglądam przez okno. Widzę pomnik księcia Yorku i postacie w płaszczach przemykające obok okaleczonych szrapnelami posągów na Waterloo Place. Zastanawiam się, jak wiele z tych osób podjęło się pracy, o której nie mogą nikomu wspomnieć, jak sobie radzą z brzemieniem tajemnicy i jak udaje im się prowadzić podwójne życie.

Jakby z oddali dociera do mnie głos mojej gospodyni. Mimo że praktycznie ze sobą nie rozmawiamy, jej obecność dodaje otuchy. Trzyma w ręku kartę win i spogląda na mnie znad oprawek okularów.

- Poradzimy sobie z całą butelką? Mają tutaj Montrachet, które świetnie pasowałyby do soli.

Przytakuję z entuzjazmem, lecz moje myśli zajmuje co innego. Przypominam sobie,

jak plastikowa płachta na oknach domu w Kabulu zwykła wydymać się do wewnątrz za każdym razem, gdy w mieście następowała eksplozja, jak cały dom trząsł się w posadach, gdy w jego pobliżu spadała rakietą wystrzelona przez Talibów, i jakim szczęściarzem się czułem, gdy wyszedłem z tego cało.

Dręczy mnie perspektywa powrotu do Afganistanu, kraju, który jak żaden inny odcisnął na mnie swoje piętno. Czekają tam na mnie pewne odkrycie, jak również rozwiązanie tajemnicy, której nie mogę wyjawić nikomu poza Baronową. Nie wiem, czy jestem na to gotów, ale muszę się z tym zmierzyć na własną rękę. Baronowa wieki temu nauczyła nas, jaką moc niesie ze sobą pojedyncza myśl: w Sieci¹⁸ nigdy nie jesteśmy sami. Zawsze znajdują się tacy, którzy będą w podobnej, bądź jeszcze trudniejszej sytuacji, znosząc ją w jakiś sposób lub się z nią zmagając, niezdolni do wyjawienia światu swoich prawdziwych zamiarów - świadomość tego często mi pomagała i podobnie jest teraz.

- Drogi chłopcze - słyszę jej głos - błędzisz gdzieś myślami.

Drugą podróż odbywam po ustalonym tygodniu przerwy, w kolejną niedzielę. Dwie godziny po opuszczeniu z Gerharciem domu przekraczam Tamizę, jadąc mostem Vauxhall i staram się zdecydować, czy wylaniający się przede mną po lewej stronie budynek można określić jako paskudny. Wciąż sprawia wrażenie nowego, chociaż zastanawiam się, jak zestarzeją się jego gładkie, kanciaste linie.

Parkuję w Kennington Lane. Teraz, gdy Gerhardt odpoczywa, czuję jak płyn do przekładni przypala się na kolektorze ssącym. Mając w zapasie kilka minut, korzystam z okazji i sprawdzam poziom płynu, chcąc przekonać się, ile wyciekło go po drodze z biednego Gerhardta. Nie jest dobrze. Jego poziom znacząco się obniżył i widzę smugę prowadzącą od przekładni momentu obrotowego do tylnego tłumika. Czuję ukłucie żalu, wiedząc, że nie mogę sobie pozwolić na nową skrzynię biegów, ale przypominam sobie również, ile lat ma już Gerhardt. Wymiana skrzyni biegów przypominałaby przeszczepienie serca starszej osobie. Nachodzi mnie ponura myśl, że wielu spraw w życiu po prostu nie da się rozwiązać.

W południe przekraczam próg Albert Embankment numer 85 i wchodzę do holu. Wygląda prosto i nijako, pomalowano go na łagodny, mdły kolor, upodabniający go do współczesnych hoteli i wszędzie można dostrzec lekko zielonkawy odcień rzucany przez potrójnie szklone okna. Zapowiadam się w recepcji, nad którą pieczę sprawują dwie nadspodziewanie radosne młode damy.

¹⁸ Tytułowy *Network* (przyp. red.).

- SAFO do MAKAWITEGO - mówię.

Jedna z kobiet przekazuje dalej do słuchawki z mikrofonem podane przeze mnie imiona i prosi, niczym recepcjonistka w hotelu, żebym poczekał na czarnej sofie stojącej naprzeciw, zaraz obok sztucznego *monstera deliciosa*¹⁹. Kilka minut później, za rozciągającym się po przeciwnej stronie holu futurystycznym systemem drzwi pojawia się Seethrough i podchodzi do mnie. Ma na sobie moherowy garnitur w kolorze ciemnego grafitu, jasnoniebieską koszulę ze skośnym kołnierzykiem, staroświeckie spinki do mankietów z granatami oraz szary, jedwabny krawat. Na szyi ma identyfikator ze zdjęciem, ale bez nazwiska. Obok jego zdjęcia widzę coś przypominającego otoczoną żółtymi błyskawicami kulę ziemską. Zauważa, że się jej przyglądam.

- No, no - mówi, wkładając kartę do kieszeni na piersi. Ściskając moją dłoń przygląda mi się z aprobatą.

- Aleś się odstawił - mówi.

- Dzięki. Nowa koszula?

- Tak. Szyta na zamówienie we Włoszech. W małym zakładzie przy Piazza Navona - odpowiada, uśmiechając się znacząco i bezbłędnie wskazując lokalizację mojego krawca w Rzymie. Nie jestem do końca pewien, czy fakt ten dodaje mi otuchy. Od czasu naszego ostatniego spotkania tydzień wcześniej ktoś musiał na jego zlecenie sprawdzić historię mojej karty kredytowej. Przynajmniej uważnie mnie słucha.

- Możemy zacząć? Najpierw telefon - jak wyjaśnia, w głównym budynku obowiązuje całkowity zakaz posiadania telefonów komórkowych. Oddaje go strażnikowi, który wydaje mi pokwitowanie, przypominające loteryjny kupon.

- W porządku. Teraz chodź ze mną i niech ci do głowy nawet nie przyjdzie gdzieś się po drodze zapodziać - instruuje mnie. - I przy okazji, tutaj się nie biega. Cokolwiek by się nie działo, nie biegaj.

Gdy podchodzimy do drzwi, przesuwam identyfikatorem po czytniku i wprowadzam na klawiaturze kod. Drzwi się otwierają, by po jego przejściu ponownie się zamknąć, on zaś powtarza całą procedurę zza drugich drzwi po przeciwnej stronie i wpuszcza mnie do środka. Przypomina mi to duże, francuskie banki, gdzie klient przez kilka chwil przed opuszczeniem budynku jest odcięty w szklanej kapsule. Drzwi się przesuwają i mogę dołączyć do Seethrougha na wysokim, przestronnym dziedzińcu wewnętrznym. Nad kremową podłogą z

¹⁹ Monstera dziurawa, roślina występująca w lasach tropikalnych części Ameryki Północnej oraz Ameryce Południowej (przyp. tłum.).

marmuru zwisają wyglądające na tropikalne rośliny. Od umieszczonych w środku pomieszczenia dwóch szybów windy promieniście rozchodzą się szerokie korytarze. Taki miszmasz Kew Gardens²⁰ z dokonania Terencea Conrana²¹. A rośliny są z plastiku. Seethrough obserwuje moją reakcję.

- Witaj w Babilonie nad Tamizą - szczyrzy zęby w uśmiechu.

Jest wyraźnie dumny ze swojego miejsca pracy. Jedziemy windą piętro wyżej, gdzie białe marmur zastępują szare kafelki. W połowie nijakiego korytarza znajduje się pusty, opatrzony literą i numerem, pokój odpraw. Prosi, abym usiadł przy dużym, okrągłym stole z drogą okleiną, na którym ustawiono dwa płaskie monitory komputerowe i sprawiające wrażenie skomplikowanych telefony, od których kable poprowadzone są do wbudowanych w podłogę gniazdek. Podnosi zestaw słuchawkowy i mówi: „Gotów” - kilka minut później dołącza do nas kobieta z naręczem różnokolorowych teczek.

Gdy siadamy, Seethrough przez chwilę stuka w klawiaturę, nie zwracając na mnie uwagi.

- Rejestracja twojego samochodu? - pyta, a gdy odpowiadam wpisuje ją na komputerze. - Spójrz no tylko - uśmiecha się. - Od chwili, gdy wyjechałeś z domu, kamery zarejestrowały cię sto pięćdziesiąt razy - wpatruje się w monitor. - A tutaj przekroczyłeś dozwoloną prędkość 130 km/h. Nie wiedziałem, że twój Unimog²² jest zdolny do takich wyczynów. Jaki interes miałeś w Amesbury?

- Tankowałem - odpowiadam. - A to nie jest Unimog.

Przygląda się uważnie ekranowi, stukając w klawiaturę i przejeżdżając po niej palcami.

- Kupiłeś 35 funtów wysokooktanowej benzyny i Marsa. Te dane z punktów sprzedaży to sprytnie skubaństwo - mówi pod nosem, po czym spogląda na stojącą obok niego asystentkę.

- Wybacz. To Stella - mówi. - Taki nasz wewnętrzny żart.

Na oko ma jakieś pięćdziesiąt lat, jest szczupłą i drobną osóbką o mizernej, smutnej twarzy i wielkich, ciemnych oczach. Kładąc na stole teczkę, spogląda na mnie przelotnie i nieśmiało się wita, po czym opuszcza pokój.

- Dobrze, to zajmijmy się papierkami - otwiera szarą teczkę i podsuwa mi ją.

Dokument opatrzony został klauzulą w postaci dużych, czerwonych liter układających

²⁰ Kompleks ogrodów i szklarni znajdujący się w południowo-zachodnim Londynie (przyp. tłum.).

²¹ Projektant wnętrz, twórca mebli, konserwator i handlowiec (przyp. tłum.).

²² Skrót oznaczający „pojazd uniwersalny”, m.in. markę samochodów transportowo-roboczych

się w napis ŚCIŚLE TAJNE. To kopia najważniejszych fragmentów ustawy o tajemnicy państwowej.

- Nie podpisywałem już tego przypadkiem? - pytam.

- Tak, ale obawiam się, że od tamtej pory przepisy nieco się zaostrzyły - odpowiada. - Teraz uprawniają nas do zabicia cię i odsprzedania twoich dzieci - spojrzeniem daję mu do zrozumienia, że ten żart mu się nie udał. - Wybacz, wyleciało mi z głowy. Są teraz w Waszyngtonie, prawda? Ich matka to Amerykanka?

- Tak. - I dobrze o tym wie.

- To ci pech. No nieważne, podpisuj, żebyśmy mogli zająć się resztą. Nie mogę cię wprowadzić w sprawę bez twojej parafki.

Gdy składam podpis, Seethrough wygłasza krótki wykład dotyczący Służb, oszczędzając mi przy tym, jak to sam ujmuję, makabrycznych szczegółów. Zamierza nakreślić mi, do której części tej wywiadowczej układanki pasuje planowana przez niego operacja. Wywiad, w skład którego wchodzi mniej osób niż mi się dotychczas wydawało, rozdzielił swoje wysiłki pomiędzy pewną liczbę regionalnych punktów kontroli zwanych Kwestiami Światowymi. Połączone wysiłki kontrolerów wdrażają w życie oficerowie „P” oraz „W” odpowiadający za „Przedłożenie” oraz „Wymogi”; mamy tu do czynienia z podziałem pracy pomiędzy, uogólniając, pierwszą a drugą połowę procesu wywiadowczego. Zapoznałem się już z tą konstrukcją podczas służby w armii, w trakcie współpracy z „zielonymi glutami”, jak to członkowie służb wywiadowczych są pieszczotliwie nazywani z racji noszenia beretów w kolorze szpinaku.

Działania wywiadowcze dzieli się, najkrócej rzecz ujmując, na cztery etapy: w pierwszej kolejności zbiera się przy użyciu różnorodnych środków lub technologii nieprzetworzone materiały wywiadowcze, które zostają następnie przekształcone lub posegregowane, aż przyjmują postać, w której będą użyteczne dla analityków. Kolejnym etapem jest przekazanie ich we właściwym czasie odpowiednim ludziom i wreszcie, ich użycie - czy też, jak zwykliśmy sobie żartować - nadużycie przez decydentów. W armii działania wywiadowcze mają służyć wzmocnieniu czegoś, co wojskowi analitycy, z charakterystycznym dla siebie zamiłowaniem do stosowania terminologii niezrozumiałej dla zwykłego człowieka, zwykli nazywać wizualizacją przestrzeni bitewnej.

Terminologia używana w Firmie różni się od tej wojskowej. Ani razu nie usłyszałem słów „tajne” lub „agent”. Na podstawie nieprzetworzonych danych przygotowuje się raporty

o różnorodnym stopniu CX - przesłania informacji - przeznaczone dla ludzi zajmujących czołowe pozycje w łańcuchu pokarmowym wywiadu. Nie dane mi się było dowiedzieć się, dlaczego określa się je jako CX, a także dlaczego wywiad Security Service, szerzej znany jako MI5, a którego członków Seethrough zwykł nazywać „rzecznymi szczurami”, nosi miano FX. Oba określenia brzmią dla mnie jak nazwy gazu paraliżującego.

Ponieważ pracownicy Firmy specjalizują się w wykorzystaniu zasobów ludzkich, angażują się w cztery równoległe działania: wybieranie kandydatów na agentów, ich doskonalenie, rekrutację oraz prowadzenie. Mówi się, że ludzie dopuszczani do informacji są poddawani indoktrynacji. Seethrough jest zdania, że należy do minimum ograniczyć liczbę indoktrynowanych osób zaangażowanych w operację i dobitnie daje mi do zrozumienia, że o materiałach, które zamierza mi pokazać, wolno mi rozmawiać tylko i wyłącznie z nim, chyba że otrzymam szczegółowe instrukcje zmieniające ten stan rzeczy. Wszystkie moje pytania mają trafiać do niego. Tak samo moje pomysły i raporty ze spotkań. Niczego mam nie zapisywać.

- A to na życzenie Amerykanów - dodaje, otwierając teczkę na samej górze stosu. - Twój tymczasowy kryptonim to ELIKSIR. Popycha w moim kierunku otwartą teczkę z zalaminowaną listą zwyczajowo używanych akronimów i kryptonimów wraz z ich wyjaśnieniami, poczynając od słowa AKTOR, oznaczającego kwaterę główną służb przy Vauxhall Cross, a kończąc na ZULU, czyli czasie uniwersalnym. Zawartość teczki podzielona została na kilka działów i każdy z nich analizujemy, jeden po drugim.

Dział pierwszy zawiera opis trzech katastrof cywilnych samolotów. Każdy z nich spadł niedługo po starcie, nikt nie przeżył. Prasa napomknęła o tych wydarzeniach, ale żadna z fotografii, które przeglądam, nie została opublikowana w gazetach. Są zbyt makabryczne. Szczątki pierwszego samolotu są rozrzucone w promieniu półtora kilometra, podobnie jak ciała dwóch setek pasażerów, których wiele spalonych i okaleczonych zwłok nadal przypiętych jest do swoich siedzeń. Pozostałe samoloty spadły do wody, a ich pozostałości zebrano i potajemnie złożono w całość podczas długiej i niebezpiecznej operacji. Również i te zdjęcia zostały wykonane w momencie odnalezienia wraków i widać na nich napuchnięte, rozczłonkowane ciała przypięte do foteli. W obu przypadkach winą za katastrofę obarczono awarię silnika, co potwierdziły późniejsze, oficjalne śledztwa. Ostatnia z katastrof miała miejsce ledwie kilka miesięcy temu.

- Nawet linie lotnicze o tym nie wiedzą - mówi Seethrough - ale we wszystkich trzech przypadkach mamy do czynienia z jednym i tym samym winowajcą.

Przewraca kartki przechodząc do kolejnego działu w teczce i pokazuje mi wykonane

przez Departament Obrony Stanów Zjednoczonych zdjęcie FIM-92. Lepiej znanego pod swoją popularną nazwą, czyli stinger.

- Nie ma nawet cienia wątpliwości - kontynuuje - Amerykanie to potwierdzili, a my upewniliśmy się w Fort Halstead. Mają tam sprzęt zdolny określić pochodzenie materiału wybuchowego na podstawie maleńkiego fragmentu wraku. We wszystkich przypadkach wskazał stingery.

Gdy wspomina Fort Halstead, mimowolnie przypominam sobie spacer z Baronową po ogrodach Chevening House i wyobrażam sobie te osobiwie wyglądające palmy kołyszące się nad tylnym gankiem. Fort Halstead, tajny ośrodek badawczy na zwyczajnych mapach oznaczony jedynie słowem „funkcjonuje”, położony jest blisko dwa kilometry dalej, na szczycie wznoszącego się nad wioską wzgórza, ale w bezwietrzne dni dochodziło nas słabe wycie alarmu, na dźwięk którego Baronowa wznosiła palec niczym dyrygent, wyczekując stłumionego odgłosu podziemnej eksplozji. I w tym właśnie kompleksie całkiem niedawno ubrani w biel technicy zidentyfikowali pozostałości TNT z głowicy bojowej stingera, porównując jej profil chemiczny z danymi w bazie zawierającej znane rodzaje materiałów wybuchowych.

- Pewnie wykorzystując spektrometryczną analizę zawartości izotopu - dorzucam z tytułu jako takiej znajomości materiałów wybuchowych.

- No właśnie - Seethrough przytakuje, przez chwilę patrząc do góry. - PTCP jest zdania, że po drodze zahaczyły o Iran, ale nie mamy co do tego pewności. A jeśli nie można zatamować przepływu, to należy wrócić do źródła.

- Czyli Afganistanu. Tam je rozdawaliśmy.

- Twoim starym znajomym - dodaje obrzucając mnie gniewnym spojrzeniem.

- Tylko niektórym z nich.

- Stali się łatwymi celami dla Al-Kaidy, a dobrze wiesz, co to oznacza.

- Wiem. To po arabsku „baza”, „stolica” lub też „centrum operacji”. Ale wymawiasz to w taki sposób, że brzmi jak „pośladki”

- Odnoszę się - Seethrough odchrząkuje, decydując się puścić mimo uszu tę bezczelność - do zagrożenia, a nie etymologii.

A zagrożenie jest oczywiste. Jeśli terrorystom uda się zdobyć wystarczającą ilość pocisków od skłonnych je sprzedać Afgańczyków, związany z tym potencjał do rozpętania chaosu i rzezi będzie niemożliwy do wstrzymania. Seethrough mówi, że światowe rządy zostaną postawione pod ścianą. Technologia antyrakietowa jest zbyt kosztowna dla cywilnych samolotów pasażerskich. Jedynym wyjściem pozostaje odzyskać pociski od tych samych

ludzi, którym je dostarczono piętnaście lat wcześniej, w okresie walki Afgańczyków z Sowietami.

- To uaktualnione informacje o amerykańskich programach skupywania pocisków - mówi, przewracając kartki ostatniego działu teczek. - Wystąpiono nawet z kilkoma inicjatywami, w większości wykorzystując pośredników w Pakistanie i stanowczo zbyt wiele transakcji nie doszło do skutku. W ciągu kilku ostatnich lat zmobilizowali się i sypnęli groszem. Pociski chodzą po sto tysięcy dolarów za sztukę, a czasami nawet i więcej. Na północy ta strategia sprawdza się całkiem nieźle, koledzy Masuda²³ okazali się być skłonni do współpracy. Tutaj przerzucają je przez granicę - wskazuje na mapie północną granicę Afganistanu z Uzbekistanem. - Ale teraz, gdy talibowie przejęli kontrolę nad resztą kraju, Amerykanie nie mają nikogo godnego zaufania, kto mógłby zająć się ich transportem. Mają tam cholernie duży zapas stingerów, ale nie mogą ich wyciągnąć. O, gdzieś tutaj - znowu wskazuje na mapę, tym razem na północ od Kandaharu. - Operacja jest zbyt złożona. Muszą zostać zniszczone.

- Dlaczego Amerykanie po prostu nie zbombardują tego miejsca? Mają w tym wprawę - mówię.

- To zbyt delikatna sprawa. Pakistańczycy nie pozwolą im skorzystać ze swojej przestrzeni powietrznej na potrzeby operacji ofensywnej, a z politykami trudno się dogadać. Wyobraź sobie, co by to było, gdyby obrano niewłaściwy cel lub gdyby pociski zostały w ostatniej chwili przeniesione gdzieś indziej. Potrzebujemy tam zaufanych ludzi. I dochodzi jeszcze kwestia czasu. Obiło ci się o uszy nazwisko bin Laden?

- Nie jest przypadkiem poszukiwany przez Amerykanów za finansowanie zamachów bombowych na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii?

- Jest. Ale teraz odgraża się, że będzie wysadzał samoloty pasażerskie. Jeśli on lub jego ludzie położą łapy na stingerach, to Bóg jeden wie, czego spróbuje. Masz się udać do Afganistanu i własnoręcznie wykonać to zadanie. Znajdź jakiś powód, żeby się tam znaleźć, potwierdź, że stingerów są tam, gdzie powinny i wysadź cholerstwo w powietrze, żebyśmy mogli wszyscy wrócić do domu.

Nie potrzebuję dużo czasu do namysłu. Prawdę mówiąc, czuję ulgę. To prosta misja. Mam kontakty i wiedzę. Wiem, jak się dostać do kraju i jak się z niego wydostać. I potrafię wysadzać różne rzeczy w powietrze.

²³ Ahmad Szach Masud - afgański dowódca wojskowy i polityk. Brał udział w walkach przeciwko wojskom radzieckim, zaś od 1994 roku - przeciwko talibom (przyp. tłum.).

- Chyba mogę się tym zająć - mówię.

- Dobrze - odpowiada Seethrough.

Rozsiada się w fotelu i przeczesuje dłonią włosy.

- Jest coś jeszcze - dodaje, po czym sięga po kolejną teczkę, opatrzoną naklejką TRODPINT. - W zeszłym miesiącu człowiek bin Ladena nawiązał kontakt z jednym z amerykańskich zespołów wywiadu. Powiedział, że jest w posiadaniu niezwykle ważnych CX, dotyczących najbliższych planów bin Ladena i że musi je nam przekazać. Ale nie podał nazwiska ani nie stawiał się na kolejnym spotkaniu - podaje mi wykonane w Afganistanie zdjęcie.

Przedstawia dwóch rozmawiających ze sobą, ciemnoskórych brodaczy stojących obok samochodu z żółtą, plastikową osłoną, na której wypisano po persku „Taxi”. Pierwszy z nich nosi luźne afgańskie szarawary, drugi starą wojskową kurtkę.

- Zostało wykonane w zeszłym miesiącu w Dżalalabad. Ten po lewej to jeden z najlepszych kumpli bin Ladena. Drugi to nasze potencjalne źródło informacji, ale nie potrafimy go zidentyfikować. Przeczesałiśmy każdą dostępną bazę danych, ale bezskutecznie.

To dlatego, że od blisko dziesięciu lat powinien być martwy, myślę, spoglądając na fotografię. Zmienił się nie do poznania. Ma ciemną cerę, a połowicznie skryta pod brodą twarz postarzała się i wyszczuplała. Ale jestem pewien, że to Orfeusz. Wreszcie się pojawił i musi wrócić. Odwracam oczy od fotografii. Seethrough kontynuuje swój wywód.

- Pytaliśmy o niego. Nikt z Europy nie ma swojego człowieka w otoczeniu bin Ladena. Mossad zarzeka się, że nie przeprowadzają tam nielegalnej operacji, ale z nimi nigdy nic nie wiadomo. To zbyt ważne, żeby miało nam przelecieć między palcami. Musimy się z nim jakoś skontaktować, chociaż Bóg jeden wie, w jaki sposób.

Nie musi tłumaczyć do czego zmierza.

- Gdy już tam będziesz, daj mi namiary na nasze źródło i trochę powęszysz, żeby się przekonać, kto zwróci na ciebie uwagę. Może to być nieco ryzykowne, ale jeśli będziesz się miał na baczności powinno być dobrze. Wszystko w porządku? Wiem, to trochę sporo jak na jedno spotkanie. Pomyślałem sobie, że poprawię ci humor wycieczką. Jeszcze ostatnia kwestia. Spokojnie, tym razem to część rozrywkowa. Gadżety. Za chwilę wrócę.

Składa teczkę i wychodzi z pokoju, a ja wciąż mam przed oczami twarz Orfeusza. Seethrough wraca z dwoma małymi, białymi kartonowymi pudełkami i otwiera je na stole.

- Rzućmy okiem, co też Rozrzutni dla ciebie przygotowali. O przepraszam, to chyba kolejny wewnętrzny żart. Chodzi o Wsparcie Techniczne i Operacyjne. To oni dobierają wyposażenie na operację.

Z pierwszego pudełka wyjmuję Motorolę z krótką antenką.

- Taka sama jak prawdziwa, tyle że ma wbudowany chip osłaniający rozmowę białym szumem - wyjaśnia. - Nawet NSA nie jest wtedy w stanie się do niej dorwać. Ma wbudowany GPS, co oznacza, że możemy ją śledzić, nawet jeśli jest wyłączona. Można też na niej nagrać do szesnastu godzin rozmów - pokazuje mi kombinacje klawiszy, aktywujące każdą z funkcji. - A teraz coś fajnego. Bawiłeś się kiedyś świetlikiem?

Słyszałem, że siły specjalne korzystają z małych lamp stroboskopowych emitujących światło podczerwone, ale nigdy żadnego nie widziałem.

- Po wersji dla wojska to najlepsze, co może się trafić. Nie ma widocznego wyjścia, ale dla osób wyposażonych w noktowizor będzie świecić jak szperacz. Możesz dzięki temu nawet posadzić śmigłowiec - trudno stwierdzić, czy mówi to poważnie. - Świeci też w ultrafiolecie. Korzystaj z tej funkcji w połączeniu z tym.

Otwiera drugie pudełko i wyjmuję z niego całkiem zwyczajnie wyglądający długopis żelowy. Po jednym kliknięciu można pisać widzialnym, czarnym tuszem. Drugie kliknięcie aktywuje przepływ tuszu widocznego tylko na wąskiej częstotliwości światła ultrafioletowego. Aby zademonstrować mi działanie tego gadżetu, rysuje niewidzialną linię prowadzącą od grzbietu dłoni do powierzchni stołu, po czym wciska na klawiaturze telefonu odpowiednią sekwencję. Przytrzymuje telefon nad stołem, aż pojawia się na nim jasna, biała smuga, zlewająca się ze smugą na jego dłoni, gdy ją przybliży. Jeśli obiekt zostanie zaznaczony tuszem i oświetlony telefonem, nawet jego najdrobniejsze przemieszczenie będzie momentalnie widoczne.

- Wykorzystuj to jako zabezpieczenie, gdy będziesz się gdzieś szwendał, a bez problemu rozpoznasz, czy ktoś ci grzebał w rzeczach - mówi. - Tak swoją drogą, to musisz pokwitować odbiór - raz jeszcze wychodzi z pokoju, a gdy wraca, niesie ostatnią już teczkę zawierającą formularze wydania sprzętu, długi, niebieski płaszcz oraz wysłużoną, skórzaną teczkę.

Składając płaszcz na oparciu krzesła zauważa wybrzuszenie materiału i wyjmuję z wewnętrznej kieszeni jakieś koperty i książeczkę czekową. Zanim chowa ją w teczkę, dostrzegam jedynie wytłoczone na czarnej okładce godło Couttsa²⁴. Odprawa zakończona. Wstaję i podchodzę do okna. Rzeka jest szara i posępna. Blżej, pod nami, widzę szachownicę ciemnych i jasnych kafelków na dobudówce.

- Proszę, nie rób tego - mówi Seethrough.

²⁴ Londyński prywatny bank będący obecnie własnością Royal Bank of Scotland (przyp. tłum.).

- Czego mam nie robić?

- Nie stawaj przy oknie. Nie robimy tego.

Wracam do stołu i pytam, dlaczego okna są tak grube. Patrząc z zewnątrz wydają się bardziej zielone, ale na pierwszy rzut oka widać, że są grubsze niż zwykłe okna.

- Nazywają to TEMPEST. Nie pamiętam od czego jest ten skrót. Ma uniemożliwić podsłuchiwanie naszych komputerów. Jeśli jesteś dość sprytny, możesz wykryć drobinki radiacji uwalniane przez monitory i jakimś sposobem połączyć je w całość. A właśnie - przypomina sobie - ten akronim oznacza DROBNE ELEKTROMAGNETYCZNE CZĄSTECZKI EMITUJĄCE TAJNE MATERIAŁY.

Nigdy nie potrafię zdecydowanie stwierdzić, czy akurat żartuje. Zabiera płaszcz oraz teczkę i ruszamy korytarzem do windy. Czekając na jej przyjazd odwraca się do mnie z uśmiechem i mówi:

- Witaj w cudownym świecie nieistniejących operacji.

- Zawsze mnie zastanawiało, co to dokładnie oznacza.

- Oznacza to - wyjaśnia z namysłem - że jeśli operacja się nie powiedzie, a ty dasz się zabić w Afganistanie, to mili panowie z centrum informacyjnego z piętra wyżej dopilnują, aby w gazetach znalazła się historia nieostrożnego brytyjskiego turysty pozbawionego głowy przez szalonego afgańskiego mułłę.

- W zasadzie to w Afganistanie nie ścina się głów - poprawiam go. - Ale zgodzę się, że taka wizja działa na wyobraźnię.

- Tak - mówi w zamyśleniu - świetnie się w tym sprawdzają.

Winda łagodnie, a zarazem szybko zjeżdża w dół; sądziłem, że zatrzyma się na parterze, ale budynek rozciąga się na kilka poziomów pod ziemią, a my zjeżdżamy na najniższy z nich. Po wyjściu z windy przechodzimy przez kolejną parę szklanych drzwi przypominających służbę powietrzną w laboratoriach o najwyższym standardzie bezpieczeństwa. Po drugiej stronie znajduje się korytarz w kolorze szarego kamienia przywodzący na myśl jedno z przejść Heathrow Express. Wszystko tutaj jest szare; to odpowiedni kolor dla szarych ludzi przemieszczających się po tajnych, szarych przestrzeniach.

- Nikt nie korzysta z głównego wejścia - wyjaśnia Seethrough. - Gdybyśmy nim wchodzili, stalibyśmy się sławni w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Tym bocznym tunelem dochodzimy do kolejnego, tym razem szerszego i sprawiającego wrażenie starszego. W równych odstępach umieszczono na jego ścianach czerwone węże strażackie i alarmy. Po suficie ciągną się rury wysokociśnieniowej instalacji,

zaś ściany pokryte są siatką metalowych kanałów kablowych, skrzynek przyłączowych i przełączników. Tuż obok stoi pół tuzina otwartych wagoników kolejowych przypominających wózki golfowe. Muszą być zasilane prądem. Na przedzie siedzi kierowca noszący taki sam ciemny uniform, co strażnicy nad nami. W każdym z ciągnących się za nim, pozbawionych drzwi wózków, znajduje się jedno, dwuosobowe siedzenie.

- Wszyscy na pokład - Seethrough wskazuje mi jedno z siedzeń.

Minutę później ruszamy z prędkością niewiele większą niż spacerowa.

- Mamy tutaj inny Londyn - wyjaśnia, obrzucając leniwym spojrzeniem ściany, powoli przesuujące się obok nas.

Od głównego tunelu odchodzą pod kątem prostym odnogi i oznaczone akronimami drzwi. Niektóre z nich, zwisające na zawiasach wysokości człowieka, są zabezpieczone przed wybuchem lub powodzią. Na każdym skrzyżowaniu pociąg łagodnie hamuje i dosiadają się lub wysiadają kolejni pasażerowie; dwukrotnie mijają nas identyczny pociąg jadący w przeciwnym kierunku. Musimy kierować się na północ, ponieważ kilka minut później Seethrough pokazuje mi tablicę wskazującą na tablicę identyfikującą budynek służby bezpieczeństwa, leżący po drugiej stronie rzeki, w Millbank. Odnóg odchodzących od głównego tunelu jest wiele i dociera do mnie, że rozciągająca się pod Londynem ukryta sieć jest znacznie większych rozmiarów niż mi się wydawało.

- To jeszcze nic - mówi. - Połowa Wiltshire to cholerny ementaler - wskazuje na tajemniczo wyglądający znak na ścianie. - Jest tam ośrodek C4²⁵, z którego możemy prowadzić wojnę. Ale obawiam się, że nie mogę cię tam zabrać. Ani tam - wskazuje kolejny znak z akronimem opisującym podziemne centrum reagowania kryzysowego. Znajdujemy się teraz gdzieś pod Whitehall. Pociąg zatrzymuje się po raz ostatni i Seethrough poprawia płaszcz.

- Chodź - mówi. - Mam spotkanie na górze.

Po wyjściu z wagonika odbijamy w jeden z bocznych tuneli, którym docieramy do windy, przy drzwiach której Seethrough przesuwa swoją kartę i wstukuje kod. Winda sunie do góry i wysiadamy w holu starego, ale okazałego urzędu z tablicą alarmową przy wejściu. Poziom zagrożenia określony jest jako ŻÓŁTY. Siedzący przy swoim biurku siwowłosey strażnik podnosi wzrok znad gazety, po czym wraca do lektury. Za nim dostrzegam ruch uliczny, ale nie potrafię określić, gdzie dokładnie się znajdujemy.

²⁵ Command, Control, Communications and Computers - Centrum Dowodzenia, Kontroli, Komunikacji i Komputerów (przyp. tłum.).

- Nie będę cię odprowadzał - mówi Seethrough. - Przejdź na drugi brzeg i idź wzdłuż Albert Embankment. Spacer dobrze ci zrobi - nadal staram się objąć umysłem znaczenie naszego spotkania i chyba to widać.

Seethrough orientuje się, co czuję, przekłada płaszcz do lewej ręki a prawą kładzie mi na ramieniu zaskakująco ojcowskim gestem.

- Oswój się z tym - mówi prawie szeptem. - Pozałatwiał swoje sprawy, żebyś mógł wybrać się w podróż, a ja zorganizuję odprawę. Za tydzień skontaktuję się z tobą przez komórkę. Miej oko na sprzęt, który ode mnie dostałeś.

Wychodzę na zewnątrz. Jest pochmurno i zaczęło mżyć. Znalazłem się na południowo-wschodnim rogu St. Jamess Park - rzut beretem od Downing Street, mając przed sobą Horseguards Road. Nie mam nic przeciwko spacerowi. Seethrough wydaje się być taki pewny siebie i dorosły. Wyobrażam sobie, jak w wieku pięćdziesięciu pięciu lat przechodzi na emeryturę i ze swojej posiadłości w jednym z hrabstw wokół Londynu sprzedaje wiedzę zdobytą w Firmie wielkim biznesom, dzieląc czas pomiędzy Glyndebourne, bale charytatywne i nieoficjalne spotkania z szefami przemysłu Wielkiej Brytanii.

Do Gerhardta docieram pół godziny później, wyjmuję zza wycieraczki mandat za złe parkowanie i, opierając się nagłemu impulsowi rozplakania się, zapalam silnik i ruszam do domu.

Rozdział 5

Udaję, że nic się nie wydarzyło, ale czuję się jak skazaniec. Spotkanie z Seethroughem przywołało niechciane wspomnienia, wracające teraz do mnie niczym duchy, gdy się ich najmniej spodziewam. Od czasu do czasu zastanawiam się, czy propozycja Seethrougha nie jest przypadkiem starannie przygotowaną mistyfikacją. Wyobrażam sobie, że któregoś dnia stanie nagle przede mną w tym swoim długim płaszczu, machając książeczką czekową od Couttsa i wyjaśniając, że to wszystko było tylko żartem.

Sypiam niespokojnie i prześladowają mnie dziwne sny, w których błąkam się po tajnych korytarzach Vauxhall Cross. W jednym ze snów przechodzę pod zawieszonym w głównym atrium ogromnym portretem Księcia Edynburga, ale twarz na obrazie należy do Seethrougha, uśmiechającego się do mnie cynicznie. Gdy wspominam nasze spotkanie, dopada mnie stres podobny do paniki. Zupełnie jakby zwyczajne życie stało się teatralnymi dekoracjami, przez zwykłych ludzi postrzeganymi jako rzeczywiste, podczas gdy tylko ja wiem, co się dzieje naprawdę. Powtarzam sobie, że przyzwyczaję się do tajemnicy i odsuwam na bok myśl o przyszłości. Ale i ja dobrze wiem, że tajemnica może ożywić czyjeś życie lub je zatruć - zastanawiam się, jak stanie się w moim przypadku.

Seethrough powiedział, że skontaktuje się ze mną po tygodniu. Ale brak jakichkolwiek wieści sprawia, że ogarnia mnie niepokój, a wieczory się dłużej. Praca bierze w łeb. Co noc wypijam półtorej butelki wina i znowu, po ponad roku przerwy, zaczynam palić. Przez większą część tygodnia unikam kontaktów z ludźmi, przestałem robić zakupy i, co najgorsze, skończyło mi się przyzwoite czerwone wino. Polubiłem długie, samotne spacerunki i jazdę Gerharciem na przełaj po błotnistych drogach dla czołgów na Salisbury Plain. Chcę wystawić na próbę swoje nerwy, gdyby złapała mnie i aresztowała Żandarmeria Wojskowa. Nie powinienem tego robić, to nieodpowiednia pora, żeby wylądować w więzieniu. Ale człowiek wyczynia różne rzeczy, gdy daje o sobie znać potrzeba adrenaliny.

Aż dochodzi do dwóch zdarzeń. W kolejną sobotę rano, wraz z upomnieniem dotyczącym niezapłaconego abonamentu, otrzymuję pocztówkę z Afganistanu. Przedziwny zbieg okoliczności. Na przedniej stronie widnieje marna reprodukcja kolorowej fotografii wykonanej najprawdopodobniej w latach 70. ubiegłego wieku, przedstawiającej członka plemienia Kuchi z turbanem na głowie, prowadzącego karawanę wielbłądów na tle surowych gór. Ostemplowano ją w Kabulu, ale nie mogę odczytać daty. Nie poznaję także stylu pisma. Zawiera taką oto wiadomość:

Bądź po dwakroć ostrzeżony, że wyprawa tutaj zajmie nie mniej jak trzynaście godzin podróży w temperaturze do 40 stopni. Wyczekujemy twojego przybycia. Pozostańmy w kontakcie. Twój stary przyjaciel, Mohammad.

Zdarzało mi się od czasu do czasu otrzymywać list czy pocztówkę z Afganistanu, ale ze wstydem przyznaję, że nie przypominam sobie żadnego Mohammada mieniącego się moim starym przyjacielem. A z całą pewnością nikogo, kto posługuje się językiem angielskim na tyle biegle, aby wiedzieć jak korzystać z przyimków i posługiwać się wyrażeniami pokroju „bądź po dwakroć ostrzeżony”. Próbuję sobie przypomnieć, która z osób, poznanych w Kabulu i na misjach rozminowywania, posługiwała się językiem angielskim. Większość z nich to cudzoziemcy. Może Mohammad to Irańczyk, który odebrał wykształcenie na Zachodzie. Ale nikt konkretny nie przychodzi mi do głowy. Po prostu zapomniałem. Co jeszcze dziwniejsze, obecnie w Afganistanie panuje zima i temperatura w żadnym rejonie nie sięga czterdziestu stopni. Może pocztówkę nadano kilka miesięcy temu, a dopiero teraz została wysłana. Talibańska poczta nie słynie z szybkości realizowania usług. Wchodzę do salonu, stawiam pocztówkę na kominku i wpatruję się w nią. Niepokoi mnie fakt, że nie potrafię zidentyfikować nadawcy. Postanawiam dać sobie z nią na razie spokój.

Drugim wydarzeniem jest telefon od Seethrougha. Muszę się jeszcze przyzwyczaić do nazywania go Makawitym. Gdy rozdzwania się otrzymana od niego komórka, nie potrafię określić źródła dźwięku. Dzwonek przypomina dwutonową syrenę policyjną i w pierwszej chwili dochodzę do wniosku, że gdzieś w domu załączył się alarm - tyle że takowego nie posiadam. Po krótkiej chwili konsternacji odnajduję pobłyskującą zielonym światłem słuchawkę, odłączam ją od ładowarki i odbieram rozmowę.

- Mówi MAKAWITY - słyszę jego bezbarwny głos, gdy pakiety danych zostają zdyskretyzowane i zaszyfrowane, po czym na nowo złożone w telefonie. W którejś chwili specjalny mikrochip Firmy zaczyna generować nieprzenikniony biały szum. - Proszę o potwierdzenie.

- Mówi SAFO - odpowiadam, czując się jak ostatni głupek.

- Wszystko w porządku?

- Mogę zmienić dzwonek w tym ustrojstwie? - pytam.

- Nie, nie możesz. A teraz słuchaj. Podeślę ci kogoś.

- Jak miło - mówię. - Wskoczy z tortu?

- To nie kobieta. Pomoże ci się podciągnąć w kilku kwestiach. Jeśli się dogadacie, razem wyruszyacie na misję. Wcześniej należał do Pułku i chcę, abyś robił wszystko, co ci każe.

- Jakiego pułku?

- Pułku.

A to co innego. Członkowie SAS w taki właśnie sposób nazywają samo SAS. W wyobraźni formuje mi się obraz osobnika w kamizelce kuloodpornej, masce przeciwgazowej i czarnych butach, z gotowym do strzału karabinem Heckler & Koch MP5, wpadającego do mojego pokoju przez okno, zaskakującego mnie w łóżku podczas lektury sobotnich wydań gazet.

- Mam nadzieję, że to nie Andy McNab²⁶ - mówię. - Za duży z niego intelektualista jak na moje gusta.

- Nie bądź niemądry. To nie Andy McNab, a koleżka, który go trenował.

To zamyka mi usta.

- Przyjąłem. Kiedy?

- To już zależy od niego. Tylko bądź miły. Przedstawi się jako przyjaciel z Londynu. Tak przy okazji, to „Mirbat wet”, więc lepiej się nie wygłupiaj.

- Że co?

- Mirbat. Poszukaj sobie. Muszę kończyć. Powodzenia.

Słyszę pisk i nagranie z surowym kobiecym głosem nakazuje mi się rozłączyć. Jestem pod wrażeniem. Zarówno komórki, która sprawdza się w praniu, jak i człowieka, który za tym stoi. Kogoś tak załatanego, że nie ma nawet czasu na pogaduszki. Już mam podłączyć słuchawkę do ładowarki, gdy coś przychodzi mi do głowy. Dzięki rozmowie z Seethroughem przypominam sobie, że przecież komórka ma także i inne zastosowania i zastanawiam się, czy rzeczywiście działają.

Znam sposób, żeby sprawdzić funkcjonowanie podczerwieni. Jeśli przełączę swoją kamerę na tryb nocny, to podczas nagrywania w całkowitej ciemności będzie korzystać z własnego źródła podczerwieni i dzięki temu zobaczę, jak na nagraniu wygląda komórka. Ultrafiolet także łatwo przetestować. Wszędzie znajdują się barwniki możliwe do zobaczenia w świetle ultrafioletowym. Gdy tylko się ściemni mogę poświęcić na to kilka godzin. Jeśli przyjrzeć się ekranikowi komórki w całkowitych ciemnościach przez kamerę nastawioną na podczerwień, to zgodnie z obietnicą świeci jasno jak reflektor. Rozświetla cały pokój, a blask można dostrzec nawet po nakryciu komórki kocem. Przydatne, gdy, jak to ujął Seethrough, chcemy posadzić w ogródku helikopter.

Ultrafiolet wypada równie interesująco. Po skierowaniu światła na moje paznokcie, te

²⁶ Pseudonim literacki angielskiego pisarza i byłego członka SAS (przyp. tłum.).

zaczynają świecić. Macham komórką przed wybranymi przedmiotami, odnajduję ukryte znaki wodne i zabezpieczenia w swojej książeczce czekowej i paszporcie. Na znaczkach pojawiają się paski fosforu, a na banknotach obrazki i malutkie plamki specjalnej farby - wszystko to pozostaje niewidoczne dla ludzkiego oka w zwykłym oświetleniu. Gdy tak jaśnieją w ciemnym pokoju, niczym metal rozgrzany do białości, cechuje je specyficzne piękno. Przejżdżam telefonem komórkowym także nad pocztówką, ale ku mojemu rozczarowaniu nie pojawia się na niej ukryta wiadomość.

Jest sobotni wieczór. Nie dość, że jestem sam w domu, to na dodatek czuję się całkowicie osamotniony. Wraz z zapadnięciem zmroku zaczyna się do mnie podkradać tak dobrze mi znany upiór rozpacz. Skończył mi się tytoń, a jestem za leniwy, żeby wybrać się do sklepu po nową paczkę. Co gorsza, nie zostało praktycznie nic do picia, pomijając ostatnią butelkę Chateau Batailley, którą zamierzałem zachować na specjalną okazję. Trzeba podjąć trudną decyzję. Albo sięgnę po Batailley albo do jedyne go źródła alkoholu poza nim, czyli połowy butelki armeńskiego koniaku, który tak zwany przyjaciel wcisnął mi jako prezent. Jest tak paskudny, że nie piłem go od pół roku, czyli od czasu, gdy przekonałem się, jakie szkody potrafi wyrządzić w nieprzygotowanym systemie nerwowym. Wyciągam butelkę z głębin szafki kuchennej, mieszam niewielką ilość koniaku z wodą mineralną i ku własnemu zdziwieniu odkrywam, że da się go wypić. Znajduję również cygaro, które także miałem zostawić sobie na specjalną okazję. Zapalam je, wyciągam topograficzne mapy Afganistanu i wracam do koniaku.

Budzę się o dziesiątej, na zewnątrz jest szary poranek, a przeszywający ból w głowie informuje, że koniak wyrządził zniszczenia drugiego stopnia w rejonie mózdzku. Mieszkanie śmierdzi dymem z cygara, więc otwieram na oścież okna i włączam w kuchni ekspres do kawy. Przy pierwszym łyku szepczę do siebie: - Już nigdy więcej - i zastanawiam się, ile razy już to mówiłem. Mapy Afganistanu leżą porozrzucone na podłodze koło sofy, na której zasnąłem. Zbieram je, gdy słyszę pukanie. Lecę na piętro, ubieram się i biegnę z powrotem do drzwi.

Słońce świeci boleśnie jasno. Stoi przede mną gładko ogolony mężczyzna w średnim wieku z plikiem papierów w dłoni i przez krótką, przerażającą chwilę myślę o wszystkich tych listach od dostawcy mediów, które wyrzuciłem bez otwierania.

- Dzień dobry, sir. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Nie podoba mi się to „sir”. Sprawia, że brzmi jak policjant.

Ale nie przypomina z wyglądu stróża prawa. Ma na sobie czarny, nieco za mały

garnitur nadający mu wygląd grabarza i krawat w sprawiające ból oczom, zielone i czerwone, ukośne paski.

- Skądże znowu - odpowiadam z mało przekonującym uśmiechem.

- Pozwoli pan, że zapytam, czy czytuje pan Biblię? - pada pytanie.

W zgięciu ramienia, niczym Mojżesz w swoim koszyku, spoczywa naręcze literatury o tematyce religijnej.

- Prawdę mówiąc, to czytuję.

Uśmiecha się, mile zaskoczony, ale to nie jest jeden z tych poranków, gdy pozostawiam przeciwnikowi pole do manewru. Nie zajmuję się na kacu kwestiami religijnymi.

- Czytuję również Koran. Mam też słabość do Marka Aureliusza, a on był poganinem.

Uśmiech znika. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy i zaczyna się lekko jąkać.

- Ale, ale czy uważa pan, że pańskie uczynki mają wpływ na życie po śmierci?

- Jeśli będziemy za coś sądzeni w zaświatach, to najprędzej za to, czego nie robimy.

Jakby się zastanowić, to łatwo jest prowadzić pobożne życie, wierząc, że przestrzegając kilku reguł doczekamy się zbawienia. Ale niech pan pomyśli o tych wszystkich dobrych uczynkach, których pan nie zrobił, bo był za leniwy lub za bardzo zadowolony z siebie. Wydaje mi się, że sądzone będą raczej nasze możliwości.

Zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam już, gdzie natknąłem się na tę myśl po raz pierwszy, ale coś takiego zostaje w pamięci. To chyba z Koranu.

Zabieram jeden egzemplarz *Strażnicy* i gorąco dziękuję, wyrażając nadzieję, że wkrótce ponownie się zobaczymy. Ale nie wydaje mi się, aby miało dojść do ponownego spotkania, biorąc pod uwagę, jak szybko odmaszerowuje.

Wracam do swojej kawy z poczuciem odniesionego zwycięstwa, ale i z wyrzutami sumienia. Zamykam okno w pokoju dziennym - światło za bardzo daje się we znaki moim oczom - i siadam przy stole, zdejmując z kominka pocztówkę, którą tam wczoraj położyłem. Kilka razy odczytuję zawartą na niej wiadomość. W tekście nie ma nic niezwykłego. Zastanawiam się, czy zdjęcie, na którym nomad prowadzi idące gęsiego wielbłądy, może nieść ze sobą jakieś znaczenie. Najbardziej niepokoi mnie tożsamość „Mohammeda” Może warto przejrzeć pamiętniki z ostatniego pobytu w Kabulu, ale jeśli pocztówkę nadano kilka miesięcy temu, to Mohammed, kimkolwiek jest, już nie czeka na moją odpowiedź. Zanoszę kartkę do kuchni, przytrzymuję ją nad parą z włączonego czajnika i delikatnie odklejam nożem róg znaczka. Nie jestem pewien, czego mam się spodziewać. Czegoś dziwnego albo

niepasującego tutaj.

To, co ukazuje się moim oczom, gdy pod wpływem pary znaczek zaczyna się zwijać, jest jeszcze dziwniejsze niż sobie wyobrażałem. Pod znaczkiem, tym samym atramentem, co w wiadomości, narysowano uśmiechniętego dinozaura.

To stegozaur.

Kryptografia to nauka zajmująca się ukrywaniem prawdziwego znaczenia wiadomości; kodowaniem w sposób znany odbiorcy i nikomu innemu. Tak długo, jak nadawca i odbiorca zachowali sposób kodowania w tajemnicy, wysiłek wymagany do złamania kodu zależy od poziomu jego złożoności. Niektóre kody, jak np. te polegające na podstawianiu liter, łatwo jest złamać, ponieważ dobrze znana jest częstotliwość, z jaką litery pojawiają się w słowach. Inne, jak np. szyfry z kluczem jednorazowym, opierają się na przypadkowych cyfrach i można je złamać jedynie korzystając z komputerów, o ile jest to w ogóle możliwe. Najbardziej skomplikowane z kodów, wykorzystujące szyfr blokowy i wiele algorytmów, wymagają komputerów i czasu, a dzięki mocy współcześnie dostępnych urządzeń niewiele jest kodów niemożliwych do złamania, o ile tylko poświęci się tej czynności odpowiednio dużo uwagi. Z kolei nauka ukrywania wiadomości w czymś na pozór całkiem niewinnie wyglądającym nazywana jest steganografią.

Dokładniej mówiąc, jeśli wiadomość zostanie zapisana na zwykłym liście atramentem sympatycznym, to będziemy mieć do czynienia ze steganografią: widoczna wiadomość brzmi niewinnie. To metoda wynaleziona w starożytności. Herodot pisze o królu, który wytatuował tajną wiadomość na głowie swojego niewolnika, pozwolił odrosnąć jego włosom i posłał go przez terytorium wroga, aby rzezoną wiadomość dostarczył. Współcześnie tajny przekaz ukrywany jest w danych zdigitalizowanej fotografii przesłanej przez internet. Przewaga steganografii polega na tym, że w przeciwieństwie do zakodowanej wiadomości, tutaj tajna informacja nie przyciąga niczyjej uwagi. Przypomina coś zwyczajnego i w ten właśnie sposób się kryje.

Jakby się nad tym zastanowić, to moja była żona miała stenograficzną osobowość: pod niewinną twarzą kryło się okrucieństwo.

Dochodzę do wniosku, że musi chodzić o liczby: 13 i 40. Występujące w wiadomości słowo „stopni” zdaje się tu być jasną wskazówką. Sięgam po atlas i odnajduję szerokość i długość geograficzną: 13 i 40. I tu pojawia się problem. Trzydzieści stopni szerokości geograficznej północnej i 40 stopni długości geograficznej wschodniej to współrzędne odnoszące się do gór w północnej Etiopii. Znajdź się pod 40 stopniami długości

geograficznej zachodniej to równie wielkie wyzwanie - rów na środku Atlantyku. Zmieniając szerokość z północnej na południową ląduję w Mozambiku i El Salvador. Liczby nie odnoszą się do rzucającej się w oczy lokalizacji.

Są za krótkie jak na numer telefonu czy kod pocztowy. Jedyne, co mi jeszcze przychodzi do głowy, to szyfr książkowy, czyli że reprezentują numer strony i wersu w książce znanej nadawcy i odbiorcy. Ale nie uzgadniałem takiego faktu z nikim o imieniu Mohammed.

Gdy przypominam sobie co sam powiedziałem: „czytuję również Koran”, wreszcie do mnie dociera. Wskazówką jest imię „starego przyjaciela”, Mohammeda. To tak oczywiste, że aż trudno mi uwierzyć, jak dużo czasu potrzebowałem, aby zdać sobie z tego sprawę. Teraz żałuję, że w tak niegrzeczny sposób potraktowałem swojego gościa.

Przez całe stulecia w świecie Islamu do szyfrowania wiadomości korzystano z kodu *mas-haf*, praktycznie nieznanego na Zachodzie, a opierającego się na numerach świętych wersetów Koranu. Ponieważ są one takie same w każdej wersji tekstu, bez względu na kraj czy datę publikacji, zachowują takie same numery i dostarczają niezmiennego klucza.

Sięgam na półkę po angielski przekład i szukam w nim rozdziału trzynastego, zatytułowanego „Grzmot”. Czterdziesty pierwszy werset, czy też sura, nie jest długi:

*I nie ma znaczenia czy podczas twójego życia pokażemy ci spełnienie niektórych rzeczy, którymi napawamy ich strachem, czy spowodujemy, że umrzesz, albowiem na tobie spoczywa jedynie obowiązek przekazania Posłannictwa, na Nas zaś rozliczenia*²⁷.

Nie potrzebuję kolejnych wskazówek. „Ostrzeżenie” z tekstu pocztówki jednoznacznie potwierdza wiadomość. Pytanie brzmi, jak ją zinterpretować i, jeśli zajdzie taka konieczność, jak zareagować. To niecodzienna informacja i jestem zły na siebie za męczącego mnie kaca i ociężałość. Żałuję, że mój umysł nie działa teraz sprawniej i nie potrafię szybciej rozgryźć jej prawdziwego znaczenia. Jedno jest pewne - nadawca zna mnie dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że będę potrafił ją odszyfrować i zinterpretować. Co więcej, wiedział również, jak mnie znaleźć.

Gdy ponownie rozlega się pukanie, czuję jakby poraził mnie prąd. Otwieram drzwi gwałtownym ruchem, mam pochmurną minę. Ale na progu stoi ktoś inny, tym razem ubrany w podróbkę kurtki Barboura, jeansy i adidas.

²⁷ *Święty Koran*, tekst arabski i tłumaczenie polskie, Islam International Publications Ltd, Islamabad 1996 (fragment pochodzi z tłumaczenia Koranu wydanego w Polsce przez Ahmadijczyków, uznawanych przez większość teologów islamskich za heretyków). Jednakże ich przekład, przygotowany na podstawie tłumaczenia angielskiego, najlepiej oddaje cytowany przez autora fragment, który w tymże przekładzie pojawia się jako sura 41, nie zaś 40, jak w innych przekładach (przyp. tłum.).

- Powiedziałem już pana koledze, że jestem muzułmaninem - rzucam szorstko.

Brwi mojego rozmówcy unoszą się i opadają, gdy wybucha chropowatym śmiechem.

- W takim razie, *salam alejkum* - mówi cichym, spokojnym, zachrypniętym głosem, sprawiającym wrażenie, jakby jego gardło nieustannie miało coś chropowatego.

Obrzucam go zaskoczonym spojrzeniem, marszcząc brwi. W życiu nie spotkałem arabskojęzycznego świadka Jehowy i zastanawiam się, czy przysłali specjalistę mającego przyjrzeć się mojej teologii. No to trafiła kosa na kamień.

- *Wa 'alejkum salam* - odpowiadam odruchowo, przyglądając się mężczyźnie.

Nie jest zbudowany równie masywnie, co jego poprzednik, a linie policzków sugerują szczupłość. Ma krótkie, rudawozłote włosy, wąsy zadbane niczym były żołnierz i wygląda na pięćdziesiąt lat, choć świetnie się trzyma. Ma czujne i szelmowskie oczy. Nie widzę jednak żadnych papierów ani torby. Zanim przychodzi mi do głowy co mógłbym powiedzieć, odzywa się ponownie.

- *Ana rafiq min landank* - Jestem przyjacielem z Londynu. Mówi arabskim wyuczonym w Ministerstwie Obrony. - Zaparkowałem nieco dalej - dodaje, wskazując kciukiem za siebie.

I wtedy pojmuje. To członek Pułku przysłany przez Seethrougha. Przybyło SAS.

- O Chryste. Przepraszam. Proszę wejść.

Uśmiecha się, a wchodząc obrzuca przedpokój czujnym spojrzeniem.

- Tak przy okazji, nazywam się H. Przyjaciele mówią mi „H”

Ma mocny uścisk dłoni.

- Siedziałeś do późna? - pyta, uśmiechając się znacząco.

- Tak jakby.

- Lepiej napijmy się kawy.

- Właśnie zaparzyłem.

- Dobra robota.

Gdy wchodzimy do kuchni wdycha rozchodzące się po niej zapachy, starannie składa płaszcz na oparciu krzesła i siada przy stole. W pomieszczeniu panuje totalny rozgardiasz. Wstyd mi i, płucząc dwie filiżanki, ukradkiem zasłaniam talerzem stojącą w zlewie popielniczkę. Pytam skąd do mnie tego ranka przyjeżdża.

- Z Hereford.

Jasna sprawa. Hereford jest kwaterą główną 22 Pułku SAS. Zanim jednak zdążę

zapytać, czy tam mieszka, sam porusza ten temat.

- Ustatkowałem się po odejściu z Pułku jakieś dziesięć lat temu.

- Znalazłeś sobie żonę stąd?

- Mam cały komplet. Żonę, dzieci, koty, psy.

- I czym się od tamtej pory zajmowałeś?

- Ochroną. Głównie platform wiertniczych i rurociągów. Od czasu do czasu robiłem też za goryla. I sporadycznie wpadało jakieś zlecenie specjalne.

- Nie nudzisz się trochę, mając na koncie SAS?

- Lepsze to, niż siedzieć cały boży dzień w jakiejś wilgotnej dziurze - skromne stwierdzenie, biorąc pod uwagę fakt, że wypowiada je członek jednego z najbardziej elitarnych oddziałów specjalnych na świecie. - Jest taka jedna firma, która pomaga gościom chcącym nadal działać. Przeważnie tym, którzy nie pracują na poczcie.

- Przypomnij mi, żebyś nie kłócił się z listonoszem - siadam naprzeciw niego i nalewam kawy.

Jego wzrok pada na czerwono-niebieski pasek zegarka.

- Barwy pułku?

- Gwardia Szkocka.

- Niektórym odpowiada - szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Kiedy dałeś sobie spokój?

- Po wojnie w Zatoce. Jak to się nazywało, Operacja Granby? Co za głupia nazwa dla wojny - rzucam. Zdaję sobie sprawę, że kryptonimy wojskowe wybiera komputer i że są ułożone w porządku alfabetycznym, ale to niczego nie zmienia.

- I głupia wojna, jak się nad tym zastanowić - mówi, dmuchając w zamyśleniu na kawę.

Podoba mi się ten jego lekceważący ton.

- Pułk dobrze na tym wyszedł - wtrącam.

- Klasyczny pierdolnik - mówi, ignorując moje słowa. - Opowieść, jakich Pułk zna wiele. Mamy masę ludzi porzrzucanych po różnych teatrach działań wojennych na całym świecie, aż tu nagle pojawia się taka misja jak w Zatoce - jego palce wędrują po blacie stołu, imitując zbieranie się widmowego szwadronu. - I nagle wszyscy chcą wziąć w tym udział, rozpychają się łokciami. Do roboty biorą się ludzie, których szkolono do czegoś zupełnie innego, a ci dobrzy są wycofywani.

- Jakie dostałeś instrukcje z Londynu? - pytam.

- Oficer łącznikowy, który do mnie zadzwonił, podał tylko miejsce i czas. Wygląda na

to, że szczegóły pozostawią nam. Mamy miesiąc. Powinno z powodzeniem wystarczyć.

To dość powściągliwe podejście, niepodobne do niczego, z czym miałem kontakt w wojsku. Trudno mi także pogodzić elokwentne, wręcz chłopięce zachowanie mężczyzny siedzącego przede mną, z coraz bardziej sensacyjnymi opowieściami o Pułku.

- Pewnie nie stałeś na balkonie hotelu Princess Gate? - to żart, ale każdy żołnierz wie, jak wielu ludzi przypisuje sobie udział w przeprowadzonej dwadzieścia lat temu spektakularnej akcji odbicia zakładników w londyńskiej ambasadzie Iranu.

- Nie, nie na balkonie - odpowiada w zamyśleniu. - Ci na balkonie znaleźli się tam tylko dla kamer.

Dobra odpowiedź. Pytam, jak długo służył w Pułku.

- Jestem dwudziestoczworoletkiem - odpowiada ze stłumionym śmiechem. - Dzieciak jeszcze ze mnie.

Ma za sobą służbę w każdym ważniejszym teatrze działań, w którym udział brało SAS. Aden, Borneo, Oman, Irlandia Północna, Falklandy, Irak, Bośnia i z tuzin innych krajów, jeśli akurat nie szkolił jakichś oddziałów wojskowych na końcu świata lub nie brał udziału w tzw. „zajęciach ponadprogramowych”

- Aż dziw bierze, że nie myślałeś o karierze pisarskiej - zagaduję. - Czy to nie twój dowódca zapoczątkował tę modę?

Cynicznie wzrusza ramionami.

- DLB był dobrym żołnierzem. Tak czy inaczej, za 10 lat to właśnie jego pamiętniki będą czytać, a nie czyjeś inne.

Na dodatek jest lojalny wobec swojego byłego dowódcy pułku, Petera de la Billière. Z tego co mówi wnoszę też, że niewiele go obchodzą celebryci, których wydał Pułk. Wtedy przypominam sobie, co powiedział mi dzień wcześniej Seethrough.

- Kto to jest „Mirbat wet”? - pytam.

- Przykładowo: ja - odpowiada.

- W takim razie co to jest Mirbat?

- Mirbat? To miasto. Leży na wybrzeżu Omanu. Operacja STORM - w jego oczach pojawia się błysk. - Dla Pułku to był krytyczny moment. Masz atlas?

Nagle dociera do mnie, że „wet” musi oznaczać weterana, ale wydawało mi się, że Mirbat to jakieś zwierzę, a nie miejsce bitwy. Czując się jak całkowity ignorant, przynoszę z pokoju dziennego pozostawiony tam wcześniej atlas. Odsuwamy na bok filiżanki i nie mija chwila, a nasze palce podróżują na południu Półwyspu Arabskiego. Zapomniałem już, jak strategicznie umiejscowiony jest Oman, którego północno-wschodni kraniec oddzielony jest

od Iranu Zatoką Perską w jej najwęższym punkcie. Palec H zatrzymuje się na linii wybrzeża, nieco na wschód od granicy z Jemenem.

- Znajdowaliśmy się na południe od tego miejsca, w Salalah. A tutaj - mówi, wskazując długi, górzysty cień ciągnący się ze wschodu na zachód - na *Jebel*, byli *Adoo*²⁸.

- Co tam robiliście?

- Nic. To znaczy, oficjalnie nic. Wtedy ta operacja była tajna. W ojczyźnie nikt nie miał pojęcia, że tam jesteśmy. Spójrz - mówi, ponownie wskazując na mapę - wszystko, co przepływa przez Zatokę musi minąć Cieśninę Ormuz. Wyobraź sobie co by było, gdybyśmy ją utracili - uśmiecha się i karykaturalnie naśladuje oficera. - *Nie mogliśmy im tak po prostu oddać naszej ropy, prawda?* - po czym, jakby żałując tego żartu, dodaje: - Nie o to wtedy chodziło. Jako Brytyjczycy wiedzieliśmy, że wygramy.

Delikatnie rozprostowuje dłonią kartkę, po czym pochylamy się nad nią, aby przyjrzeć się nazwom. Kilka ciemnych linii prowadzących z nadbrzeżnej równiny wokół Salalah wrzyna się w wyniosłą sarpę nazywaną przez H *Jebel*, co w języku arabskim oznacza „górze”. Im dalej na północ, tym linie bardziej się rozdzielają i zanikają na podobieństwo żyłek. Jak wyjaśnia H, są to ogromne *wadi*²⁹ prowadzące w głąb terenu kontrolowanego przez przeciwnika, w porze monsunowej pokryte bujną zielenią i piekielnie suche latem.

- A to *Wadi Arzat* - dodaje z uśmiechem. - Boże, pamiętam tę wędrówkę z *jimpym* - w slangu żołnierskim *jimpy* oznacza GPMG, czyli nieprzyjemnie ciężki uniwersalny karabin maszynowy.

H wyjmuje z kieszeni kółko z kluczami i używając końcówki jednego z nich podąża linią nabrzeża na wschód, aż zatrzymuje się na mieście u podnóża wielkiego *Jebel*.

- Tutaj - mówi - to właśnie Mirbat. Stąd mam swoją pierwszą pamiętkę.

Niewiele napisano na temat Mirbat i operacji STORM, chętnie więc posłucham kogoś, kto brał udział w tym przedsięwzięciu, a swoją wiedzę uzupełnię później. W Mirbat rozegrała się najbardziej dramatyczna bitwa całej sześcioletniej kampanii, obejmującej ostatnie dni sprawowania przez Brytyjczyków kontroli na Bliskim Wschodzie. W 1970 roku rząd marksistowski zdobył władzę w brytyjskim Protektoracie Adeńskim. Na wschód od niego leżał Oman, w którym, przy wsparciu małej armii dowodzonej przez brytyjskich oficerów, autokratyczne rządy sprawował starzejący się sułtan. Gdy raporty wywiadu zaczęły

²⁸ Oddziały partyzanckie w Omanie (przyp. tłum.).

²⁹ Suche formy dolinne w czasie pory deszczowej wypełniające się wodą i tworzące wartkie rzeki (przyp. tłum.).

wskazywać, że do państwa przenikają wyszkoleni przez komunistów partyzanci z Jemenu i inne grupy z ogarniętego rewolucją Iraku, na nowo przyjrzano się brytyjskim interesom w tym rejonie. Nie do pomyślenia było, aby kraj wpadł w ręce komunistów.

W wyniku dyskretnie wspieranego przez Brytyjczyków zamachu stanu, do władzy doszedł syn sułtana - Qabus. Tymczasem jednak wyszkoleni przez komunistów rebelianci - *Adoo* - zdobyli mające strategiczne znaczenie szczyty *Jebel* i armia nowego sułtana zaczęła przegrywać wojnę o sprawowanie kontroli. *Adoo*, dobrze wyszkoleni i wspierani przez swoich komunistycznych sponsorów, byli mężni i nieustępliwi.

I wtedy na scenę wydarzeń wkroczyło SAS. Nieoficjalnie, zasłaniając się dyskretnym eufemizmem BATT - „Zespołów Treningowych Armii Brytyjskiej”. Ich cel miał trojaki charakter - pozbawienia szkolonych przez komunistów partyzantów sympatii miejscowej ludności i przekonania tych ostatnich do korzyści wynikających z przyłączenia się do strony rządowej; zebrania *firqat*, nieregularnych oddziałów mających podjąć walkę z *Adoo* i przesunięcie działań wojennych w głąb *Jebel*.

Dzięki przeprowadzonej w ciągu kilku kolejnych lat serii odważnych wypadów, zepchnięto *Adoo* z większości terenu *Jebel*, gdzie SAS tworzyło teraz linie kontroli i budowało stałe bazy. Ale *Adoo* przygotowywali się do rozstrzygającego kontrataku - zmasowanego, wspieranego ogniem moździerzy i artylerii szturmowej na małe, nadbrzeżne miasto Mirbat. Ich plan zakładał zdobycie kamiennego fortu, schwytanie obrońców, zabicie burmistrza i odniesienie wielkiego sukcesu propagandowego dla sprawy buntowników.

Pojawili się o świcie 12 lipca 1972 roku³⁰.

Co najmniej dwustu pięćdziesięciu bojowników *Adoo* zeszło z *Jebel*, nie natrafiając po drodze na jakikolwiek opór, przeniknęło na obrzeża miasta i rozsypało się wachlarzem po rowach i za ogrodzeniem chroniącym fort. Wszystko przemawiało na ich korzyść. Fortu broniło tuzin miejscowych uzbrojonych w karabiny samopowtarzalne. Kilkaset metrów dalej, w siedzibie BATT, stacjonowała garstka żołnierzy SAS, z niecierpliwością wyczekujących zakończenia służby i mającego nastąpić w ciągu kilku dni powrotu do Hereford.

Gdy spadły pierwsze pociski z moździerzy *Adoo*, a śpiących żołnierzy zasypał pył z wstrząsanych wybuchami ścian lepianki, w której mieściła się ich kwatera główna, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby zwrócić się drogą radiową o wsparcie do Salalah. Ale wraz z natężeniem ostrzału stało się jasne, że *Adoo* przypuścili wielki atak. Przez chwilę członkowie SAS z niedowierzaniem obserwowali z parapetu budynku BATT atak

³⁰ W rzeczywistości atak rozpoczął się 19. lipca (przyp. tłum.).

prowadzony siłami setek ludzi, po czym odpowiedzieli ogniem własnych moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych. Niedługo później para wodna osadzająca się na lufach zagotowała się, a ogień przeciwnika z każdą minutą wzrastał.

Jeden z żołnierzy SAS, Fidżyjczyk imieniem Labalaba, pobiegł do stanowiska ogniowego u podnóża fortu i zaczął ostrzeliwać linie *Adoo* z 25-funtowej haubicy, podczas gdy wokół jego pozycji eksplodowały pociski przeciwnika. Ale sytuacja ulegała szybkiemu pogorszeniu. Wkrótce *Adoo* podeszli zbyt blisko, aby można było ich ostrzelać z moździerza SAS ustawionego w budynku BATT, więc dwóch zdesperowanych żołnierzy zdjęło go z podstawy i podczas gdy jeden trzymał moździerz przy klatce piersiowej, drugi go ładował. Wtedy drogą radiową nadszedł komunikat, że Labalaba został ranny. Dwudziestotrzyletni³¹ dowódca oddziału, Mike Kealy, wciąż w klapkach na nogach, wezwał przez radio helikopter, który miał ewakuować Labalabę, zaś inny Fidżyjczyk Takavesi, nazywany przez swoich towarzyszy „Tak”, popędził na pomoc swojemu towarzyszowi, przebijając się przez tumany kurzu wznoszone przez eksplodujące pociski moździerzy i broń maszynową. Helikopter podjął próbę lądowania w pobliżu, ale załoga została zmuszona do wycofania się. *Adoo* przez godzinę ostrzeliwali fort, tak teraz spowity w kłębach dymu i pyłu, że wręcz niewidoczny z budynku BATT i rozświetlany chwilami przez wybuchy eksplodujących pocisków. Ale częstotliwość ognia ciężkiej broni obsadzonej przez Fidżyjczyków słabła i Kealy, nie będąc w stanie nawiązać przez radio kontaktu ze stanowiskiem ogniowym, zdecydował się pójść tam ze swoim sanitariuszem, Tobinem.

Biegli w zrywach, ostrzeliwując się na zmianę i słysząc wszędzie wokół siebie zabójczy szept pocisków wroga. Gdy kilka minut później dopadli do stanowiska ogniowego i przedarli się przez stosy łusek po pociskach, znaleźli „Taka” podpartego, w kałuży krwi, rannego w plecy i głowę, ale wciąż prowadzącego ostrzał ze swojej broni. Labalaba, z opatrunkiem polowym na policzku nadal starał się wprowadzić pociski do 25-funtowca. Ciężko ranny omański strzelec leżał rozciągnięty na poszarpanych torbach z piaskiem i pudłach z amunicją. Mimo nieustającego ognia prowadzonego z budynku BATT, *Adoo* przekroczyli ogrodzenie i zbliżyli się na tyle, aby móc użyć granatów. Po wprowadzeniu ostatniego pocisku do haubicy Labalaba padł od kuli wroga. Tobinowi, który zajął jego miejsce, przestrelono szczękę. Zmarł jakiś czas później.

Wróg był już bliski zajęcia stanowiska, z którego „Tak” i Kealy prowadzili teraz ogień bezpośredni, gdy dwa odrzutowce *strikemaster*, podczas lotu z *Salalah* stawiające czoła

³¹ W czasie bitwy Mike Kealy miał 27 lat (przyp. tłum.).

niskim chmurom i zasłonie ogniowej z broni *Adoo*, ostrzelały pozycje nieprzyjaciela z karabinów maszynowych. Podczas drugiego przelotu idealnie zrzucona bomba 500-funtowa zdziesiątkowała linie nieprzyjaciela³².

Nadleciał helikopter ratunkowy zabierając na pokład zmarłych, rannych i ciało Labalaby. „Tak” nie zgodził się, aby udzielono mu pomocy i o własnych siłach doszedł do maszyny.

Wojna ciągnęła się jeszcze kilka kolejnych lat, do czasu gdy partyzantów z powrotem zepchnięto na granicę Jemenu, jednak nigdy już nie byli w stanie przeprowadzić operacji na tak wielką skalę. W Anglii nikt nie słyszał o tym zdumiewającym zwycięstwie, odniesionym wbrew wszelkim oczekiwaniom.

Pytam H, jaką ma stamtąd pamiątkę. Sięga dłońmi do mankietów koszuli i przez chwilę odnoszę wrażenie, że pokaże mi omańską bransoletkę lub tatuaż. Ale on podciąga rękaw do łokcia i obraca przedramię tak, abym mógł je zobaczyć. Pamiątką, którą miał na myśli, jest blada, okrągła blizna wielkości oliwki i druga, nieco większa, po przeciwnej stronie przedramienia. Jak mi wyjaśnia, kula przeszła między kośćmi i utkwiała w kolbie karabinu, a nie sięgnęła klatki piersiowej tylko dzięki metalowej osłonie w stopce broni.

- Musiało boleć - mówię.

- Poczułem dopiero później. Ale za specjalnie to nie wyglądało.

- Gdzie wtedy byłeś?

- W budynku BATT. Dwa dni wcześniej przyjechałem z Taqa, ale ponieważ jadący za mną jeep wpadł na minę, musieliśmy przenocować w Mirbat. Następnego dnia miałem odlecieć z rannym kierowcą, ale chmury były za nisko. Cholernie dobry dzień, żeby tam utknąć - odwija rękaw i wzdycha. - Potem dla Pułku to już była równia pochyła.

Jest południe. H obrzuca kuchnię niespokojnym spojrzeniem i pyta, czy w pobliżu jest jakiś pub.

- Możemy się przejść i pogadać - proponuje - i zabrać się do opracowywania planu.

Przystaję na tę propozycję, spacer dobrze mi zrobi. Zakładamy kurtki i idziemy na przełaj przez pola, po czym maszerujemy dalsze dwa i pół kilometra do Crown, przemoczywszy sobie spodnie do wysokości kolan od mokrej trawy. Dotarliśmy do pubu,

³² W trakcie bitwy nie przeprowadzono takiego ataku, strikemastery używały jedynie działek i rakiet (przyp. tłum.).

siadamy przy dymiącym kominku i wymieniamy się szczegółami swojego życia nad piwem, w przyjacielskiej atmosferze, do jakiej nie przywykłem, ale z której czerpię niespodziewanie dużą satysfakcję.

H pyta o Afganistan. Opowiada, że kilku jego przyjaciół z Pułku odwiedzało ten kraj w latach 80., ucząc afgańskich mudzahedinów jak korzystać z pocisków stinger. Przywieźli nawet kilku Afgańczyków do Szkocji, aby pomóc wyszkolić ich w taktyce walki partyzanckiej i wykorzystaniu zaawansowanych środków komunikacji. W ponurym budynku za stacją Victoria, jeden czy dwóch innych pomogło obmyślić egzotyczne operacje mające utrudnić życie Sowiecom. Przyznaje jednak, że niewiele więcej wie o tym miejscu.

Staram się dać wyraz sympatii, jaką czuję dla tego kraju i jego mieszkańców, nawet pomimo wszystkich niedostatków i trudności będących efektem toczącego się konfliktu. Nauczyłem się szanować Afgańczyków za ich męstwo i wytrwałość i wzdycham z ulgą, słysząc od H, że i on czuł taką samą mieszaną sympatii i szacunku dla członków omańskich plemion, których szkolił i u boku których walczył w Omanie. Gdy wyciągam z portfela zdjęcie wykonane mojego pierwszego dnia pobytu w Afganistanie, H wskazuje palcem brodatego Afgańczyka pozującego obok mnie z karabinem szturmowym AK-47 dumnie dzierzonym przy piersi.

- Wygląda jak jeden koleżka z mojego oddziału - mówi z uśmiechem.

Pyta także o politykę. Mówię mu, że obecny konflikt można prześledzić wstecz do czasów sowieckiej okupacji kraju w latach 80. Sowieci liczyli na wprowadzenie w Afganistanie lojalnego, komunistycznego reżimu, oceniając, że najbiedniejszy naród Azji nie będzie długo stawiał oporu. Od samego początku wszystko szło źle. Sowieci spotkali się z powszechnym oporem zbrojnym, a całkowita porażka w kwestii zdobycia poparcia ludności wiejskiej była równie bolesna, co niepowodzenie ich strategii wojskowej. Przygwożdżeni w swoich bazach, kontrolując jedynie miasta i główne drogi, żołnierze radzieccy rzadko kiedy mogli swobodnie poruszać się po kraju, i chcąc zmusić przeciwników do posłuszeństwa, musieli zdać się na lotnictwo i operacje z udziałem wojsk pancernych. Nie starali się nawet zdobyć serc i umysłów głęboko tradycjonalistycznych i religijnych ludzi od zarania dziejów walczących z najeźdźcami i pokonujących ich.

- Sposób myślenia - mówi cicho H, kiwając głową. - Nie można wygrać wojny nie rozumiejąc sposobu myślenia.

Przez dziesięć lat Sowieci walczyli w coraz brutalniejszym i nieprzynoszącym efektów konflikcie, zabijając w tym czasie milion Afgańczyków. Wycofali się w 1989 roku, pozostawiając niedomagający rząd komunistyczny, mający stanowić wsparcie dla

wykończonego narodu, który uległ dalszemu rozpadowi, gdy walkę o władzę rozpoczęły rywalizujące ze sobą frakcje mudżahedinów. Amerykańskie wsparcie dla Afgańczyków wyparowało wraz z exodusem Sowietów i kilka lat później w ogarniętych bezprawiem południowych prowincjach narodzili się Talibowie, coraz silniej wspierani przez zagranicznych ekstremistów. W 1966 roku zdobyli Kabul, a niedługo później narzucili swoje okrutne poglądy, rodem ze średniowiecza, praktycznie całemu państwu. Jedyne kurcząca się prowincja na północy, pod przywództwem Masuda, nie ustawała w walce.

Kampania tłumienia rewolty w Omanie, mimo że przeprowadzona na znacznie mniejszą skalę, stanowiła pouczający kontrast. Priorytetem dla Pułku było zrozumienie miejscowej kultury i od samego początku rozumiano, że bez wsparcia miejscowych nie ma nawet co marzyć o pokonaniu przeciwnika. Nacisk strategiczny położono nie na zabijanie wrogów, a na zdobycie sojuszników oraz unikanie za wszelką cenę ofiar wśród cywilów. Gdy ci, którzy odstąpili od *Adoo* oddali się w ręce strony rządowej nie uwięziono ich, ani nawet nie przesłuchano, ale w łagodny sposób przekonano, że logicznym wyborem jest walka po stronie postępowego sułtana niż w imię brutalnej hierarchizacji, będącej celem ich komunistycznych sponsorów.

- Gdy chcieliśmy, aby *Adoo* trzymali się z dala od jakiejś wioski - mówi mi H - to kopaliśmy tam studnię i budowaliśmy przychodnię, a jeśli była taka potrzeba, to i szkołę. I nie sprawiali nam już kłopotów. Proste, ale zadziałało.

- Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy to samo robili w Afganistanie w latach 90. - mówię. - Talibowie nie dysponowałiby platformą, jaką mają teraz.

- Pewnie jakiś księgowy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych stwierdził, że za drogo by to wyszło - odpowiada.

Pyta mnie, jak szybko mogę się udać do Hereford. Tak szybko jak chce, odpowiadam. Proponuje, abyśmy spotkali się za dwa dni i żebym został u niego do końca tygodnia. Podaje mi swój numer telefonu i wyjaśnia, jak do niego dojechać, odradzając zapisywanie tych informacji. Mówi, że będę potrzebował butów, ekwipunku turystycznego i Bergena³³. Nie mówi „plecak”.

- Przerobimy jakieś przyjemne TAB-y, i popracujemy nad SOP-ami dla zapewnienia bezpieczeństwa - mówi.

Dziwnie znowu słyszeć wojskowy żargon. TAB to ubezpieczone przemieszczenie się w rejon działań; zasadniczo oznacza długi spacer. SOP to z kolei standardowa procedura

³³ Plecak wykorzystywany w Brytyjskich Siłach Zbrojnych (przyp. tłum.).

działania.

- SOP-y odwołują się przeważnie do zdrowego rozsądku, ale muszą się stać odruchowe - mówi H. - Jakiej broni tam używają?

- Wszystkie ważne osobistości mają AK-47 - odpowiadam, zdziwiony poniekąd, że sam tego nie wie.

Przeważnie w wersji rosyjskiej, egipskiej i chińskiej. Zdarzają się AK-74, ale rzadko. AK-74 to krótkolufowa wersja AK-47 o mniejszym kalibrze; prestiżowa broń garstki wybitnych dowódców. Nie ma sensu wymieniać niezliczonej różnorodności broni cięższej, z jakiej korzysta się w kraju.

- A to ci niespodzianka. A co z bronią krótką?

- Pewnie makarow - najczęściej widziany w Afganistanie, zaprojektowany przez Sowieców pistolet kalibru 9 mm.

Przebywając tam, o mało sam sobie takiego nie sprawiłem, ale odwiódł mnie od tego mój afgański przyjaciel i kierowca, od którego usłyszałem, że pistolet jest nieskuteczny. Zamiast niego nosił w kieszeni granat z zapalnikiem ustawionym na praktycznie natychmiastową eksplozję.

- W porządku. Odświeżymy sobie wiedzę o broni - mówi H - a ty możesz poduczyć mnie o minach. Zobaczą, co jeszcze będę mógł wyciągnąć z Kremla. Jak tam twoja kondycja?

- Bywało lepiej.

- Spróbuj codziennie przebiec pięć kilometrów w czasie poniżej pół godziny, a resztą się zajmujemy - to brzmi złowieszczo. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przebiegłem pięć kilometrów, ale dziwnym trafem nie mogę się doczekać całej tej dyscypliny.

- W porządku - mówi H spoglądając na swój zegarek. - Czas wracać do *memsahib*.

Piechotę wracamy do domu. Zaczyna padać. H nie chce już wchodzić. Stawia kołnierz, życzy mi powodzenia i idzie do końca podjazdu, gdzie zaparkował samochód. Ja wchodzę do mieszkania i przebieram się w dres do biegania.

Po czym wyciągam się na kanapie i zapadam w sen.

Rozdział 6

Nie pamiętam już, w jakiej dokładnie kolejności odbywały się treningi, za które zabraliśmy się w tym tygodniu. We wtorkowy poranek, gdy wyruszam do Hereford, jest ciemno i mży. Żeby zobaczyć skrawek jaśniejszego nieba, muszę skręcić na zachód i wjechać na M50, a niedługo potem mogę dostrzec wzgórze Malvern, wyłaniające się po prawej stronie. Mija jeszcze godzina, zanim docieram na peryferia małej wioski na północnym zachodzie od Hereford. Zjeżdżam z wąskiej dróżki i zatrzymuję się przed drewnianą bramą. Zadbany żwirowy podjazd prowadzi do czarno-białego domku, o niezwykle popularnej w hrabstwie konstrukcji. Przed przylegającym do niego garażem stoi zaparkowany ciemnoniebieski, wiekowy range rover. Na spotkanie wybiega mi rozszczękany terier, a chwilę później pojawia się również H, machając z entuzjazmem. Otwiera bramę i zaprasza mnie do domu na kawę, po raz kolejny przecząc mojemu naiwnemu przekonaniu, że żołnierz SAS musi być nieczułym mordercą. Na ścianie w przedpokoju wisi duża, oprawiona w ramę fotografia H z młodzieńczych lat, noszącego charakterystyczny beret w kolorze piasku z naszywką z płonącym sztyletem. Wyobrażam sobie, jak na zdjęcie pada snop światła z latarki wlamywacza, po czym słyszę miotane pod nosem przekleństwa i odgłosy pośpiesznej ucieczki.

- Prawidłowo - kwituje H, widząc, że założyłem już swoje buty. - Jak ci idzie z biegami?

- Nieźle.

To kłamstwo. Co prawda, przebiegam codziennie pięć kilometrów, ale potrzebuję kilku postojów. Człowiekowi wydaje się, że to kawał drogi, ale zmienia zdanie, gdy już się przyzwyczai. Tak naprawdę masz wrażenie, że to sto kilometrów - wszystko przez nudę i stawiany przez ciało opór. To nie nogi stanowią tutaj problem. Najgłośniej protestują płuca. Bez względu na to, jak bardzo byłem kiedyś wysportowany, zawsze nienawidziłem biegów długodystansowych.

- Jestem dość powolny - przyznaję, czując się nieswojo ze swoim kłamstwem - ale jest nieźle.

- No to w porządku. Popracuj nad tym. Chodź, przyjrzymy się trasie, a potem przejdziemy się i porozmawiamy - rozkłada na kuchennym kredensie zalaminowaną w

miękką, plastikową folię mapę sztabową Brecon Beacons³⁴ w dużej skali. - Wyruszymy stąd - wyjaśnia, wskazując nieduży budynek położony na obrzeżach lasu niedaleko A470, w samym sercu Beacons ze Storey Arms. Na północ od drogi jasnobrązowe izolacje gęstnieją i zaczynają przypominać linie papilarne.

Dobrze wiem, co to oznacza: wspinaczkę w deszczu na Pen-y-Fan³⁵.

- Zostawimy samochód na ich parkingu i tam też będzie nasz punkt zborny, jeśli rozdzielimy się na południowym podejściu - pokazuje mi trasę czubkiem ołówka.

Plan zakłada, że wejdziemy na sam szczyt, zejdziemy drugą stroną do Cwm Llwlloch, kilka kilometrów pokonamy idąc dróżką wokół podstawy zbocza, aż znowu zaczniemy się wspiąć, mijając punkt zwany Obeliskiem, skąd wreszcie ruszymy w dół, do samochodu. Pokazuje mi również alternatywny punkt spotkania dla północnego etapu naszej wędrówki. Mam okazję przekonać się, że SAS ma obsesję na punkcie punktów zbornych, zapasowych punktów zbornych i punktów zbornych na wypadek nadzwyczajnej sytuacji.

Pół godziny później docieramy do punktu wymarszu. Pogoda nie jest specjalna. Ostatni raz wspiąłem się na Pen-y-Fan kilka lat temu, w słoneczny, letni dzień, w szortach i koszulce. Dzisiaj jest zimno i pada. Nie jest to ulewa, ale deszcz i daje się we znaki, przegonił już wszystkich turystów. Zbocze nad nami znika za barykadą chmur. H proponuje, że będzie niósł Bergena z naszymi zapasami wody, suchymi ubraniami i wytrzymałą, pomarańczową plastikową płachtą mającą nam zapewnić schronienie, gdy zajdzie taka potrzeba. Ale duma nie pozwala mi przyjąć jego oferty. Gdy zakładamy odzież nieprzemakalną, krzywię się na zimnie, co nie umyka jego uwadze.

- Lepsze to, niż gdyby miało nam być za gorąco - komentuje.

Na wstępie naszego mozolnego marszu ustalamy tempo. Tyle dobrego, że tylko idziemy. Gdy pytam H o jego doświadczenia z Pułku, odpowiada, że podczas selekcji do SAS trasę pokonuje się biegiem. Proces selekcji kandydatów do SAS został przygotowany w taki sposób, żeby poprzez obowiązkowe dla każdego kandydata, wyczerpujące marsze, zabezpieczenia terenu w Beacons - znak rozpoznawczy Pułku - zbadać odporność psychiczną i charakter przyszłych żołnierzy.

- Wielu mięśniaków wysiadało - opowiada mi H, wspominając czasy, gdy podczas selekcji pełnił funkcję instruktora. - Nie dlatego, że nie byli dość wysportowani, ale dlatego, że oni pierwsi mieli tego wszystkiego dosyć. Pewnie przyzwyczaili się do faktu, że są

³⁴ Łańcuch górski w południowej Walii; tak jak i kolejne charakterystyczne nazwy geograficzne pochodzą z języka walijskiego (przyp. tłum.).

³⁵ Najwyższy szczyt w południowej Walii, znajdujący się w parku narodowym Brecon Beacons (przyp.

twardzielami. Te ćwiczenia kończyli drobni kolesie o zmrużonych oczach.

Ci, którym udało się przetrwać wyczerpującą potańcówkę z Fan - trzy kursy na szczyt Pen-y-Fan i z powrotem, nocną orientację w terenie wedle zapamiętanych współrzędnych w poszukiwaniu punktów kontrolnych, marsze przełajowe z ciężkimi plecakami i pozorowane przesłuchania - rozpoczynali trwający miesiąc trening w dżungli Brunei. H nazywa ją „dobrą dżunglą”. Nie wiem, jak musiałaby wyglądać zła. Mówi, że taka dżungla dzieli ludzi i tam właśnie dokonuje się prawdziwa selekcja.

- Wszystko jest non stop mokre i wszędzie czają się dzikie zwierzęta. Wielu z tych, którym dobrze poszło na selekcji, nie potrafiło poradzić sobie w dżungli - opowiada.

Pytam jak poszło jemu.

- Mnie? Ja to uwielbiałem - odpowiada z promiennym uśmiechem, a deszcz spływa mu po twarzy. - Cieszyłem się jak dziecko.

Gdy wchodzimy w chmurę, wyraźnie daje się odczuć spadek temperatury. Ścieżka w odcieniu fioleto prowadzi pod górę. Biel pochłonęła całe otoczenie w promieniu dziesięciu metrów. H idzie ze mną, wskazując drogę w miejscach, gdzie ścieżka wygląda niepewnie. Śliska skała nad nami, przypominająca wyglądem zniszczoną ścianę, zapowiada najbardziej stromy odcinek naszej wspinaczki. Szczyt Pen-y znajduje się kilkaset metrów od nas na północny wschód. Docieramy do niego, idąc wąską granią, której zbocza po obu stronach opadają nieprawdopodobnie stromo ku głębokim dolinom lodowcowym. Ale my tego nie zobaczymy.

Jest zbyt zimno, żeby można było zatrzymać się na dłużej. H wyciąga kompas i pokazuje mi naszą pozycję na zalaminowanej, mokrej od deszczu mapie i przed długim zejściem do Cwm Llwch próbujemy zorientować się w terenie. Po drugiej stronie doliny, u podnóża góry, docieramy do Cwm Gwdi, pozostałości obozu bojowego Regimentu Spadochroniarzy i do leżącej za nim opustoszałej drogi, która skręca na zachód, ku krótszej, bardziej stromej grani prowadzącej do Obelisku.

Rozumiem już, dlaczego H wybrał tę właśnie trasę. Jest ona jednocześnie pełna wyzwań i udogodnień w postaci prowadzących w górę i w dół pochyłości o różnym stopniu nachylenia, od dających się we znaki stromizn, po łagodne i komfortowe podejścia. Oszczędzasz siły na tych łagodnych, aby móc zmierzyć się z tymi stromymi. Podczas odbywanego się w zupełnej ciszy długiego marszu, krążą mi po głowie zarówno przekonujące argumenty za zatrzymaniem się, jak i za kontynuowaniem przeprawy. Paskudna

pogoda zwielokrotnia przyjemność i trudy. A im trasa dłuższa, tym mniej poważnie traktujesz zgiełk tych głosów, które zamieniają się na dalszym etapie w narzekanie. Nieustannie przypominasz sobie o konkretach: tempie marszu lub oddechu.

Na ostatnim odcinku naszej powrotnej wspinaczki, tuż przed wejściem na grań nieopodal Obelisku, czuję już jak mięśnie ud drżą w ramach protestu. Wielkie pęcherze na piętach osiągnęły ostatnie stadium puchnięcia i zaraz popękają. Ale utrzymujemy całkiem przyzwoite tempo. Sześć godzin później docieramy do samochodu. Jestem przemarznięty i wykończony. H pyta mnie o samopoczucie.

- Jak nigdy.

- I prawidłowo.

Wrzucam przemokniętego Bergena na tył, a H wyciąga termos cudownie gorącej kawy. Dotarłszy do jego domu, przebieramy się w suche ubrania, a H przygotowuje dla nas późny obiad. Na jego prośbę rozpalam ogień w kominku, dorzucając polana ze starannie ułożonego obok stosiku. Jedząc, ogrzewamy stopy przy płomieniach. Gdy zapada zmrok, H hojnie rozlewa whisky i rozmawiamy o czekającej nas operacji, zastanawiając się, kiedy dostaniemy sygnał z Londynu.

- Ironia losu, czyż nie? - mówi H. - Najpierw wysyłają nas do Afganistanu, żeby ich nauczyć, jak korzystać z naszego sprzętu, a dziesięć lat później, żeby im go odebrać.

- Blowback - mówię. - Tak to nazywa CIA.

- Raczej blowjob³⁶. Nieważne. Lepiej już nie poruszać tego tematu - wychodzi z pokoju, a minutę później wraca z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

- Kiedy ostatni raz widziałeś coś takiego?

Zamaszystym ruchem podnosi ramię, pokazując lufę karabinu szturmowego AK-47. To rzadki widok na angielskiej wsi. Z ustami pełnymi whisky bełkoczę.

- Dość dawno.

- Wiesz jak się tym posługiwać?

- Nie zdarzyło się jeszcze, żebym musiał z niego korzystać.

- Na wypadek gdyby się zdarzyło, lepiej, żebyś umiał. Siądźmy na podłodze.

Z kieszeni spodni wyjmuję dwa zawiniątka i kładzie je na stoliku. Następnie zwinnie upada na kolana i kładzie broń na otwartych dłoniach niczym ofiarę. - AK-47. Gazodynamiczny karabin szturmowy z selektorem ognia. Kaliber 7,62 mm - przejeżdża po nim dłonią. Metalowa powierzchnia połyskuje złowieszczo w świetle ognia.

³⁶ Wulgarne określenie *fellatio* (przyp. tłum.).

- Najpopularniejszy karabin szturmowy świata - opowiada H. - Każda sowiecka broń z „K” w nazwie to jakaś odmiana Kałasznikowa. Mamy AKM i AKS: zmodyfikowane wersje AK-47 oraz lekki karabin maszynowy PK i AK-74 o mniejszym kalibrze. Sowieci zaprojektowali karabin i naboje do niego w taki sposób, żeby, w teorii, ich armia podczas inwazji mogła wykorzystać zdobytą na Zachodzie broń, ale nie na odwrót. Tak naprawdę to dość prosta konstrukcja, co trzeba uznać za jej zaletę. To broń szturmowa, więc nie wykorzystujesz jej na dystans większy niż trzysta metrów, choć może posłać pocisk znacznie dalej. Jeśli ktoś będzie do Ciebie strzelał z AK-47 z ponad trzystu metrów, to nie przejmuj się tym zanedo - ironiczny uśmiech mówi mi, że nie powinienem traktować tej rady zbyt dosłownie.

Delikatnie podnosi i opuszcza dłonie z bronią, jakby chcąc ocenić jej wagę. Być może wracają do niego wspomnienia. Następnie ścisną żąbkowane krawędzie szczerbinki i przesuwają suwak ramienia celownika do przodu i do tyłu.

- Przesuwają się w zakresie od stu do ośmiuset metrów. Do trzystu korzystaj ze stałej nastawy. Pamiętaj, że znosi do góry i w prawo - stuk palcem w wylot lufy. - W późniejszych modelach mają inny kształt, żeby to zrównoważyć. Przypomina szpic noża Bowie - widziałem takie w Afganistanie. - Niektóre mają pod lufą zamocowany bagnet zawiasowy. Możesz go wbić w ziemię, żeby ustabilizować broń.

Przesuwają dłoń do przełącznika trybu ognia.

- Pociągając go do oporu do góry zabezpieczysz karabin - dociska srebrzysty wypust, żeby udowodnić, że nie da się wtedy odbezpieczyć broni. - Blokuje mechanizm - słyszę głośnie, metaliczne kliknięcie, gdy przesuwają przełącznik w dół. - Jedno kliknięcie i masz ogień ciągły, gdy ci się spieszy i jesteś w potrzebie. Dobrze odstrasza wrony.

Marszczy nos, jak gdyby ogień ciągły sprawdzał się tylko w filmach i książkach.

- Dwa kliknięcia i masz ogień pojedynczy. Tyle tylko, że bezpiecznik jest cholernie głośny, więc nie korzystaj z niego, o ile nie chcesz się zabrać za coś na serio. Nie ma mechanizmu blokującego zamek, więc ten przesuwają się do komory, gdy wystrzelisz ostatni nabój. Zmieniając magazynki, musisz odbezpieczyć karabin.

Wsuwa drewnianą kolbę w zgięcie ramienia, jakby przygotowując się do strzału.

- Jeśli ktoś do Ciebie celuje, spróbuj dojrzeć, w jakiej pozycji jest przełącznik. Może go przykrywać pył albo brud. Wielu nosi AK dla samego prestiżu i nie są gotowi, żeby zrobić z niej użytek. Sprawdź wychylenie przełącznika. Jeśli jest na samej górze, to możesz zyskać trochę czasu. A teraz rzućmy okiem na bebechy.

Bierze ze stołu mniejsze zawiniątko i rozwija trójkątną szmatkę na dywanie.

Następnie wyjmuję magazynek, zabezpiecza broń i naciska spust. - Jeśli masz przy sobie szmatkę, to możesz rozłożyć na niej poszczególne części jedna po drugiej, a potem montować je w odwrotnej kolejności. *Shemagh* nada się do tego idealnie.

- Afgańczycy używają *pattu* - wtrącam i opisuję kilka właściwie uniwersalnych zastosowań afgańskiej wełnianej chusty, bez której życie tam byłoby nie do zniesienia.

- Niech nam zatem posłuży jako *pattu*. To jest pokrywa - stuka palcem w górną, metalową powierzchnię broni, po czym wciska ząbkowany zatrzask z tyłu i przesuwa ją, odsłaniając mechanizm.

Wyłania się długa i podobna kształtem do węża sprężyna powrotna. Zamek, odsyłając nabój do komory, wydaje dźwięk nasuwający na myśl miniaturowy pociąg przejeżdżający przez węzeł kolejowy. Na końcu występu znajduje się długi, srebrny pręt.

- To tłok. Jest przymocowany do suwadła zamka - pokazuje mi zakrzywioną powierzchnię nazywaną krzywką, na której obraca się zamek oraz przyczepiona do niego iglica i wyrzutnik.

Następnie demontuje przednią część drewnianego łoża, dobierając się do komory gazowej. Pod lufą znajduje się także ruchomy pręt pomagający usuwać zablokowane naboje. I to wszystko. Wszystkie sekrety pomysłu pana Kałasznikowa.

- Zdumiewające, jaka to prosta konstrukcja - mówię.

- Dlatego właśnie zyskał taką popularność. Nie jest równie celny, co inne karabiny, ale dużo zniesie, bo nie jest w środku tak zagrożony jak one. Jak już dostanie się do niego naprawdę dużo różnych śmieci, mechanizm nie wróci wystarczająco szybko i kolejny nabój się zablokuje. Dlatego trzeba go utrzymywać w czystości. Najlepiej wrzucić wszystko do garnka z paliwem lotniczym.

- Paliwem lotniczym?

Przytakuje.

- Ale benzyna też się nada. Usunie brud i zostawi powierzchnię suchą. Płyn do czyszczenia sprzedają przeważnie w nieporęcznych buteleczkach, ale obeznany w temacie żołnierz ma zazwyczaj przy sobie coś takiego - sięga do zawiniątka, wyjmując z niego zieloną, plastikową butelkę środka owadobójczego i udaje, że spryskuje nim wnętrze karabinu.

Następnie bierze w dłoń pędzel z włosiem o szerokości dwóch i pół centymetra i wodzi nim po metalu. Do czyszczenia lufy wykorzystywany jest chowany w kolbie wycior. Owinąwszy kawałkiem szmatki czubek nasączonym olejem, H wsuwa go przez zamkową część lufy i wyciąga drugim końcem, po czym przymyka jedno oko i zagląda w wylot.

- Jeśli włożysz kciuk do części zamkowej, to będziesz miał dość światła, żeby

zobaczyć jak się sprawy mają. Chcesz spróbować? - składa karabin i przypomina mi złotą zasadę.

- Zanim oddasz komukolwiek broń, rozładuj ją - wyjmuje magazynek i pociąga zamek, aby upewnić się, że w komorze nie znajduje się nabój.

Rozkładał AK tak, jak mi pokazał, kładąc poszczególne elementy jeden za drugim, po czym montuje je w odwrotnej kolejności.

- Dobrze - mówi H - a teraz jeszcze raz.

Powtarzam całą procedurę.

- Jeszcze raz.

I znowu, aż dłonie nabierają pewności.

- A teraz w ciemności - mówi i każe mi zamknąć oczy. Gdy po kilku powtórzeniach dochodzi do wniosku, że zrobiliśmy wystarczająco dużo, odkładam broń na bok, opierając ją o stół.

- Jeszcze coś - mówi H, sięgając po nią. - Nigdy nie opieraj karabinu w miejscu, gdzie może się przewrócić. Zawsze kładź ją blisko siebie, zamkiem do góry, żeby się nie zabrudził.

Przypominam sobie, o co chciałem go zapytać.

- Kojarzysz te filmy dokumentalne, na których amerykańscy żołnierze stukają magazynkiem o hełm zanim włożą go do swojego M16? Dlaczego tak robią?

- Nie wiem - odpowiada z namysłem. - Nigdy nie nosiłem hełmu.

Przechodzimy do dalszej części szkolenia. Odwija na stole drugi tobolek i moim oczom ukazuje się pistolet makarow kalibru 9 mm z pięcioramienną sowiecką gwiazdą na rękojeści. H zwalnia magazynek, pozwalając mu zsunąć się na dłoń.

- Już taki widziałeś. Przypomina AK. Nieco prymitywny, ale skuteczny i można na nim polegać. Podobno zaprojektowano go w oparciu o Walthera PPK. Można go odbezpieczyć, odciągając kurek albo zamek. Spust chodzi nieco opornie. Ale ma porządne rażenie obalające³⁷.

Przerabiamy szczegóły mechanizmu, sprawdzanie komory i zabezpieczanie broni. Można ją rozłożyć, odciągając osłonę spustu i zsuwając do tyłu zamek. Lufa jest osadzona na stałe. Ćwiczę ładowanie i rozładowywanie, cały czas myśląc o „rażeniu obalającym”. To wyrażenie równie mocno oderwane od rzeczywistości, co „straty wśród ludności cywilnej” czy „przesłuchanie wywiadowcze” - czyli odpowiednio śmierć i tortury. W tym właśnie zawiera się straszliwa sprzeczność pomiędzy dwoma najbardziej doniosłymi

³⁷ Uszkodzenie postrzałowe obezwładniające ofiarę (przyp. tłum.).

doświadczeniami ludzkiego życia: praktycznie nieodpartym podnieceniem związanym z wojną i grozą, będącą jego efektem.

Przechodzimy do głównego punktu spotkania. H raz jeszcze wychodzi z pokoju i wraca, niosąc jakąś książkę i kolejną broń. Na ciemnoniebieskiej okładce książki wydrukowano srebrnymi literami AGENCJA WYWIADU OBRONNEGO. Spomiędzy kartek wystaje kilka żółtych zakładki. Broń, którą ma w ręku to FN HP, znany lepiej pod nazwą Browning High Power. Pierwotnie produkowany był w Belgii przez słynne Fabrique Nationale, ale doczekał się replik na całym świecie. Nauczyłem się nim posługiwać w wojsku, gdzie używano również nazwy L9A1. Właśnie tą bronią zabiłem człowieka.

- To mój faworyt - zwierza się H, rozładowując pistolet i łagodnie wsuwając magazynek na swoje miejsce.

Browning przez całe dziesięciolecie był ulubioną bronią noszoną u boku, ale w porównaniu do najnowszych pistoletów automatycznych, zbudowanych z plastikowych i ceramicznych komponentów, wypada już nieco staromodnie. Jak informuje mnie H, członkowie Pułku noszą obecnie u boku SIG-i szwajcarskiej produkcji, ale dzięki niezawodności i dużej pojemności magazynka, browning jest popularny w siłach zbrojnych tak wielu krajów, że jeszcze trochę z nami zostanie.

- Dobrze by było wziąć kilka takich z nami - mówi z uśmiechem, ważąc broń w dłoni.
- To najnowszy model „DA” odbezpieczany na dwa sposoby, zawiera kilka modyfikacji w stosunku do oryginału. W magazynku mieści się czternaście naboń, piętnaście łącznie z tym w komorze; osłona spustu została zmieniona, żeby zapewnić lepszy chwyt, gdy strzelamy z broni, trzymając ją obiema rękami; dodatkowo zamiast ręcznego bezpiecznika zastosowano, obsługiwaną obiema rękami, dźwignię odbezpieczającą zamontowaną na szkielecie. Pistolet ma też wewnętrzne zabezpieczenie iglicy i jeszcze jedno, uniemożliwiające strzelanie, jeśli zamek nie jest w pełni cofnięty.

Gdy tak omawia cechy broni, ze zręcznością szermistrza przesuwa palcami po jej powierzchni, a ciemny metal wydaje się ożywać pod jego dotykiem, gotów w każdej chwili przystąpić do działania. Odciąga zamek, zabezpiecza broń, wyjmując magazynek i zastępuje go nowym, przerzucając broń z jednej dłoni do drugiej.

- Potrafiłem się nim bawić całymi godzinami - mówi, jednym, płynnym ruchem wsuwa broń za pasek spodni na plecach i pokazuje mi otwarte dłonie.

Wykonuje równie swobodny gest i broń znowu pojawia się w jego dłoni, drugą zaś umacnia chwyt w pozycji do strzału.

- Wyczuł ją - mówi, podając mi pistolet.

Podoba mi się to dostosowanie broni do obu rąk, dzięki czemu mogę osiągnąć dźwigni odbezpieczającej, nie rozluźniając uścisku, a tylko przenosząc kciuk nad cynglem.

- Rób to, co wydaje się naturalne - radzi H. - Pamiętaj, że po wystrzeleniu ostatniego pocisku mechanizm pozostaje otwarty. Wkładając nowy magazynek, dociśnij zamek, żeby wprowadzić nowy nabój, a będziesz mógł prowadzić ogień nie odbezpieczając. Możesz też zmienić przycisk zwalniania magazynku, tak żeby szedł w drugą stronę.

Kładzie swoje dłonie na moich, pokazując, jak powinien wyglądać prawidłowy chwyt przy oddawaniu strzału przez celownik i pozycję *en garde*, którą nazywa strzelaniem instynktownym, z wyprostowanymi ramionami i otwartymi oczami, gdy cel jest oddalony o maksimum cztery i pół metra. Oddanie dwóch strzałów w głowę celu w krótkim odstępie czasu - w wojsku nie uczą czegoś takiego. W Pułku mówią na to „podwójne stuknięcie”.

- Weź je ze sobą - proponuje H, wskazując ręką AK i pistolety - i ćwicz z każdym z osobna. Jeśli będziesz potrafił rozłożyć je w ciemności, to jeszcze lepiej. Wypróbujemy je w przyszłym tygodniu, jak już się nimi trochę pobawisz. Myślę, że między biegami. - Pytam, gdzie będziemy to robić. - Chyba moglibyśmy pojechać do Fortu. Mają tam dobrą strzelnicę, ale to niezła wycieczka. - Ma na myśli Fort Monckton w Portsmouth, gdzie początkujący szpiedzy przechodzą wstępny trening z bronią palną. - Ale prościej będzie wstać wcześniej i wybrać się gdzieś na wzgórze. Zanim ktokolwiek zrzuci piżamę, żeby sprawdzić, co się dzieje, nas już nie będzie - podnosi ze stołu groźnie wyglądającą książkę i otworzywszy ją, przerzuca strony.

- Zazaczyłem kilka innych typów broni, na które powinienesz rzucić okiem. Możesz je porównać z berettą, STG i HK. Miejmy nadzieję, że nie będziemy zmuszeni korzystać z żadnej z nich, ale nigdy nic nie wiadomo.

Muszę zapytać, czy nie denerwuje się, dając mi do domu torbę wypełnioną po brzegi bronią.

- Żeby cię tylko po drodze nie przyskrzynili. Ja i tak nie mogę jej u siebie trzymać. Sally by mnie zatłukła, gdyby się dowiedziała, że tu były.

Niechęć, jaką jego żona czuje do broni jest czymś nietypowym w życiu zawodowego żołnierza. Być może w tym właśnie tkwi tajemnica ich niewątpliwie szczęśliwego związku.

Stopniowo mój trening przechodzi od abstrakcji do konkretności. H jest łagodny, ale bardzo wymagający, nigdy mnie nie ponagla ani nie podnosi głosu, a gdy widzi, że jakiś temat sprawia mi trudności, poświęca temu dodatkową uwagę. Swoją wiedzę dzieli się w swobodny sposób, bez śladu pretensji. Znacznie bardziej wolę jego metody od aroganckich

mistyfikacji w wykonaniu Seethrougha, który zdaje się czerpać przyjemność z udowadniania mi mojej ignorancji.

Następnego dnia znowu wyruszamy w drogę, tym razem zwiększając tempo wędrówki. Niebo jest zachmurzone, ale na szczęście nie pada i nie oblewamy się potem pod nieprzemakalnymi ciuchami, które mamy na sobie. Do Pen-y-Fan docieramy tą samą trasą co poprzednio, schodzimy ze szczytu stromym, wschodnim zboczem w kierunku stożkowej ściany Cribyn, przecinając dolinę przy zbiorniku wodnym i wspinając się na szeroki płaskowyż powyżej. Po kolejnych dwóch godzinach marszu, długim, prowadzącym w dół trawersem dochodzimy do drogi o dwa i pół kilometra oddalonej od naszego samochodu. Pokonuję ten odcinek w męczarniach, podczas gdy biegnący obok H mruczy pod nosem słowa zachęty. Po południu bierzemy się za spisywanie notatek dotyczących zadań do zrealizowania. Robimy sobie przerwę na herbatę. H przechadza się na zewnątrz i bada ręką trawnik - jest suchy, a to podsuwa mu pewien pomysł.

Znajdować się po właściwej stronie broni to jedno, ale gdy ni z tego, ni z owego sytuacja się odwraca, sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Czas przeciwzyć rozbajanie. Teoria dotycząca rozbajania - członkowie Pułku nazywają ją „zaskoczka” - sprowadza się do tego, że jeśli broń, z której ktoś do nas celuje jest wystarczająco blisko, to można ją zbić, zanim atakujący naciśnie spust. Początkowo trudno w to uwierzyć, dlatego celem ćwiczeń jest udowodnienie, że da się to zrobić. Jeśli w to nie wierzysz, wyjaśnia mi H, mogą cię ogarnąć wątpliwości.

Zaczynamy od pistoletu, odgrywając napad. Wbijam lufę w krzyż H. Podnosi ręce do góry, powłócząc nogami rusza do przodu i bełkocze coś, udając przerażenie, a w którejś chwili spogląda na mnie przez lewe ramię. Mam nacisnąć spust, gdy tylko poczuję, że coś się święci. Jego ciało zaczyna się obracać i już mam zareagować, gdy w ułamku sekundy ląduję na ziemi, twarzą do niego. Lewą ręką mocno trzyma mnie za koszulę na klatce piersiowej - na ułamek sekundy przed upadkiem podciągnął mnie, żeby nie uderzył za mocno głową o ziemię. Jego prawa dłoń wznosi się nade mną, gotowa do zadania ciosu. Pistolet leży w trawie. Jestem wstrząśnięty i jednocześnie pod wrażeniem.

- Powolutku - mówi, łagodnie stawiając mnie na nogi. - Rozłóżmy to na etapy.

Wszystko opiera się na całkowitej pewności, że można zbić broń, zanim przeciwnik odda z niej strzał. Cała reszta to mniej więcej kwestia zdrowego rozsądku, tłumaczy mi H. Bez wątplenia lubi to wyrażenie. Zawiera się tutaj element skrytego działania - rzucenie szybkiego spojrzenia, ale nie wlepianie wzroku w stanowiącą zagrożenie broń - jak również odwrócenia uwagi poprzez upuszczenie kluczy albo portfela na chwilę przed kontratakiem.

Ten zaś przyjmuje postać szybkiego obrotu i wymierzonego nisko uderzenia zbijającego broń, które ma umożliwić wyprowadzenie kolejnych ciosów, które unieszkodliwią atakującego.

- Lepiej nie robić tego od razu - radzi H. - Wtedy strzelec jest najbardziej spięty, spodziewa się, że to właśnie zrobisz. Wybierz odpowiednią chwilę. Zagadaj go i odwróć jego uwagę od broni. Potem spójrz przez ramię, żeby sprawdzić, w której ręce ją trzyma. Można też naprzeć na lufę, bo gdy zaczniesz się obracać, ześlizgnie się do przodu, poza cel. Uderzenie w dolne partie ciała ma być silne i szybkie. Po nim powinny pójść kolejne - otwartą dłonią w podbródek, kolano i krocze.

Jak mówi, istnieją również bardziej skuteczne metody przejmowania pistoletu, które nie skutkują wyrządzeniem krzywdy atakującemu, ale opanowanie ich zajęłoby za dużo czasu.

- Zapomnij o Jackiem Chanie. Masz rozbroić i unieszkodliwić, a nie odstawiać cyrkowe sztuczki. A poza tym - dodaje, patrząc na mnie poważnie - jeśli ktoś do ciebie celuje, to nie zasługuje na nic innego.

Wtedy po raz pierwszy dostrzegam stal pod warstwą jedwabiu.

Ćwiczymy trzymanie na muszce z przodu i z tyłu, stosując te same, lekko zmodyfikowane zasady dla obu sytuacji. Jeśli, przykładowo, nadgorliwy bandzior celuje ci w głowę, to z takim zagrożeniem najłatwiej można sobie poradzić. Ale nie ma dwóch identycznych ataków, jak wyjaśnia mi H i ćwiczymy tak długo, aż wykonuję wszystkie te ruchy bez namysłu. Gdy mamy to już za sobą, pokazuje mi opcjonalne udoskonalenia, jak np. złamanie palca, który atakujący trzymał na spuście albo złamanie nosa.

Następnie wchodzi do domu i wraca z AK. Wykonujemy serię podobnych ćwiczeń, a H wyjaśnia mi, że karabin stanowi mniejsze zagrożenie od pistoletu. Zaatakowany może usunąć się poza punkt zagrożenia - czubek lufy - i uniemożliwić skierowanie go na siebie, zbliżając się i blokując ją. Pokażnych rozmiarów muszkę AK łatwo jest złapać, dzięki czemu broniący się może przejąć kontrolę nad bronią. Gdy atakujący jest już na ziemi, wystarczy kilka razy szarpnąć lufą, żeby zwolnił uścisk.

- A gdy znajdzie się w twoim ręku, możesz zdecydować, co z nim zrobić - mówi.

Kilka razy ćwiczymy atak od przodu, za każdym razem coraz szybciej. H radzi, aby po sobie następowały kopnięcia w kolano i gwałtowne szarpnięcia lufy karabinu. Przechodzimy do ataku od tyłu. Wbija mi czubek lufy w plecy i krzyczy „Dalej!”, ja zaś odwracam się i uderzam w lufę, czując jak wewnętrzna część dłoni styka się z muszką. Ale wkładam w to zbyt dużo siły i krawędź dłoni pęka niczym skórka banana. Kończę ruch, ale

ochlapałem nas obu krwią. H jedną ręką zawiesza AK na ramieniu, a drugą ściska brzegi rany. - To ci pech - komentuje - ale chyba chwytasz już, o co w tym chodzi, - Wprowadza mnie do budynku, nie puszczając dłoni, z której krew kapie na kuchenną podłogę.

Przykleja kilka przylepców w poprzek rany, po czym owija dłoń bandażem.

- Całe szczęście, że *memsahib* wybyła na kilka dni. Nie znosi widoku krwi.

Po naszym spotkaniu domowe życie wydaje się takie spokojne. Analizuję instrukcję obsługi broni, ćwiczę rozkładanie AK, makarowa i browninga, i zastanawiam się jak świadkowie Jehowy zareagowaliby, gdybym podszedł do drzwi z gotowym do strzału AK. Ponieważ organizowanie nocnych pułapek w wykarczowanej, odrastającej dżungli nie będzie dla mnie specjalnie użyteczne, opanowuję do perfekcji sztukę chwytania małych gryzoni, posiłkując się informacjami z drugiego pożyczonego mi przez H podręcznika, zatytułowanego *Techniki operacyjne w wyjątkowych okolicznościach*. Zmuszam się też do biegania i zaczynam zyskiwać sekundy na okrążeniach, choć z przykrością stwierdzam, że poprawianie czasu nie należy do najłatwiejszych zadań. Po wyprawie zboczami Beacons uda odmawiają współpracy, a po biegach mięśnie łydek bolą cały dzień. Ból towarzyszy mi nieustannie.

W następnym tygodniu mój trening z H przebiega według tego samego wzorca. Sally, jego żona, znowu wyjechała na weekend. Tym razem, żeby odwiedzić rodzinę, więc mamy cały dom dla siebie. Rano zaliczamy długie okrążenia, maszerując i biegnąc, zaś popołudniami na warsztat bierzemy umiejętności praktyczne. Wieczorem rozbudowujemy nasz plan o kolejne szczegóły.

H mówi mi, że powinniśmy też poćwiczyć z samochodem.

- Jeśli nasza operacja będzie odpowiednio zabezpieczona, to nikt niepowołany nie dowie się o naszych poczynaniach. Ale musimy być przygotowani na najgorszy możliwy scenariusz - wyjaśnia. I ma rację. Ktoś może chcieć nas okraść. W Afganistanie funkcjonują nieoficjalne punkty kontrolne, w których mogą nas wziąć na muszkę albo i gorzej. - Najlepszym sposobem na poradzenie sobie z fałszywym punktem kontroli pojazdów jest nigdy nie mieć z takim do czynienia - mówi H.

Drugi w kolejności będzie szybki odwrót. W ostateczności trzeba się przez niego przebić. Zgadza się, co do tego, że ostatnia opcja nie jest za dobrym pomysłem, ponieważ chętnie pociągający za spust Afgańczycy mają skłonność do obierania sobie za cel nie opon samochodu, a jego nieposłusznych pasażerów, zazwyczaj są też dobrymi strzelcami. Talibowie znacznie ograniczyli skalę problemu bandytyzmu, ale ich arabscy sojusznicy stowarzyszeni z Al-Kaidą znani są z okrucieństwa i bezwzględności. W porównaniu z nimi

afgańscy bandyci wyglądają na dość miłą alternatywę.

Któryś ranka H wjeżdża range roverem na środek podjazdu, a gdy stajemy przy samochodzie, przedstawia mi scenariusz, w którym zostaliśmy zaatakowani, jadąc jakimś odludnym odcinkiem afgańskiej drogi.

Wnętrze samochodu w najmniejszym nawet stopniu nie zapewnia bezpieczeństwa, chyba że jest opancerzone, w związku z tym najważniejsza staje się szybka ucieczka. H wyjaśnia mi, że pędzący z dużą prędkością pocisk bez problemu przebija się przez karoserię zwykłego samochodu i że jedyne jego części mogące zapewnić osłonę to albo blok silnika albo koła. A ponieważ siedząc za silnikiem człowiek nie ma zbyt wielkiej swobody poruszania się, druga opcja staje się jedyną.

- Jest tylko jeden problem - dodaje, prosząc abym położył się za jednym z kół i wyobraził sobie, że jestem ostrzeliwany.

Między podłożem a spodem samochodu jest wąski pasek przestrzeni, za którym ziemia wszystko zasłania. Z tej pozycji będę mógł brać na cel tylko stopy atakujących.

- Za cholere nic nie widać - konstatuję.

- W rzeczy samej.

Nagle słyszę ziajanie, gdy dopada do nas terier H, teraz gorączkowo liżący mnie po twarzy.

- Jeffrey! - syczy H. - Zjeżdżaj! No spieprzaj! - ponieważ pies nie ustępuje, H odprowadza go do domu, przeprosza za całe zajście i znowu umiejscawia się obok mnie.

- Będziesz mieć lepsze pole widzenia, jeśli wystawisz głowę nad koło.

To by miało sens. Opieram swoją iluzoryczną broń o maskę samochodu, obierając za cel wrogą owcę pasącą się na polu po przeciwnej stronie.

- Łapiesz o co chodzi? - H odbiera mi AK, kładzie go na tylnym siedzeniu i obaj wsiadamy do samochodu. - Najważniejsze to ustalić, co kto robi, żebyśmy nie wchodzili sobie w drogę. Powiedzmy, że zostaliśmy ostrzelani z mojej strony. Ty idziesz za tylne koło, a ja za przednie. Spróbujemy?

Otwieram szeroko drzwi i wyskakuję z samochodu, instynktownie zamykając je za sobą akurat w momencie, gdy H próbuje dać przez nie nura. Zatrzymuje drzwi dłonią i rzuca mi znad krawędzi siedzenia wyrozumiałe spojrzenie, jakiego jeszcze u niego nie widziałem.

- Lepiej nie zatrząskiwać mi ich przed nosem. Spróbujemy jeszcze raz.

Wracamy na swoje miejsca.

- Ten, kto wychodzi jako ostatni, zabiera AK. Wróg z lewej - ruszaj!

H wytacza się z siedzenia pasażera i kuca za przednim kołem, zaś ja ruszam za nim,

zabieram AK z tyłu i zajmuję pozycję za tylnym kołem, ostrzeliwując na niby atakujących.

- Już lepiej - mówi.

- Człowiek pewnie czuje się trochę jak na strzelnicy, tak wystawiając głowę - mówię.

- Zgadza się - odpowiada. - I dlatego lepiej nie zostawać tam zbyt długo.

Ponownie wsiadamy do samochodu.

- Teraz będziemy się wycofywać pod ostrzałem - wskazuje poszczególne miejsca w ogrodzie. - Będę przebiegał pod drzewa, a ty mnie w tym czasie osłaniaj. Jak dam znać, ruszysz tą samą ścieżką aż obaj wylądujemy za rododendronami. Gdy jeden się przemieszcza, drugi strzela.

- Łapię.

Na dany sygnał znowu wyskakujemy z samochodu. Bach bach bach bach! Teraz ja biegnę po śladach H, a on osłania mnie zza krzaków. Bach bach! W końcu leżymy na ziemi jeden obok drugiego, trzydzieści metrów od samochodu.

- W porządku - mówi. - Ale chyba bym cię postrzelił. Przebiegłeś po mojej linii strzału. Staraj się zawsze zorientować, gdzie się znajduję.

Tym komentarzem sprawia, że czuję się jak mały chłopiec. H znika w swoim garażu, a chwilę później pojawia się z powrotem z dwiema czarnymi, nylonowymi torbami na pas.

- Trzymaj - mówi, podając mi jedną z nich - to twój niezbędnik. Waga torby mówi mi, że w środku jest browning.

Sprawdzamy broń - jest rozładowana - i kładziemy torby na masce samochodu.

- Podczas operacji będziesz zazwyczaj miał coś takiego - mówi, otwierając główną kieszeń. - Apteczka, sprzęt użyteczny podczas ucieczki przed przeciwnikiem, pieniądze, mapy, rękawica sygnalizacyjna dla helikoptera na wypadek ewakuacji i inne manatki; w zależności od tego, czego akurat potrzebujesz. Powiedzmy, że te są nasze, wsuniemy je pod siedzenia.

Chowamy torby pod siedzeniami i znowu wjeżdżamy w wymyśloną pułapkę. Jeśli spodziewamy się kłopotów, to najlepiej trzymać browninga na siedzeniu pod nogą, dzięki czemu nie będziemy szukać go w pośpiechu. Gdy H wsuwa broń pod udo, z kolbą na zewnątrz, robię to samo.

Wyskakując, mamy w dłoniach browningi. Na przemian, susami, pokonujemy odcinek aż do ogrodu.

- Dobrze - mówi - tylko zapomniałeś o torbie.

Ale robię postępy. Powtarzamy wszystko jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem zwiększając tempo, aż przerabiamy wszystkie kombinacje. Jak mówi H, kluczem do sukcesu

jest szybkość, agresywność i determinacja. Jeśli napastników nie jest wielu, to zdecydowany, intensywny kontratak z użyciem AK może odwrócić sytuację, jednak trzeba działać szybko.

Robimy sobie przerwę na herbatę i H odprawia swój rytuał spisywania notatek na kuchennym stole. Sporządzamy ogólne notki dotyczące bezpieczeństwa - dopracujemy je później. H rozpisuje mapę pojęć, które musimy zrozumieć. Wymienia potencjalne niebezpieczeństwa, z którymi może nam przyjść się zmierzyć oraz sposoby na całkowite wyeliminowanie lub zminimalizowanie naszej podatności na tego typu zagrożenia. Interesują go kwestie związane z komunikacją i transportem, przemieszczaniem się z punktu A do punktu B i ukryciem naszych planów przed innymi. Poziom szczegółowości graniczy wręcz z obsesją, ale to właśnie takim metodom SAS zawdzięcza swoją reputację.

H rozwodzi się nad bezpieczeństwem pojazdów: nie wsiadać do taksówek, których kierowcy sami proponują swoje usługi, unikać jeżdżenia tą samą trasą, nie dać się zablokować w korkach, przeprowadzać szybki przegląd samochodu, żeby mieć pewność, że ktoś przy nim nie grzebał, korzystać z haseł dla wcześniej ustalonych lokalizacji, znaleźć bezpieczną przystań, do której będzie można uciec w sytuacji alarmowej i mieć w razie czego plany zapasowe.

Dociera do mnie, że H opracowuje rozkazy wojskowe na poziomie funkcjonowania drużyny bojowej. Ogólnie rzecz ujmując, wszystko to rozpisano pod kilkoma nagłówkami. Pierwszy to *Na ziemi*, w którym omówione jest ukształtowanie terenu zarówno ogólnie, jak i szczegółowo. Rozdział *Sytuacja* dotyczy przyjaznych i wrogich sił działających na terenie operacji, jak również układu sił politycznych. *Misja* określa zakres operacji, który podsumowano agresywnymi hasłami pokroju *zabić X* lub *zniszczyć Y*. W rozdziale *Egzekucja* rozpatruje się kwestie dotyczące dróg, przemieszczania się, punktów zbornych i procedur związanych z wycofaniem się - czyli dotyczy powrotu do domu. *Wsparcie* koncentruje się na broni, racjach żywieniowych i wyposażeniu oraz tym, jak je dostarczyć do konkretnego miejsca oraz jak je z niego wydobyć. Jest jeszcze jeden standardowy nagłówek, którego nazwa wyleciała mi z głowy.

- *Rozkazy i Sygnały* - podpowiada H. - W przeważającej części rozdział ten dotyczy radia. Kto z kim rozmawia, kiedy i w jaki sposób. Nie będziemy raczej wzywać wsparcia z powietrza, będziemy tylko meldować się czasem w Londynie - macha długopisem nad notatkami. - I potrzebna nam jakaś historyjka wyjaśniająca, co tam robimy. Jakiś powód do przyjazdu na krótko.

To już moje zadanie. Następnie wyjaśnia mi, jak ubiegać się o drugi paszport, który można schować w bezpiecznym miejscu, na wypadek, gdybyśmy stracili swoje rzeczy.

Żona H przygotowała nam z wyprzedzeniem kolację. Jemy posiłek i poświęcamy wieczór na zapoznanie się z bronią, wokół której kręci się cała ta operacja.

- Przyjrzyj się temu - mówi H, kładąc przede mną opasły podręcznik dotyczący FIM-92.

Kilkaset stron ostemplowano jako TAJNE.

- Jeszcze kilka lat temu Sowieci zrobiliby wszystko, żeby tylko dostać to w swoje ręce - mówi, stukając palcami w okładkę.

- Pierwsi przekonali się, do czego jest zdolny stinger - mówię, przypominając sobie jak zabójczy okazał się ten pocisk dla sowieckich sił powietrznych w Afganistanie.

- Nie do końca - poprawia mnie. - Jankesi dali nam kilka sztuk, gdy operowaliśmy na południu, na Falklandach. Tylko jeden gość w Pułku wiedział, jak radzić sobie ze stingerami, ale razem z Sea Kingiem³⁸ spadł do wody na południowym Atlantyku. Ktoś ze szwadronu D zestrzelił argentyński myśliwiec³⁹, ale miał po prostu cholerne szczęście. Wtedy właśnie po raz pierwszy zabito kogoś w walce, wykorzystując stingera.

Dzięki swojej mobilności i niezawodności stinger należy do najbardziej rozchwytywanych broni na świecie. Trudno było sobie wyobrazić, że tak mocno zaawansowana technologia przeciwlotnicza była przewożona po Afganistanie na grzbietach osłów i wielbłądów. Nigdy tak naprawdę nie przyznano, jak wielką rolę odegrały stingery w ostatecznym upokorzeniu wojsk sowieckich.

Pierwsze modele nie były w stanie odróżnić wrogich celów od przyjaciół: ich ofiarą padało wszystko, co latało po afgańskim niebie. Długi, cienki pocisk wkładany jest do wyrzutni z włókna szklanego i podczepiany do zespołu składającego się ze spustu i detektora na podczerwień, wyglądającego jak toster. Gdy podłączy się małą baterię, a pocisk namierzy cel, przez głośnik dobiega dźwięk dający znak do odpalenia rakiety. Na wypadek, gdyby hałas otoczenia go zagłuszał, dodatkowy mechanizm wibracyjny zaczyna brzęczeć przy policzku strzelca. Różne kontrolki i czujniki informują, czy broń jest sprawna.

Musimy się orientować w tym temacie, więc przerabiamy szczegółowo wszystkie zagadnienia.

Kilka godzin później H zbiera do kupy całą naszą robotę papierkową i zamyka w małym sejfie. A gdy już mamy kłaść się spać, wskazuje na półkę z książkami i zachęca do

³⁸ Sikorsky S-61 Sea King - amerykański dwusilnikowy śmigłowiec wielozadaniowy (przyp. tłum.).

³⁹ Był to dokładnie dwusilnikowy samolot szturmowy FMA IA 58 Pucará (przyp. red.).

rzucenia na nie okiem.

- To może ci się spodobać - wyciąga książkę poświęconą Pułkowi i przekartkowuje ją, aż trafia na rozdział dotyczący kampanii w Omanie. Zawarto w nim wybrane fotografie wykonane w kulminacyjnym momencie konfliktu, ale żołnierze nie prezentują się na nich jak na klasycznych portretach. Mają brody, noszą złachmanione mundury i wystrzępione czapki lub arabskie *shemaghi*; z ust wystają im papierosy, a wielu wygląda na zbyt starych, aby pełnić służbę wojskową.

H wskazuje mi palcem zdjęcie budzącego strach brodacza o opalanej twarzy, noszącego czapkę bojową. Z ramienia zwisa mu okazałych rozmiarów uniwersalny karabin maszynowy i pas lśniącej amunicji.

- To Ditch - objaśnia mi H, przyglądając się czule fotografii. - Łagodny jak kociak. A to Monk - na kolejnym zdjęciu widzę mężczyznę noszącego coś na wzór mnisiego habitu z kapturem.

Delikatny, enigmatyczny uśmiech malujący się na szczupłej twarzy, skrytej w cieniu wełnianego kaptura zdaje się potwierdzać jego refleksyjne usposobienie. Jedynym, co sugeruje inne powołanie jest karabin szturmowy M16 tulony troskliwie w ramionach.

H przewraca strony, aby pokazać mi kolejną fotografię, tym razem młodzieńca spoglądającego przez celownik moździerza kaliber 81 mm umiejscowionego w zakurzonej, otoczonym torbami z piaskiem, stanowisku ogniowym. Mężczyzna jest mocno opalony i sprawia wrażenie bardzo wysportowanego. To H dwadzieścia pięć lat wcześniej, na Jebel, niedaleko Medinat al-Haqq.

- Często bawiliśmy się tym moździerzem - opowiada z uśmiechem. - W zasadzie tylko po to, żeby udowodnić *Adoo*, że jeśli chcemy, jesteśmy w stanie trafić z niego sześciopensówkę.

Dziwne. Jako dzieciak miałem tę samą książkę i pamiętam jak ślęczałem nad nią, nie marząc nawet o tym, że któregoś dnia poznam imiona żołnierzy patrzących na mnie z jej stron.

- To byli prawdziwi twardziele - mówi H, poważnie kiwając głową. - Już takich nie robią.

Opuszczamy dom z samego rana, gdy na zewnątrz jest jeszcze ciemno. Browningi ukryliśmy w niezbędnikach leżących teraz u naszych stóp, zaś AK schowaliśmy pod tylnym siedzeniem. Zmierzamy do opuszczonego kamieniołomu, położonego około pół godziny drogi na zachód od Hereford, co jakiś czas skręcając na pobocze i ćwicząc obronę przez

wyimaginowanymi napastnikami. Gdy niebo zaczyna się przejaśniać, zjeżdżamy z głównej drogi na gruntową. Na jej końcu znajduje się szeroki i płaski teren poprzecinany wypełnionymi wodą śladami po kołach spycharek. W tle, na wysokości dwudziestu metrów, wznosi się jasny, kamienny amfiteatr.

Wyłączam silnik, a H wyjmuje z samochodu dwie zrolowane tarcze strzeleckie. Przecinamy otwarty teren i śledziami do namiotu mocujemy tarcze w miękkim kamieniu. Po odmierzeniu stu kroków staję w zaznaczonym punkcie, podczas gdy H wyciąga AK z tyłu swojego samochodu. Rozładowuje broń, po czym podaje mi ją i wkłada do magazynku trzy naboje. Z kieszeni wyjmuje małe pudełeczko z żółtymi piankowymi zatyczkami, które następnie wciska do uszu.

- Wyzerujemy celowniki. Trzy strzały w czarne koło.

Z bliska to czarne kółko ma rozmiary małego talerzyka, a teraz stało się jeszcze mniejsze. Celuję i naciskam spust. Strzelba odskakuje, jakby ktoś uderzył ją od dołu młotkiem. Zdążyłem już zapomnieć jaki to hałas.

- Raz - mówi H. Strzelam po raz drugi. - Dwa. - I raz jeszcze. - Trzy. Rozładuj.

Biegniemy truchtem do celu. Jedna kula uderzyła o trzydzieści centymetrów na lewo - to pewnie ta pierwsza. Kolejne są oddalone od siebie o kilka centymetrów, leżąc w tej samej linii, co środek celu, ale o piętnaście centymetrów za wysoko. Wracamy truchtem do miejsca, skąd oddawałem strzały i H koryguje muszkę oraz wkłada kolejne pięć naboje do magazynku.

W środek celu. Pięć szybkich strzałów.

AK unosi się i opada. Oddaję strzały, gdy opuszczana broń nieruchomieje, starając się zachować równy rytm. Policzek, który zanadto zbliżyłem do kolby, boli jakby ktoś mi przyłożył, a w uszach dzwoni nawet pomimo faktu, że mam zatyczki.

- Nieźle - komentuje z uśmiechem H, gdy wyciągamy śledzie z tarczy. - To pewnie dzięki dokładnym instrukcjom.

W środkowym okręgu znajdują się trzy małe dziury, a w kolejnym - jeszcze dwie, wszystkie ułożone w jednej, pionowej linii, oddalone od siebie o kilka centymetrów.

Spogląda na zegarek.

- Sprawdźmy, jak sobie poradzisz z naszym drugim koleżką.

Podchodzimy do samochodu, chowamy AK pod tylnym siedzeniem i wyciągamy browningi. H ma też plastikową torbę z tuzinem pustych puszek po piwie - siedem z nich ustawiamy na pochyłej półce skalnej biegnącej wzdłuż ściany kamieniołomu. Oddalamy się o dziesięć kroków w stronę samochodu i odwracamy w stronę celu.

- Gdy będziesz gotów - mówi H. - Podwójne stuknięcie dla każdej. I pamiętaj, żeby nie szarpać spustu.

Odbezpieczam browninga i po kolei strzelam do każdej puszki. Cztery na siedem posyłam w powietrze. Trzy pozostałe uparcie pozostają na swoich miejscach, a obok nich tryskają małe fontanny kredy.

- Trzeba będzie poćwiczyć - komentuje to H.

Zbieramy łuski i puszki i ponownie stawiamy je na półce skalnej.

- No to pokaż, jak to się robi - proponuję.

H odbezpiecza broń, wkłada za pasek nad lewym biodrem z kolbą skierowaną do przodu i przykrywa kurtką.

Pojedynczym, zdumiewająco szybkim ruchem odsuwa kurtkę lewą ręką, prawą wyciąga broń i zaczyna strzelać na lekko ugiętych kolanach. Gdy przechodzi od jednego celu do drugiego praktycznie nie robi przerw i wszystkie kolejno znikają. Do momentu, gdy oderwałem wzrok od celów i spojrzałem jak usuwa magazynek, minęło niecałe pięć sekund. H nic nie mówi, tylko mruga i widać, że jest zadowolony. Chowa browninga do kieszeni i zgarnia łuski.

- Lepiej już uciekajmy - stwierdza.

- To było miłe - komentuję.

- A jakże - ponownie spogląda na zegarek i rzuca mi melancholijne spojrzenie.

Niebo na wschodzie pojaśniało, a wokół nas nadal panuje cisza.

- Tak sobie pomyślałem - mówi. - Może przeciwiczymy obronę przed zasadzką z browningami z ostrą amunicją? Moglibyśmy wyjechać stamtąd - wskazuje drogę gruntową wijącą się w górę przy ścianie kamieniołomu - podjechać blisko i wycofać się, o tam.

Teren za nami jest nierówny, a mniej więcej czterdzieści pięć metrów od ściany kamieniołomu ciągnie się długie, wysokie na nieco ponad metr, wzniesienie zgarniętego przez sypcharki gruzu. To idealny cel ucieczki po wydostaniu się z samochodu.

- Strzelaj w miejsce, gdzie były nasze cele. Wyobraź sobie, że każdy z nich to *Adoo* z AK. A teraz pozbierajmy je, żebyśmy potem mogli zwiać.

Podnosimy podziurawione puszki i chowamy je w samochodzie. Następnie zajmujemy miejsca na przednich siedzeniach, a H stawia między nami pudełko magazynków z nabojami kalibru 9 mm. Ładujemy magazynki, wprowadzamy jeden nabój do zamka, po czym uzupełniamy magazynek o jeszcze jedną kulę, co łącznie daje piętnaście. Wsuwamy broń pod uda, a ja zapalam silnik. Włączywszy napęd na cztery koła, wspinamy się po zrytej koleinami drodze, okrążamy krawędź kamieniołomu i zakręcamy tuż przed linią horyzontu na

samej górze, gdzie można by było nas dostrzec. Silnik chodzi, a my możemy rozejrzeć się po okolicy, szukając ruchu. Czas zaczynać.

- Sprawdź komorę - podpowiada H.

Odsuwam zamek pistoletu i rzucam okiem na mosiężną łuskę umieszczoną w zamku.

- Wszystko w porządku.

- Dobrze, zabierz nas na dół.

Wrzucam pierwszy bieg i pozwalam, aby spadek sam zabrał nas niżej, nie przyspieszam. Gdy H rzuca.

- No dalej, weź się za to na poważnie - wciskam pedał gazu i wóz zaczyna podskakiwać na krzyżujących się koleinach drogi. H zapiera się dłonią o uchwyt na desce rozdzielczej. - Powiem kiedy - mówi.

Gdy droga się wyrównuje, z potężnym szarpnięciem uderzamy o płaską ziemię. Wciskam gaz do dechy i pędzę ku ścianie kamieniołomu, zastanawiając się, jak długo H będzie czekał z daniem sygnału. Gdy opony wbijają się w błoto i żwir, słyszę jak gruz smaga podwozie. Aż wreszcie jakieś dwadzieścia metrów od ściany kamieniołomu słyszę krzyk H.

- Zasadzka! Zasadzka! Wróg z przodu! Idziesz na przód!

Ostro skręcam w lewo, wciskając hamulec. Tył samochodu zarzuca w prawo, a przednie koła momentalnie stają w miejscu z chrzęstem. H otwiera szeroko drzwi i wyskakuje, wykonując przewrót. Już strzela, gdy kilka sekund później padam na ziemię i przyjmuję pozycję strzelecką za maską samochodu. Gdy H krzyczy - Ruszam! - przykładam oko do browninga. Podskakuje pięć razy. Odrzut powoduje, że ze ściany kamieniołomu wzbijają się obłoczki kredy. Słyszę, jak H krzyczy za moimi plecami.

- Dalej! Dalej! Dalej!

Odbiegam od samochodu, instynktownie kuląc się ze strachu, gdy widzę błysk wydobywający się z lufy pistoletu H przede mną po lewej. Nieprzyjemne uczucie. Gdy trafiam na wypełnione wodą obniżenie terenu, rzucam się w nie, podnoszę broń i oddaję kolejne pięć strzałów w kierunku samochodu. Jego niebieskawa sylwetka zdaje się unosić na tle jasnej ściany kamienia, przez krótką chwilę kojarząc mi się z wyrzuconym na brzeg wielorybem.

Znowu słyszę krzyk H i przebiegam kolejne piętnaście metrów, osłaniany jego ogniem. Daję nura i strzelam, a H biegnie do naszego celu, aż słyszę kliknięcie iglicy i broń jakby zamiera w moich dłoniach. Przebiegam ten ostatni odcinek dzielący mnie od hałdy gruzu. Rzucam się na ziemię obok H, który trzyma swój pistolet obiema dłońmi. Pełzną, odwracam się ku naszym wyimaginowanym przeciwnikom po drugiej stronie kamieniołomu.

H schyla się poniżej krawędzi hałdy i przetacza na plecy, żeby sprawdzić broń. Powietrze śmierdzi kordytem, a każde kolejne uderzenie serca wywołuje straszne dzwonięcie w moich uszach.

- W porządku? - pyta H.

- Tak.

- Dobra, zabezpiecz.

Sprawdzam broń i chowam ją do kieszeni. Wstajemy i spoglądamy w stronę ściany kamieniołomu. Po tym całym hałasie i zamieszaniu wszystko wydaje się dziwnie nieruchome. H skupia wzrok na swoim wozie.

- Cieszę się, że tam nie zostałem - komentuje cichym głosem.

- Zgrabnie nam poszło - mówię, przekonany, że ma na myśli naszą ucieczkę przed fikcyjnymi bandytami.

Od lat nie czułem takiej euforii i mam wielką ochotę wybuchnąć śmiechem. Cichy, szorstki głos H sprowadza mnie na ziemię.

- Nie o to chodzi - stwierdza, wciąż bacznie przyglądając się swojemu ukochanemu range roverowi.

Podążam za jego spojrzeniem. Samochód wygląda na nietknięty, pomijając fakt, że jego zazwyczaj przezroczyste prostokątne szyby zmieniły swój kolor, zupełnie jakby spryskano je tą samą, kredową deszczówką, która pokrywa nasze ubrania i twarze. I wreszcie dociera do mnie, w co się wpatruje i zagryzam dolną wargę.

- Ty dupku - mówi ponuro. - Właśnie rozwaliłeś mi szyby.

To ostatni tydzień naszego treningu. Trwa on teraz dłużej i zmieniło się tempo ćwiczeń. Każdego dnia o świcie jeździmy do różnych opustoszałych miejsc, żeby poćwiczyć strzelanie. Z każdą kolejną sesją H daje mi coraz mniej czasu na wybranie celu i oddanie strzału. Gdy jest już zadowolony z precyzji, każe mi biec trzydzieści metrów do miejsca, z którego strzelam, przez co ustabilizowanie broni staje się trudniejsze. Broń ma się stać przedłużeniem mojej dłoni. Pokazuje mi technikę szybkiego wyciągnięcia pistoletu i pozwala trzymać browninga w pokoju gościnnym, żebym mógł z nim poćwiczyć. Muszę być w stanie wyciągnąć broń i oddać strzał przez sen.

Słońce czy deszcz, my i tak biegamy i biegamy. Niekiedy to H ustala tempo, a wtedy jego rytm jest równy niczym u alpinisty, całkowicie obojętny na pochyłości i temperaturę, kiedy indziej zaś pozwala, abym to ja prowadził, jeśli trafimy na większe wyzwanie. Każe wspinać się na bezlitosne stoki Hay Bluff, następnie biegniemy na drugi koniec Cat's Back i

wzdłuż innego pobliskiego płaskowyzu w kierunku Lord Hereford's Knob. W marznącym deszczu mierzymy się ze zboczami Pen-y-Fan i Cribyn, wysiłek powoduje piekący ból w płucach. H sprawia, że przekraczam moje naturalne granice, ale zatrzymuje się zanim ogarnie mnie rozpacz.

Popołudniami zajmujemy się kwestiami bezpieczeństwa osobistego w podróży: oceną zagrożenia i ryzyka, zachowaniem kontaktu i przestrzeganiem zasad, wejściem i ucieczką, procedurami w sytuacjach alarmowych oraz znaczeniem wcześniejszego przygotowywania bezpiecznych przystani oraz punktów zbornych. Rozmawiamy o korzystaniu z pomocy przyjaciela do obserwowania z dystansu czyichś ruchów i sprawdzonych metodach przeciwdziałających obserwacji, gdy poruszamy się piechotą: przecinaniu otwartych przestrzeni, zawracaniu pod byle pretekstem.

Jeśli chodzi o samoobronę, sprawy są prostsze. Mówi, że wszystko, co widziałem na filmach to bzdury. Kluczowe znaczenie ma podjęcie decyzji o walce bądź ucieczce i trzymanie się swojego wyboru. Ucieczki nie trzeba tłumaczyć. W przypadku walki decydujemy się wykorzystać wszystko, co się da, żeby pokonać albo rozbroić napastnika. Dłoń, kolano, łokieć i głowa mogą zostać wykorzystane w śmiertelnie niebezpieczny sposób, o ile zrobimy to szybko i dokładnie, z całkowitą premedytacją. Lista potencjalnych broni nie ma końca. Gazeta, długopis albo telefon komórkowy mogą stać się zabójczymi narzędziami. W celu zrobienia komuś krzywdy można wykorzystać niezliczoną ilość substancji wykorzystywanych w gospodarstwie domowym, np. pieprz, który na chwilę oślepi przeciwnika, jeśli dmuchniemy mu nim w oczy, gorącą wodą można go poparzyć, a od wybielacza się zakrztusi. Nie ma tutaj zastosowania dla zasad markiza Queensbury⁴⁰.

Jedno ze spotkań poświęcamy rozpoznawaniu rodzajów min. To moja działka, więc przez kilka godzin rozwodzę się na temat całkowicie niehumanitarnego działania charakteryzującego miny przeciwpiechotne, mówię o zabójczych usprawnieniach projektu miny PFM, „motyla” opracowanego przez Sowieców do wykorzystania w Afganistanie, o PMN i jej następnych oraz o właściwie niemożliwej do wykrycia, produkowanej przez Chińczyków, minie Type 72.

Większość następnego dnia poświęcamy tematowi materiałów wybuchowych, jak również ich zaimprovizowanym wersjom produkowanym przez ludzi, których nie stać na odrzutowce i czołgi oraz dziwnym sposobom, na jakie można je zdetonować. H wspomina o

⁴⁰ John Sholto Douglas, dziewiąty markiz Queensbury wprowadził do boksu wiele rewolucyjnych zasad, m.in. dotyczących stosowania rękawic w trakcie pojedynku. W kulturze popularnej odniesienie to dotyczy również szeroko pojętych zasad *fair play* (przyp. tłum.).

kruszącym materiale wybuchowym dostępnym pod postacią przylepnej rolki, którą można przed detonacją szybko przymocować do futryny drzwi, niczym zabójczy pasek taśmy samoprzylepnej. Użycie tego materiału należy do programu nauczania Pułku w zakresie sposobów wejścia, chociaż obaj zgadzamy się co do tego, że wysadzenie drzwi z futryny przy użyciu plastiku należy traktować jako ostateczność.

Ostatniego dnia jedziemy w Black Mountains, właściwie przez cały dzień chodzimy po górach i uważnie studiujemy jedną z map H. Po południu robimy postój w odludnym, przepięknym zakątku w pobliżu małego wodospadu, osłonięci stromą granią. Nurtuje mnie pytanie, jak wyrobimy się z powrotem przed zapadnięciem nocy, ponieważ zmrok zapadnie już za kilka godzin, a my jesteśmy wiele kilometrów od cywilizacji. Przy puszcze sardynek H opowiada mi o spotkaniu członków Pułku w Omanie, wiele lat po wojnie, podczas którego sułtan zaprosił jego i pozostałych członków szwadronu A na wielką imprezę. Sułtan wynajął ogromnego Herculesa C-130, którym polecili do Maskat. Nagle H zmienia temat rozmowy.

- Naprawdę chcesz podjąć się tej misji w Afganistanie? - pyta.

Gawędziarski ton głosu wyparował i teraz spogląda na mnie spod zmierzwionych przez wiatr włosów.

- Oczywiście - odpowiadam, ale mówiąc to zdaję sobie sprawę, że to nie do końca prawda.

- Masz się nad tym zastanowić - mówi. - Musisz mieć stuprocentową pewność, że tego chcesz. Jeśli odczuwasz choćby cień wątpliwości, staw temu czoła i znajdź odpowiedź.

Już się zbieram do komentarza, gdy ucina dyskusję, kładąc między nami mapę i wskazując punkt położony kilka kilometrów dalej.

- Tutaj - mówi. - Chcę, żebyś spędził noc w tym miejscu. Na tym urwisku znajdziesz stare schronisko, gdzie schowasz się przed wiatrem. Przemyśl to wszystko. Dowiedz się, jakie wątpliwości cię dręczą i zajmij się nimi: zanim położysz się spać, gdy obudzisz się w nocy i gdy wstaniesz rano. Weź ze sobą Bergena. W środku jest śpiwór. Możesz się ze mną spotkać o dziewiątej w punkcie wymarszu. Potem będziesz miał możliwość doprowadzić się do porządku, zjemy obiad w pubie i pojedziesz do domu.

A to ci niespodzianka. Członek SAS każe mi pomedytować na szczycie góry. Przyjmuję tę propozycję i nakreślił dla mnie drogę powrotną, bezpośrednio do miejsca, gdzie zaparkowałem, w taki sposób, że jeśli coś pójdzie nie tak, będzie wiedział, że znajdzie mnie gdzieś wzdłuż wyznaczonej trasy. Składa mapę i poklepuje mnie nią w klatkę piersiową, po czym wstaje. Zanim dotrze do samochodu będzie już ciemno.

- Poradzisz sobie? - pytam, od razu żałując tego pytania.

- Wiesz, byłem w SAS - i oddała się truchtem, nie oglądając się za siebie.

Kilka godzin później, gdy księżyc wznosi się na wschodzie, ja docieram do schroniska, czyli, jak się okazuje, zrujnowanej pasterskiej chaty bez połowy dachu. W Bergenie znajduję wodoodporną matę, śpiwór H i lampę stroboskopową na wypadek kłopotów. Rozkładałam się za kamieniami i jedyne, co mi pozostaje, to zastosować się do jego rady. Ciemność ogarnia wzgórze i granie, a wszędzie wokół panuje cisza, przerywana ulotnym szeptem wiatru.

Zastanawiam się, kogo, jeśli miałbym taki wybór, poprosiłbym teraz o radę. Nagle przypominam sobie jedną z opowieści z Bhagawadgity, opowiadającą o księciu-wojowniku Arjunie zastanawiającym się, czy powinien wyruszyć na bitwę, wiedząc, że może w walce trafić na przyjaciół i członków rodziny. Zwraca się do Kriszny z prośbą o radę, ten zaś przypomina mu, że życie i śmierć nie mają znaczenia, a kluczem do życia jest praworządne działanie. Jak mówi Kriszna, *ty jeden możesz zmierzyć się ze swoim losem* i dlatego właśnie udawanie kogoś innego na nic się nie zda. Rada ta nie niesie raczej ze sobą pociechy dla ludzi dręczonych pytaniami dotyczącymi losu, podejmowanych decyzji i wyboru działania.

Kładę się spać, ale mój umysł przeskakuje od przeszłości do przyszłości. H słusznie podejrzewa, że dręczą mnie wątpliwości, a w tej właśnie chwili dopadają mnie niczym demony. Nie martwią mnie aż tak bardzo czyhające na mnie niebezpieczeństwa. Planowanie, trening i zdrowy rozsądek pomagają w znacznym stopniu uporać się z zagrożeniami. Tak naprawdę nie mogę się doczekać powrotu do Afganistanu. Wątpliwości dotyczą tego, czy uda mi się zabrać ze sobą moją tajemnicę, którą nie mogę podzielić się ani z Seethroughem, ani nawet z H i sam ten fakt sprawia, że czuję się jak zdrajca. Nikt poza Baronową nie wie o istnieniu Orfeusza ani o konieczności jego powrotu. Nikt nie rozważa, jak to się mówi w Sieci, „czy wciąż dobrze wypełnia obowiązki głowy rodziny, czy też zamienił się w zbląkaną owcę, której trzeba się będzie pozbyć”.

Nie mogę spać. Jest trzecia w nocy. Wyczołguję się ze śpiwora i spaceruję po okolicy. Nade mną świeci półksiężyc, rozjaśnione jego światłem chmury przesuwają się po niebie w całkowitej ciszy, zaś w prześwitach przelotnie dostrzegam gwiazdy.

Dochodzę do wniosku, że strach jest katalizatorem dziwacznych myśli.

W życiu codziennym ważne sprawy porywają cię ze sobą, uniemożliwiając głębszą refleksję nad różnymi wydarzeniami. Ale teraz, gdy zniknął wszechobecny pęd świata, moje wątpliwości zostały obnażone. Chcę wiedzieć, czy dokonałem właściwego wyboru, ale nie mam pewności, czy to ja się na coś zdecydowałem czy też coś zdecydowało się na mnie. Gdy docieramy do rozdroża, zakładamy, że wybór dalszej ścieżki należy do nas. Każde z nas

chciałoby w to uwierzyć. Ale może ten tak zwany wybór to tak naprawdę efekt wszystkich wcześniejszych wydarzeń, swoiste równanie matematyczne, które, mimo że jest skomplikowane, to można je rozwiązać w tylko jeden sposób. Wszystkie ludzkie doświadczenia stanowią część tego równania, zawierając w sobie nadzieje, marzenia, uprzedzenia i przekonania oraz najdelikatniejsze tęsknoty, żale i całą mroczną machinę lęków. Wszystko to w niedostrzegalny sposób wpływa na nasz wybór niczym tajny komitet głoszący za plecami przywódcy. Kto wie, może i przyszłość wywiera swój wpływ, sięgając wstecz. A gdy wręcz nieskończone złożone równanie znajduje rozwiązanie i decyzja, na podjęcie której nie mieliśmy wpływu, dociera do naszej świadomości, powiemy: to ja dokonałem tego wyboru, i ponoszę za niego odpowiedzialność.

Ale nie o to tutaj chodzi. Pierwszy lepszy propagandzista, magik czy behawiorysta powie ci, że nie mamy tak szerokiego wyboru, jak chcielibyśmy wierzyć. Frapujące pytanie brzmi czy życie człowieka świadomego swojej niewoli różni się od życia tego, któremu wydaje się, że sam o wszystkim decyduje. A jeśli jest jakaś różnica, to jak się ona objawia?

Nie mogę skupić się na tej myśli na tyle długo, żeby znaleźć odpowiedź. Jestem przemarznięty i zmęczony, drzę, czas więc nieco odpocząć.

CZEŚĆ III

Rozdział 7

Nawet dzisiaj nie chcę wdawać się w szczegóły, a świadomość, że i gracze i reguły zdążyły się już zmienić, nie czyni zadania łatwiejszym. To prawda, chciałbym, żeby pewne sprawy ujrzały światło dzienne, ale zrzeczenie się nałogowej dyskrecji, od której uzależnione było często nie tylko moje życie, ale również innych ludzi, przypomina wyciąganie odłamka z rany. Zabieg wydaje się koniecznością, ale można też w ten sposób pozbawić ofiarę życia. Jest coś z umierania w zrzekaniu się części siebie, części, która pomogła mi przetrwać i którą przez wiele lat skrywałem przed światem.

Nosi kryptonim Orfeusz, a na imię ma Emmanuel, ale zanim jeszcze wszystko się zaczęło był dla mnie po prostu Mannym. Zrządzeniem losu znaleźliśmy się obaj pod koniec lat 80. w pakistańskim Peszawarze, niedaleko granicy afgańskiej i od tamtej chwili nasze losy splotły się ze sobą.

Poznaliśmy się któregoś wieczora w restauracji cieszącego się złą sławą Green's Hotel - ulubionego miejsca spotkań dziwaków i awanturników zwabionych urokiem tajemniczej i niebezpiecznej wojny toczonej w okupowanym przez Sowieców Afganistanie. Obaj pragnęliśmy towarzystwa i momentalnie przypadliśmy sobie do gustu. Wykorzystując wakacyjną przerwę od zajęć uniwersyteckich, Manny wędrował po dolinie Chintral, a do Peszawaru przybył, podobnie jak ja, z nadzieją przyłączenia się do grupy mudżahedinów, którzy mogliby przeprowadzić go przez granicę do Afganistanu.

Choć ma dwadzieścia trzy lata i jest ledwie rok starszy ode mnie, imponuje mi swoją zaradnością i sprawia, że dobrze się czuję w jego towarzystwie. Wojsko zaproponowało mu odbycie pierwszego etapu służby oficerskiej i opłaca mu studia na uniwersytecie, on zaś postawił sobie za cel wstąpienie do pułku kawalerii. Sam rozważam udanie się w przyszłym roku do Sandhurst i chłonę wszystko, co mówi mi o swoich planach. Obaj jesteśmy zafascynowani Afganistanem i nie możemy oprzeć się pokusie znalezienia się bliżej teatru działań.

Green's to ponury hotel. Posępny, podupadły, o marnym poziomie usług i, co najgorsze, bez pozwolenia na sprzedaż alkoholu. Pakistańska obsługa dobrze wie, że większość gości nie wybrała tego przybytku ze względu na sentyment, jakim go darzą, ale dlatego, że jakimś sposobem ulegli urokowi Afganistanu, wabiącemu ich zza terytoriów plemiennych, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od hotelu. Nie podzielają naszego entuzjazmu do Afganistanu ani jego ludu i nie ukrywają, że według nich nie mamy pełnego obrazu

sytuacji. Czerpiemy niezdrową satysfakcję z ich cynizmu, a Manny właśnie w duchu takiego oporu przesznuł do pokoju butelkę wolnoctwowej whisky.

Pijemy całą noc, by nad ranem zacząć planować wspólną podróż „do wewnątrz”. To lekkomyślny i niebezpieczny pomysł, ale dochodzimy do wniosku, że co dwie głowy to nie jedna, a że w strefie wojny wszystko się może zdarzyć, to lepiej połączyć nasze umiejętności. Gdy już znajdziemy się w Afganistanie, nie będziemy mogli nawiązać łączności ze światem zewnętrznym, więc wymieniamy się adresami - na wypadek gdyby któryś z nas musiał przekazać złe wieści rodzinie drugiego. Przez tydzień zwiedzamy miasto i jego przepelnione hałasem bazy w starej części miasta, gdzie kupujemy afgańskie ubrania, przygotowując się do pierwszej w naszym życiu wyprawy na wojnę. Zaprzyjaźniamy się z pasztuńskim plemieńcem żyjącym przy granicy z Afganistanem i towarzyszymy mu w wyprawach do kilku rozrzuconych po tamtej okolicy osad, w których prawo działa w bardzo ograniczonym zakresie, gdzie broń i narkotyki kupuje się jak cukierki w szkolnym sklepiku. W Darrze wypróbujemy towary rusznikarza i, zgodnie z oczekiwaniami, Manny’emu udaje się wyrzucić na miejscowych spore wrażenie - wykazuje biegłość w posługiwaniu się bronią. Pewien starzec na wieść, że pochodzimy z Anglii, opowiada nam historię charyzmatycznego fakira znanego wśród Pasztunów jako Mirza Ahmed Khan, który to pół wieku wcześniej przewodził partyzanckiemu dżihadowi przeciwko pobytowi Brytyjczyków na tych terenach. Aby go wytropić, w dzikie ostępy Waziristanu posłano czterdzieści tysięcy żołnierzy, ale trwająca ponad dekadę kampania nie przyniosła żadnych efektów.

Wreszcie nadchodzą oczekiwane przez nas wieści. Grupa mudżahedinów zgadza się przesznułować nas do Afganistanu, do swojej regionalnej kwatery głównej zlokalizowanej w prowincji Logar, niedaleko na południe od stolicy, Kabulu. Kilka dni później opłacamy swoje rachunki w hotelu i wysyłamy do domów ostatnie listy. O świcie następnego dnia zmierzamy już ku wyznaczającemu granicę państwa nierównemu, fioletowemu zarysowi gór, w których dołączamy do tuzina uzbrojonych mudżahedinów prowadzących mały konwój koni obładowanych bronią i zapasami.

Maszerujemy dniem i nocą, od wsi do wsi, śpiąc w jaskiniach i na górskich zboczach, szybko dając się wciągnąć niebezpiecznemu i romantycznemu życiu u boku naszych gospodarzy - partyzantów. Po raz pierwszy w życiu dane jest nam posmakować wojny. Początkowo z dystansu, w postaci przeciągłego, donośnego dudnienia artylerii kładącej ogień zaporowy kilometry od nas, przelotnie dostrzegając myśliwce odrzutowe, pobłyskujące niczym srebrne strzały na tle kobaltowego, afgańskiego nieba. I z bliska, gdy na wioskę, w której spędzamy noc, w niewytłumaczalny sposób spadają dwie bomby, a w trakcie

wynikłego po eksplozji zamieszania widzimy bezwładne, pokawałkowane ciała kilku zabitych przez wybuchy wieśniaków - wojna w jednej chwili staje się dla nas czymś rzeczywistym.

Jesteśmy młodzi i, w swoim własnym mniemaniu, nieśmiertelni. Nasi gospodarze - ludzie mężni i przyjacielscy, ale równocześnie źle uzbrojeni i pozbawieni treningu, zgadzają się abyśmy wzięli udział w kilku operacjach skierowanych przeciwko ich wrogom. Towarzyszymy im podczas misji zaminowywania, mających na celu sparaliżowanie konwojów przeciwnika i podczas ataków na rozsiane w rejonie posterunki wojskowe. Nasza niefrasobliwa kompania niejednokrotnie sama staje się celem, a wtedy doświadczamy perwersyjnej przyjemności płynącej z wsłuchiwania się w melodyjne jęki kul trafiających zaraz obok i otrzepywania się z piachu po ucieczce przed ostrzałem artyleryjskim.

Początkowo nie nosimy żadnej broni i zgadzamy się pełnić jedynie rolę świadków wydarzeń. Aż którejś nocy dołączamy przy świetle księżyca do drużyny liczącej trzydziestu pięciu mężczyzn, którzy chcą podkraść się do pozycji wroga i zmusić go do złożenia broni. Mowa tu o ufortyfikowanym domu o ścianach z suszonej na słońcu cegły z dwiema małymi wieżyczkami obserwacyjnymi, obsadzonym przez poborowych Armii Afgańskiej pod sowieckim dowództwem. Dziesięć metrów od ogrodzenia eksplozja potężnej miny przeciwpiechotnej wyrzuca naszego dowódcę w powietrze, odrywając mu nogę na wysokości kolana. Manny był tuż za nim, rozrzucający w wyniku eksplozji piasek uderza go w twarz, ale udaje mu się odciągnąć dowódcę w bezpieczne miejsce. Wycofujemy się w nieładzie, oświetleni jaśniejącymi nitkami pocisków smugowych rozdzierających otaczającą nas ciemność. Jednemu z naszych przestrelono rękę, drugi cudem unika śmierci, gdy kula wbija się w przewieszoną przez plecy strzelbę. Po kilku godzinach marszu docieramy wreszcie do naszej kwatery głównej - sieci jaskiń wydrążonych w skarpie nad wioską. O świcie dowódca umiera z imieniem Boga na ustach.

To nie nasza wojna. Ale Manny sugeruje, że dysponując materiałami wybuchowymi i kilkoma bojownikami więcej, będziemy w stanie zdobyć posterunek wroga i błaga zastępcę dowódcy, aby ten poprosił o dodatkowe wsparcie na potrzeby kolejnego ataku. Samorzutnie rozpala w pogrążonych w żalu umysłach członków grupy obietnicę zemsty. Jego naturalny autorytet i pewność siebie fascynują Afgańczyków i dni, które nastąpiły po pogrzebie dowódcy przeprowadzonym na zboczu góry, mijają na długich rozmowach.

Dzienny zwiad przynosi informacje wzmacniające argumenty Manny'ego. Budynek obserwujemy z dystansu niecałego kilometra, przez starą lornetkę pozwalającą nam dostrzec zarys łukowatych drzwi w tylnej ścianie, które są teraz zamurwane. Może to być najslabszy

punkt posterunku i właśnie na nim Manny radzi skoncentrować nasz atak.

Buduje z piasku model fortu i otacza go malutkimi kamieniami, oznaczając w ten sposób pole minowe. W piasku wyrysowuje pole ostrzału oraz pozycje nasze i grup okrążających, mających zająć się ewentualnym kontratakiem. Wszystkie te informacje przekazuje po persku, używając niezbyt bogatego, ale dynamicznie przekazywanego słownictwa, które przyswoił w ciągu kilku tygodni i zazdroścę mu nie tylko zdolności taktycznych, ale również niezwykłych predyspozycji językowych. To korzystne połączenie. Kilka dni później u wejścia do naszej jaskini pojawia się tuzin nowych bojowników, ciemnoskórych brodaczy obwieszonych pasami z amunicją i bronią automatyczną, pytających o chrześcijańskiego *mujahida*.

Ten śmiały plan jest udoskonalany w trakcie kilku kolejnych wieczorów. Prowadzący wybada pole minowe, umożliwiając Manny'emu dotarcie na tyły posterunku. Ładunek wybuchowy, odlany ze stopionego TNT z min przeciwczołgowych, zniszczy tę część budynku, otwierając drogę dla grupy szturmowej. Wieże fortu, z zamontowanymi na nich lekkimi karabinami maszynowymi, zostaną zaatakowane granatnikami przeciwpancernymi. Odpowiednią ilość światła podczas ataku zapewnią trzy sowieckie race świetlne. Manny dobitnie podkreśla znaczenie zgrania w czasie i koordynacji oraz metodycznego wykorzystania ognia bezpośredniego. Ludzie są urzeczeni.

To zdumiewające, ale plan zdaje egzamin. Nie potrzebujemy oddziału szturmowego. Tylna ściana jest cieńsza niż sądziliśmy i ładunek wybuchowy wrywa w niej dziurę wielkości drzwi garażowych. Czekając na sygnał do ataku, ostrzelujemy wyłom w murze z lekkich pistoletów maszynowych. Ale już po kilku sekundach z budynku wybiegają przerażeni lokatorzy, oświetleni teraz dziwnym, sztucznym światłem rac syczących nam nad głowami. Wydają dwóch członków KHAD, siejących postrach afgańskich tajnych służb, którzy giną stawiając opór w trakcie zatrzymania. Cały atak to wzorcowo odniesione zwycięstwo zakończone zdobyciem posterunku.

Gdy kilka dni później u Manny'ego pojawiają się oznaki wysokiej gorączki, w głębi duszy oddycham z ulgą. Wieści o zwycięstwie chrześcijańskiego dowódcy rozprzestrzeniają się z prędkością błyskawicy i doskonale zdajemy sobie sprawę z faktu, że wkrótce dotrą do afgańskiej tajnej policji, która z kolei zgłosi obecność obcego najemnika swoim sowieckim panom. Pozostanie tutaj byłoby zbyt niebezpieczne zarówno dla nas, jak i dla naszych gospodarzy, więc podejmujemy decyzję o powrocie do Pakistanu, aby odzyskać siły. W dzień naszego wymarszu w oczach kilku mężczyzn dostrzegam łzy - osobliwy widok, ponieważ w naszym wyobrażeniu wojownicy nie mogli odczuwać cierpienia.

Nie mam najmniejszych wątpliwości jak potoczyłyby się nasze losy, gdybyśmy tam zostali. Manny to człowiek odważny i ambitny, co w wojnie równie nieprzewidywalnej i brutalnej jak ta w Afganistanie, doprowadziłoby do tragedii, której nie chciałbym być świadkiem. Dwa tygodnie później jesteśmy już w Anglii, wstrząśnięci i przygnębieni tak nierzeczywistym dla nas widokiem. W głębi serca chcielibyśmy móc w jednej chwili wrócić do Afganistanu, do pięknego i pełnego niebezpieczeństw miejsca, dzięki któremu poczuliśmy, że żyjemy. Dzieliliśmy niepokój towarzyszący zagrożeniu i agonię narodu rozdartego przez konflikt: staliśmy się współczesnymi braćmi krwi. Wizja zwykłej egzystencji pośród ludzi niedoceniających przywilejów życia w czasach pokoju, których istnienie wypełnione jest tysiącami drobnych zmartwień, wydawała się nam równa karze więzienia.

Po ukończeniu Sandhurst Manny zaciąga się do pułku kawalerii, zdobywając reputację za zapał i odwagę. Odwiedzam go przy okazji przyjęć w kantynie oficerskiej, gdzie duch romantyzmu pozostaje wiecznie żywy pośród młodych, wysportowanych idealistów w czerwonych kurtkach ze złotymi lamówkami. Kolacje są hałaśliwe w przyjemny sposób, a atmosferę dodatkowo podgrzewa szczerze rozlewane wino. Podczas jednej z takich imprez, wprawiam innych w zakłopotanie, nie przekazując dalej porto. Jakiś czas później mam okazję zobaczyć, jak Manny zabiera się za rytualne przejęcie ostróg dowódcy, czołgając się pod długim stołem przyozdobionym srebrnymi bibelotami pułku z Bałakławy. Po kolejnej kolacji wieczór kończy się walką z użyciem gaśnic prowadzoną na korytarzach kantyny.

Postanawiam pójść za jego przykładem i, otrzymawszy możliwość odsłużenia pierwszego etapu służby oficerskiej, dołączam do byłego pułku ojca. W posępnych salach wykładowych, ściśniętych za okazałą fasadą Sandhurst, przebijam się przez Clausewitza i patetyczne definicje nękania przeciwnika oraz walki manewrowej. Dostrzeżono również moją znajomość języków bliskowschodnich, co zaprowadziło mnie do wojskowej szkoły językowej w Beaconsfield i Ashford, gdzie towarzyszyłem Grupie Zielonej, znanej szerzej jako Służby Wywiadowcze.

Okrutnym zbiegiem okoliczności obaj z Mannym zakochujemy się w jednej kobiecie, z którą spędzamy każdą wolną chwilę, choć o różnych porach. Nasza zaprawiona kroplą goryczy rywalizacja o jej względy ciągnie się przez rok, zaś nasza przyjaźń zostaje poddana w tym czasie ciężkiej próbie. Odbudowujemy ją bez śladu dawnych napięć, po tym jak ukochana zostawia nas obu.

W międzyczasie w wielkim świecie dochodzi do swoistego przełomu. Po brutalnej, dziesięcioletniej okupacji Afganistanu Sowieci żałośnie wycofują się z jego terytorium, a ich imperium ulega rozpadowi. Nadszedł kres operacji Armii Czerwonej w Afganistanie i mam

wrażenie, że ostatnia dobra wojna na świecie właśnie dobiegła kresu. Manny czuje to samo.

Znałem Baronową, czy może tak mi się wydawało, od momentu, gdy zjawiała się w domu, w którym mieszkałem jako dziecko - była jednocześnie gościem i dawną przyjaciółką taty. Nigdy nie wyjaśniono mi, co dokładnie łączyło ją z moim ojcem, nigdy też nie przyszło mi do głowy zapytać. Pracuje na uniwersytecie, reprezentuje starą szkołę i napisała książkę traktującą o swoich zuchwałych wędrówkach po Bliskim Wschodzie. Wydaje mi się, że jej mąż był dyplomatą. To do przesady uprzejma, wytworna kobieta o autentycznym uroku. Zawsze widywałem ją tylko w najbardziej formalnym stroju.

Baronowa wyróżnia się na tle dorosłych, którzy przewinęli się przez moją młodość. To jej zawdzięczam dziesiątki opowieści o Afryce i Bliskim Wschodzie, to ona zainspirowała mnie do podjęcia studiów na Wydziale Języków Bliskowschodnich. Gdy niedługo po naszym pierwszym powrocie z Afganistanu, przedstawiam jej Manny'ego, niczym matka chrzestna okazuje uprzejmą troskę o naszą przyszłą karierą, zadając sobie nawet trud przesyłania nam wycinków z gazet lub też informowania o filmach czy dokumentach poruszających tematy, które jej zdaniem mogłyby nas zainteresować.

Któregoś dnia dzwoni z zaproszeniem do swojego londyńskiego mieszkania w Małej Wenecji. Jemy wspólnie kolację, a gdy rozmowa schodzi na temat Afganistanu, jak to zawsze w naszym przypadku bywało, Manny zaskakuje nas oboje, wygłaszając płomienną mowę na temat niemoralnego postępowania zachodnich mocarstw, winnych porzucenia tego państwa i niepodjęcia żadnych kroków ku odbudowie narodu, w którego zniszczeniu mieli swój udział.

Baronowa z uwagą słucha jego wypowiedzi, po czym poważnym tonem, jaki rzadko u niej słyszeliśmy, rozbudowuje ten argument w sposób, który wprawia nas w zdumienie. Do tamtej pory postrzegaliśmy ją jedynie jako wytworną i uprzejmą starszą damę.

- Czy zastanawialiście się - pyta - nad konsekwencjami wojny w Afganistanie w szerszym zakresie, i tym, jak one na nas wpłyną? Obaj poszukujecie czegoś niezwykłego. Może właśnie nadeszła chwila, aby to odkryć.

Mówi nam, że wkraczamy w nową erę, w której prawdziwa groźba dla Zachodu nie ma charakteru wojskowego. Zachodnie mocarstwa nie będą już prowadzić konwencjonalnych wojen, gdyż w przyszłości przeciwnik będzie bardziej rozproszony. Wrogowie rekrutować się będą po części ze zrażonych polityką Zachodu ludów świata islamu. Stanowczo zbyt długo wtrącaliśmy się w sprawy tych krajów i manipulowaliśmy nimi. Przykład Afganistanu udowodnił, że biedni, ale zdeterminowani ludzie mogą stawić opór i wygrać nawet wtedy, gdy wszystko przemawia przeciwko nim, a dziesięcioletnia wojna z Sowietami posłużyła za

wezwanie dla całego świata muzułmańskiego. Jednocześnie osiągnięte po wielu trudach afgańskie zwycięstwo wykorzystują zbierający się tam ekstremiści, dążący do rozprzestrzenienia agresji poza granice państwa. To właśnie pośród tych, luźno ze sobą sprzymierzonych, grup bojowników dojrzewa prawdziwe zagrożenie i właśnie takimi sprawami interesuje się mała organizacja, której członkinią jest również Baronowa. Opowie nam więcej, jeśli tylko obiecamy zachować to w tajemnicy. Słuchamy z Mannym jak zaczarowani.

Nazywa ją Siecią i wyjaśnia, że dołączyła do niej poprzez swoją przyjaciółkę - była agentką SOE⁴¹ o imieniu Freya. W pierwotnym zamyśle chodziło o stworzenie w razie potrzeby aktywowanej struktury, dzięki której możliwe byłoby przeniknięcie do grup mających kluczowe znaczenie dla brytyjskich interesów na Bliskim Wschodzie oraz zdobycie informacji na temat ich działalności. Organizacja funkcjonowała niezależnie od bardziej tradycyjnych służb wywiadowczych, z którymi podejmowała współpracę w razie konieczności, ale dla dobra sprawy nie dzielono się szczegółami operacyjnymi. Jako twór znacznie mniejszy i niewymagający zgody ministrów oraz nieskrępowany przez realizowane w danym momencie programy polityczne, Sieć cieszyła się swobodą, będąc jednocześnie narażoną na większe niebezpieczeństwo. Z powodzeniem posłużono się nią kilka razy w ciągu paru ostatnich dekad, ale fakt, że Brytyjczycy stracili wpływ na wydarzenia na Bliskim Wschodzie, doprowadził do zawieszenia jej działalności.

Obecnie zaś, gdy świat ponownie staje w obliczu zagrożenia o nieznanym skali, Sieć doczekała się reaktywacji na kilku kontynentach. Baronowej powierzono zadanie pozyskiwania informacji z Afganistanu i dlatego właśnie, jak się przyznaje, postanowiła poruszyć tę kwestię w rozmowie z nami.

Napoleon mawiał, że jeden szpieg w obozie wroga więcej jest wart, niż tysiąc żołnierzy na polu bitwy i powiedzenie to jest obecnie bardziej trafne niż kiedykolwiek wcześniej. Jak wyjaśnia, przeniknięcie do grupy potencjalnych terrorystów nie jest specjalnie trudne dla osoby posiadającej odpowiednie umiejętności. To długotrwałe zbieranie przydatnych informacji na temat ich działalności oraz przekazywanie ich sojusznikom może nastęrczyć problemów. Idealnie sprawdza się w tej sytuacji para agentów. Pierwszy znika wszystkim z oczu i rozpoczyna nowe życie, w obozie będącym celem operacji. Drugi trzyma się w określonej odległości od niego, odbierając i przekazując sygnały niczym wypolerowane

⁴¹ Special Operations Executive - Kierownictwo Operacji Specjalnych, tajna brytyjska agencja rządowa funkcjonująca w trakcie drugiej wojny światowej, odpowiedzialna m.in. za akcje dywersyjne oraz wspomaganie ruchu oporu w okupowanej Europie.

lustro teleskopu.

- To nie jest zajęcie na kilka tygodni czy miesięcy, ale na całe lata - podkreśla. - Zwykle służby wywiadowcze nie kultywują już tej praktyki. Lubimy myśleć o tego typu służbie jako o wywiadzie, którego celem jest zdobycie informacji wyższego stopnia. Konwencjonalny wywiad reaguje na aktualne zmiany. My maszerujemy w innym rytmie. Ze względu na naturę Sieci, przynależność do niej wymaga brzemiennej w skutki oddania i poświęcenia wszystkich pomniejszych ambicji. Ale ponad wszystko należy powierzone nam zadanie trzymać w tajemnicy i dzielić się nią jedynie z garstką ludzi. Dopóki istnieje Sieć, nie wolno rozmawiać o jej osiągnięciach z ludźmi spoza jej struktur.

Dlatego właśnie jej członkowie są tak skrupulatnie rekrutowani spośród rodzin zaufanych przyjaciół, którzy wykazali się, jak to ujmuję, „właściwym duchem”.

Sieć służy idei, nie władzy - nie posiada wyraźnej hierarchii. Baronowa mówi, że nawet ona ma swoich nauczycieli. Zadaniem członków Sieci jest zrozumienie obiektu misji, pogłębienie swojej wiedzy i przekazanie rezultatów właściwym osobom. Nie jest ich celem zmiana oblicza świata, ale wpłynięcie na niego, ponieważ długotrwały rozwój wywołuje się nie dzięki zastosowaniu zewnętrznej siły, ale dzięki zrozumieniu. Postępy w obrębie Sieci oparte są o samo zrozumienie.

Baronowa informuje nas, że nigdy nie będzie nam dane poznać dokładnej ilości członków organizacji, a to dlatego, że takie dane nie istnieją. Członkowie Sieci nigdy nie zbierają się w jednym miejscu. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będą ze sobą współpracować, ale nie z myślą o zysku czy awansie. Zajmują stanowiska w rządzie, wojsku, handlu i środowisku akademickim. Satysfakcjonuje ich niedostrzegana przez innych praca, a przez większość czasu prowadzą całkiem zwyczajne życie, umiejętnie wplatając swoje tajne zadania w codzienne obowiązki.

Taka oto możliwość, jeśli tylko weźmiemy ją pod uwagę, pojawiła się właśnie przed nami.

Daje nam czas do namysłu, ale nie potrzebujemy go wiele. Jesteśmy młodzi i pełni werwy, więc przyjmujemy jej propozycję. Pozornie nasze życie nie ulega zmianie, ale w wolnym czasie, zawsze gdy obowiązki na to pozwalają, spotykamy się z Baronową i rozpoczynamy swoje tajne nauczanie.

Czasami masz okazję uczyć się rzeczy, które sprawiają, że każdy dzień jest dla ciebie jak bezcenny dar. Takie właśnie były nasze pierwsze spotkania. Fakt, że musieliśmy trzymać tę wiedzę w sekrecie dodatkowo nas upajał - z tego właśnie powodu od samego początku wbijano nam do głów zasadę dyskrecji.

Baronowa mówi, że sukces całej naszej przyszłej pracy zbudowany jest na dwóch filarach: sztuce obserwacji i potajemnej komunikacji - najbardziej podstawowych praktykach, które nie uległy zmianie odkąd człowiek nauczył się szpiegować, na dodatek niewymagających użycia jakiegokolwiek technologii. W pierwszej kolejności uczymy się patrzeć i słuchać, korzystając z nowych wersji naszych zmysłów, których podstawowe funkcje zostały jakby wzbogacone o dodatkowy wymiar. Mamy założyć, że znajdujemy się pod nieustanną obserwacją i widzieć siebie oczami obserwatora. Uczymy się śledzić ludzki cel, zwracając uwagę na jego zachowanie, a następnie je przewidywać. Odwróciwszy te umiejętności, mamy unikać śledzenia i maskować charakterystyczne gesty zniecierpliwienia, zdenerwowania czy ulgi. Baronowa bez końca przypomina nam, że musimy być w stanie zasygnalizować wybrane przez siebie emocje temu, kto akurat patrzy, jak również zwracać uwagę innych na to, na czym nam zależy.

Aby wyostrzyć naszą zdolność obserwacji prosi, abyśmy skupili się na czymś w bliskim otoczeniu, po czym wskazuje momenty, w których nasza uwaga osłabła. Zdolność do skupienia się na określonych obiektach musi funkcjonować teraz ze wzmożoną siłą. Podczas spotkań w restauracjach sprawdza nas, każąc opisywać twarze ludzi siedzących przy stolikach, które mijaliśmy wchodząc i zmuszając do przypomnienia sobie numerów autobusów lub taksówek, którymi przyjechaliśmy. Wyjaśnia, jak wykorzystywać techniki mnemotechniczne do zapamiętywania list rzeczy lub nazwisk. Musimy je sobie przyswoić, mówi, codziennie stopniowo je ćwiczyć i wpleść w życie, aż staną się czymś naturalnym, nie zdradzając ukrytych zamiarów.

Dużo czasu poświęcamy organizowaniu i prowadzeniu spotkań. Aby możliwe było przekazanie tajnej informacji między dwiema stronami, musi dojść do kontaktu, który jest najbardziej niebezpiecznym momentem całej procedury. Jeśli do wymiany ma dojść słownie, najodpowiedniejsze może okazać się „przypadkowe”, a w rzeczywistości wcześniej zaaranżowane spotkanie. Jeśli informacja może zostać przekazana bez konieczności rozmowy, najlepiej sprawdzi się przelotny kontakt, polegający na pozbawionej słów wymianie tajnych materiałów. Innym jeszcze rozwiązaniem jest wykorzystanie niewinnie wyglądającej, pozbawionej wyrazu osoby trzeciej. Każde rozwiązanie ma swoje mocne strony i niesie ze sobą jakieś zagrożenia. Przelotny kontakt musi zostać dokładnie zaplanowany i odpowiednio zgrany w czasie, może się okazać, że osoba trzecia nie jest godna zaufania, a podczas możliwego przesłuchania opisz obie strony. Przypadkowe spotkanie musi zostać dobrze zaplanowane, na wypadek, gdyby poddane zostało wnikliwej analizie. Spotkanie można jednak zorganizować także niebezpośrednio, na przykład dając ogłoszenie do gazety,

przekazując zakamuflowaną wiadomość w trakcie rozmowy telefonicznej lub też wykorzystując „martwą skrzynkę kontaktową” w uzgodnionym wcześniej miejscu, które obie strony odwiedzają osobno w różnych porach, może nawet w odstępie kilku dni. Sposobem, jaki preferuje Baronowa przy przekazywaniu krótkich wiadomości jest „niewinny” list, którego całkiem zwyczajna treść zawiera ukrytą, podzieloną na części wiadomość możliwą do odcodowania dzięki kluczowi, który jest znany jedynie odbiorcy. W tym celu ćwiczymy różnorodne kody i szyfry, możliwe do opracowania w terenie bez wykorzystania potencjalnie obciążających pomocy, czyli np. drukowanych szyfrów z kodem jednorazowym lub księgi kodów. Studiujemy także teorię frakcjonowania i homofonii oraz różne sposoby łączenia kodów, pozwalające na krótką metę uniemożliwić ich złamanie.

Słuchamy opowieści o losach słynnych podwójnych agentów i szpiegów oraz o ich sukcesach i porażkach. Przyglądamy się karierze jednego z najwybitniejszych szpiegów CIA, oficera sowieckiego GRU, Olega Pieńkowskiego, zastanawiając się, czy był potrójnym agentem. Dowiadujemy się o spokojnej Angielce, matce trójki dzieci, którym Pieńkowski przekazywał w miejskich parkach i w pociągach mikrofilmy wypchane słodyczami. Kobieta była przeszkolona do tego zadania przez służby wywiadowcze i nigdy nie przyłapano jej na gorącym uczynku. Słyszymy o ekscentrycznym zachowaniu Aldricha Amesa, który nie wzbudził niczyich podejrzeń kupując drogie, szyte na miarę garnitury za pieniądze KGB, odwdzięczając się w ten sposób za wydanie setek agentów CIA działających za granicą. Badamy długie i pełne sukcesów kariery agentów o skrupulatnie skonstruowanych legendach, jak to było chociażby w przypadku Rudolpha Abela i Konona Molody'ego. Abel mieszkał w Nowym Jorku, udając emerytowanego specjalistę od obróbki materiałów zdjęciowych; z kolei Molody pracował w Londynie jako sprzedawca automatów z gumą do żucia. Obaj przewodzili siatkom szpiegowskim, ostatecznie złapano ich i skazano na długie lata pozbawienia wolności, ale później obu też wymieniono na zachodnich szpiegów schwytych w Związku Sowieckim.

Przy którejś okazji możemy posłuchać wykładu analizującego odważną ucieczkę z Moskwy pułkownika KGB, Olega Gordijewskiego, zorganizowaną przez jego opiekunów z SIS. Opowiada nam o tych wydarzeniach mężczyzna w średnim wieku o poważnej twarzy, jasnych włosach i wyraźnym słowiańskim akcencie, wypożyczony nam na ten jeden dzień za zgodą przedstawiciela Firmy. Wyznaję później, jak wielkie wrażenie wywarł na mnie mówca.

- Masz się skupić na sztuce szpiegowskiej - upomina mnie Baronowa - a nie na osobowości uczących jej osób. - Pozwala, żeby dotarło do mnie znaczenie tych słów. - Jeśli przyjrzesz się uważniej, dostrzeżesz zimną dumę i próżność zżerającą ich od środka.

U podstaw naszego treningu leży stwierdzenie, że bez względu na sposób komunikacji i przekazywania wiadomości, zawsze istnieć musi wiarygodna przykrywka i niewinnie wyglądające, ustalone wcześniej sygnały informujące o niebezpieczeństwie. Przykrywka jest niezbędna. A im jest bardziej wiarygodna, tym lepiej.

Gdy Saddam Hussajn bez namysłu najeżdża Kuwejt, Baronowa wzywa nas na rozmowę. Spodziewamy się wysłania w rejon Zatoki Perskiej i czekamy na ostateczne rozkazy. To nie będzie zwykła wojna, mówi nam Baronowa. Z dużą dozą pewności siebie przewiduje, że nie potrzeba wiele czasu, aby wyzwolić Kuwejt, ale zaślepiiony swoim zwycięstwem Zachód nie dostrzeże poważniejszych konsekwencji tego konfliktu. Gotowość Ameryki, aby odwrócić się plecami do bohaterskiego, wyniszczonego narodu afgańskiego, a jednocześnie, aby wydawać miliardy dolarów na obronę zdeprawowanego, bogatego w ropę naftową kraju, usprawiedliwi cyniczne nastawienie przeciwników USA. I ten czas nadchodzi. Mamy ostatnią szansę na wycofanie się. Wojna w Kuwejcie będzie stanowiła kontekst dla naszej operacyjnej fazy współpracy z Siecią. Nad wyraz lubuje się w słowie „kontekst”. Radzi, by czekać na rozkazy i nie robić niczego ponad to, czego się od nas oczekuje. Z pewnością rozpoznamy dany sygnał.

- To jak z przejeżdżającym autobusem - wyjaśnia - będziecie wiedzieć, w którym momencie do niego wskoczyć. Lepiej, żeby żaden z was nie wiedział, kiedy do tego dojdzie.

I, jak się okazało, nie wiedzieliśmy. Gdy rozpoczynają się działania wojenne, dziwnym trafem dołączamy jako oficerowie spoza pułku do tego samego zespołu przesłuchującego w Kuwejcie. Naszą macierzystą jednostką jest Połączone Skrzydło Służb Przesłuchujących, mieszczące się w Ashford i dowodzone przez podpułkownika ze służb wywiadowczych, stąd oznaczenie „2” które nosimy, wskazujące na przynależność do wywiadu. Przydział jest niezwykle, ponieważ zespół przesłuchujący, do którego dołączyliśmy - ja jako oficer operacyjny, zaś Manny jako zastępca dowódcy - tworzone są głównie z rezerwistów: ochotników z 22 Kompanii Wywiadowczej, jednostki rezerwy sił morskich HMS *Ferret* oraz eskadry 7630. Jako że obaj mamy wykształcenie językowe zdobyte w Beaconsfield, ale nie jesteśmy starszymi oficerami ani oficerami rezerwy, w uświęcony tradycją sposób zrzucamy winę za przydział na wojsko. Większość zespołów przesłuchujących jest wysyłana na pierwszą linię, gdzie przetrzymywani są jeńcy, ale my otrzymujemy przydział do więźniów pierwszej kategorii, która obejmuje zazwyczaj wyższych rangą oficerów i personel wywiadowczy. Nasz zespół przejmuje leżący na obrzeżach miasta magazyn i zamienia go w centrum przesłuchań. Ledwie zaczęliśmy się rozkręcać, a wojna już się kończy. Wspaniała armia Saddama Hussajna umknęła przed atakiem sprzymierzonych sił i

sprawdziły się przewidywania Baronowej. Działania zbrojne w trakcie Pustynnej Burzy trwały sto godzin, Kuwejt został wyzwolony, a „matka wszystkich bitew” zamieniła się w pogrom.

Nie spodziewamy się ataku, który ma nadejść. Ani Manny, ani ja, nie zdajemy sobie sprawy jak gruntownie i nieodwracalnie te dziesięć minut zmieni nasze życie. Manny nie ma bladego pojęcia, że zostanie schwytyany przez oddział izraelskich komandosów, pobity do nieprzytomności i zamknięty w kryjówce Mossadu w Kuwejcie. Ale gdy ten sam oficer Mossadu, który bił Manny'ego po twarzy, żeby siniaki sprawiały wrażenie obrażeń cięższych niż w rzeczywistości były, wsuwa mu wąską piłkę do metalu i przed wrzuceniem do celi z Arabem podejrzanym o terroryzm, klepie go po plecach, życząc powodzenia, Manny już wie, że to na ten autobus czekał. Gdy przecina swoje kajdanki, w następnej kolejności uwalniając towarzysza z celi i pozbywając się metalowych prętów w oknie, sprawia, że Arab nie może wręcz uwierzyć własnemu szczęściu. Nie ma najmniejszych powodów podejrzewać, że jego ucieczka została ukartowana. Widzi tylko rozjuszonego angielskiego żołnierza, dzięki któremu odzyskał wolność, żołnierza ślubującego dżihad przeciwko Syjonistom. Z uśmiechem na twarzy przedstawia go swoim przełożonym. Najniebezpieczniejszy etap pracy Manny'ego właśnie się rozpoczął.

Ale nie wszystko idzie zgodnie z planem. Nie miałem nikogo zabijać. Izraelczycy są jednak skłonni przymknąć oko na ten wypadek, a to dlatego, że schwytali poszukiwanego przez nich od lat Gemayela. Ubito taki właśnie interes. Mossad dostaje swojego człowieka, a Manny od samego początku misji dysponuje idealną przykrywką w postaci wszystkich tych siniaków i całej zaistniałej sytuacji.

Po blisko pół roku od tych wydarzeń na londyńską skrytkę pocztową przychodzi pierwsza informacja. Ma postać „niewinnego” listu wysłanego z Dżalalabad w południowym Afganistanie. Baronowa nazywa to „oznaką życia”. Manny, któremu nadano kryptonim Orfeusz, przedostał się do Afganistanu, posługując się nowozelandzkim paszportem i prosi o podanie adresu w Kabulu, pod który mógłby wysyłać swoje raporty. W taki oto sposób rozpoczyna się nowy etap mojej pracy. Baronowa informuje mnie, że zwolniło się miejsce w brytyjskim truście mającym siedzibę w Kabulu zajmującym się rozminowywaniem. Firma ta przychylnym okiem patrzy na byłych wojskowych, ale oczywistym jest, że to sama Baronowa wpłynęła na założyciela trustu. Fakt, że plany dotyczące przeniesienia mnie do Afganistanu zbiegają się z wybuchem wojny domowej jest, jak mówi Baronowa, „problematyczny, ale możliwy do pokonania”.

W ówczesnym Afganistanie nie ma internetu, telefonii komórkowej, naziemnej sieci

telefonicznej ani poczty, na której można by polegać, więc adres, na jaki mają być dostarczane wieści od Manny'ego przekazywany jest drogą radiową z Anglii w postaci przygotowanego zawczasu kodu. Miłośnicy radia nazywają tego typu transmisje „stacjami numerowymi” i słusznie przypuszczają, że jest to preferowany sposób komunikowania się z agentami w terenie, choć żaden rząd nigdy się do tego oficjalnie nie przyznał. Aby odebrać codziennie nadawany sygnał, Orfeusz potrzebuje jedynie radia odbierającego na falach krótkich. Ale nie dysponuje specjalistycznym wyposażeniem, więc jego raporty będą musieli dostarczać osobiście kurierzy, którzy nie mają pojęcia o ukrytej zawartości przesyłek.

Te zaś, zaadresowane na fałszywe nazwisko, zaczynają się pojawiać w kabulskim biurze trustu miesiąc później. Pierwsza to tomik afgańskiej poezji. Na grzbiecie książki Orfeusz przykleił gęsto zapisaną liczbami kartkę papieru. Przepisuję je do specjalnej tabeli, przedstawiam przy pomocy wyrazu hasłowego i w ten sposób uzyskuję litery składające się na wiadomość.

Gdy słowa zaczynają nabierać sensu, powoli wypełnia mnie uczucie podziwu związane z faktem, że choć korzystamy z tak bardzo narażonej na szwank metody kontaktu, to udało się nam uniknąć wielu niebezpieczeństw. Liczby, których użycie uzgodniliśmy są poprawne i wiadomość zaczyna się w charakterystycznym, żartobliwym tonie: POCZ WIAD 0786 WSZYSTKO DOBRZE CHOĆ PRZYDAŁBY SIĘ DOSTAWCA ALKOHOLU. Oddycham z ulgą wiedząc, że wszystko u niego w porządku, pomijając chrapkę na wino. Mieszka w dżalalabadzkiej kwaterze głównej dowódcy afgańskich mudżahedinów imieniem Sayyaf, znanego ze swoich ekstremistycznych islamskich poglądów i silnych powiązań z fundamentalistami świata arabskiego. Dzięki znajomości języka, Orfeusz służy swoim afgańskim gospodarzom za tłumacza, gdy ich kwaterę główną odwiedzają arabscy goście. Nie jest to ważna wiadomość, ale wiemy przynajmniej, że żyje. W ostatniej linijce nawiązuje do konieczności wykazania się cierpliwością, przypominając mi, że jedno z muzułmańskich imion Boga to „Cierpliwy” *al-saboor*. ALLAHU SABOOR POZDRÓW UK QSL KON WIAD.

Korzystając z dostępnego w biurze telefonu satelitarnego, przekazuję faksem treść wiadomości Baronowej. Mam pewność, że nakaze wysłać potwierdzenie odbioru sygnałem jednokierunkowym, który Orfeusz będzie mógł usłyszeć na radiu odbierającym fale krótkie. Wbrew wszelkim przeciwnościom, nasz mały oddział Sieci jednak funkcjonuje.

Przez kolejne sześć miesięcy informacje od Orfeusza otrzymuję w taki właśnie sposób. Nie dziwi mnie fakt, że przychodzą nieregularnie. Afganistan pogrąża się w coraz bardziej brutalnej wojnie domowej, a gdy na południowe i zachodnie dzielnice miasta spadają

rakiety, większość dnia spędzam w piwnicy mojego wynajmowanego domu. Z powodu walk swoje obowiązki w truscie realizuję najczęściej na terenach leżących na północ od miasta, niegdyś żyznych i tętniących życiem równinach Shomali, które teraz są okaleczone w wyniku ciągnącego się piętnaście lat konfliktu. Badamy pola minowe rozstawione przez Sowieców i zbieramy materiały wybuchowe z zamieszkałych osiedli. Wspólnie z Organizacją Narodów Zjednoczonych opracowujemy kurs bezpieczeństwa, ale codziennie pojawiające się ofiary min i niewybuchów nieustannie przypominają nam, jak ogromne jest to zadanie. Chwilami trudno jest nie poddać się depresji.

Wiadomości od Orfeusza przekazują handlarze, kierowcy i uciekinierzy, którzy niekiedy przyjmują nagrodę za swoje wysiłki i informują mnie o sytuacji panującej na południu kraju. Aż przychodzi chwila, gdy otrzymuję pierwszą dyskietkę, schowaną w grubej okładce Koranu. Orfeusz uzyskał dostęp do komputera, dzięki czemu nie musi już ręcznie kodować i będzie mógł przesyłać znacznie obszerniejsze wiadomości.

To pierwszy z serii długich, niepokojących raportów potwierdzających agresywne zamiary zagranicznych bojowników różnorakiego pochodzenia, zbierających się na południu kraju. Pieniądze na ich działalność płyną z zagranicy, a afgański rząd jest zbyt słaby, żeby dobrać im się do skóry. W każdym razie, Afgańczycy nie mają funduszy na finansowanie terrorystów - nie mogą nawet wypłacić pensji swoim własnym ministrom. W ich kulturze nie ma miejsca dla tych fanatycznych przybyszów.

Wnioskując po raportach, Orfeusz uzyskał również dostęp do list nazwisk, szczegółów finansowych oraz planów i informacji dotyczących spisków wymierzonych w cele rozsiane po całym świecie. Mogę się jedynie domyślać, jak odbija się na nim takie towarzystwo. Rozpisuje się o ideach i aspiracjach inwigilowanych organizacji. Powoli rodzi się nowy, międzynarodowy rodzaj wojny, której cele położone są daleko poza granicami Afganistanu. Jej orędownicy jako swój sztandar wykorzystują islam, czyli tradycyjnie religię tolerancji, jednak w coraz większym stopniu odzierają go z humanistycznych zasad i wykorzystują do krzewienia przemocy.

Ekstremizm jest w Afganistanie czymś nowym, ale rośnie w siłę. W jednym ze swoich raportów Orfeusz przewiduje ze szczegółami bezprzykładną masakrę rodzin hazarskich, dokonaną w Afshar przez popleczników okrutnego watażki Sayyafa, zaś w innym przepowiada zabicie konkurencyjnych przywódców mudżahedinów zarówno w Pakistanie, jak i Afganistanie. Ale pojawiają się także szczegóły dotyczące aktów terroru na większą skalę, coraz bardziej pomysłowych i ambitnych. Wydają się zupełnie nieprawdopodobne i niemożliwe do zrealizowania. Istnieją plany wysadzenia w powietrze hotelów na Bliskim

Wschodzie oraz budynków publicznych w Nowym Jorku, a także porwania samolotów pasażerskich w Europie. Pojawiają się szczegóły dotyczące zabicia papieża i prezydenta Stanów Zjednoczonych. Orfeuszowi powierzono również zadanie przetłumaczenia amerykańskich podręczników wojskowych o improwizowanych urządzeniach wybuchowych, truciznach i produkcji toksyn biologicznych. Władza w państwie, które prawdopodobnie będzie areną tych niespotykanych działań, nie ma jednak zamiaru zareagować.

Aż wreszcie raporty przestają napływać. Talibowie, ugrupowanie istniejące od niedawna, posuwają się na południe i zachód kraju. Mogę się jedynie domyślać, że kwatera główna, w której do tej pory mieszkał Orfeusz została opanowana lub zniszczona. Komunikacja i transport pomiędzy Kabulem a resztą państwa zostały praktycznie odcięte. Wierzę, że nic mu się nie stało i po prostu znalazł się w miejscu, z którego nie może wysłać do mnie wiadomości.

Mijają trzy miesiące bez wieści. Codzienny stres potęguje jeszcze moją desperację. Dwa razy odwiedzam linię frontu na zachodzie miasta, w pobliżu talibańskich pozycji w Maidan Shahr i odkrywam z przerażeniem, że przyciąga mnie walka. Narażam się na niepotrzebne ryzyko i nie byłem już tak bardzo wyczulony na niebezpieczeństwo. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, ale to wojna na swoje własne sposoby sięgała do mojego wnętrza, odmieniając mnie. Otaczało mnie zniszczenie i przypadkowa śmierć, których nie potrafiłem pojąć. Bliskość śmierci stała się namacalna, przypominając szept zabójczej uwodzicielki i gdy udało mi się wyrwać z jej ramion, czułem się jak najszcześniejszy człowiek na świecie, choć uczucie to mieszało się z wyrzutami sumienia. Zbyt często zdarzało mi się widzieć otępiałe, zagubione spojrzenia ludzi pochłoniętych przez nieklamany żal i słyszeć rozpaczliwy płacz dzieci, których matki wyciągano spod gruzów budynków zniszczonych przez rakiety. Zacząłem pojmować, jak przemożny ból towarzyszy ludziom, którzy przetrwali niewyobrażalne.

Któregoś wieczora, w ponurym, wyłożonym dębiną barze w Klubie Narodów Zjednoczonych, mój przyjaciel, australijski dziennikarz relacjonujący działania wojenne, dzieli się ze mną opinią na temat mojej osoby w charakterystyczny, otwarty sposób.

- Jesteś cholernym kłębkiem nerwów - mówi. - Masz to wypisane na czole - przejeżdża po nim dłonią. - Wypalony. Musisz się wydostać z tej nory i odpocząć zanim ktoś będzie musiał pozbierać twoje kawałeczki do papierowej torby.

Tydzień później odnosi ciężką ranę podczas eksplozji pocisku mózdzierza i zostaje zabrany z miasta przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Jest sparaliżowany z perspektywą spędzenia reszty życia na wózku. To dla mnie cios. Właściwie pokazał mi moją własną

przyszłość.

Nie chcę opuszczać Orfeusza, ale już czas najwyższy się wycofać, więc po blisko dwóch latach pracy rezygnuję z posady w truście. Nie da się słowami wyrazić pustki, jaką czułem, wsiadając na pokład lecącego do Nowego Delhi samolotu Organizacji Narodów Zjednoczonych, startującego z lotniska w Kabulu, które jest otoczone przez pola wciąż zaśmiecone szczątkami zniszczonych sowieckich myśliwców. Wrażenie całkowitej dewastacji dopełniło się.

Wracam do Anglii. Dręczy mnie poczucie winy wywołane wspomnieniami o konflikcie, obok którego świat przechodzi obojętnie. Zetknięcie się z komfortem zwykłego życia w domu wstrząsa mną i budzi wstręt. W Afganistanie otaczała mnie przypadkowa śmierć, zniszczenie i nieszczęścia wszelkiego rodzaju, przez co nie jestem w stanie pojąć, czym zadręczają się mieszkańcy nie nękaną wojną Anglii.

Operacja Sieci w Afganistanie umarła śmiercią naturalną. Nic więcej nie można już zrobić. Z czasem godzę się ze zwykłym życiem i całkowicie tracę nadzieję na ponowne spotkanie z Mannym. Nie chcę uwierzyć w jego śmierć i nie ma dnia, żebym o nim nie myślał. Gdzieś w głębi serca wiem, że kiedyś go odnajdę - lub jego ciało, a wtedy uwolnię się od tego odgradzającego mnie od życia bólu, przez który mimowolnie filtruję wszystkie swoje doświadczenia. Chciałbym, żeby Manny mógł dzielić ze mną radosne chwile, a gdy cierpię, myślę, jakim trudom i jakiej skali samotności on musi stawiać czoła. Jest moim najbliższym przyjacielem. Z Mannym dzieliliśmy niezapomnianą świadomość życia i nie chodziło tutaj o przyjaźń uformowaną za sprawą wojny czy wspólnej miłości, ale potężniejsze, bezosobowe uczucie, które narodziło się w wyniku służenia czemuś większemu od nas obu.

Baronowa proponuje mi nową rolę. Gdy zakładam firmę zajmującą się architekturą zieleni, odnajdując wreszcie pociechę w kontakcie z naturą, otrzymuję zadanie doradzania nowym rekrutom w Sieci i instruowania ich. W Londynie uczę garstkę mężczyzn i kobiet podstaw kontrynwigilacji oraz szyfrów polowych, nie wiedząc nawet gdzie będą działać.

Któregoś popołudnia znalazłem się akurat w domu towarowym Selfridges, demonstrując sposób wykorzystania ruchomych schodów jako pułapki obserwacyjnej. Chodzi o to, żeby uważnie przyglądać się twarzom ludzi jadących schodami poniżej „pakując ich w pułapkę” czyli sprawiając, że zaczną się wyróżniać. Jednym z elementów kontrynwigilacji jest niedawanie po sobie poznać, że wiemy o obserwujących nas osobnikach, dlatego odpadają techniki typu zatrzymanie się, żeby zawiązać sznurowadła czy przyglądanie się odbiciom w sklepowych wystawach. Konstrukcja ruchomych schodów w dużych domach towarowych pozwala w całkiem naturalny sposób przekonać się, kto za nami idzie, nie odwracając się przy

tym jak uciekinier. Ale życie skrywa wiele niespodzianek. Zastanawiam się właśnie, jak przedstawić to zagadnienie próbującym nadażyć za mną trzem parom młodych obserwatorów, kiedy dostrzegam na schodach poniżej olśniewająco piękną kobietę. Ruszam za nią, postanawiając zademonstrować moim uczniom, jak bez przygotowania zdobyć numer telefonu kompletnie nieznanegoj osoby. Udaje mi się doścignąć mój cel piętro wyżej. Przegląda właśnie sukienki na wieszakach, a mnie przychodzi do głowy historyjka, w której rzekomo jestem projektantem mody i mówię, że jeśli podoba jej się to, co widzi, to na pewno pokocha nową, zaprojektowaną przeze mnie linię, która lada moment pojawi się na rynku. Jest nieprawdopodobnie piękna i gdy obrzuca mnie drapieżnym spojrzeniem niczym pantera, w jednej chwili daję się oczarować jej kociemu urokowi. Rzucam dowcip na temat koloru sukienki, nad którą się zastanawia. Jak się okazuje, jest Amerykanką i już po kilku sekundach zadaje mi pytanie, do którego Anglicy zbierają się kilka miesięcy, czyli czym się zajmuję.

- Uczę szpiegów jak podrywać urodziwe cudzoziemki - odpowiadam.

- Ale to ja pana wypatrzyłam - ripostuje.

Może to i prawda. Udało mi się zdobyć jej numer telefonu, a nie musiałem nawet sprzedawać jej ani jednego kłamstwa. Pół roku później jesteśmy już po ślubie, a pierwsze dziecko - w drodze. Jednak nie jesteśmy szczęśliwi. Zaślepiiony jej urodą i energią nie dostrzegłem okrucieństwa, przewyższającego dokonania wszystkich znanych mi dręczycieli. Próba rozpoczęcia rodzinnego życia okazuje się być rozrastającym się skokowo ciągiem porażek, a moja żona jest wściekła na wszystko. Na Anglię, Anglików, moich przyjaciół i mnie. Któregoś dnia, zanim jeszcze straciłem wszelką nadzieję na uratowanie związku, zadzwoniłem do jej matki w Ameryce z pytaniem, dlaczego jej córka jest tak zła.

- Zła? - zaśmiała się w przerażający sposób. - Ona się taka urodziła.

Już od dwóch lat prowadzę odnowione życie kawalerskie, gdy Baronowa zwołuje pilne spotkanie. Jadę z Londynu do Chevening House, gdzie sporadycznie spotyka się z członkami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Towarzyszy jej dwóch zachowujących anonimowość funkcjonariuszy, którzy chcą poznać moje zdanie na temat materiałów wywiadowczych zdobytych właśnie przez Amerykanów. Informacje pochodzą tylko z jednego źródła i dlatego nie nadają się do dalszego przetworzenia. Ale są tak interesujące, że CIA ze wszelkich sił chce dowieść ich autentyczności i właśnie z tego powodu zwróciło się o radę do swoich sojuszników. Ich źródło sugeruje, że w Afganistanie ma się odbyć spotkanie na szczycie, w którym udział wezmą wszyscy główni dowódcy dżihadu znajdujący się akurat w kraju. Bin Laden, zachowujący pośród nich dominującą pozycję, również ma wziąć udział

w tym spotkaniu. Amerykanie muszą się zdecydować, jakie podjąć w związku z tym kroki. Opierając się na raportach Orfeusza, potwierdzam, że szczegóły brzmia wiarygodnie i że miejsce spotkania jak i nazwiska biorących w nim udział osób zgadzają się z moimi informacjami. Dziękuję mi za pomoc.

Jakiś czas później przechadzamy się z Baronową po terenie za domem, zmierzając do hangaru dla łodzi na północnym brzegu jeziora. Przysiadamy na małej ławeczce.

- Wydaje mi się, że ty pierwszy powinieneś się o tym dowiedzieć - mówi, gdy wpatrujemy się w drugi brzeg.

Gdy tylko to powiedziała, przez krótką chwilę poczułem lęk i wyraźnie pamiętam, że moje spojrzenie spoczęło na ciemnozielonych rękawiczkach z cielecej skóry, które nosiła na dłoniach, skrzyżowanych w tym momencie na kolanach.

- Krąży pewna plotka - kontynuuje - o Angliku działającym w jednej z grup bin Laden. Przez rok siedział w czeczeńskim więzieniu, a to poniekąd czyni z niego bohatera. Amerykanie doszli do wniosku, że powinni się z nami podzielić tą nowiną. - Milknę na chwilę. - Nie dysponuję nazwiskiem, ale nazywany jest chrześcijańskim dowódcą, a przydomek ten zyskał sobie dzięki operacji wojskowej, jaką przeprowadził w czasie dżihadu przeciwko Sowiecom. - Odwraca się do mnie z lekkim uśmiechem na ustach. - Oni dobrze pamiętają takie rzeczy, prawda?

Z trudem mogę w to uwierzyć. Pomijając chwile otępiającej niepewności, nigdy tak naprawdę nie uwierzyłem, że Manny nie żyje. Uderzające jest to, że zwraca mi go właśnie Wschód, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Baronowa znowu zdaje się czytać mi w myślach.

- Wiem - mówi z bladym uśmiechem sugerującym, że dobrze wie, jak ważna jest dla mnie ta informacja. - Musimy cię tam odesłać. Przygotuję kontekst.

Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach, aż nagle procesy myślowe stają w miejscu, gdy na powierzchnię wypływa mroczna myśl.

- Upłynęło wiele czasu - mówię. - Nie wiemy, co mu się w tym czasie przydarzyło.

- Powinien wrócić. Sprowadzisz go z powrotem - stwierdza Baronowa cichym głosem, spoglądając na drugi brzeg jeziora - albo zajmiesz się sprawą na miejscu w sposób, jaki uznasz za stosowny. Byłeś jego najlepszym przyjacielem i to ty musisz podjąć decyzję.

Jest luty i właśnie zdałem sobie sprawę, że następnego dnia mam urodziny.

Rozdział 8

Jest sobota - mija pięć dni od chwili, gdy zostałem uwięziony przez Billy'ego, Twarz i uroczego pułkownika w zielonym berecie. Żebro wciąż pobolewa przy głębszych wdechach i śmiechu, a oko otacza fioletowawa obwódka, dzięki której sprawiam groźne wrażenie - ale to akurat właśnie mi odpowiada. Czas na kolejną odprawę z Seethroughem. Tak, jak obiecał, zapewnił mi transport.

O świcie jedziemy z H na przedmieścia Hereford, gdzie przesiadamy się do czarnego helikoptera Puma, wyposażonego w dodatkowe zbiorniki paliwa i rozstawione po bokach kabiny fotele dla pasażerów. Należy do eskadry zadań specjalnych, wchodzącej z kolei w skład Skrzydła Operacji Specjalnych, a pilotują go najlepsi specjaliści z RAF. To limuzyna wśród helikopterów, wyjaśnia H, i nie hałasuje tak bardzo, jak inne modele, ponieważ otacza się go większą troską, dbając chociażby o dokręcenie wszystkich śrubek. Nawet pilot wydaje się pochodzić z wyższych sfer. W taki właśnie sposób personel Firmy przemieszcza się między Londynem, Hereford i położonym na wybrzeżu Fort Monckton, gdzie H przekazuje garstce aspirantów swoje umiejętności, do których zaliczają się również niewykrywalne metody wejścia oparte na wyjątkowych talentach jego mentora, majora Freddy'ego Mace'a.

Zapinamy pasy. H daje znak technikowi załadunku, sprawdzającemu, czy wszystko jest na swoim miejscu. Helikopter wznosi się w powietrze i skręca po łuku, obierając kurs na południowy wschód. Z zaskakująco niskiego pułapu obserwujemy przesuujące się pod nami wzgórza Cotswolds. Maszyna z rykiem silników zbliża się do Londynu, przelatując nad usianym błyskającymi światłami miastem. Jego celem jest heliport, o którego istnieniu nie miałem do tej pory pojęcia. Znajduje się nad Tamizą, nieopodal Battersea, a duże, podświetlone litery informują, że dotarliśmy do Londynu. Nie potrafimy z H zrozumieć, jaki pożytek ma z tej informacji pilot potrafiący samodzielnie dolecieć aż do Battersea.

Oczekuje nas przysadzisty, błądy kierowca ze swoim potężnym vauxhallem, którym chwilę później mkniemy Battersea Park Road. Mija kilka minut i wyłaniają się przed nami wieże skąpanego w pomarańczowym świetle Legolandu. Zatrzymujemy się przy szlabanie, strażnik sprawdza nasze dowody tożsamości i zjeżdżamy na podziemny parking.

Na miejscu spotykamy Stellę, sekretarkę Seethrougha. Zastanawiam się, czy ta nieśmiała MoneyPENNY⁴² o pozbawionej wyrazu twarzy i zachowaniu, pytająca potulnym

⁴² Fikcyjna postać znana z książek i filmów o Jamesie Bondzie, sekretarka M, szefa brytyjskiego wywiadu (przyp. tłum.).

głosem jak minęła nam podróż, nie przyszła do nas prosto z podziemnej sali operacyjnej, gdzie brała udział w prowadzeniu jakiejś niewielkiej wojenki w odległym kraju. Kusi mnie, żeby w żartach zapytać, jak tam ratowanie świata, ale rezygnuję i bez słowa podążam za nią do rzędu przypominających kapsuły drzwi. Przejeżdża kartą po czytniku i wpuszcza nas do windy.

Seethrough czeka już na nas na górze, uzbrojony w materiały. W pierwszej kolejności pokazuje nam najnowsze zdjęcia wykonane przez kuzynów, jak zwykł nazywać Amerykanów. Rozwija dwie fotografie satelitarne formatu plakatów kinowych, obie wykonane w zdumiewająco wysokiej rozdzielczości i zaskakująco przejrzyste oraz wojskowe mapy topograficzne obejmujące ten sam obszar.

Studiujemy z podnieceniem nasz cel: ogromny fort rodem ze średniowiecza, z czterema wielkimi wieżami, wznoszący się w górach na północny zachód od Kandaharu. To w jego piwnicach zmagazynowano pociski stinger, za których zebranie nasi kuzyni tak sownie zapłacili plemiennym agentom. Wedle raportów zespołu TRODPINT, przy obowiązującej stawce - minimum sto tysięcy dolarów za pocisk - w forcie znajduje się równowartość dziesięciu milionów dolarów. Niektóre odkupiono od tych samych dowódców, którym je wcześniej dostarczono, inne od pośredników-spekulantów, a jeszcze inne od samych talibów. Część została już przesmuglowana do Pakistanu i ukradkiem zabrana przez CIA, które specjalnie na potrzeby tej operacji trzyma lekki samolot na lotnisku w Peszawarze.

Seethrough wyjaśnia nam, że do celu pomoże nam dotrzeć pewien Afgańczyk, członek TRODPINT. Więcej o nim powie za chwilę. Mamy wymyślić dobre wytłumaczenie naszej obecności w pobliżu fortu, przyjrzeć się celowi z dystansu, dostać się do środka, zweryfikować numery seryjne pocisków i zniszczyć je. Sygnał do działania otrzymamy, gdy pogoda pozwolić będzie na analizę przeprowadzonego nalotu i OZ.

- Nie pamiętam, co oznacza OZ.

- Ocena zniszczeń - wyjaśnia H.

H zabierze te mapy z powrotem do Hereford, gdzie przyjrzy im się dokładniej i przygotuje listę potrzebnych nam rzeczy, podczas gdy ja mam popracować nad naszą przykrywką.

Czeka mnie też czterdziestośmiogodzinna wizyta w USA.

- Spotkasz się z dziećmiakami - mówi Seethrough - a w wolnej chwili pogadasz z człowiekiem z Centrum Antyterrorystycznego, który wprowadzi cię w operację z ich

perspektywy i wyjaśni, gdzie szukać numeru seryjnego stingera. Lecisz jeszcze dzisiaj - podaje mi dokumenty podrózne i rezerwację hotelową w Waszyngtonie. - Z jakiegoś powodu chcę, żebyś był tam w nocy - wyjaśnia.

Następnie podaje H zwinięte fotografie i mapy.

- Może je przejrzysz, a my zamienimy słowo? - wskazuje drugi stół.

Gdy H oddała się na drugi koniec pokoju, Seethrough wyciąga teczkę, z której wystają różnokolorowe zakładki i otwiera ją przede mną.

- Poznajesz kogoś? - pyta.

Byłem przekonany, że nie żyje. Mimo że się postarzał, nadal go rozpoznaję. Włosy przyprószyła mu siwizna, ale to Gemayel, bez cienia wątpliwości.

- Od czasu, gdy widziałeś go ostatni raz, stał się grubą rybą - wyjaśnia Seethrough. - Musiał się zgodzić dostarczać informacje.

Tak właśnie to działa, wyjaśnia. W ciągu tych dziesięciu lat Gemayel dochrapał się stanowiska głównego urzędnika finansowego w cieszącej się szerokimi wpływami, bliskowschodniej organizacji. Amerykanie twierdzą, że to terroryści, ale ponieważ brytyjski rząd nie potrafi tego jednoznacznie wykazać, więc nie zrywamy z nimi kontaktu. Obecnie Gemayel stoi na czele ogólnoświatowej sieci finansowania, ale nie zamknął kanału łączności z Firmą. Używając żargonu Seethrougha, „nie jest spalony”. Mieszka w Północnej Afryce, gdzie z jakichś powodów trafia i jest ponownie rozdzielana większość funduszy organizacji. Już kilka lat temu, gdy pojawił się w Bejrucie, zajmował jedną z czołowych pozycji w organizacji. Od tego czasu udało mu się wyjść cało z dwóch zamachów przygotowanych przez Mossad.

- Nadążasz? - pyta mnie Seethrough.

Kiwam twierdząco głową, choć z minuty na minutę wszystko staje się coraz dziwniejsze.

- Większość doniesień o zakupie stingerów dociera do nas z Sudanu. W stolicy państwa, Chartumie, znajduje się centrala organizacji Gemayela dla całego rejonu. My z kolei dysponujemy jedynym agentem, którego tożsamość i tak jest już przestała być tajna. Musimy nakłonić Gemayela, żeby kazał swoim ludziom nasłuchiwać doniesień o stingerach. Dzięki temu będziemy mogli wyeliminować przynajmniej część zagrożenia. Może i nie jest spalony, ale gdy tylko spróbujemy skontaktować się z nim, od razu zainteresuje się tym Mossad. Pomyślałem sobie, że jak już wrócisz z Ameryki, mógłbyś z nim pogadać i odświeżyć znajomość. Nie wzbudzisz niczyich podejrzeń, chcąc po latach nadrobić zaległości.

- Mogę mu przypomnieć wspólne, radośnie spędzone chwile.

- W rzeczy samej - mówi Seethrough, ignorując ironię.
- Powiedzmy, że się zgodzi. Co na tym zyska?
- Zachowa życie - odpowiada z powagą Seethrough i przerzuca kartki w teczce, aż znajduje PILNY raport CX z bazy w Libanie.

Został oznaczony hasłem AKTOR, co oznacza, że tylko pracownicy Firmy mają do niego wgląd. Jego adresatem jest szef ogólnoswiatowego centrum antyterrorystycznego, czyli Seethrough. Oznaczono go następującą klauzulą bezpieczeństwa: WIELKA BRYTANIA ŚCIŚLE TAJNE/SZCZEGÓLNE ŹRÓDŁO. Ale prawdziwe zaskoczenie wywołuje lektura tematu wiadomości: PROPOZYCJA WYELIMINOWANIA ELIASA RASHIDA GEMAYELA PRZEZ IZRAELSKIE SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA.

Przeładam zawartość dokumentu. Jeśli wierzyć raportowi, Izraelczycy planują zabić Gemayela przy pomocy ładunku wybuchowego, umieszczonego w jego telefonie komórkowym przez przekupionego ochroniarza. Plan zamierzają zrealizować pod koniec miesiąca, po powrocie Gemayela z Rzymu do Bejrutu, kiedy to otrzyma nowy telefon. Seethrough ma nadzieję, że w zamian za ten strzęp zabójczej informacji Gemayel przekaze mu wszystko, czego jego ludzie dowiedzą się na temat zakupu stingerów.

- To chyba uczciwa wymiana, nie uważasz? - podsumowuje Seethrough, zaciskając usta i unosząc brwi w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Izraelczycy nie będą zachwyceni, gdy wyjawisz ich plan - zauważam.

- Raz się wygrywa, a raz przegrywa. Taki obrót spraw był do przewidzenia i oni o tym wiedzą. Tyle że nie poczęstują mnie już raczej cudownym sernikiem Mossadu.

Seethrough podaje szczegóły, ale mam trudności z przyswojeniem całej tej wiedzy, ponieważ od natłoku informacji zaczęło mi się kręcić w głowie. Poznaje nazwisko mojego kontaktu w Centrum Antyterrorystycznym i numer telefonu do zapamiętania na czas pobytu w Waszyngtonie. Mam też numer zapasowy z PIN-em i hasłem, na wypadek, gdybym musiał zadzwonić do Londynu, a nie mógł skorzystać ze swojej komórki. Cała reszta jest oczywista, mówi mi Seethrough. Wybrałem się w odwiedziny do dzieci. Pobyt w hotelu został opłacony, ale niestety żadne inne wydatki nie podlegają odliczeniu, stwierdza, obrzucając mnie spojrzeniem mającym wyrażać żal, a ledwo kamuflującym cynizm.

Ameryka napawa mnie przerażeniem. Dokładniej mówiąc, boję się spotkania z byłą żoną, przetrzymującą moje dzieci jak zakładników, na wszelkie sposoby utrudniającą mi spędzanie z nimi czasu i umiejętnie tłamszącą moją psychikę akurat, gdy jestem najbardziej podatny na zranienie. To nie fair obwiniać cały naród o zachowanie jednej kobiety, ale za

każdym razem, gdy wsiadam do samolotu, czuję niepokój, równoważony jedynie przez perspektywę zobaczenia się z dziećmi. Najtrudniej poradzić sobie z huśtawką emocjonalną. Przypomina to naprzemienne wstrzykiwanie ofierze trucizny i surowicy przez profesjonalnego oprawcę.

Gdy lecę na zachód, wskazówki zegara cofają się i po wylądowaniu na lotnisku Dullesa ogarnia mnie dziwne uczucie, że dotarłem na miejsce jakąś godzinę po wylocie z Anglii. Według lokalnego czasu jest godzina pierwsza w nocy. Podczas kontroli imigracyjnej umundurowany urzędnik z poważnym wyrazem twarzy taksuje siniaka nad moim okiem.

- Żeby pan widział tego drugiego - mówię.

Przesuwa zieloną kartę - która wcale nie jest zielona - po czytniku, a oddając mi ją, uśmiecha się.

- Witaj w domu, kolego. Tutaj jest znacznie bezpieczniej.

Cóż za pociecha, biorąc pod uwagę fakt, że denerwuję się na myśl o spotkaniu ze swoją byłą.

Nie miałem bagażu, więc od razu przechodzę do hali przylotów, szukając wzrokiem kierowcy trzymającego kartkę z niezapadającą w pamięć nazwą przedsiębiorstwa. To były żołnierz, wnioskując po fryzurze i mięśniach opiętych schludnym, czarnym garniturem.

- Witamy w Waszyngtonie, sir - mówi, gdy mamy za sobą wymianę niewinnie brzmiącego hasła. Wychodzimy na zewnątrz, idąc w kierunku rzędu zaparkowanych samochodów. Otwiera tylne drzwi pojemnego chevroleta z napędem na cztery koła i przyciemnianymi szybami. W głębi siedzi oficer operacyjny z Centrum Antyterrorystycznego CIA. Nie wiedziałem, kogo mam się spodziewać, ale z całą pewnością nie spodziewałem się takiej niespodzianki.

W pierwszej chwili dostrzegam jedynie kapelusz - kosztownego, ciemnego Stetsona ze skórzanym paskiem wokół podstawy główki. Potem w oczy rzuca mi się ciemnoniebieska marynarka, wykrochmalona biała koszula, jeansy i kowbojki. Aż wreszcie spoglądam na opadające na ramiona długie blond włosy. Gdy Stetson odchyła się do góry, spoglądam w twarz atrakcyjnej kobiety około pięćdziesiątki, której szeroki uśmiech sprawia, że zdziwiony zamieram bez ruchu.

- Witaj, amigo - mówi zaskakująco poważnym tonem.

- Nie widziałeś wcześniej kowbojki?

W zasadzie to chyba rzeczywiście nie widziałem. Próbuję wydobyć z siebie odpowiedź.

- Nie o takiej porze.

- Lepiej późno niż wcale - stwierdza. - Gotów na przejażdżkę?

Wchodzę do samochodu i wymieniamy uścisk dłoni. Z rysów jej twarzy przebija germańska siła, złagodzona jasnymi włosami i skórą. Ma kwadratową szczękę zwiężającą się ku wyraźnie zaznaczonemu podbródkowi, a wąskie usta sugerują męską twardość. Czuję na sobie jej stalowe spojrzenie, jakby oceniała moją pewność siebie. Zwracamy się do siebie po imieniu, trzymamy się przestrzeganej w określonych kręgach konwencji.

- Miło mi cię poznać, Tony. Słyszałam o tobie wiele dobrego. Mam na imię Grace - nachyla się do kierowcy. - Szyba, Mike. - Nieprzejrzysta tafla oddziela nas od kierowcy i tłumi zakłócenia, gdy ten informuje nasz punkt docelowy, że wyruszyliśmy.

Samochód gwałtownie przyspiesza i włączamy się do rzeki świateł przepływających wzdłuż płatnej drogi wyjazdowej z lotniska, zmierzając ku Tyson's Corner.

- Cieszę się z możliwości odwiedzenia Stanów - mówię - ale jeśli wolno spytać, dlaczego musiałem się tu znaleźć akurat w nocy?

- Boże, jacy wy Anglicy jesteście uprzejmi - stwierdza ze śmiechem. - Oczywiście, że wolno. Wiem, że macz niewiele czasu. Zarezerwowałam wszystko na noc, żebyśmy zdążyli ze spotkaniem w Afganistanie. Różnica między naszymi strefami czasowymi wynosi dziewięć i pół godziny.

- Będziemy kontaktować się z kimś w Afganistanie?

- Żeby tylko. Ale nie chcę psuć niespodzianki - przyczepia identyfikator do kieszeni mojej marynarki. - Kiedy ostatnio byłeś w kraju? - zakładam, że chodzi jej o Afganistan, nie Amerykę.

- Jakieś trzy lata temu.

- Pracowałeś dla firmy zajmującej się rozminowywaniem, tak?

Potwierdzam skinieniem głowy.

- Spotkałeś Masuda?

- Dwukrotnie.

- I polubiłeś go?

- Nie jest święty, ale trudno go nie podziwiać - odpowiadam.

- Niezły z niego numer - przyznaje. - Chciałabym tam teraz być. Ten kraj chwytła człowieka w swoje szpony. Przeprowadziłam cztery misje dla naszego przyjaciela z północy. Jestem honorowym afgańskim samcem.

Trudno to sobie wyobrazić. Tak położona w dolinie Pandzszeru baza operacyjna Masuda, jak i najdalej wysunięta na północ prowincja Afganistanu, Badakszan, nie należą do miejsc, do których podróż jest łatwa i bezpieczna. To ostatnie rejony kraju, które nie uległy

jeszcze talibom, wciąż zawzięcie bronione przez Masuda i wiernych mu żołnierzy. Podróżowałem po zakurzonych drogach tego regionu, jego spektakularnych górskich przełęczach i dolinach, wykonując misje rozminowujące dla trustu. A teraz niedomagające oddziały Masuda walczą o przetrwanie, ściśnięte pomiędzy niepowstrzymanymi talibami z południa, a tadżykistańską granicą od północy. Domyśliłem się, że CIA wysłało w te tereny swoich doradców mających współpracować z Masudem, ostatnim przeciwnikiem talibów, ale nie spodziewałem się, że znalazła się wśród nich także kobieta.

- W zeszłym roku wraz z kilkoma chłopakami odleciałam z Tadżykistanu na pokładzie rozlatującego się na kawałki Mi-8. Kilka razy już myślałam, że zmieszają nas z błotem - opowiada, uśmiechając się do wspomnień o przeżytych niebezpieczeństwach - ale Masud zadbał o nas, jak tylko potrafił. I chyba nie przeszkadzało im, że jestem kobietą.

Pytam, czy według niej Masud przetrwa ofensywę talibów.

- Nie chcę o tym myśleć - odpowiada. - Jest ostatnią szansą tego kraju. Gdy talibowie przejmą północne regiony, a Masud będzie zmuszony salwować się ucieczką, Afganistan stanie się ogromnym zagrożeniem, które wszystkich mocno ściśnie za jaja.

- Ciebie raczej nie - wtrącam.

Wybucho śmiechem.

- To zależy. Jeśli Departament Stanu nie otrząśnie się ze swojego urojonego kumoterstwa z talibami, a my nie odniesiemy żadnych sukcesów w sprawie Obi-Wana, to i mnie się oberwie.

Jak zakładam, Obi-Wan to piśszcztliwy pseudonim Osamy bin Ladena, dobrodusznego saudyjskiego playboya, który przeobraził się w walczącego z Ameryką dżihadystę. Na Zachodzie praktycznie nikt o nim nie słyszał.

- Kilka razy prawie go już dorwaliśmy, ale obiecaj, że zachowasz to dla siebie. Doszliśmy nawet do wniosku, że mogliby nas wyręczyć chłopcy Masuda, ale gdyby ktokolwiek się dowiedział, że maczaliśmy w tym palce, Masud miałby poważny powód do zmartwienia. Nikt w świecie muzułmańskim nie chce, żeby przyczepiono mu etykietę zabójcy ich osobistego Mahatmy Gandhiego.

Takie porównanie nie przyszłoby mi do głowy. Faktem jest jednak, że w świecie islamu bin Laden coraz powszechniej postrzegany jest jako swoisty bohater, a jego przesłanie walki z amerykańską dominacją zaczyna znajdować posłuch.

Szacunek, jakim oboje darzymy Masuda pomaga przełamać pierwsze lody, a całą resztę załatwia stanowiąca miłą odmianę otwartość Grace. Tak bardzo różni się - na korzyść - od nabierającego zwykle wody w usta Seethrougha, który dzieli się informacjami tylko, gdy

jest do tego zmuszony. Podczas gdy samochód kieruje się Dolley Madison Boulevard w stronę Maclean, my kontynuujemy naszą konwersację. Grace pracuje w tajnej jednostce wchodzącej w skład i tak już tajnego Centrum Antyterrorystycznego, od lat pracując nad śledzeniem i, w miarę możliwości, pochwyceniem bin Ladena oraz postawieniem go przed sądem za udział w zamachach bombowych na dwie amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii. Po tym, jak był zmuszony uciekać ze swojej rodzimej Arabii Saudyjskiej, następnie zaś, w wyniku nacisków wywieranych przez Amerykanów - z Sudanu, rozpoczął działalność w Afganistanie. Tam może się swobodnie przemieszczać pomiędzy obozami treningowymi oddanych mu zwolenników i głosić swoje mesjanistyczne przesłanie wszystkim, którzy są gotowi go słuchać, choć tylko nieliczni z jego wielbicieli są Afgańczykami.

- Jakie są szanse, że zostanie schwytany? - pytam.

- Jeśli wyeliminować co bardziej idiotyczne plany i tak zostanie nam kilka niezłych opcji - odpowiada.

Wśród nich zaś także zaatakowanie bin Ladena przy użyciu rakiet cruise. W Zatoce Perskiej znajdują się okręty podwodne, z których można przeprowadzić taki atak. Tyle że Biały Dom nie może sobie pozwolić na powtórkę z pozbawionych sensu bombardowań. W odpowiedzi na zamachy bombowe przeprowadzone w Afryce w 1998 roku, w jeden z obozów treningowych bin Ladena wystrzelono pociski cruise o łącznej wartości stu milionów dolarów, kierując się doniesieniem, że odbędzie się tam spotkanie czołowych dżihadystów. Eksplozje pocisków zabiły dwudziestu czy trzydziestu ochotników, w przeważającej części Pakistańczyków. Bin Laden opuścił spotkanie kilka godzin wcześniej. To nieudane bombardowanie zapewniło jego sprawie rozgłos, o jakim nawet nie marzył. Obecnie zaś klimat polityczny bynajmniej nie sprzyja tego typu akcjom. Wtedy, wyjaśnia Grace, nieocenioną amerykańską opinię publiczną interesowało tylko jedno: zawartość policzków Moniki Lewinsky.

Ze względu na prawo i konstytucję, CIA nie może sponsorować zamachu ani pomagać w jego realizacji. Może jednak schwytać ściganego. Tyle, że bin Laden jest ostrożny i trudno go znaleźć. Jego gwardię przyboczną tworzą nie Afgańczycy, a Arabowie - zagorzali bojownicy uczestniczący w kampaniach dżihadu na całym świecie. Często się przemieszcza. W dokładnie przetrząśniętym, należącym do niego kompleksie w Tarnaku nieopodal Kandaharu, oddział Grace natknął się na kobiety i dzieci - co dostarczyło dodatkowego argumentu za odrzuceniem ponownego ataku pociskami cruise. Osłabły wcześniejsze nadzieje na wykorzystania ludzi Masuda do zabicia bin Ladena, a dyrektor Centrali Wywiadu nie wyda zgody na amerykańską interwencję na ziemi. Już tego próbowano, bez powodzenia.

Włodarze Białego Domu i Departamentu Stanu, którzy tak między nami, wtrąca Grace, są zbyt głupi, żeby odróżnić skunksa od domowego kota, mają ręce skrępowane węzłami prawnymi i nie potrafią zaproponować spójnej polityki wobec Afganistanu.

- Ale jest pewien plan - kontynuuje. - Zaczniemy zbierać doniesienia o bin Ladenie po całym kraju i, z pomocą informatorów Masuda i agentów, sieć na pewno się zaciśnie. Nie ma znaczenia, kto go nam dostarczy - chłopcy Masuda, oddziały specjalne, Pakistańczycy czy Uzbekcy - podsumowuje. - Ale wątpię, żeby ta sztuka udała się komandosom - dodaje kpiącym tonem. - Bin Ladena można by zamknąć w jednym pokoju z Fokami⁴³ i Delta⁴⁴, a oni nawet nie zwróciliby na niego uwagi, walcząc między sobą.

- To jasne, na co liczy. Jego schwytanie przekona Biały Dom, że warto zapewnić Masudowi większe dostawy sprzętu wojskowego i wykorzystać naciski polityczne przeciwko talibańskiemu dowództwu. Tylko to może ich zmusić do rezygnacji z planów przejęcia kontroli nad całym krajem.

- Nie będzie łatwo - przyznaje Grace - ale to jedyna nadzieja, że talibowie i wszyscy ci narwańcy odpuszczą sobie szerzenie dżihadu w całym wszechświecie. Oczywiście sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdybyśmy mieli w obozie Obi-Wana kogoś ze swoich.

Odwracam wzrok, nie chcąc, żeby wyczytała z mojej twarzy, o czym właśnie myślę. Nie może przecież wiedzieć, że dokładnie takie zadanie otrzymał mój najlepszy przyjaciel - ani że nie mam pojęcia czy w ogóle jeszcze żyje.

Z Dolley Madison skręcamy w lewo, na obsadzoną drzewami, spokojną ulicę. Niecałe sto metrów dalej znajduje się posterunek ze szlabanem. Okna się opuszczają i podajemy nasze identyfikatory strażnikowi, który wprowadza je do elektronicznego rejestru, zagląda do wnętrza samochodu, a widząc Grace, wita ją skinieniem głowy i uśmiechem. Szlaban się podnosi. Droga odbija w lewo. Z jednej strony ciągnie się szpaler drzew, po drugiej zaś zlokalizowano ogromnych rozmiarów parking, za którym wznosi się główny kompleks budynków, przywodzący mi na myśl wielki tort z warstwami kremu i czekolady. Pomiedzy budynkami wiją się oświetlone malutkimi latarenkami ścieżki, sprawiające, że całe to miejsce może się kojarzyć z wesołym miasteczkiem. Grace widzi, że się rozglądam.

- Ktoś tam na górze cię kocha, Tony.

Nie mam pojęcia, o czym mówi.

- To znaczy, na siódmym piętrze. Tam wydają zezwolenia. Nie pozwalają oglądać

⁴³ Siły specjalne amerykańskiej marynarki. Akronym SEAL (ang. Foka) odnosi się do działań na morzu, lądzie i w powietrzu (przyp. tłum.).

⁴⁴ Delta Force, amerykańska specjalna jednostka komandosów (przyp. tłum.).

swoich zabawek byle komu.

Objedźmy kolejny wielki parking, mijając po drodze mniejsze skupiska budynków, aż zatrzymujemy się przy gmachu gęsto otoczonym drzewami. Wsiadając z samochodu, Grace przesuwa pasek, poprawiając ukrytą pod marynarką kaburę. Jest wysoka, smukła i chodzi jak mężczyzna.

- Poznasz teraz rodzinę Mansona⁴⁵ - mówi.

Po wejściu do budynku, przystawiamy identyfikatory do czytnika i przekraczamy próg drugich drzwi, TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH. W pokoju odpraw znajduje się już około tuzina mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy zgromadzeni przy stołach naprzeciw ogromnego, pustego ekranu. Grace prowadzi mnie dokoła, przedstawiając mi wszystkich po imieniu. Większość zachowuje się powściągliwie, kilkoro wydaje się zaskoczonych obecnością obcokrajowca, a jedna czy dwie osoby nie potrafią ukryć podejrzeń. Odnoszę nieodparte wrażenie, że rzadko widują tu osoby postronne.

Wyjątek stanowi tęgi mężczyzna w średnim wieku, w okularach z grubymi szklami, którego spotykam, gdy za namową Grace chcę nalać sobie kawy. Stoję za nim, a gdy odwraca się, prawie na mnie wpadając, przedstawia się jakby odruchowo. Z jego twarzy nie znika szeroki uśmiech. Wymienia jedynie swoje imię oraz akronim organizacji, do której należy, po czym zaczyna opisywać mi swoje obowiązki. To rozwlekła opowieść, którą snuje, przeciągając samogłoski. Od czasu do czasu spogląda na mnie, skupiając się na punkcie gdzieś w okolicy mojego lewego ramienia. Jest specjalistą od „sztywnych i dynamicznych analiz źródła docelowego”. Czuję się w obowiązku wykazać pewną biegłość w tej dziedzinie.

Jego głównym zadaniem jest szeregowanie pod względem ważności danych dostarczonych przez wywiad, obserwatorów i rozpoznanie naziemne, jak również usuwanie sprzeczności pomiędzy nimi, żeby „zabójczy łańcuch” F2T2EA - Znaleźć, Przywiązać, Śledzić, Obrąć za Cel, Przejść do Działania - mógł funkcjonować jak najbardziej płynnie. Mądrze kiwam głową. Doradza w kwestiach strat wśród ludności cywilnej i ograniczeń celu nałożonych na podstawie charakterystycznych dla danej operacji ROE, LOAC, RTL oraz NSL.

- Nie pamiętam już, co to wszystko oznacza - przyznaję się. - Przypomnij mi.

- Zasady użycia siły, przepisy konfliktów zbrojnych, poufna lista celów i lista celów wyłączonych z bombardowania - upija łyk kawy.

⁴⁵ Sekta założona przez Charlesa Mansona, której członkowie odpowiadali m.in. za śmierć żony Romana Polańskiego, Sharon Tate.

Jest dumny z powodu, jak twierdzi, nowatorskich protokołów dla algorytmów pomiaru oprogramowania i zarządzania danymi. Nie nadążam już za tym, co mówi. Oddycham z ulgą, gdy z odsieczą przybywa Grace, odciągając mnie do kilkorga innych uczestników spotkania. Jednym z nich jest wysoki mężczyzna imieniem Rich, który krótko i formalnie wita się ze mną, po czym wraca do przerwanej konwersacji.

- Właśnie poznałeś największą ropuchę w naszym stawie - szepcze z aprobatą Grace.

Potrzeba jeszcze kilku minut, żeby zebrali się wszyscy, aż wreszcie słyszymy dochodzące z głośników donośne stukanie, dające nam do zrozumienia, że czas zająć miejsca. Gasną światła.

Młody technik wyjaśnia tym z nas, którzy nie są zaznajomieni z nowoczesną technologią, jak to się dzieje, że możemy obejrzeć przekaz na żywo z Afganistanu. Ekran nad nim włącza się i wyświetla dane dotyczące programu specjalnego dostępu o kryptonimie „Afgańskie Oczy” oraz Predatora RQ-1, bezzałogowego samolotu, dzięki któremu zobaczymy przekaz.

Na ekranie pojawia się wojskowa przyczepa wyposażona w zamocowaną na dachu antenę satelitarną. To tak zwana naziemna stacja kontroli, obecnie znajdująca się na lotnisku w Uzbekistanie, na północ od granicy afgańskiej, za rzeką Arnu Darya. Dociera do mnie, że to z niej właśnie przesyłane są do nas obrazy, które za chwilę zobaczymy. Wewnątrz siedzą pilot i operator sensorów, którzy kierują i kontrolują bezzałogowy samolot za pośrednictwem „gałek sterujących”.

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie sprawdzić, jak Grace przyjmie to wyrażenie. Z satysfakcją stwierdzam, że zrozumiała żart i delikatnie się uśmiecha.

Podczas gdy technik rozwlekłe opowiada o szczegółach sprzętu, na ekranie pojawiają się kolejne zdjęcia. Predator to długi, wąski samolot z dziwnymi, skierowanymi do dołu statecznikami ogona, przez co wygląda, jakby latał do góry brzuchem, niczym zdechła ryba. Ma chowane podwozie, dzięki czemu może startować i lądować jak normalny samolot. Wyposażono go w zamontowaną w dziobie kamerę, wieżyczkę z czujnikiem oraz multispektralny system namierzania. Posiada również kamerę na podczerwień do użytku w nocy, radar z syntetyczną aperturą umożliwiającą orientację podczas lotu w dymie i chmurach, a także urządzenia nasłuchowe pozwalające wyłapać sygnały radiowe w jego pobliżu. To technologiczne cudemko, samolot niewidzialny i niesłyszalny z ziemi. Wnioskując po minach pozostałych uczestników spotkania, także na nich musiał wywrzeć wielkie wrażenie. Dowiadujemy się również, że trwają prace nad jego nowszą wersją, umożliwiającą prowadzenie operacji wielozadaniowych. Innymi słowy, samolot nie tylko będzie obserwował

cele, ale także mógł ostrzeliwać je naprowadzanymi laserowo raketami.

Gdy mały kwadracik na dole ekranu rozszerza się zniemacka, a my obserwujemy przekaz na żywo z dziobu predatora, jest to dla nas cudowne doświadczenie. Liczby przewijające się z rogu ekranu określają pozycję i kurs lotu samolotu oraz podają dokładny czas. Myślałem, że będziemy oglądać zdjęcia, ale przekaz video jest tej samej jakości, co telewizyjny, a wrażenia - wręcz nadnaturalne.

Znajdujemy się na południowym wschodzie kraju, w pobliżu granicy pakistańskich Terytoriów Plemiennych Administrowanych Federalnie i Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej, jak ją nazywają Brytyjczycy. Pakistańczycy uważają te tereny za Waziristan; dla Pasztunów, dla których granica tak naprawdę nie istniała, dopóki Brytyjczycy nie narzucili jej sto lat temu, to nadal Afganistan.

Predator krąży bezgłośnie nad potencjalnym celem wskazanym przez zespół śledzący. To typowy dla tego regionu kompleks domów o ścianach z wysuszonego błota, na którego podwórzu zaparkowano kilka samochodów. Z budynku wychodzi właśnie jakiś mężczyzna. Kamera nie pokazuje terenu bezpośrednio z góry, ale pod kątem, więc w przeciwieństwie do fotografii lotniczej tutaj widzimy wszystko w dwóch wymiarach. Mężczyzna nosi afgańskie ubrania i jakby kamizelkę, ale nie ma na głowie turbanu. Przez chwilę wszyscy mu się przyglądamy. Nagle pochyla się i sięga po coś leżącego na ziemi. Obraz jest praktycznie nieruchomy. To surrealistyczne doznanie. Oddaleni o ponad jedenaście tysięcy kilometrów obserwujemy pasztuńskiego gospodarza zmiatającego kurz przed swoim domem.

Chwilę później mężczyzna podnosi się i pędzi przez podwórko do bramy wjazdowej. Stoją za nią dwa niskie, rosyjskie jeepy i niemal słyszę charakterystyczny, jednotonowy dźwięk klaksonu samochodu stojącego z przodu, odrywający gospodarza od jego powinności. Wyobrażam sobie metaliczny odgłos otwieranej bramy oraz zapach pyłu i silników diesla, gdy jeepy wjeżdżają na podwórze. Z samochodów wysiada kilku mężczyzn. Po chwili wychodzi z domu dwóch kolejnych, którzy witają się po kolei z nowo przybyłymi. Niezawiązane końcówki ich turbanów trzepocą na wietrze. Nawet z tej odległości można zauważyć, z jaką powagą się witają - praktycznie słyszę rytualną wymianę błogosławieństw przy uściskach, a dotykanie klatki piersiowej, na ponadczasowy afgański sposób, zastępuje uściski dłoni. Nie noszą broni. Kim są ci ludzie? Handlowcami? Członkami rządu? Braćmi lub przyjaciółmi? Terrorystami? Nigdy się tego nie dowiem.

Przez głośnik dobiega nas zniekształcony przez elektronikę głos pilota predatora, potwierdzającego instrukcje przekazane mu przez dwie osoby siedzące ze słuchawkami na uszach przy komputerach z tyłu sali. Szukają konkretnego człowieka w kraju na drugim

krańcu świata, z nadzieją, że natkną się na znak rozpoznawczy bin Ladena: konwój land cruiserów i uzbrojonych ochroniarzy. Poniekąd czuję podziw dla ich wysiłku i technologicznego geniuszu umożliwiającego realizację tego widowiska. Równie silny jest jednak niepokój związany z ulotnością poszukiwań, których efekt jest uzależniony od informatorów wskazujących potencjalne cele. Wyobrażam sobie, na jaką pokusę zostaje wystawiony Afgańczyk, któremu zaofierowano całe torby studolarowych banknotów. Jeśli wytypuje jakieś cele, zadowolony tym agentów i zapewni sobie kolejną wypłatę. Nie ośmielam się głośno wyrazić swojego cynizmu.

Przez kilka kolejnych godzin wpatrujemy się w obrazy napływające z niebios na nasz ekran, śledząc podejrzone samochody i ciężarówki na opustoszałych, górskich drogach i przyglądając się z daleka, z anielską lub może diaboliczną wszechmocą, prywatnemu życiu naszej niczego nieświadomej zwierzyny. O czwartej rano Grace dotyka mojego ramienia i sugeruje, żebyśmy pojechali do mojego hotelu. Żegnam się z kilkoma pracownikami, którzy postanowili jeszcze zostać i kierujemy się ku drzwiom.

- Dziękujemy za wkład - mówi jeden z nich, chociaż żadnego wkładu nie wniosłem.

Ściągamy kierowcę przez krótkofalówkę i ruszamy w stronę miasta, jadąc Memorial Parkway, z płynącym po lewej Potomakiem. Grace pyta o moje przemyślenia.

- Imponujące - odpowiadam, ale czuję, że powinienem coś dodać. - Zespół jest bardzo oddany sprawie.

- Patrząc na to wszystko człowiek czuje się, jakby mógł zajrzeć w każdy kąt, prawda? A nie wydaje ci się, że cała ta technologia niczego nie rozwiąże? - wzdycha głęboko i, zanim mam szansę odpowiedzieć, kontynuuje. - Wiem, że tak właśnie myślisz, i w pełni się z tobą zgadzam. Mamy w rodzinie kilku w gorącej wodzie kąpanych, którzy chcieliby przyszpilić bin Ladena w tajnej misji rodem z książek Toma Clancy'ego. Nic ich nie obchodzi sytuacja w Afganistanie. Ja to widzę w ten sposób, że Agencja jest jednostką strategiczną, a nie taktyczną. A nie można opracowywać strategii korzystając z mechanicznego myszółowa, nawet jeśli ten widzi w ciemnościach - spogląda przez okno gdzieś w dal. - To samo można powiedzieć o programach do ekstrakcji danych od Agencji Wywiadu Obronnego. Możemy przeanalizować rozmowy każdego członka każdego dzihadowskiego chatroomu na świecie. Możemy podsłuchiwać ich telefony dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Jeśli bardzo byśmy chcieli, to moglibyśmy usłyszeć, co mówią przez sen. Ale w ten sposób nie dowiemy się, co myślą. Musielibyśmy tam być.

Samochód zatrzymuje się przed hotelem Hilton na Connecticut Avenue.

- Proszę - mówi, pochylając się w moją stronę i wyciągając ramię. Przez krótką chwilę

nie wiem, o co jej chodzi, aż dociera do mnie, że odczepia mi identyfikator. - Lepiej to zabiorę. Podjadę po ciebie jutro o szóstej po południu, przeanalizujemy szczegóły.

- Rano mam zobaczyć się z dziećmi - wyjaśniam.

- Jak się dogadujesz z ich matką?

- Nijak. Niczego mi nie ułatwia.

- Daj jej popalić - radzi z szerokim uśmiechem.

Ranek jest cudownie bezchmurny i chłodny, a niebo przybrało jasnoniebieski kolor. Nie spałem długo, ale zmuszam się do kilkukilometrowej przebieżki, skręcam do parku Rock Creek, żeby uniknąć ruchu ulicznego. Gdy biegam w Anglii, nikogo nie spotykam. Tutaj towarzyszy mi nieprzerwany strumień noszących profesjonalne ciuchy biegaczy i rowerzystów, w porównaniu z którymi czuję się jak obdartus. Noszą same nowe rzeczy. W pogniecionej koszulce i trzyletnich trampkach z powiększającymi się dziurami na palcach, zdecydowanie nie przystają do miejscowych standardów. Są tu mężczyźni ubrani od stóp do głów w obcisłą lycrę, kobiety w różowych dresach biegające w towarzystwie swoich psów i staruszkowie po osiemdziesiątce z małutkimi hantelkami, które podnoszą podczas biegu. Zespoły małżonków na rowerach holują za sobą dzieci w wózekkach wyposażonych w zawieszenie i hamulce dyskowe. Mam wrażenie, że zgubiłem drogę i trafiłem na plac zabaw zakładu dla obłąkanych.

Gdy po powrocie do hotelu i wzięciu prysznicza, dzwonię do swojej byłej, przepelnia mnie znajome uczucie strachu.

Telefon odbiera jej nowy mąż, któremu życzę powodzenia. Jest uprzejmy, ale ma irytujący zwyczaj mówić „czekaj”, gdy przekazuje słuchawkę komuś innemu. Proszę, żeby dał do telefonu moją starszą córkę.

- Czekać - słyszę.

Jest zbyt głupi, żeby zrozumieć, że od lat nie robię niczego innego. Głos, który słyszę chwilę później, nie należy do mojej córki.

- Cześć, Anthony - wita mnie była małżonka, ledwo kryjąc pogardę. - Miałaś zadzwonić o dziesiątej.

- Wybacz. Jetlag⁴⁶ daje się we znaki.

- Ależ wszystko w porządku - odpowiada. - Jesteśmy przyzwyczajeni do twoich wymówek. Ale nie będziemy dłużej tolerować spóźniałstwa. Może wydaje ci się, że wszyscy

⁴⁶ Zespół nagłej zmiany strefy czasowej, na który składać się mogą m.in. zmęczenie, zaburzenia snu, złe samopoczucie.

powinni zmieniać ustalone plany za każdym razem, gdy przylecisz sobie jak gdyby nigdy nic z Anglii, ale czas wreszcie coś z tym zrobić.

- Chciałbym tylko pobyć kilka godzin z dziewczynkami - mówię.

- Jeśli nie przyjedziesz do jedenastej, nie masz nas co szukać.

I rozłącza się.

Chociaż za każdym razem staram się być przygotowanym na takie traktowanie, to zawsze udaje się jej osiągnąć zamierzony efekt.

Pół godziny później stoję już przed frontowymi drzwiami jej domu w Chevy Chase, dziękując Bogu, że to niedziela i nie było korków, które mogłyby mnie opóźnić. Proszę taksówkarza, żeby na mnie poczekał, bo nie chcę się wdawać w kłótnię, w której jestem stroną z góry skazaną na porażkę. Na podjeździe, obok idealnie utrzymanego trawnika, stoją srebrny mercedes i BMW ze składanym dachem.

Gdy dziewczynki wybiegają z domu i rzucają się na mnie, przyklękam, prawie dając się przewrócić na ziemię. Podrosły od lata - wręcz trudno uwierzyć, jak bardzo się zmieniły. Wzruszyłem się na ich widok, ale nie pozwalam sobie na okazanie uczuć. Z drzwi mieszkania obserwuje nas ich matka, patrząca na mnie, jakby dostrzegła na podjeździe włóczęgę.

- Jezu, wyglądasz, jakbyś się wdał w jakąś barową burdę. Nie powinieneś się tak pokazywać publicznie.

- Prawdę powiedziawszy, to rzeczywiście pobolewa. Dziękuję za troskę.

- Tylko żebyś wrócił na trzecią. Dla ciebie zrezygnowaliśmy z rodzinnego popołudnia.

I nic na słodko. Nie pozwalamy im jeść cukierków i nie obchodzi mnie, co myślicie o tym w Anglii.

Nie mam dla niej odpowiedzi, więc po prostu pakujemy się do taksówki.

- W porządku dziewczynki, to gdzie jedziemy? Możemy wybrać się do Chin pooglądać pandy, do Indii na wyścigi bawołów lub na Biegun Północny zapolować na renifery. Albo, ale to jeśli byłyście naprawdę grzeczne, możemy też pojechać na gofry z syropem klonowym i masą bitej śmietany.

Moja propozycja wywołuje chóralne, pełne aprobaty chichotanie. Jedziemy do restauracyjki, gdzie zgodnie z ustaloną tradycją powtarzamy nasz rytuał pożerania gofrów i picia gorącej czekolady. Gdy przyglądam się, jak wcinają, moje serce wypełnia radość, która zakłócona jest przez myśl, że dorastają tak daleko od swojego ojca. Opowiadają mi, co się dzieje z sadzawką, którą zbudowaliśmy wspólnie zeszłego lata. Zadomowiła się w niej rodzina traszek, kijanki przeobraziły się w żaby, złote rybki przytyły, a rankami na kąpiel przychodzi wielki kaczor z czerwonym dziobem z farmy po drugiej stronie drogi. Gdy

ostatnio przyczłapał, sadzawka była zamarznięta i poślizgnął się, upadając na swój kaczy kuper, nie potrafiąc zrozumieć, co też się właśnie stało. Do czasu moich kolejnych odwiedzin złote rybki - których imiona dziewczynki pamiętają co do jednej - tak już utyją, że nie pomieszczą się w sadzawce.

- A złapałeś mysz? - pyta młodsza.

Kompletnie o tej myszy zapomniałem.

- Złapałem i wypuściłem w ogrodzie - odpowiadam. - Ale wróciła. Znacznie bardziej jej odpowiada mieszkanie pod szafkami w kuchni. Może, gdy przylecicie do Anglii, to razem ją złapiemy i wyszkolimy. Myślisz, że myszy grają na skrzypcach? - Chichocze.

- Mamusia mówi, że przylatujesz tylko w interesach - mówi starsza.

To bolesne oskarżenie, całkowicie nieprawdziwe. Nigdy nie byłem w Ameryce w interesach, pomijając aktualny wypad, który też trudno uznać za delegację. Nie potrafię im powiedzieć, że matka je okłamuje.

- Może mamusia nie zna całej prawdy. Przylatuję do Ameryki, żeby się z wami spotkać, bo was kocham i tęsknię. No i dlatego, że w Anglii nie można kupić tak niesamowitych gofrów.

Trzymając się za ręce, spacerem pokonujemy kilka przecznic do zoo, gdzie szukamy zwierzaków z *Takich sobie bajeczek* Kiplinga. Stoją kilka centymetrów od słonia i wpatrują się w znajdujące się za szklanym ogrodzeniem węże robiąc miny do gibbonów o białych policzkach.

Ale gwoździem programu są pingwiny.

Jest chłodno, więc idziemy do restauracyjki po dolewkę gorącej czekolady. Dopiero w drodze powrotnej zauważam, że jedna z dziewczynek zgubiła rękawiczkę. Będzie draka, ale nie mamy czasu, żeby wracać. Gdy docieramy do domu, radość znika, znowu zastąpiona strachem.

- Jakże typowe - warczy na mnie ich matka, stojąc przy drzwiach. - Zostawiam cię z nimi na jedno popołudnie i oczywiście coś musi pójść nie tak.

Nie wiem, dlaczego jest tak okrutna. Nie wdaję się w dyskusję, bo czuję na sobie wzrok dziewczynek, niepewnych, czy mają się już pożegnać. Na ich twarzach malują się na przemian uśmiechy i niepokój.

- A tak przy okazji - mówi ich matka. - W sierpniu będzie dwutygodniowy obóz jeździecki. Możesz je zabrać na ostatni tydzień miesiąca, a następnego lata to nadrobimy.

- W tym roku spędzę z dziewczynkami tylko trzy tygodnie. To moja jedyna szansa, żeby pobyć z nimi w wakacje. Nie zabiorę ich do Anglii na jeden tydzień. Nie podoba mi się

ten pomysł.

Zaciska usta i znowu obdarza mnie pogardliwym spojrzeniem.

- W porządku. Jeśli chcesz być takim egoistą, to proszę bardzo. Nie powinnam była spodziewać się po tobie niczego innego. My też możemy to utrudnić.

Nie znajduję na to odpowiedzi, więc po prostu całuję dziewczynki na pożegnanie, a one, przechodząc pod ramieniem matki, znikają w domu. Gdy zbliżam się do taksówki, drzwi ponownie się otwierają i obie pędzą do mnie, żeby przytulić się jeszcze ten ostatni raz.

Odkryłem sposób, jak poradzić sobie z wyniszczającym uczuciem rozłąki. Koncentruję się na czymś innym i nie odpuszczam, póki ból nie osłabnie. Przepelnia mnie żal, ale wiem, że ustąpi, jeśli tylko pozostawię sprawy swojemu biegowi. Czas powrócić do innego świata, w którym muszę trzymać uczucia na wodzy. Taksówka jedzie do hotelu, mijając po drodze wypielegnowane trawniki wokół idealnych domów Chevy Chase, a ja koncentruję się na czekającym mnie spotkaniu z Grace. Ciekawe, jaki poziom dostępu otrzymałem. Od chwili, gdy Seethrough przywrócił mnie do pracy w Firmie, dysponuję zezwoleniami na poziomie Ścisłe Tajne. Nie oznacza to jednak, że automatycznie uzyskałem wgląd do, nazywanych tak przez Amerykanów, SCI - Informacji Chronionych Specjalnego Znaczenia lub SAP - Tajnych Zadań Specjalnych, takich jak misje Predatora, którego istnienie jest utajnione.

Jako obywatel brytyjski nie mogę otrzymać w Stanach Zjednoczonych dostępu na poziomie Ścisłe Tajne. Mogą mi jednak przyznać upoważnienie zezwalające na ograniczony dostęp, jeśli zostanie wykazane - a tak się najwyraźniej stało - że w danym zadaniu nie można wykorzystać sprawdzonego amerykańskiego obywatela. Dzięki temu mogę zostać dopuszczony do istotnych SCI. Reszta to NTK, czyli „Musi Wiedzieć” ograniczające dostęp do informacji niezbędnych dla wykonania zadania. Seethrough tak załatwił sprawę ze swoimi odpowiednikami w Langley, że cały proces przebiegł gładko, a na dodatek na siódmym piętrze ktoś mnie kocha, jak to ujęła Grace. Kwestia dostępu nie stanowi tajemnicy i po określonym czasie może wygasnąć. Odpowiedzialność zostaje jednak na całe życie. To niepokojąca myśl. Paradoksalnie, pociesza mnie wiedza, że na najwyższych szczeblach władzy - czego przykładem jest to, jak Baronowa załatwia swoje sprawy - nie istnieje coś takiego jak dostęp ani papierkowa robota, która potwierdzałaby jego istnienie lub też mu przeczyła. Jest tam miejsce tylko na rozmowy prowadzone w cichych pomieszczeniach lub na parkowych ławkach i słowa wymieniane podczas przypadkowych spotkań, do których najprawdopodobniej nigdy nie doszło.

Co prawda miałem mocne postanowienie, żeby pójść popływać w hotelowym basenie, ale zamiast tego rzucam się na łóżko i zapadam w niespokojny, godzinny sen, z którego budzę się ogarnięty paniką, nie wiedząc, gdzie jestem. Gdy schodzę do holu, Grace już na mnie czeka, czytając „Washington Post”! Teraz gdy mam okazję zobaczyć ją w świetle dziennym, widzę, jak bardzo błękitne ma oczy. I znowu dostrzegam tę samą hardość w sposobie chodzenia, głosie i zachowaniu, współgrającą z łagodnością, gdy się uśmiecha albo śmieje.

Grace mieszka samotnie w okolicy zwanej Adams Morgan, żartobliwie nazywanej przez jej mieszkańców Madam’s Organ. Drzwi frontowe wąskiego, czteropiętrowego domu - wedle amerykańskich standardów niewielkiego, wedle wszelkich innych ogromnego - ochrania zaskakująco duża liczba różnorodnych zamków. Podłoga jest zasłana perskimi i tureckimi dywanami, a na ścianach wiszą obrazy Georgii O’Keefe⁴⁷. W rogu salonu, pod zdobytym na rodeo trofeum, spoczywa na drewnianym stojaku misternie wykonane, ręcznie wytłaczane siodło. Wśród rodzinnych fotografii można zobaczyć Grace ściskającą dłonie z prezydentem i jakąś kobietą, z byłym prezydentem, z dyrektorem CIA, Georgem Tenetem w różowym krawacie, równoważącym jego lewantyńskie rysy twarzy oraz z byłym dyrektorem centrali wywiadu, Johnem Deutchem. A spomiędzy nich wystaje miniaturowa flaga stanu Kolorado. Pytam, kim jest kobieta na zdjęciu.

- To Sekretarz Stanu - odpowiada, podchodząc bliżej, żeby przyjrzeć się zdjęciu. - Nadęta suka. Wiesz, co mi powiedziała? Że Masud handluje narkotykami i nie możemy z nim robić interesów. Trzymaj - gdy podaje mi szklaneczkę, instynktownie spoglądam na zegarek. - Nigdy nie jest za wcześnie na łyček rosy z prerii. - Jej rosa to dwudziestodwuletnia whisky dojrzewająca w beczkach po porto. - Jedna z drobnych przyjemności życia - mówi.

Nie sposób się z nią nie zgodzić. Siadamy, kołyszac szklanki w dłoniach.

- Masud nigdy nie brzydził się pieniędzmi, ale można z nim konie kraść. Mam szczerą nadzieję, że zdążymy go wesprzeć, zanim będzie musiał się wycofać.

- A jakie twoim zdaniem są na to szanse? - pytam.

- Marne - odpowiada. - Bardzo marne.

Gdy wspomina swoją ostatnią misję do Pandzszuru, staje się oczywiste, że również jej, tak samo, jak wielu innym, zaimponowała charyzma, energia i pokora Masuda.

- Załatwiliśmy mu gorącą linię do Langley i sprzęt od Agencji Bezpieczeństwa, żeby móc podsłuchiwać talibów. Ni z tego, ni z owego, artyleria rozpętuje piekło w dolinie,

⁴⁷ Artystka amerykańska urodzona w 1887 roku. Na swoich obrazach przedstawia przeważnie abstrakcyjne wizje kwiatów, skał, muszli i krajobrazów.

przerabiając jego ludzi na żarcie dla myszołowów. Zabrał nas wyżej, poza zasięg ostrzału, a sam wrócił do walki. Cholera. Potem znalazł jeszcze czas, żeby się nami zająć, upewnić, że dostaliśmy jedzenie i jest nam ciepło. Skurczybyk spał na zwiniętym pościeliu jak kowboj. A następnego dnia znowu przewodził w wojnie, zajęty bardziej, niż jednonogi facet na konkursie kopania tyłków.

- Boże, nie rozśmieszaj mnie - protestuję, łapiąc się za żebra.

- Chciałam cię właśnie zapytać, czy się z kimś tłukłeś - mówi.

- Tylko z przyjaciółmi.

- Nie jesteś takim zwykłym gringo-szpiegiem - stwierdza, tłumiąc śmiech i uzupełniając szklanki. - A niejednego już spotkałam. Większość to zadowolone z siebie skurczybyki. Ty nie prowadzisz życia w cichej rozpaczce.

- A ty nie jesteś taką zwykłą kowbojką - odpowiadam.

- Kowbojki zazwyczaj nie cytują Thoreau⁴⁸.

Gdy pytam, jak została szpiegiem, jej odpowiedź mnie zaskakuje - to rodzinny interes. Jej ojciec przyjaźnił się z „Dzikim Billem” Donovanem, założycielem OSS, Biura Służb Strategicznych, tajnej amerykańskiej organizacji zajmującej się szpiegostwem w trakcie drugiej wojny światowej. Wiem, że OSS było bytem równoległym do brytyjskiego SOE, Kierownictwa Operacji Specjalnych i że jego odważny, nowatorski założyciel zyskał legendarną sławę dzięki brawurowym wyczynom za linią wroga - podobnie jak David Sterling, założyciel SAS. W późniejszych latach jej ojciec, oddany wojownik zimnej wojny, dowodził kilkoma bazami wojskowymi w krajach Bliskiego Wschodu. Działo się to jeszcze w złotych latach, jak je nazywa Grace, gdy Agencja naprawdę miała w regionie ludzi, na których można było polegać.

Nie mam powodu, by nie powiedzieć, że mój ojciec był związany z SOE i że wstąpiłem do wojska, kierując się poniekąd romantyczną ambicją podążenia jego śladami.

- Ale nie do końca tego się spodziewałem - mówię. - Dostałem szansę, żeby zostać pełnoprawnym szpiegiem, ale popełniłem „niedyskrecję”. Podobnie jak teraz, opowiadając ci o tym - dodaję.

- Dziękuję za otwartość - ma na myśli szczerłość, ale nie jest zapewne zbiegiem okoliczności, że raczy mnie whisky, wykorzystując prawdopodobnie najstarszą na świecie technikę rozwiązującą język. Próbuję skierować tok naszej rozmowy z powrotem na

⁴⁸ Henry David Thoreau, amerykański pisarz, poeta i filozof. Autor m.in. takich prac jak: *Walden, czyli życie w lesie*, *Obywatelskie nieposłuszeństwo*, *Życie bez zasad*

Afganistan.

- Co się stanie? - pytam. - To znaczy, jeśli Masud zostanie wyparty.

- Mówiłam już. Cały Afganistan zamieni się w obóz treningowy Obi-Wana i jego fanatyków. A to nie pozostawi nam wielkiego wyboru. Mamy taki plan - zaczyna, ale przerywa. - Nie wolno mi o tym mówić, Tony. Cholera, zawsze jest jakiś plan.

- Ameryka wkroczy do akcji? To nie do pomyślenia.

- Posłuchaj - stawia szklanę na krawędzi stołu. - Wiemy, że Al-Kaida chce śmierci Masuda. Na litość boską, ktoś osłania mu plecy na wypadek, gdyby chcieli poczęstować go ołowiem. Jeśli im się poszczęści, stracimy naszego jedyne go sojusznika. Wolałabym się z tego nie tłumaczyć. Od blisko dwóch lat kompletujemy w Afganistanie archiwum dotyczące celu. Może i udało nam się przetrzymać przełom tysiącleci, ale zawisło nad nami tyle zagrożeń, że system świecił jaśniej niż choinka. Większość informacji potwierdzało tylko jedno źródło i były zbyt mgliste, żeby je w jakikolwiek sposób wykorzystać, ale wystarczyłoby, żeby doszło do incydentu na terytorium USA, a ślad prowadziłyby do Obi-Wana, i dobrze wiesz, że Pentagon by się tym zajął - ponownie sięga po szklanę. - Głębokość strategiczna. Wiesz, dokąd nas to zaprowadzi?

- Pod prąd strumienia głównym płynącego? - podsuwam swoją propozycję.

- I nie tylko - komentuje. - Jeśli wkurzymy dwadzieścia milionów Afgańczyków, to czeka nas wojna, przyjacielu.

- Ponura myśl - mówię. - To zbyt dziwaczne. Najpotężniejszy kraj świata miałby zaatakować najbiedniejszy?

- Masz świętą rację, że to dziwaczne - odpowiada, kładąc nacisk na ostatnie słowo, po czym znowu napełnia nasze szklanki. - A chcesz wiedzieć, jak bardzo? Finansujemy ciągnącą się dziesięć lat wojnę zastępczą przeciwko Sowiecom, żeby pogrzebać duchy Wietnamu, a milion Afgańczyków umiera w imię wolności. A gdy pada Mur, Wolność mówi: „Adios, amigos, zmywamy się stąd” Afganistan znika z naszego programu szybciej niż masło z rozgrzanego do czerwoności noża i zostawiamy Afgańczyków samym sobie, wyrzynających się nawzajem bronią zakupioną przez amerykańskich podatników. Czy to jest wystarczająco dziwaczne? Pięć lat później władzę w kraju przejmuje jednooki mułła, wspierany przez jedyne go sojusznika, jaki nam pozostał w tym regionie: Pakistan. Wspomniany mułła wbija sobie do tej swojej pustej głowy, żeby ugościć najbardziej poszukiwanego terrorystę, głoszącego dżihad przeciwko zganij komu? Ameryce. Sekretarz Stanu chce się skumać z jednookim mułłą i sprawdzić, jak rozwinie się sytuacja: Poradzimy sobie z talibami, mówi. Masud to już historia. I nie przeszkadza jej, że Rosjanie i Irańczycy dają mu tyle broni, ile

tylko sobie zażyczy, byleby związał walką siły talibów. Pentagon mówi „nawiążcie rozmowy z Pakistanem, utrzymajcie strategiczne porozumienie, Masud to przegrana sprawa”. Wiesz, dlaczego nie udało się zdjąć Obi-Wana atakiem cruise’ów? Wiesz, dlaczego wystrzeliliśmy rakiety o wartości stu milionów dolarów tylko po to, żeby porozrzucić po afgańskiej pustyni stertę pieprzonych kamulców? Ponieważ Pakistańczycy go ostrzegli. Nasi drodzy sojusznicy. Jezu Chryste, już nawet nie zastanawiamy się, dlaczego to jest takie dziwaczne, a tylko „jak bardzo”? Reszta CIA myśli, że mamy obsesję na punkcie w gorącej wodzie kąpanego playboya cierpiącego na śmiertelną chorobę nerek, ale o co nam do cholery chodzi? Nie dziwota, że nazywają nas „Rodziną Mansona”. Mogliśmy go przyskrzynić w zeszłym roku, ale Biały Dom nie pozwolił na akcję z obawy, że przy okazji zdejmemy któregoś z jego arabskich koleżków, gotowych wyłożyć dziesięć miliardów dolarów na F-16, a którego rząd, tak, dobrze zgadłeś, jest głównym dostawcą broni dla talibów. Pytasz, kto jest najsilniejszym sojusznikiem Masuda? Rosjanie, którzy przez dziesięć lat byli jego zaprzysiężonymi wrogami. Powiesz, że to jest dziwaczne?

Niewiele można tutaj dodać, poza tym, że wszystko, co usłyszałem, potwierdza tylko tajemniczą cechę Afganistanu - wpływania na wydarzenia na świecie w tak nieproporcjonalnie znaczący sposób; niezależnie od faktu, że mówimy o jednym z najbiedniejszych i najgorzej rozwiniętych krajów świata.

Grace wzdycha ciężko, ale humor jej się poprawia, gdy dolewa nam whisky. Ton głosu staje się bardziej rzeczowy.

- Musimy pogadać o tych stingerach.

Wyciąga laptopa i wyświetla na jego ekranie zestaw zdjęć, z którymi już częściowo zapoznałem się w trakcie wcześniejszego spotkania z H. Zostały opatrzone etykietami i widać na nich umieszczony na pojemniku zawór bezpieczeństwa, który należy otworzyć przed wyjęciem pocisku. Są też zdjęcia panelu z partią i numerem seryjnym. Trzeba sporządzić ich listę. Jeśli rzeczywiście jest tam aż tyle pocisków, jak byśmy chcieli, to znalezienie i sfotografowanie numerów seryjnych będzie wymagało odpowiedniej ilości czasu.

Gdy znajdę się w Afganistanie, przed wyruszeniem do celu członek zespołu TRODPINT udzieli mi informacji o sytuacji w terenie. Spotka się z nami przed operacją i po jej wykonaniu i przekaże raport na temat postępów swojemu amerykańskiemu zwierzchnikowi w Pakistanie. Inna zaufana osoba wprowadzi mnie w sytuację przed wjazdem do kraju.

Grace wyświetla na ekranie dokumenty, pośród których moją uwagę przykuwają zastrzeżenia dotyczące bezpieczeństwa nagłówek systemu ochrony korespondencji

elektronicznej. Akronim NODIS oznacza, że rozpowszechnianie wiadomości podlega ograniczeniom. FGI, że dany dokument zawiera poufne informacje na temat obcego rządu. X5 to jedno z wielu zwolnień od odtajnienia, oznaczające, że dokument pozostanie utajniony dłużej, niż przez wyznaczoną liczbę lat.

Fotografie pojawiają się jedna po drugiej. Pierwsza przedstawia Abdula Sattara, przystojnego młodego człowieka o szczupłej, ciemnej twarzy.

- Władza angielskim, paszto i dari - informuje mnie Grace. - Masz się u niego zameldować przed i po operacji. Potrzebne mi jest tylko potwierdzenie od osoby trzeciej, że pojawiłeś się i zniknąłeś. Nie powierzyłabym mu żadnego poważniejszego zadania. Nic, co dotyczyłoby operacji. Jest z nami od roku, ale uwierz mi, zna naprawdę paskudnych gości.

Na kolejnym zdjęciu widzę starszego mężczyznę po czterdziestce, o łagodniejszych rysach na owalnej, chochlikowatej twarzy.

Nazywa się Hamid Karzai. Wywodzi się z porządnej rodziny z południa - mówi, jakby miała na myśli Tennessee, a nie Kandahar. - Pełnił funkcję rzecznika prasowego Mojaddediego w okresie dżihadu i zastępcy ministra spraw zagranicznych w rządzie Masuda do czasu, gdy pokłócił się z szefem wywiadu i musiał zwinąć kram. Najwyraźniej nie mógł się pozbiierać po tym, jak go potraktowano i na rok czy dwa związał się z talibami. Wszystko wzięło w łeb, gdy w zeszłym roku zabili jego ojca. Teraz stara się przenieść walkę na ich terytorium, na południe. Jest dobrze zorientowany w sytuacji i niektórzy na niego stawiają. Potrafi człowieka zagadać na śmierć, ale można mu ufać. - Gwoli uzupełnienia mówi mi, że jego bracia prowadzą w San Francisco afgańską restaurację, tak na wypadek, gdyby w trakcie pobytu w Stanach naszła mu ochota na *qabli pilau* - żółty ryż z marchewkami i rodzynkami.

To do Karzaia trafią pieniądze, o których dostarczenie prosiliśmy. Szczegóły taktyczne to już nasza działka. Gdy znajdziemy się w obrębie granic Afganistanu, Grace będzie utrzymywać kontakt z Londynem.

- Chciałabym móc tam z tobą pojechać - mówi. I znowu powraca jej stalowe spojrzenie. - Liczę na ciebie, Tony.

Już po dwudziestej drugiej. Wypita whisky przyjemnie oddaliła wcześniejsze zmartwienia. To była miła rozmowa i chciałbym, żeby mogła trwać dłużej. Grace odprowadza mnie do drzwi frontowych.

- Rano będzie na ciebie czekał samochód - mówi.

- Dzięki. Jesteś w porządku. Będzie mi brakować tej kowbojskiej gadki.

- Poczekaj - zatrzymuje mnie. - Sięga dłonią do klamry pasa, odpina go w pośpiechu, i wysuwa ze szlufek. Wyciąga do mnie dłoń, w której trzyma pleciana torebkę ze skóry węża z

narzędziem uniwersalnym Leathermana w środku.

- Weź to ze sobą - mówi. - Będzie jak znalazł. - Musi być dla niej ważny, ponieważ zanim mi go podaje, przez chwilę jeszcze przygląda mu się w zamyśleniu.

- Agencja ma fart, że z nimi jesteś - mówię. Obejmujemy się. - Daj im popalić.

- *Adios, amigo* - odpowiada.

Ulice są ciche, więc postanawiam przespacerować się i po drodze wszystko przemyśleć. Ukryty świat, do którego właśnie wkroczyłem, bardziej mi się teraz podoba. Przez cały miesiąc byłem rozerwany między koniecznością zachowania tajemnicy a potrzebą podzielenia się z kimś swoją wiedzą. Teraz ten konflikt zanika. Praca daje mi pewność siebie, a wiara, jaką obdarzyła mnie Grace, podnosi na duchu. Dochodzę do wniosku, że jej podarunek był kwestią impulsu. Wyjmuję go z torebki i oglądam. To kosztowna wersja, świetnie wykonana i praktycznie niezniszczalna, choć tylko Amerykanie mogli zaprojektować narzędzie wieloczynnościowe pozbawione korkociągu. Wkładam je z powrotem do torebki, obracając nią w dłoni w trakcie marszu.

W hotelu informuję recepcję, że zamierzam się wymeldować wczesnym rankiem, a także przeprowadzam krótką rozmowę z portierem, którego wcześniej poprosiłem o przysługę. Jestem zmęczony i czas już odpocząć. Po drodze do pokoju mijam bar, gdzie moją uwagę momentalnie przykuwają dwie kobiety. Trudno ich nie zauważyć. Blondynka nosi sukienkę z długim, sięgającym krzyża rozcięciem na plecach, a siedząca obok niej Murzynka ma na sobie, równie ciemne co ona sama, skórzane spodnie, sprawiające wrażenie jakby namalowano je na tych aż do przesady długich nogach. Zauważa, że się jej przyglądam, uśmiecha się i odwraca do przyjaciółki.

Na myśl nasuwa mi się mimowolnie nieodłączny kompan Tintina⁴⁹, kapitan Baryłka, w jednej z tych jakże trudnych dla niego chwil, gdy anioł na prawym ramieniu i diabeł na lewym przedstawiają mu swoje racje.

- Masz lot z samego rana - mówi mój anioł.

- Jesteś samiuteńki, a do domu daleko - ripostuje diabeł - wyśpisz się w samolocie. Życie jest krótkie - dodaje, mrugając porozumiewawczo.

- Trzeba by cię przywiązać do masztu, aż te syreny znajdą się poza zasięgiem słuchu - protestuje anioł.

⁴⁹ Bohater legendarnej serii komiksowej Georges'a Remi, znanego pod pseudonimem Hergé, opowiadającej o przygodach tytułowego Tintina, podróżnika i dziennikarza.

Diabeł wygrywa.

Podchodzę do baru i zamawiam whisky. Pianista wydobywa z wielkiego fortepianu łagodne, jazzowe tony, a tuzin gości, usadowionych na białych, skórzanych krzesłach i kanapach popija swoje drinki przy niskich stolikach. Barman zręcznym, teatralnym gestem nalewa whisky, okręcając jeszcze butelkę, zanim odstawi ją na półkę.

Odwracam się do siedzących tuż obok kobiet, jakbym dopiero co je zauważył. Obie są uderzająco piękne i wpatrują się we mnie. Blondynka ma oczy w kolorze świeżego soku z limetki i pięknie wyrzeźbioną twarz, z której odgarnia teraz kosmyk topazowo-złotych włosów. Murzynka, z włosami zebranymi z tyłu i odsłoniętą, idealnie owalną twarzą, obrzuca mnie uwodzicielskim spojrzeniem tygrysicy, a jej pomalowane szminką usta mają kolor szafranu, jakby przycisnęła je do wulkanicznej gleby na lądzie swoich przodków.

- Witam panie - mówię, podczas gdy w myślach przewija mi się cały wachlarz wymyślnych scenariuszy.

Opanowało mnie nieprzejednane pragnienie czysto fizycznej bliskości, a mój diabełek sugeruje podjęcie zdecydowanych kroków.

- Gdybym wiedział, że obie tu będziecie, odwołałbym swoje plany na wieczór.

Wymieniają uśmiechy i blondynka odzywa się pierwsza.

- Nie rozmawiamy z nieznajomymi - mówi z fałszywą rezerwą, sugerującą coś zupełnie przeciwnego. - Ale możemy zmienić zdanie, jeśli nam się przedstawiś - ma południowy akcent, który z niewiadomych powodów kojarzę z seksualną zachłannością. - Mam na imię Summer - przedstawia się, patrząc mi prosto w oczy, gdy wymieniamy uścisk dłoni.

Z trudem opieram się pokusie spojrzenia na jej piersi.

- Nic nie mów - wtrącam, patrząc na jej przyjaciółkę.

- Ty masz na imię Pudding.

Żart jednak nie trafia na podatny grunt, wywołując skonsternowane spojrzenia.

- Summer - wskazuję po kolei - i Pudding. To taki specjalny deser, jaki serwujemy w Anglii. Najważniejsze, żeby owoce były dojrzałe. Trzeba je wycisnąć, nie zostawiając śladów na skórce. Mam na niego straszną ochotę. Doskwiera mi permanentny głód dojrzałych owoców wszelkiego rodzaju.

- A czy zdarza ci się ulegać swoim pragnieniom? - pyta Summer.

Jeśli do tej pory nie dała mi zielonego światła, to teraz to zrobiła. Zgadza się kontynuować naszą rozmowę przy stoliku, więc przesiadamy się na miękkie fotele. Zamawiam butelkę szampana i przez kolejne pół godziny gawędzimy. Summer przejęła

inicjatywę, a Tygryśca zachowuje zmysłową ciszę. Ponieważ twierdzą, że nie mogą się nadziwić mojemu akcentowi, staram się w pełni wykorzystać ten atut. Gdy tylko w mojej wypowiedzi pojawia się jakiś podtekst, one go podchwytyją. Goście rozchodzą się i już tylko my oklaskujemy pianistę, gdy odgrywa ostatnią wersję „Georgia on my Mind”.

- Robi się późno, moje panie - stwierdzam, nadszedł bowiem czas na podjęcie decyzji.

- Co można robić w tym mieście o tak późnej godzinie?

- Zależy, co lubisz najbardziej - odpowiada Summer, obdarzając mnie lubieżnym uśmiechem.

- Cóż, mam swojego konika - mówię - ale to raczej coś niekonwencjonalnego.

- Sprawdźmy - kontynuuje Summer, maczając palec w swoim szampanie.

- Naprawdę sądzisz, że powinienem podzielić się z wami czymś tak osobistym? - pytam.

- Nikomu nie powiemy - Summer wkłada palec do ust.

Zdecydowanie nadeszła odpowiednia chwila.

- Fauna stawów.

- Fauna stawów? - chichoczą niepewnie.

- Stawy - mówię. - Są absolutnie fascynujące. W najmniejszym z nich odnajdziemy żywe organizmy wszelkiego rodzaju. Pływające, biegające, pełzające, latające i kopiące nory. I nie mam tu na myśli tylko ropuch, żab i traszek. Wszyscy je kochamy, prawda?

- Prawda - odpowiada Summer, wymieniając spojrzenia ze swoją równie skonsternowaną przyjaciółką.

- Pomyślcie o wszystkich innych, mniejszych zwierzętach, o których się nie wspomina: wodnych żukach, skorpionach, muszkach, ważkach, nartnikach, nimfach, nicieniach, przywrach i tasiemcach. Wszystkie je znajdziecie w stawie.

- Rozumiem, a przynajmniej tak mi się wydaje - mówi Summer, ale widzę wyraźnie, że zastanawia się, do czego zmierzam. To w pełni zrozumiałe.

- Ale najbardziej interesująco prezentuje się dno stawu - kontynuuję. - Tam właśnie lądują szczątki i tam natkniemy się na życie wypchnięte poza nawias stawowego społeczeństwa. To cały odrębny świat, rządzący się swoimi własnymi prawami. Tam właśnie rezydują zwierzęta zakopane w mule i padlinożercy, pasożyty i pijawki.

- Nie zrozumcie mnie źle - kontynuuję. - Niektóre z tych żyjących w błocie zwierząt są naprawdę piękne, i to do tego stopnia, że ciężko zrozumieć, co też tam robią.

Przyglądam się uważnie ich twarzom. Summer jest skonsternowana, ale ze wszystkich sił stara się to ukryć. Tygryśca wie już, jaki mam cel i obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem.

- Żyje tam pewna rodzina pasożytniczych robaków, bodajże wyplawków, które dzięki wydzielanemu przez ich ciała szlamowi mogą poruszać się po każdej powierzchni. Znajdą się też małe stułbie, które chwytają swoją ofiarę, poruszając mackami. No i meduzy. Na pewno o nich słyszałyście. Należą do jamochłonów, są gatunkiem wolnopływającym. Tacy wolni agenci, można by rzec. Niełatwo ich wypatrzyć, o ile nie ma się odpowiedniego przygotowania, ale gdy już znamy ich cechy charakterystyczne, identyfikacja nie sprawia większych problemów.

Dziewczęta ponownie wymieniają spojrzenia, a język ciała zdradza nerwowość. Nie uśmiechają się już. Murzynka wręcz marszczy brwi.

- Są też małe skorupiaki. Bardzo aktywne, również nocą. Pływają na plecach, chwytając ofiarę odnóżami. Wyobraźcie to sobie tylko. Znaczy, jakie zwierzę dałoby się na to złapać?

- Musimy już iść - wtrąca cichym, obcesowym głosem Murzynka.

- Chyba masz rację - wtóruje jej Summer, czy jak tam ma naprawdę na imię.

Nie przestała się uśmiechać, tyle że teraz ten uśmiech wyraża coś innego. Mocniej przyciska usta do zębów, jakby przełykała gorzkie lekarstwo. Sięgają po torebki.

- Poczekajcie - mówię. - Nie opowiedziałem wam jeszcze o najciekawszym z tych wszystkich zwierzaków. To żuk, który chcąc przyciągnąć ku sobie ofiarę, uderza o powierzchnię wody swoimi małymi czułkami. To podobno sygnał seksualny, ale kto wie, jak wygląda seks z żukiem. W każdym razie, inny żuk zna tę sztuczkę i wiecie, co robi? Podpływa do powierzchni, udając zainteresowanie, zbliża się, a gdy ten drugi szykuje się już do posiłku - mam cię! Połyka go w całości. Bez przeżuwania.

Gdy opuszczają swoje miejsca, nie wstają wraz z nimi. Wychodzą, nie oglądając się za siebie.

Czuję się winny, że je oszukałem. To nie żuki zamieszkujące staw oszukują w ten sposób swoją ofiarę, a tropikalny gatunek chrząszcza lądowego podszywający się pod świetlika. Ale jakoś nie wydaje mi się, żeby ujęły takie szczegóły w raportach, które będą musiały przygotować. Ciekawe, czy Seethrough zastanowi się dwa razy, zanim znowu zażartuje ze stawów.

Kończę szampana i wracam do holu. Wręczam portierowi banknot dwudziestodolarowy i dziękuję za czujność, ponieważ to właśnie od niego dowiedziałem się, że pytały o mnie dwie urodziwe panie.

Zostaję sam w pokoju. W moim umyśle szaleje czarny wir myśli. Wkrótce przyjdzie mi się spotkać z Gemayelem, któremu wyjawię, że jeden z jego własnych pracowników ma

przyczynić się do jego śmierci. Robi mi się niedobrze, gdy pomyślę, z jak pokrętnymi ludźmi przyszło mi pracować. Zastanawiam się, czy wyślą mnie do Sudanu. I wspominam niewidzianego od lat przyjaciela.

Ale największy niepokój budzą we mnie słowa Grace. Potrzebują tylko wymówki, aby rozpętać wojnę w Afganistanie.

Nienawidzę obłądy niektórych swoich ziomków, ale jeszcze bardziej obawiam się potęgi Ameryki i tego, co się stanie, gdy olbrzym zostanie niespodziewanie sprowokowany.

Rozdział 9

Przez te kilka dni, które spędziłem w Ameryce, Seethrough jak zwykle miał pełne ręce roboty. Dzięki rozmowom z włoskim wywiadem SISMI udało mu się wypożyczyć od nich zespół obserwatorów, mających pomóc w zaaranżowaniu spotkania z Gemayelem. Włosi dali nam nawet znać, że po opuszczeniu swojego mieszkania przy Via Hongaria Gemayel zwykł spacerować po ocienionych, żwirowych ścieżkach ogrodów willi Borghese. Towarzyszy mu wtedy dwóch arabskich bądź włoskich ochroniarzy, podążających za nim dyskretnie w kosztownych kurtkach i okularach przeciwsłonecznych marki Ray-Ban. W wyznaczone popołudnie, zamiast zadzwonić do Gemayela i umówić się z nim na spotkanie, jak zrobiłby to każdy normalny człowiek, siedzę we włoskiej furgonetce komunikacyjnej, obserwując go z odległości siedmiuset metrów przez miniaturową lunetę o potężnej mocy.

Towarzyszy mi Gaetano, pochodzący z Neapolu były żołnierz włoskich oddziałów specjalnych, który opowiada mi właśnie zabawną historyjkę, jak to poddał się oddziałowi brytyjskich spadochroniarzy podczas wspólnych ćwiczeń na terenie Niemiec. Gdy został schwytany, a sytuacja taka nie powinna w ogóle mieć miejsca, wyciągnął ze swojego Bergena solidną butelkę Montepulciano i duży kawał parmezanu, po czym wspólnie z Brytyjczykami zorganizował piknik, w efekcie czego wielkodusznie zgodzili się go wypuścić. Co ciekawe, jako jedyny z włoskiego oddziału ukończył ćwiczenia, co zaowocowało przyznaniem mu rekomendacji przez dumnego dowódcę.

Stara zasada inwigilacji ponownie daje o sobie znać. Zawsze należy zakładać, że cel jest obserwowany, dlatego wiadomość zostanie przekazana bezpośrednio jednemu z ochroniarzy Gemayela, pod przykrywką niewinnie wyglądającego spotkania. To kartka papieru, na której zapisałem prośbę o rychłe spotkanie. Zawiera informacje na tyle szczegółowe, żeby Gemayel wiedział, z kim ma do czynienia, choć nie podpisuję się, podając za to adres swojego hotelu. Muszę zawierzyć jego pamięci i mieć nadzieję, że nie żywi urazy za wydarzenia z przeszłości.

Aby nawiązać kontakt, dwójka agentów SISMI udających amerykańskich turystów wypożyczyła rowery na popołudniową przejażdżkę po ogrodach willi Borghese. Kierując się wskazówkami Gaetano, wyjeżdżają przed Gemayela, gdy ten skręca w jedną z wysadzanych drzewami ścieżek. Odwróceni do niego plecami udają, że studiują turystyczną mapę parku. Wszystko trzeba zgrać w czasie. Gemayel mija ich, a kilka metrów za nim podążają jego ochroniarze.

- *E proprio dietro di te* - szeptem do mikrofonu Gaetano. Za wami. - *Cinque secondi - adesso, vai vai vai.*

Obserwuję przez lunetę jak agentka, udając, że traci cierpliwość, odwraca się do jednego z mijających ją ochroniarzy, pytając go jak się wydostać z parku. Rozmawiają przez kilka sekund, po czym jej partner podaje rękę ochroniarzowi, dziękując mu za pomoc.

- *Fatto* - mówi Gaetano.

Załatwione. Ochroniarz, przeszkolony do takich sytuacji, nie daje niczego po sobie poznać, gdy agent przekazuje mu kartkę; po prostu zamyka dłoń i odchodzi. Rowerzyści odjeżdżają, a wiadomość została przekazana.

Gdy wracam ze zorganizowanej przez Gaetano wycieczki po kilku jego ulubionych barach, jest już ciemno, a ja jestem lekko wstawiony. Do hotelu jadę taksówką, powtarzając w myślach listę rzeczy, które według Gaetano zostały wynalezione przez Włochów. Wszystko, co ma w życiu znaczenie - jak to ujął. Elektryczność, radio, opera, moda, skrzypce, bomba atomowa, najlepsze samochody świata i pizza. Nie wspominając o najpiękniejszych kobietach świata o złej sławie, dodaje, mrugając porozumiewawczo, nazywając je *donne id costume facile*, czyli kobietami lekkich obyczajów. A z dwiema z nich możemy się spotkać tego wieczora.

To uprzejma propozycja, za którą muszę równie uprzejmie podziękować.

W recepcji nie zostawiono dla mnie żadnej wiadomości. Właśnie zastanawiam się, w jaki sposób i kiedy Gemayel skontaktuje się ze mną, gdy otrzymuję jednoznaczny odpowiedź na nurtujące mnie pytania. Po wejściu do pokoju, gdy chcę włączyć światło, nagle czuję, że jakaś potężna siła ciągnie mnie na podłogę. Kimkolwiek jest osobnik, któremu udało się mnie zaskoczyć, musi mieć doświadczenie. Zanim jeszcze ląduję na podłodze, zakłada mi nelsona, a do skroni przyciska lufę pistoletu. Słyszę kliknięcia sygnalizujące odciąganie kurka. Broń jest nieco za blisko, żebym mógł dokładnie się przyjrzeć, ale rozpoznaję ją projekt po szkielecie - wieczorne ślęczenie nad książkami od H przyniosło efekty.

- *Bella pistola* - mówię. - Beretta 92. - I kolejny znakomity włoski wynalazek, zdaję sobie sprawę.

- *Chi cazzo sei?* - pyta głos po drugiej stronie lufy.

Mówi potocznym włoskim, poniekąd pozbawionym poczucia humoru, z najwyraźniej libijskim akcentem.

- *Sono un amico del tuo capo.* - Może jeśli przedstawię się jako przyjaciel jego szefa, dwa razy się zastanowi, zanim zrobi coś niestosownego.

- *Cosa vuoi da lui?*

- *È una faccenda primta.* - Czas zmienić język na jego ojczysty. - *Haida beini w'beinu* w *'bein Allah* - mówię po libijsku najlepiej jak potrafię. To sprawa między mną, nim i Bogiem.

Odwraca mnie, wkłada berettę do kabury i dwukrotnie dokładnie obszukuje, opróżniając mi kieszenie, podczas gdy jego stojący przy drzwiach kompan nie spuszcza mnie z oka.

- *Sediti* - nakazuje już spokojniejszym głosem.

Siadam na krześle przy oknie, a on rzuca na łóżko mój telefon, portfel i paszport. Uważnie przegląda moje rzeczy, gdy ja masuję bok głowy. Następnie wyjmuję z kieszeni telefon komórkowy, wybiera numer i mówi coś po arabsku. Gdy mi go przekazuje, zgodnie z oczekiwaniami w słuchawce słyszę głos Gamayela. Wydaje się starszy i niespodziewanie zdają sobie sprawę, ile czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania. Ale ton jego głosu nie pozostawia wątpliwości.

- Z przyjemnością spotkam się ze starym przyjacielem - mówi. - Masz dla mnie wieści?

- Mogę je przekazać wyłącznie tobie.

- Przyjedziesz z moimi ludźmi. Wybacz, że nie wyjawię miejsca naszego spotkania przez telefon.

Bez zbędnych ceregieli, ponieważ ludzie Gemayela nie wyglądają na lubiących pogaduszki, zostaję odprowadzony do zaparkowanego przed hotelem czarnego mercedesa. Podróżujemy przez rzymską noc. Kierowca najwyraźniej stara się ze wszystkich sił ukryć, dokąd jedziemy, ponieważ nad wyraz często skręcamy. A że nie znam Rzymu, udaje mu się osiągnąć zamierzony efekt. Nie martwi mnie to. Mój telefon jest wyłączony i tak jednak będzie podawał moją lokalizację, a najważniejsze, że udało się zorganizować spotkanie.

Już po północy. Nie potrafię określić, gdzie jesteśmy. Samochód zatrzymuje się na wąskiej, brukowanej uliczce. Szybkim krokiem podchodzimy do ciężkich, drewnianych drzwi, osadzonych w wysokim murze. Po drugiej stronie schodzimy kilka stopni poniżej poziomu ulicy, wchodząc do starożytnego, zbudowanego z kamienia i przypominającego kryptę pomieszczenia pachnącego lekko kadzidłami. Gdy otwierają się kolejne drzwi, wchodzę do małego, pozbawionego okien kościółka, którego sklepiony dach wsparty jest na trzech parach wypolerowanych filarów z marmuru Carrara w kolorze dębu. Ściany mają barwę ochry, a linie sklepienia ozdabiają misternie wykonane gzymsy z motywami roślinnymi z białego gipsu. Na przypominającej szachownicę marmurowej podłodze ustawiono tuzin ciemnych, drewnianych ławek. Dwie lampy zapewniają odrobinę światła.

Zostaję pokierowany do absydy, po której jednej stronie zwisa zakurzona, aksamitna kotara. Za nią znajdują się kolejne, mniejsze drzwi, którymi wychodzę na prowadzące w dół kamienne schody. Doliczam się dwudziestu czterech stopni, to zaś oznacza, że sygnał komórki nie będzie mógł się przebić. Podobnie jak żadne inne dźwięki. Idealne miejsce na sekretne spotkanie. Żaden przekaźnik nie zda tutaj egzaminu i nie ma szans, by ktoś podsłuchał co się dzieje w obrębie murów. Ale izolacja sprawia, że czuję się nieswojo.

Korytarze krzyżują się i schodzimy jeszcze niżej, idąc wzdłuż chropowatych ścian o pradawnym wyglądzie. Są zimne w dotyku, ale powietrze jest zaskakująco ciepłe. Jeden ochroniarz idzie przodem, drugi za mną. Skręcamy w długi i szeroki tunel z poziomymi wnękami po obu stronach. Zdaję sobie sprawę, że znajdujemy się w jednej z licznych katakumb miasta, a upiorne stopy spoczywające we wnękach to zwapnione zarysy ludzkich szkieletów. Tunel przechodzi w serię pokoi, przystrojonych starożytnymi malowidłami ściennymi przedstawiającymi ogrody i zwierzęta. Na swój prymitywny sposób są piękne, ale to nieodpowiednia chwila, aby zatrzymywać się i organizować mojej eskorcie wykład na temat ikonografii przedchrześcijańskich malowideł ściennych.

Wchodzimy do większej komnaty, rozmiarami dorównującej prawie znajdującemu się nad nami kościołowi. Podłoga jest pusta, za to ściany pokryte są nieco wyblakłymi, ale bardziej kolorowymi od poprzednich, malowidłami mitologicznych krajobrazów i potyczek. Widzę, wyrzeźbione pieczołowicie z jasnego kamienia, ślepe okna i futryny drzwi oraz podwyższenie, ciągnące się wzdłuż podstawy ściany. Na nim właśnie, na drugim końcu komnaty, siedzi Gemayel.

Strażnicy obstawiają wejście. Gemayel podnosi się i wita ze mną serdecznie. Włosy i wąsy mu posiwiały, ale wydaje się zdrowy. Spogląda na mnie z patrycjuszowską aprobatą.

- Byłeś jeszcze chłopcem, gdy cię poznałem - mówi. - Teraz zaś widzę mężczyznę.

- Nie spodziewałem się, że do naszego kolejnego spotkania dojdzie w kościele - stwierdzam, gdy żadna lepsza odpowiedź nie przychodzi mi na myśl.

- Prorok zaleca, abyśmy udali się do kościoła, gdy nie możemy pomodlić się w meczecie.

- To chyba i tak lepsze, niż więzienie.

- Dla niektórych i kościół nim będzie - uśmiecha się. - Ale osobiście uważam, że rzymskie kościoły nie mają sobie równych. To najlepsze miasto, by zastosować się do rady Proroka.

Dobrze wie, że musiałem mieć ważny powód, aby poprosić o to sekretne spotkanie, ale zanim przejdziemy do rzeczy, chętnie nadrabia zaległości. Opowiadamy sobie krótko o

tym, co wydarzyło się w naszym życiu i wracamy do brzemiennego w skutki schwymania przez Izraelczyków dziesięć lat temu.

- Nie zapomnę tego, co zrobiłeś - mówi. - Nadal jestem twoim dłużnikiem.

- Nie ma żadnego długu - odpowiadam. - To była moja powinność.

- Zabiłeś człowieka, aby mnie chronić.

- Ale nie ochroniłem.

- Także porażka może być honorowa - odpowiada, a na jego twarzy znowu pojawia się uśmiech.

To dziwne, ale czuję się, jakby z serca spadł mi wielki ciężar. Zupełnie jakby mówiąc to, wypędził nawiedzającego mnie od lat starego, nieznośnego demona. Nagle przepelnia mnie uczucie wdzięczności.

- Proś o cokolwiek, a otrzymasz to - mówi.

- *Insha'allah*, będzie i ku temu okazja. Na razie mam dla ciebie wieści.

Wszystko co mówię, jest prawdą w takim stopniu, w jakim mogę sobie na to pozwolić. Nigdy nie pozna wszystkich szczegółów - że brutalne uwolnienie z więzienia było przysługą wyświadczoną Izraelczykom w zamian za zapewnienie przykrywki dla prowadzonej przez Manny'ego infiltracji; że w efekcie został sprzedany. Wszystko inne to szczerą prawdą. Wyjaśniam, że przybyłem nie tylko jako przyjaciel, ale również przedstawiciel mojego rządu i że potrzebujemy pomocy jego ludzi w Sudanie, którzy nasłuchiwaliby wieści o zakupie stingerów. Jeśli bin Laden będzie w to zaangażowany, musimy o tym wiedzieć. Słucha mnie z uwagą i skinieniem głowy zgadza się spełnić tę prośbę. Jak mówi, nie może zagwarantować żadnych rezultatów, ale da mi znać, jeśli pojawią się wieści, że szejk Osama, jak nazywa bin Ladena, jest w to zaangażowany. Przypomina mi, że jego własna organizacja sprzeciwia się zabijaniu cywilów i nie utrzymuje kontaktów z żadną z grup noszących miano Al-Kaidy. Ale nakaże swoim ludziom nadstawić ucha.

Dziękuję mu, po czym informuję go o wykrytym przez nas spisku. Nic nie mówi. Jedynie zmienia nieco pozycję.

- Najpierw mnie ratują, by później próbować zabić? - wzdycha ciężko. - Ale Bóg wie najlepiej. Jakies szczegóły?

Wyjawiam wszystko, co wiem. Następnie daję mu numer telefonu i instruję, aby używając kodu powiadomił mnie, jeśli zebrane przez wywiad informacje się sprawdzą. Również na to przystaje, dobrze zdając sobie sprawę z faktu, że i my musimy zweryfikować wiarygodność swojego źródła.

- Pamiętaj, że nie ma to wpływu na naszą przyjaźń - mówi, po czym wstaje. - Mamy

coś do zrobienia. - Gdy ruszamy w stronę wyjścia, jego strażnicy podnoszą się. Nagle milknie, jakby coś sobie przypominając.

- Wybierasz się do Chartumu? - pyta. - Może istnieje lepszy sposób na zdobycie takich informacji, gdy już tam będziesz. Pewna kobieta kontaktuje się z moim biurem, w sprawach działalności dobroczynnej. Współpracuje z *mellal almottahed* - Organizacją Narodów Zjednoczonych.

Nie wiem co odpowiedzieć, bo kobieta związana z ONZ to nijaki trop. Jednak gdy Gemayel znowu się odzywa, czuję jakby podarował mi worek diamentów.

- Należy do rodziny szejka i zna wiele interesujących dla ciebie faktów. Ma na imię Jameela. Piękna kobieta, co zresztą sugeruje jej imię. Gdybyś został jej przyjacielem... - lekkim machnięciem dłoni sugeruje jednocześnie niepewność i obietnicę. - Jesteś młody i przystojny. Wiesz, jak załatwia się takie rzeczy.

- Nie wiem. Ale chętnie się dowiem.

- Nie była to popisówka - komentuje Seethrough, stukając palcem wskazującym o różową teczkę zawierającą, jak mniemam, mój raport ze spotkania z Gemayelem - ale przekonałeś go. Usiądź.

Znalazłem się w kolejnym nijakim pokoju Vauxhall Cross, aby omówić sytuację z Seethroughem. Jego towarzysz jest uosobieniem popolitości. Ma około sześćdziesiątki, nosi okulary i sfatygowany, szary garnitur. Mamrocze tylko powitanie, unikając przy tym kontaktu wzrokowego, podczas gdy Seethrough przerzuca kartki.

- Całkiem nieźle, jak na pierwsze podejście - mówi. - Teraz trzeba dopilnować, żeby wszystko poszło jak należy. Przynajmniej wiemy, że istnieje.

- Kto istnieje?

- Ta twoja sudańska zdzira - mówi, pokazując mi zawartość teczek.

Nie zapomniałem o kobiecie, o której wspominał mi Gemayel, ale nie spodziewałem się, że tak szybko dorobi się własnej teczek. Nadano jej nawet kryptonim: Hibiskus.

- Nie mieliśmy jej w CCI - wyjaśnia, odnosząc się do należącej do Firmy ogromnej bazy danych, zawierającej wszystkie kontakty operacyjne. - Więc musieliśmy poprosić małych pomocników Mikołaja o pomoc. Zebraliśmy ciekawostki od CX CHARTUM i naszych przyjaciół z wywiadu arabskiego. Ładna dziewczyna.

Już wcześniej zdarzyło mu się użyć tego wyrażenia i ma rację. W teczce znajduje się jej zdjęcie, wykonane ledwie dwa dni temu przez agentów sudańskich tajnych służb, których Seethrough z takim upodobaniem nazywa elfami. Na zdjęciu stoi przed sklepem rozmawiając

z przechodniem lub przyjacielem. Jedno ramię ma na w pół podniesione, jakby wskazywała drogę. Nie potrafię określić, jakiego jest wzrostu, ale twarz ma smukłą i inteligentną, sugerującą poważny charakter. Ma wielkie, pełne wyrazu oczy. Wokół głowy ma owiniętą długą, luźną, białą chustę podkreślającą gładkie, ciemne czoło, a jej młody wiek mocno kontrastuje z uchwyconym na zdjęciu intensywnym spojrzeniem.

- I przebiegła - kontynuuje. - Jej rodzice przeprowadzili się do Paryża, gdy była nastolatką i tam też została doktorantką Sorbony. Weszła do rodziny bin Ladena sześć lat temu, po powrocie do Sudanu, ale nie dysponujemy żadnymi szczegółami. Od dwóch lat pracuje dla UNICEF-u. Uważamy, że warto kultywować znajomość z nią.

- Kultywować? - To szpiegowski slang, oznaczający zdobycie zaufania celu.

- Musisz tylko być w pobliżu - wyjaśnia Seethrough - gdy wypadną jej zakupy. Włącz się do gry. Poznaj ją. Wyciągnij z niej wszystko, co wie o bin Ladenie i jego przyjaciółach w Sudanie.

- A jeśli nic nie wie?

- Jeśli nic nie wie, to możesz zrobić dla nas masę zdjęć Chartumu. Naciesz się miejscowym jedzeniem. Bądź człowiekiem dobrej woli i takie tam - pojawia się jego druga osobowość. - Ale ona wie. A tak długo, jak wie coś, czego my nie wiemy, będzie miała dla nas wartość jako potencjalne źródło informacji.

- Jak bardzo mam się do niej zbliżyć? - pytam.

- Jak tylko pozwoli na to sytuacja - odpowiada z chytrym spojrzeniem. - Jeśli przypadniesz jej do gustu, to nie obchodzi mnie, czy prześpisz się z nią i wszystkimi jej siostrami. Tylko uważaj na jej braci - w charakterystyczny dla siebie sposób podnosi brwi. - Nie chcemy narazić się na zemstę Mahdiego. Zwracaj uwagę na rozwój sytuacji. Potrzebne mi CX, które będę mógł ocenić i którego nie dostaniemy nigdzie indziej.

- Kiedy?

- Sobota ci odpowiada? Umieścimy cię w uroczym pensjonacie w spokojnej części miasta. O tej porze roku nie powinno tam spadać dużo rakiet.

Minęły już ponad dwa lata od czasu, gdy, podczas odwetowego bombardowania dokonanego przez Amerykanów, modelowa sudańska fabryka farmaceutyków w północnym Chartumie została obrócona w stertę gruzu i nie zapowiada się, żeby miało dojść do kolejnych ataków. Stany Zjednoczone potrzebują wszelkiej możliwej pomocy ze strony sudańskiego wywiadu, a pociski cruise, jak się okazało, nie pomagają zjednywać sobie przyjaciół.

Przyglądamy się wykonanemu przez satelitę zdjęciu miasta, na którym zaznaczono kluczowe miejsca.

- W poniedziałki nasz cel jedzie samotnie do obozu uchodźców El Salam, położonego w Jabal Awliya, jakieś czterdzieści kilometrów na południe od miasta. Najlepiej, żeby do pierwszego kontaktu doszło na drodze, poza miastem, w miejscu, gdzie nikt nie będzie was widział.

- To co zrobimy, przebijemy jej oponę? - mówię to pół żartem, ale on już rozważył taki scenariusz i odpowiada całkiem poważnie.

- Nie. Parkuje tylko na ogrodzonym terenie w domu i w pracy. Przebicie koła może zresztą nastęrczyć problemów. Jeśli jest dość sprytna, zacznie coś podejrzewać. Lepiej kontrolować sytuację i zrobić to szybko i niespodziewanie - nie rozwija tej myśli. - Na miejscu otrzymasz pomoc.

Jego oczy znowu wędrują do zdjęcia Hibiskus i zatrzymują się tam na dłużej.

- Ant - zaczyna. - CX jest jak rachunek inwestycyjny. Żeby zacząć, trzeba dysponować jakimś kapitałem. Dla nas jesteś nim ty. Ten rachunek musi być najlepszy w swojej klasie. Jeśli CX osiągnie określony próg, zainwestujesz w nie dodatkowe środki. Ale jeśli ładujesz pieniądze i nie widać żadnego efektu, to zamykasz konto. Daję ci na to kilka tygodni. Maksymalnie trzy. Na tym masz się skupić. George wprowadzi cię w działania operacyjne i pomoże odnaleźć się w twoim nowym życiorysie.

I wychodzi.

Kolejną godzinę spędzam z „Georgem”, emerytowanym oficerem służby bezpieczeństwa, który wcześniej służył w Chartumie, obecnie zaś oferuje swoje usługi Firmie jako konsultant. Ta godzina to dla mnie prawdziwe wyzwanie. Zaczyna od lekcji geografii.

- Sudan jest największym krajem w Afryce - zaczyna opowiadać nudnym, jednostajnym głosem - i dziesiątym co do wielkości krajem świata, zamieszkiwanym przez około trzydziestu milionów ludzi.

Nie nudziłem się tak strasznie od czasów Sandhurst.

- Stolica państwa, Chartum, położona jest wokół konfluencji dwóch głównych dopływów Nilu, Nilu Białego i Nilu Błękitnego, gdzie ten drugi jest głównym źródłem wody dla całej rzeki oraz żyznej gleby wokół niej, z kolei ten pierwszy jest dłuższy. Korzystając z ołówka, George wskazuje na mapie cechy ukształtowania terenu, starając się, żeby grafit nie zetknął się z papierem. - Biały Nil ma swoje źródło w regionie Wielkich Jezior w Afryce Środkowej, płynąc stamtąd na północ przez Tanzanię, Jezioro Wiktorii, Ugandę i południowy Sudan, podczas gdy Błękitny Nil ma swój początek w jeziorze Tana w Etiopii, wpływając do Sudanu od południowego wschodu. Obie rzeki spotykają się w Chartumie.

W następnej kolejności przechodzi do historii kraju, szybko wprowadzając mnie w

wymierzone w Brytyjczyków powstanie Mahdiego, w efekcie którego doszło do przedwczesnej śmierci generała Gordona podczas oblężenia Chartumu w 1885 roku, wycofania się Brytyjczyków oraz ponownej okupacji miasta po zwycięstwie Kitchenera pod Omdurman, gdzie Churchill wjechał z 21. pułkiem lansjerów. Wspomina o długotrwałych brytyjskich wysiłkach, mających na celu unifikację Egiptu i Sudanu, które zakończyły się w 1956 roku po ogłoszeniu przez Sudan niepodległości. Wtedy też rozpoczął się siedemnastoletni konflikt wewnętrzny. Wspomina również, że wojna domowa wybuchła na nowo po dziesięcioletniej przerwie, obecnie zaś prowadzona jest pomiędzy rządem północnym, ulokowanym w Chartumie, a Ludową Armią Wyzwolenia Sudanu zlokalizowaną na południu. Zwraca mi uwagę, że LAWS nie jest ruchem arabskim, a świeckim, o interesującej historii, wspieranym po kolei przez Sowietów i Amerykanów.

Sięgając jedynie do własnej pamięci, przechodzi do informacji o średnich temperaturach i opadach, zagospodarowania terenów i surowców naturalnych; różnych rodzajów organów ochrony porządku publicznego, gniazdek elektrycznych, niebezpieczeństw czyhających na kierowców i interesujących miejsc. Mówi również, że miasto podzielone jest na trzy części: Chartum, Omdurman oraz Chartum Północny nazywany też Bahri. Alkohol jest legalnie serwowany jedynie w małym Klubie Pickwicka, będącym częścią ambasady brytyjskiej.

Moje początkowe zażenowanie ustępuje miejsca swoistemu uznaniu. Podaje lokalizację siedziby głównej UNICEF-u na Street 47, ambasad należących do kilku państw, w tym brytyjskiej, które mogą mi posłużyć za azyl w wypadku zagrożenia, lokalizacje innych punktów zbornych, jak również trasy, którymi można wjechać do stolicy i się z niej wydostać. Jak mówi, chociaż posterunek CIA został zamknięty pięć lat temu, to amerykańscy i sudańscy szpiedzy wznowili kontakty po zamachach bombowych w Kenii i Tanzanii.

Pokazuje, gdzie mieszka mój cel i jaką trasą jeździ do pracy. Dzieli się ze mną przerażająco długą listą organizacji uważanych za terrorystyczne i posiadających swoje siedziby w obrębie miasta. Puszczając mimo uszu mój żart, że z taką ich liczbą Chartum musi być najbezpieczniejszym miastem świata.

Mój fikcyjny życiorys powinien być jak najbliższy prawdzie. Pyta, czy jest coś, co szczególnie by mi odpowiadało. Proponuję pracę przy projekcie dotyczącym zagrożenia minami - to ostatni krzyk mody. Pomysł przypada mu do gustu i zapisuje go swoimi zawijasami. Dzięki temu będę mógł przebywać w budynku ONZ i kontaktować się z jego personelem, ponieważ Narody Zjednoczone prowadzą w kraju własny program dotyczący tego problemu. Wymyślamy londyńską organizację rozbudzającą świadomość zagrożenia

minami - na pozór prawdziwą, ale tak naprawdę nieistniejącą. Stacje Centralne, czymkolwiek by nie były, zajmą się sprawdzeniem nazwy i drukiem wizytówek z numerami telefonów, na które będzie można zadzwonić do Wielkiej Brytanii. Opracujemy kolejne szczegóły. Na lotnisku ma na mnie czekać isuzu z napędem na cztery koła zarezerwowane na moje nazwisko. Wystąpiono też już o wizę.

George zbiera mapy i dokumenty, i wkłada je z powrotem do teczek. Zdaję sobie sprawę, że to jedyna wycieczka, jaką kiedykolwiek planowałem, gdy wszelkie ważne dokumenty celowo zostawię w biurze.

- Chartum? - pyta H, gdy dzwonię z informacją, że operacja się rozpoczęła. - Miło.

- Byłeś tam?

- Już nie pamiętam.

Oczami wyobraźni widzę, jak na jego twarzy pojawia się w tej chwili cierpki uśmiech, jak zawsze, gdy nie mówi wszystkiego.

Rozdział 10

Nikt, komu zdarzyło się odwiedzić Chartum, nie zapomni tego miejsca. Całymi godzinami lecis nad pozbawionymi życia, dziwnie ukształtowanymi skałami i pustynią, aż ziemia nabiera błotnistej koloru. Gdy samolot zniża się nad miastem, oślepia cię światło słoneczne, odbite od szerokiej, wijącej się niczym wąż, rzeki. W samym środku przestrzeni, wśród upstrzonych zielonymi liniami drzew, dróg i domów, dostrzegasz przypominającą kształtem pierożek, owiniętą w brudny warkocz Nilu wyspę Tuti, gdzie zbiegają się jego dopływy.

Gdy wyjdiesz na zewnątrz, zderzasz się ze ścianą gorącą, a twoja biała twarz wyraźnie wyróżnia się pośród tłumu ludzi o skórze w kolorze hebanu. Zaczynasz fizycznie odczuwać bezkres Afryki, niczym wibrację sięgającą początku dziejów. Nad pasem startowym unosi się w wężowych smugach czerwony pył, osiadający na wszystkim.

Urzędnik imigracyjny witający mnie w Sudanie uśmiecha się szeroko i teatralnym gestem wbija mi do paszportu pełną arabskich zawijasów pieczętkę wjazdową. Odwzajemniam uśmiech, a gdy okazuje się, że skończył mu się wkład w długopisie, proponuję własny.

- Dziękuję, przyjacielu - chyba mówi to szczerze, bo ponownie obdarza mnie promiennym uśmiechem.

Żeby wymienić pieniądze i odebrać czekający na mnie samochód muszę poświęcić godzinę na wypełnianie dokumentów i załatwianie oficjalnych pieczętek. Gdy mam już za sobą formalności, wynajmuję taksówkarza, który będzie mnie pilotował do dystryktu Riyadh. Jedziemy szeroką szosą z krawężnikiem w szachownicę i górującymi nad nią ogromnymi reklamami, których arabską treść staram się odcyfrować. Dojechawszy do siatki pokrytych piaskiem ulic i stojących przy nich, pozbawionych wszelkiego uroku, współczesnych rezydencji, taksówka zatrzymuje się, a jej kierowca macha mi ręką na pożegnanie.

Wita mnie dozorca imieniem Kamal. Pokazuje odgrodzony teren, gdzie mam zaparkować, wnosi moje bagaże do domu, przygotowuje gorącą, słodką herbatę i łagodnie ostrzega przed skorpionami czającymi się w butach o poranku.

Wziąwszy prysznic, przez bitą godzinę leżę ze wzrokiem utkwionym w podwieszonym na suficie wiatraku. Z czystej ciekawości postanawiam wybrać się taksówką do centrum miasta, ale kierowca ma kłopoty ze zrozumieniem tego terminu i proponuje mi wyprawę do pałacu prezydenckiego, który, o ile pamięć mnie nie myli, położony jest nad

wodą. Wsiadam niedaleko pałacu, wokół którego wznoszą się najciekawsze budynki w mieście i przez kilka godzin spaceruję równoległe do brzegu Nilu, drogami wysadzanymi palmami o grubych pniach. Przyzwyczajam się do gorąca, rozkoszując się zapachem datury, plumerii i innych kwiatów, których nie potrafię rozpoznać. Poddaję się niewinnemu czarowi nieznajomych, mijających mnie na ulicy, pytających o imię i machających na pożegnanie. Ich życzliwość wywołuje wspomnienia Kabulu, gdzie człowiek szybko przyzwyczaja się do spontanicznych uśmiechów przechodniów, tak szczerych, że zapomina o krytycznych uwagach, jakie można usłyszeć o tym mieście w swojej ojczyźnie.

Wokół Chartumu nie ma gór, ale zbiegają się tutaj dwa Nile. Rzeka ma ponad pół kilometra szerokości i jest znacznie potężniejsza i spokojniejsza, niż to sobie wyobrażałem. Mój spacer znacznie się przedłużył. Gdy zapada zmrok, a gorąco pozbawia mnie sił, wracam do swojego pokoju. Biorę kolejny prysznic i kładę się pod wiatrakiem, zastanawiając się, jak długo będę się przyzwyczajał do temperatury. Staram się nie myśleć o tym, co przyniesie przyszłość i czy rzeczywiście jest już gdzieś spisana.

Spotkanie ma się odbyć w południe. Połowę drogi do ambasady odbywam taksówką, resztę pokonuję pieszo, zatrzymując się na spróbowanie soków owocowych w sklepikach wielkości szafek kuchennych, rozstawionych wzdłuż pokrytych piaskiem uliczek, aż jestem pewien, że nikt mnie nie śledzi. Z Sharia al-Baladiya, położonej między turecką i niemiecką ambasadą, odbijam w lewo, wchodząc w mniejszą uliczkę, by chwilę później dostrzec łopoczącą na dachu brytyjską flagę. Przedstawiam się pracującemu w recepcji anglojęzycznemu Sudańczykowi i pytam, zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami, o pana Hallidaya. Prosi mnie o powtórzenie nazwiska, po czym przez kilka chwil rozmawia przez telefon, podczas gdy ja siadam i wycieram czoło z potu.

Nagle, kilka metrów na lewo ode mnie, otwierają się drzwi. Gdy odwracam się w tę stronę, widzę głowę i ramiona mężczyzny w białej koszuli i krawacie, obrzucającego mnie surowym, pytającym spojrzeniem, niczym profesor, któremu zakłócono pracę. Wrażenie jest tym silniejsze, że jego okulary mają złote, okrągłe oprawki. Mruga kilka razy i odzywa się do mnie.

- Ach - mówi, jakby kalkulując w myślach coś, czemu przeszkodziłem. - Proszę udać się ze mną.

Gdy wchodzimy do pomieszczenia, zamyka za nami drzwi i ściska moją dłoń.

- Witamy na Czarnym Kontynencie. Obawiam się, że dość tu ciepławo - mówi.

Ma nachalny ton głosu, wywołujący nieco komiczne wrażenie, jakby udawał Noëla

Cowarda⁵⁰. Nie przedstawia się. Na oko nie ma więcej niż trzydzieści lat, ale jest zmanierowany ponad swój wiek. Pasowałby do miasteczka akademickiego, w pobliżu wysokich gotyckich wież w kolorze kości słoniowej i zadbanych trawników. Jest wysoki i nienaturalnie chudy, a pod koszulą dostrzegam zarys kości ramion. Przechodzimy przez pokój przesłuchań, na ścianie, nad szafkami z dokumentami, wisi zdjęcie Królowej. Wchodzimy do małego, pozbawionego okien pokoiku, zabezpieczonego zamkiem elektronicznym. W tle słychać szum klimatyzacji, dzięki której jest tu, na szczęście, chłodniej. Siadamy przy dużym, drewnianym stole.

- Ojej - mówi Halliday, czy jak tam się naprawdę nazywa.

- Chyba nie wziąłem mapy.

- Ja mam.

Wyjmuję z plecaka turystyczną mapę miasta i podaję mu ją.

- Brawo. W zasadzie używamy takiej samej - mówi szelmowsko, co przynosi komiczny efekt. - To może rzucimy okiem, gdzie wyprowadzi pan psa?

- Słucham?

- Spacer z psem. Określenie odnosi się do przypadkowego spotkania, mającego miejsce najczęściej podczas niewinnego spaceru z psem.

- Oczywiście - odpowiadam.

Rozkładamy mapę, na której wskazuje wioskę Jabal Awliya oraz drogę łączącą ją z miastem. Halliday przytrzymuje okulary i mruga, odgarniając z czoła swoje ciemne włosy.

- Cel będzie jechał tędy, w białym daihatsu, jutro o czwartej po południu. Pańscy pomocnicy będą wypatrywać go w połowie drogi, pan zaś czekać będzie nieco dalej. Jeśli dojdzie do przechwycenia celu, nie oczekuję, że się pan ze mną skontaktuje, ale jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, proszę, aby wrócił pan tutaj i mnie powiadomił.

- Tu chyba niewiele może się nie udać, prawda? - pytam.

Obdarza mnie belferskim, pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

- Ależ może. Cel niespodziewanie obierze inną trasę. Cel będzie miał kłopoty z samochodem. Cel nie ulegnie perswazji. Cel rozbije się. Pojazd pościgowy nie wykona manewru. Pojazd pościgowy rozbije się. Cel zostanie poważnie ranny, wezwie pomoc i stróżów prawa; samochód stróżów prawa zatrzyma się w miejscu przechwycenia, zanim pan...

- Już łapię - wtrącam. Należy do pokolenia zdrowo - i - bezpiecznie.

⁵⁰ Uznany brytyjski reżyser teatralny, dramaturg, scenarzysta filmowy i aktor, autor m.in. sztuki „Easy Virtue” która doczekała się filmowej adaptacji z Jessicą Biel i Colinem Firthem (tytuł polski: „Wojna domowa”) (przyp. tłum.).

- Dojdzie pan zapewne do wniosku, że ostrożność popłaca. Jeśli wydarzy się którakolwiek z wymienionych przeze mnie sytuacji, to nie zatrzymuje się pan. Nie możemy pozwolić, aby wikłał się pan w tutejsze sprawy.

Omawiamy jeszcze kilka dodatkowych szczegółów, a wychodząc, Halliday zabiera małą torebkę kuponów, podlegających wymianie na drinki w znajdującym się na terenie ambasady Klubie Pickwicka.

- Niezwykle ekskluzywny - mówi, błazeńsko marszcząc nos. - Na wypadek, gdyby miał pan ochotę na gin z tonikiem. Wejście przez następne drzwi. Ostrzegam jednak, że klub jest podsłuchiwany za pomocą dwóch nasłuchów z osiemnastopiętrowego budynku naprzeciw.

- Z pewnością nie omieszkał pan o tym wspomnieć ludziom z Hanslope Park⁵¹ - mówię.

Wręcza mi małą paczkę ze specjalnie zaprojektowanym przez Firmę, bezpiecznym zamknięciem, w środku której znajduję kartę kodową do mojego telefonu satelitarnego.

- I coś jeszcze - mówi, jakby odpowiadając na niezadane pytanie. - Basen jest nieczynny w czwartkowe wieczory i jeśli pan do niego wpadnie, otrzyma pan dożywotni zakaz korzystania.

Seethrough nazwał miejscowych, sudańskich pomocników elfami, ale oni w niczym nie przypominają elfów. Obaj mężczyźni, których poznaję następnego ranka, są poważni, wysocy, smukli i wysportowani. Ich skóra w kolorze głębokiej czerni chyba się nie poci. Jadą pikapem, przez tutejszych nazywanym pudłem, obładowanym, z tego, co widzę, zawartością czyjegoś domu, do połowy zakrytą płótnem obwiązany starą, nylonową liną. Gdy wychodzę ze swojego ośrodka, ich samochód zatrzymuje się przede mną, kierowca udaje, że sprawdza czy tylna kłapa jest dobrze zamknięta, po czym wraca za kółko. To umówiony sygnał.

Pół godziny jadę za nimi na południe od miasta, mijając po drodze rozpadające się budynki na przedmieściach, aż zatrzymujemy się w piaszczystej enklawie małych magazynów, gdzie parkujemy w cieniu. Jeden z mężczyzn utrzymuje kontakt radiowy z potwierdzającym swoją pozycję co kwadrans obserwatorem znajdującym się pół kilometra na południe od nas.

Po godzinie czekania, przez radio przychodzi wiadomość, że cel zmierza w naszą

⁵¹ W Hanslope Park mieści się należący do wywiadu brytyjskiego Departament Zabezpieczenia Technicznego (przyp. tłum.).

stronę. Elfy zjeżdżają pikapem na pobocze, gotowe, żeby włączyć się do ruchu. Zapalam silnik w jeepie, ale na razie trzymam się na uboczu. Mimo że w zasadzie nam to nie grozi, nie chciałbym, żeby cel zobaczył nasze samochody razem - głównie dlatego, że ten stojący przede mną rozmyślnie zepchnie ją z drogi.

Nie udaje mi się przyrzeć jej dokładnie, gdy mnie mija. Pikap rusza, zajmując pozycję dwa samochody za nią. Włączam się do ruchu, gdy są już kilkaset metrów przede mną. Jedziemy tak jakieś półtora kilometra, aż pikap elfów ostro skręca i próbuje wyminąć cel. Przejeżdża niebezpiecznie blisko samochodu jadącego z naprzeciwka, ale na tym właśnie polega cała sztuka. Nagle odbija w bok, znikając mi z oczu, ale manewr zadziałał, ponieważ po swojej prawej widzę, jak cel wykonuje gwałtowny skręt, zjeżdżając na pobocze, wzbijając w powietrze chmurę pyłu i wbijając się w piasek.

Ale się nie zatrzymuje. Przypominam sobie maksymę H: *żaden plan nie uchowa się przy pierwszym kontakcie z wrogiem*, czuję mieszaninę frustracji i podziwu dla kierowcy, któremu udało się utrzymać kontrolę nad daihatsu. Teraz, nie zwalniając, wykonuje łuk. Wygląda na to, że zamierza ponownie włączyć się do ruchu. Jeśli jej się uda, będziemy musieli wymyślić nowy plan. Przeklinam na głos, obserwując, jak wykręca i kieruje się z powrotem na szosę. Koła po lewej stronie samochodu zmagają się z piaskiem, wyrzucając go w powietrze małymi falami i w końcu maszyna staje, zanim udaje jej się dokończyć półkole. Z odległości kilkuset metrów obserwuję, jak kierująca nim kobieta wysiada i gniewnie wymachuje rękoma w kierunku pikapa, który zdążył już zniknąć z pola widzenia. Gdy zjeżdżam na pobocze, zirytowana kopie przednią oponę, najwyraźniej przeklinając.

Wysiadam z samochodu i macham do niej, ona zaś odruchowo poprawia chustkę, która zsunęła się z głowy i opadła na ramiona. Czas odegrać rolę uczynnego kierowcy.

- *Salam alejkum*.

Apodyktycznym tonem odwzajemnia powitanie i przygląda mi się podejrzliwie. Mówi gniewnie po arabsku coś, czego nie udaje mi się wyłapać i przewraca oczami, jakby pomoc od białego turysty była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje.

Gdy podchodzę do niej, widzę, że koła samochodu zakopały się w piasku aż po osie.

- Widziałem całą sytuację. Mogę jakoś pomóc?

- Nie, dziękuję - odpowiada, unosząc ręce w odmownym geście. - Wszystko w porządku. Nie potrzebuję pomocy - jej głos jest czysty i cichy, mówi z wyraźnym francuskim akcentem.

- Na pewno?

- Tak - rzuca cierpko. - Na pewno. Co prawda jestem tylko kobietą, ale nie mam co do

tego wątpliwości. Dziękuję bardzo.

Wydaje się jeszcze bardziej zdenerwowana. Tego się nie spodziewałem. Ze zdjęcia wywnioskowałem, że będzie łagodną i skrytą, nieśmiałą muzułmanką zabierającą głos tylko wtedy, gdy zada się jej pytanie. Nie mogłem bardziej się mylić. Ma wyjątkowo silny charakter, jest pełna zapału, dumna i zbyt uparta, żeby przyznać się, jak bardzo jest wściekła. Jest również znacznie piękniejsza, niż na zdjęciu i pewnie dlatego tak się na nią gapię. Nawet nie widząc fotografii, odniósłbym wrażenie, że ją znam i już się kiedyś spotkaliśmy. Tyle, że to nieprawda. Otrząsam się i odwracam wzrok, jakbym obudził się z transu, w który wprowadził mnie hipnotyzer.

- Mogę panią wyciągnąć - proponuję. Z Uzbeczką ta propozycja przeszła.

- Dziękuję - odpowiada. - Nie potrzebuję pańskiej pomocy. Sama dam sobie radę. - Po czym, jakby do siebie, ale wystarczająco wyraźnie, żebym i ja to usłyszał, mamrocze pod nosem - Imbecyl.

Osiągnęliśmy impas. Ona nie przyjmie mojej pomocy, a ja jestem zbyt dumny, żeby dać się zbyć. Patrzymy na siebie przez kilka sekund i nasze oczy spotykają się pierwszy raz. Jej twarz pozostaje nieruchoma, tylko chustka powiewa lekko na wietrze. Nachodzą mnie niespodziewane myśli i nie chcę odrywać od niej wzroku. Wracam do swojego samochodu i wyciągam z bagażnika linę holowniczą. Gdy wracam, nadal przygląda mi się gniewnie, ale w oczach pojawia się ciekawość.

- *En cas d'urgence*. - Kładę linę na masce.

- Nie potrzebuję jej - odpowiada.

- Chyba pani przyda się bardziej, niż mnie - mówię. - Na wypadek, gdyby parkowanie znowu nie wyszło. Miło było poznać.

Już otwiera usta, gotowa coś odpowiedzieć, ale zmienia zdanie. Odwracam się i maszeruję do wozu. Ja też mam swoją dumę.

Przesiadanie na dachu pensjonatu ma te zalety, że unikam wzroku ciekawskich i mogę naładować telefon satelitarny. Został tak zmodyfikowany przez maniaków ze wsparcia operacyjnego, żeby obsługiwał karty pamięci z losowymi kodami, czyniąc z niego współczesny odpowiednik książki szyfrów i szyfru jednorazowego w jednym. Każdemu słowu raportu ze spotkania, który przygotowuję dla Seethrougha, odpowiada określony numer, który zakodowany i przesiany sekwencją sygnałów jest w zasadzie niemożliwy do rozpoznania lub przechwycenia. Największym wyzwaniem jest zasłonięcie ekranu przed słońcem, żeby można było dojrzeć wybierane słowa: PIERWSZY KONTAKT Z HIBISKUS

POWIÓDŁ SIĘ. ZAARANŻOWANO KOLEJNE SPOTKANIE W PRZYSZŁYM TYGODNIU. Nie jest to do końca prawda, ale tego nie musi wiedzieć. Mam tylko nadzieję, że wpadnę na jakiś pomysł, żeby ponownie spotkać się z Jameelą przed upływem tygodnia.

Rozwiązanie problemu pojawia się w trakcie wizyty w biurze UNICEF-u na Street 47, gdzie otrzymuję naręcze dokumentów dotyczących działalności tej organizacji na terenie Sudanu. Wśród nich znalazła się również lista nadchodzących imprez w Chartumie, którą przelatuję wzrokiem, aż trafiam na nazwisko Jameeli umieszczone pod „Ogólnoswiatowym programem walki z polio”. Za trzy dni informować będzie o postępach kampanii szczepień w górach Nuba, na południu kraju. Mile widziani członkowie personelu i partnerzy organizacji pozarządowych.

Gdy nadchodzi dzień spotkania, zajmuję miejsce wśród liczącej około trzydziestu osób widowni, upominając samego siebie, że moja obecność tutaj ma sprawiać wrażenie przypadkowej, ponieważ kobieta, z którą przyszedłem się spotkać, jeszcze mi się nawet nie przedstawiła. Gdy tak słucham jej przemowy, dotyczącej międzyagencyjnego apelu zorientowanego na działania wielostrefowe, dochodzę do wniosku, że świat pomocy humanitarnej jest równie mocno przesiąknięty żargonem, co armia. Gdy przychodzi czas na pytania od publiczności, pierwszy podnoszę rękę, przedstawiam siebie i swoją firmę i pytam o zagrożenie, jakie dla dzieci stanowią miny przeciwpiechotne w tym regionie.

Przez krótką chwilę wydaje się skonsternowana, próbując przypomnieć sobie, gdzie mnie już widziała, po czym udziela podręcznikowej odpowiedzi. Po zakończeniu spotkania zatrzymuję się przy drzwiach i nie bez satysfakcji stwierdzam, że choć rozmawia akurat z kilkoma osobami, to jej wzrok parę razy wędruje w moim kierunku. Nie próbuję nawet ukrywać radości z ponownego spotkania. Podchodzi do mnie, przyciskając do piersi dokumenty.

- Więc, panie Tavernier - sfrancużyła moje nazwisko.

- Pańska obecność tutaj to zbieg okoliczności, czy może raczej szpieguje mnie pan?

Urok jej powściągliwego uśmiechu pozbawia tę sugestię powagi, ale jest równie śmiała, co przy naszym pierwszym spotkaniu.

- Zbieg okoliczności - odwzajemniam uśmiech. - Ale z przyjemnością bym panią także pospieszował. Niestety nie zabawię długo w Chartumie.

Podaje mi rękę i przedstawia się. Używa swojego nazwiska panińskiego. Nie wspomina o członie „bin Laden”.

- Miło pana ponownie spotkać - mówi. - Oddałam linę wodzowi wioski. Bardzo mu się spodobała. Mam jeszcze kilka minut do kolejnego spotkania. Może napije się pan herbaty?

Idziemy do małej kafejki w ogrodzie na tyłach budynku i siadamy pod markizą. Gdy pyta mnie o świadomość zagrożenia minami w Sudanie, mówię jej wszystko, co wiem na ten temat: że problem min i niewybuchów dotyczy nie tylko środkowych i południowych rejonów kraju, gdzie toczą się walki, ale również granicy z Erytreją na wschód od Kassali i punktów rozrzuconych wzdłuż granic z innymi krajami - Czadem, Kongo, Libią i Ugandą.

Kiwa głową z aprobatą, jakby usatysfakcjonowana moją wiedzą. Wyjaśniam, że chciałbym we współpracy z ONZ przygotować adekwatny program. Trudno mi oderwać od niej oczy i ledwo co sam siebie słucham. Jest niesamowicie piękna. Ma ciemne, spokojne oczy. Chwilami wyrażają jakby błaganie, dodatkowo spotęgowane prawie niezauważalnym nawykiem pochylania głowy podczas patrzenia na mnie, zupełnie jakby skrywała tajemnicę, którą chce mi wyjawić. Ma węższą twarz i jaśniejszą cerę niż większość Sudanek, z którymi miałem do czynienia, a gładkie, zaokrąglone czoło wraz z wysoką linią włosów wskazują bez cienia wątpliwości na etiopskie korzenie.

- Płynie w pani tigrajska⁵² krew - mówię pod wpływem impulsu, od razu tego żałując.

To zbyt osobista sprawa, żeby ją poruszać przy pierwszym spotkaniu. Wyraźnie ją zaskoczyłem, jakbym gwałtownie wdarł się do jej świata. Przepraszam, wyjaśniając, że przypomina mi pochodzącą z Etiopii żonę przyjaciela. Była niezwykle piękna, dodaję.

- Ze strony matki - odpowiada, a w jej głosie wyczuwam ciekawość pomieszaną z powściągliwością.

Udaje się ocalić naszą rozmowę, która niespodziewanie nabiera bardziej osobistego charakteru, gdy zaczynamy opowiadać sobie o naszych rodzicach. Jej matka urodziła się w Etiopii, w rodzinie chrześcijańskiej, ojciec z kolei w Chartumie, w muzułmańskiej. Ich małżeństwo było osobliwą mieszanką kultur, ale religijne różnice nigdy nie stanęły na drodze szczęściu.

- Sudański islam jest wyjątkowy - mówi. - Oglądał pan już gwiazdy z pustyni?

- Jeszcze nie.

- Powinien je pan zobaczyć przed wyjazdem. Gwiazdy są wspaniałymi nauczycielami.

Gdy opowiada, przyglądam się jej uważnie, studiując twarz dającą wyraz wszystkim wzbierającym w niej emocjom. Chłonę jej piękno, jak gdyby była motylem, który przysiadł, by rozłożyć skrzydełka w słońcu i za chwilę znów gdzieś odlecieć. Do chwili, gdy przypominam sobie, że do naszego spotkania doszło, abym mógł ją oszukać, i zaczynają mnie dręczyć wyrzuty sumienia, jakbym dokonywał zbrodni. Na krótką chwilę skrywam twarz w

⁵² Tigrajczycy to jedna z grup etnicznych zamieszkujących Etiopię i Erytreę (przyp. tłum.).

dłoniach. Gdy podnoszę wzrok, wpatruje się we mnie z niepokojem.

- Coś nie tak?

- Muszę już iść. Czas skontaktować się z biurem.

- I ja powinnam uciekać - stwierdza, spoglądając na zegarek.

W tej niespodziewanej atmosferze bliskości straciliśmy poczucie czasu. Oboje próbujemy to zlekceważyć, jakby do niczego nie doszło, ale żadne z nas nie wie, jak powinno się teraz zachować.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy - mówię.

- *Isha'allah* - przytakuje mimochodem.

Ale nie potrafię tego tak zostawić.

- Może... może mogłaby mnie pani kiedyś oprowadzić? Albo doradzić, jakie miejsca warto odwiedzić. Szkoda bez sensu marnować czas. Życie jest krótkie.

- Ma pan rację - odpowiada. - Nie powinno się tracić czasu na coś zbędnego.

Jej słowa mają głębsze znaczenie, ale nie potrafię określić, czy niosą ze sobą ostrzeżenie czy coś jeszcze innego. Może ona sama też tego nie wie.

- Chciałbym zobaczyć Souq Arabi. Zapasy w Omdurman. Gdzieś był też posąg generała Gordona na swoim wielbłądzie, ale wydaje mi się, że wrócił do Anglii.

- Tak jest lepiej.

- Tak, wiem, ale wiąże się z nim zabawna opowieść. Któregoś dnia angielski chłopczyk wybrał się z babcią, żeby obejrzeć pomnik. Stanęli pod nim, podziwiają go, a babcia, której ojciec walczył w Sudanie, mówi: „Mój chłopcze, to wielki bohater, generał Gordon, który walczył z Mahdim w Sudanie”. A chłopiec na to: „Jejciu, babciu, to niesamowite. Ale dlaczego siedzi na nim jakiś staruszek?”

- Z chęcią pana oprowadzę - mówi.

Wpatruje się we mnie intensywnie swoimi czarnymi oczami, ale teraz towarzyszy temu uśmiech.

Gdy dwa dni później słyszę przed bramą dźwięk klaksonu daihatsu Jameeli, wskakuję z plecakiem do samochodu, czując się jak uczeń w pierwszy dzień roku szkolnego. Przejeżdżamy rzekę i kierujemy się do Omdurmanu, gdzie życie miasta, choć biedniejsze niż w centrum Chartumu na południu, staje się nieskończenie bardziej kolorowe i intensywne.

Zostawiamy samochód i spacerujemy po zdumiewających targowiskach. Wzdłuż pokrytych pyłem ulic ciągną się zbudowane z błota domy, wszędzie spacerują wielbłądy i osły, a powietrze jest wręcz ciężkie od zapachu przypraw i dymu. Można tu znaleźć całe stopy

owoców i warzyw, jakich nie widziałem na oczy, a wszędzie wokół widać wysokich, niekiedy uderzająco przystojnych mężczyzn w długich, białych galabijach. Na ich twarzach malują się promienne uśmiechy. Kobiety, pośród których również nie brakuje wysokich i pięknych, noszą *tobe* w jaskrawych kolorach - długi, luźny materiał owinięty wokół ciała na modłę indyjskiego sari. Setka nieznamych, jeden po drugim, oferuje nam coś do jedzenia. Dziękując niezliczoną liczbę razy za surową, pokrojoną w kostkę wątróbkę z wielbłąda z cebulką i gorącą przyprawą *shatta*, daję się wreszcie skusić na talerz *foul* i kilka litrów słodkiej herbaty. Na targu biżuterii ostro targuję się o malutką, srebrną szkatułkę, a gdy mówię właścicielowi straganu, że jestem Brytyjczykiem, on w żartach wyciąga spod lady wielki sztylet i teatralnym gestem wymachuje nim nad moją głową.

Wsiadamy na stary prom płynący na niezagospodarowaną wyspę Tuti, oazę spokoju pośród chaosu i zgiełku miasta, spacerujemy nad Nilem, w którego błotnistych wodach kobiety obmywają targowe warzywa. Siadamy w cieniu cytrusowego gaju, zjadając się arbuzem i odganiając z niego muchy. Kilku niefrasobliwych miejscowych próbuje się ze mną porozumieć po angielsku i podśmiewają się, słysząc mój na wpół zapamiętany arabski. Jameela tylko mi się przygląda z lekkim, serdecznym uśmiechem.

- Chyba dobrze się czujesz w tym biednym kraju. To rzadki widok. Nie jesteś typowym Anglikiem.

- Nie wiem nawet, co to oznacza.

- Anglik nie okazuje uczuć.

- Może jakieś przed tobą skrywam.

Z namysłem, jakby to rozważała, proponuje:

- Powinniśmy odwiedzić grobowiec Mahdiego.

To miejsce otoczone największą czcią w mieście, a może i całym Sudanie. Pod koniec XIX wieku Mahdi, znienawidzony przez Brytyjczyków, ale ukochany przez mieszkańców Sudanu jako święty wojownik, poprowadził swoich współplemieńców przeciwko imperialnym suwerenom, odnosząc w krwawych bitwach szereg zwycięstw. Ten charyzmatyczny heros sudańskiej niepodległości, stał się najśłynniejszym muzułmańskim przywódcą na świecie i sformułował wyjątkową wersję islamu, ogromnie irytującą dla ówczesnych muzułmańskich potęg. Uważał tureckich włodarzy sąsiedniego Egiptu za niewiernych i, wedle własnych słów, przygotowywał świat na drugie nadejście Chrystusa.

Jego największe zwycięstwo zaowocowało rzezią i upokorzeniem Brytyjczyków oraz ich egipskich sojuszników, gdy po dziesięciomiesięcznym oblężeniu padł Chartum, za którego murami generał Gordon wyczekiwał na próżno posiłków z Egiptu. Karierę dowódczą

i życie Gordona zakończyła włócznia mahdysty. Powiadają, że sam Mahdi wielce szanował Gordona, ale zdziwił go fakt, że ten nie chciał przejść na islam, wybierając zamiast tego upokarzającą śmierć. Rok później Mahdi zmarł na dur brzuszny, a w Omdurman, gdzie go pochowano, wzniesiono grobowiec.

Sudańczycy zapłacili wysoką cenę za swój opór. Trzydzieści lat później siły anglo-egipskie dowodzone przez bardzo rzeczowego imperialistę, generała Kitchenera, powróciły z zamiarem pomszczenia śmierci Gordona i odzyskania Sudanu - uzbrojone po zęby w najnowszą broń. Na przedmieściach Omdurman pięćdziesiąt tysięcy plemieńców rzuciło się na brytyjskie karabiny Maxim i zostało zdziiesiątkowanych przez fale pocisków dumdum. Podobno białe galabije wymordowanych wojowników przypominały gruby śnieżny kobierzec, który przesłonił pole bitwy. Dobito dwadzieścia tysięcy rannych, a ich ciała wrzucono do Nilu. Zaczumowane za miastem kanonierki brytyjskie obrały sobie za cel grobowiec Mahdiego i obróciły go w gruzy seriami pięćdziesięciofuntowych pocisków, ówczesnych rakiet cruise. Kitchener kazał spalić ciało Mahdiego. Oficerowie odwiedli go od pomysłu sprezentowania jego czaszki jako kałamarza dla królowej Wiktorii.

Srebrna kopuła grobowca wznosi się niczym dziób rakiety ponad rosnącymi gęsto wokół niego palmami. Jameela serdecznie i z szacunkiem wita podstarzałego opiekuna tego miejsca, nazywając go wujem. Spacerujemy na bosaka wzdłuż ścian koloru tarty, okalających ośmiokątne sanktuarium. Staruszek pociera stalowoszarą szczecinę na podbródku i opisuje co słynniejsze wyczyny Mahdiego i jego nieszczęsnych wojowników.

- Powiedziałam mu, że jesteś bratem w wierze z *Britaniyyah* - szepce szelmowsko Jameela, gdy wchodzimy do sanktuarium.

Przez kilka minut delektujemy się jego chłodem i spokojem, żeby znowu, mrużąc oczy, wyjść na oślepiające słońce.

Staruszek pyta, czy pozwolimy się ugościć i nalega, byśmy wypili z nim herbatę. Idziemy za nim, mijając przylegające do sanktuarium pomieszczenia dla pielgrzymów i derwiszów, a potem zasiadamy przy stole pod wysoką akacją. Opowiada, że w świetle tradycji i prawa, teren, na którym znajduje się grobowiec, gwarantuje azyl, starożytną wersję immunitetu dyplomatycznego. Gdy zbieramy się do wyjścia, obsypuje nasze rodziny błogosławieństwami, a my obiecujemy jeszcze tu wrócić.

Dojeżdżamy do miasta, gdy słońce chyli się ku zachodowi. Temperatura spadła do przyjemnych trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Mamy czwartkowy wieczór, więc proponuję wyprawę do Klubu Pickwicka, na którego listę gości wpisał mnie Halliday. Będąc na miejscu, kierujemy swoje kroki do baru przy basenie. Na ścianie widnieje świetlisty napis „Pickwick”.

a na kontuarze siedzi plastikowa papuga. Halliday opowiedział mi, że klub wzięł swoją nazwę właśnie od papugi z ambasady, obecnie pochowanej w ścianie.

Wchodząc tutaj z gwarnych ulic Omdurman, nie potrafimy odnaleźć się pośród klienteli złożonej w przeważającej części z samotnych i znudzonych obcokrajowców, sugeruję więc abyśmy udali się w jakieś bardziej rzeczywiste miejsce. Jameela przyjmuje moją propozycję z wdzięcznością. Za cel obieramy sobie etiopską restaurację. Ponieważ nie podano nam noży ani widelców, ujmuje delikatnie moje dłonie i pokazuje, jak zwinąć jedzenie w tradycyjny, naleśnikopodobny chleb zwany *injera*. Od czasu, gdy witaliśmy się na wykładzie, nie doszło między nami do żadnego kontaktu fizycznego, więc odbieram ten drobny akt bliskości jako kamień milowy, czując się, jakbym odkrył źródło Nilu.

Zwiedzanie piramid to jej pomysł. Słyszałem co nieco o tajemniczym Meroe, leżącym dwie godziny jazdy na północ od Chartumu, ale przez myśl mi nie przeszło, że będę miał okazję je odwiedzić, a już na pewno nie w towarzystwie kobiety, w której ze wszystkich sił staram się nie zakochać. Mam przyjechać po nią następnego ranka. Gdy zjawiam się na miejscu, do mieszkania wprowadza mnie sudańska gospodyni, która dobrze wie, co się święci, wnosząc błysk w oku.

Przez jakieś dwie godziny jedziemy na północ drogą do Atbary. Obserwując, jak szybko znikają za nami złożoność i dobrobyt miasta - jak gdybyśmy przejechali poza krawędź płaskiej ziemi - przypomina mi się Kabul, gdzie w odległości kilku kilometrów od stolicy otoczenie ulega przeobrażeniu, nabierając wręcz prehistorycznej prostoty.

W małej osadzie Bagrawiyya, położonej na wschodnim brzegu Nilu, zjeżdżamy z głównej drogi i ruszamy dalej po wybojach. Upał pozbawia sił. Wreszcie wyłaniają się przed nami piramidy, niektóre spiczaste, inne potrzaskane, wystające z pomarańczowego piasku niczym rząd nierównych zębów. Jest ich około setki, znacznie mniejszych od swoich egipskich krewnych i mniej od nich znanych, zbudowanych z czarnego kamienia blisko dwa i pół tysiąca lat temu jako grobowce dla królów i królowych starożytnej Nubii. W pobliżu nie widać nikogo poza osamotnionym tubylcem proponującym, za skandalicznie wysoką sumę, przejażdżkę na swoim wielbłądzie. Z minami winowajców dziękujemy mu za jego usługi.

- To ci dopiero - zwracam się do Jameeli - miejsce pochówku dla twoich przodków.

- Znasz historię tego miejsca? - pyta.

- Wiem tylko, że Meroe było południową stolicą królestwa kuszyckiego, którego władcy przez tysiąc lat rządili Nubią, zaatakowali Egipt i sprawowali nad nim władzę jako faraonowie XXV dynastii. Prowadzili handel z Indiami i Chinami, a ich ujeżdżająca słonie

królowa-wojowniczką, Kandake, stawiała czoła samemu Aleksandrowi Wielkiemu, który wolał wycofać się, niż podjąć walkę z jej niezwykleymi wojownikami.

- Żartowniś z ciebie - komentuje.

- Wyczytałem to wszystko wczoraj wieczorem w przewodniku. Chciałem ci zaimponować. Wiesz, że bogowie tak bardzo zazdrościli nubijskim królowym ich urody, że chcąc nauczyć je pokory miotali w szczyty piramid błyskawicami?

- Ciekawa koncepcja - uśmiecha się. - Szczyty zniszczył włoski odkrywca w 1820 roku przy użyciu dynamitu. Szukał złota. Żadnego nie znalazł.

Przechadzamy się pomiędzy ruinami pełni zachwyty dla nieistniejącej już cywilizacji, która je stworzyła, kryjemy się w chłodzie kilku otwartych grobowców. Gdy wchodzimy do jednego z nich, Jameela sięga za siebie, chwytając mnie za rękę i łagodnie prowadzi. Na ścianach widać rzeźbione kamienne tablice z wizerunkami skrzydlatych egipskich bogów. Wodzę po nich dłońmi, a gdy odwracam się do Jameeli, dostrzegam na jej twarzy niepokój, którego wcześniej nie zauważyłem. Ten wyraz znika, gdy nasze spojrzenia się spotykają. Już na zewnątrz opieramy się o kamienne ściany wejścia do grobowca, stojąc tak naprzeciw sobie w całkowitej ciszy. Patrzę na nią bez słowa, a ona odwzajemnia to spojrzenie, ponieważ wszystko już sobie powiedzieliśmy. Złote światło kończącego swoją wędrówkę po niebie słońca pada na pot pokrywający jej dekol, tak że przez krótką chwilę jej ciemna skóra zdaje się świecić własnym blaskiem.

Nie mam pojęcia, jak rozwinęłaby się ta sytuacja, gdyby ze swojej chatki nie wyszedł podstarzały opiekun tego miejsca i nie pomachał do nas, krzyżując, że kończy już pracę.

- Powinniśmy już iść - mówi Jameela.

Samochód się nagrzał. Przez jakiś czas nie odzywamy się do siebie, zupełnie jakbyśmy wciąż byli pod urokiem odwiedzonego przed chwilą miejsca. Mijamy ciężarówki obciążone ułożonym w chwiejne stosy towarem i pasażerami trzymającymi kurczowo swoje worki z zapasami, machającymi i uśmiechającymi się do nas znad kłębow spalin i pyłu.

- Czasami - przerywa nagle ciszę Jameela - tęsknię za morzem. Chciałabym móc w nim popływać. Pojechać na pustynną wysepkę i zamiast tego pyłu poczuć piasek, a zamiast żaru - wodę.

- No to jedźmy nad morze - proponuję.

- To za daleko - wzdycha. - Potrzeba kilku dni na drogę tam i z powrotem. Tak czy inaczej, nie można się dostać na wyspy. Znasz kogoś w Chartumie? - zmienia temat.

- Jeszcze nie - odpowiadam. - Nie udzielałem się towarzysko.

- Jem jutro kolację z kuzynem i jego rodziną. To mili ludzie. Mógłbyś wpaść i im

zaimponować. Może swoją znajomością historii - dodaje z ironicznym uśmiechem.

- Nie chciałbym się narzucać - odpowiadam.

- Nie ma sprawy - mówi. - Co prawda kuzyn potrafi dać się we znaki, ale jego żona jest moją dobrą przyjaciółką. To tradycjoniści. Religijni. Poradzisz sobie, Angliku? Dam im znać, że się zjawisz.

Kuzyn Jameeli, Arab o śródziemnomorskich rysach twarzy, od samego początku wydaje mi się podejrzany. Jest wysoki i smukły, ma jasną cerę, kanciastą twarz, ostry nos i podbródek. Najbardziej niepokojące są jego oczy, szare i jaszczurcze, patrzące z lekką pogardą i nieustannie skierowane na wprost, jakby były umocowane sztywno w oczodołach. Jego gesty spowalnia pretensjonalna pobożność.

To nietypowe połączenie. W Sudanie jedynie rodzina lub najbliżsi przyjaciele zapraszani są do tradycyjnego domu rodzinnego. Tutaj sprawa ma się inaczej. Przygotowano miejsce dla obcokrajowca i ustawiono w pokoju stół i krzesła, czemu w Anglii odpowiadałoby spożycie posiłku siedząc na dywanie. Zaproszono również jakiegoś żyjącego od kilku lat za granicą Sudańczyka z żoną, których nie potrafię umiejscowić w sieci powiązań rodzinnych. Podejrzewam, że pełnią tutaj rolę pomostu pomiędzy tradycyjnym środowiskiem a dziwnymi obyczajami obcokrajowca, czyli w tym przypadku mnie. Jameela należy do rodziny, ale do reszty przesiąknęła kulturą Zachodu i teraz akceptuje się ją niczym zagranicznym film emitowany w telewizji.

Jej kuzyn siedzi naprzeciwko mnie, z Jameelą u boku. Jego żona, młoda Sudanka o wielkich, smutnych oczach kursuje z jedzeniem między stołem a kuchnią, od czasu do czasu przysiadając na końcu stołu niczym młoda łania, popijająca ostrożnie wodę ze strumienia. Jej oczy nigdy nie spotykają się ze spojrzeniami gości. Przez większość czasu wszyscy mówią po arabsku, aż nasz gospodarz spogląda na mnie i wyjawia, że niemalże perfekcyjnie posługuje się językiem angielskim.

- To godne pochwały, że mówi pan po arabsku - zwraca się do mnie ze złowieszczym uśmiechem. - *Isha'allah* nadejdzie taki dzień, gdy przeczyta pan święty Koran - ma idealnie białe zęby.

Jameela przewraca oczami.

- Kuzynka wspominała, że był pan w Afganistanie.

- Pracowałem tam przez jakiś czas - odpowiadam.

- Ale nie w trakcie trwania dżihadu?

- To była krótka wizyta. I minęło od niej wiele czasu.

- Nie jest pan muzułmaninem - mówi, jakbym tracił tym samym prawo do podróżowania. - Czym się pan tam zajmował?

- Tym, co i moi przyjaciele. Żyłem.

- A walczył pan? - draży temat.

- Dochodziło do walk. Trwała wojna.

- Udział w dżihadzie należy poczytać sobie za zaszczyt. Uczestniczył pan w nim?

Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa. Ani jego ciekawość. Przypominają mi się maniery i godność starszka spotkanego przy grobowcu, człowieka, któremu przez myśl by nie przeszło wtykać nos w sprawy osobiste zwiedzających. Najwyraźniej mój gospodarz potrafi powiązać fakt wyprawy do Afganistanu tylko i wyłącznie z udziałem w dżihadzie. Nie jestem w stanie wyjaśnić mu, że sympatia, jaką darzyłem w tamtym okresie Afgańczyków, nie miała nic wspólnego z religią ani rządzącymi nią prawami, a płynęła z prostego faktu, że lubiłem poznanych tam ludzi.

- O ile pamiętam, Prorok - *sala Allah alaeihu wa aleihu as-salaam* - powiedział, że największym dżihadem jest walka z własnymi słabościami, podczas gdy dżihad przeciwko materialnemu przeciwnikowi nie jest tak ważny - dżihad *as-saghir*.

Korzystając z okazji, że nasz gospodarz odwrócił głowę, spoglądam przelotnie na Jameelę, która obdarza mnie spojrzeniem wyrażającym czułą dezaprobatę. Ale na jej kuzynie nie wywarłem większego wrażenia.

- Skąd pan o tym wie? - puszcza moją uwagę mimo uszu. - To walczył pan czy nie?

- Żyłem tak samo, jak i moi przyjaciele. Z nimi mieszkalem, z nimi jadłem, z nimi walczyłem i modliłem się.

- Pan się wraz z nimi *modlił*?

Specjalnie opiera dłonie o krawędź stołu, jakby zamierzał wstać.

- Omar - wtrąca się Jameela - daj mu zjeść. Oboje zaczynamy czuć się nieswojo.

- Tak - odpowiadam, wspominając te pogodne chwile o świcie, gdy mężczyźni, zanim powrócili do swoich ziemskich zajęć, spokojnie odkładali broń i zwracali myśli ku Bogu. - Czasami. Nie zawsze. Dziwnie byłoby tego nie robić.

- Ale nie jest pan muzułmaninem?

- Omar - wcina się Jameela, tonem protestu.

Spogląda na nią, po czym powraca wzrokiem do mnie, jakby mówiąc: rozmawiam, nie przeszkadzaj mi.

- W trakcie wojny każdy się na swój sposób modli. Tam była to część życia.

- A nie czuł się pan... - spogląda do góry, szukając odpowiedniego słowa. Wreszcie

znajduje je i spogląda mi prosto w oczy. - Nie czuł się pan jak hipokryta?

- *Merde!* Koniec tego dobrego, wychodzę - mówi Jameela.

Gwałtownie odsuwa krzesło i wstaje. Kuzyn obserwuje ją niczym jaszczurka, niewzruszony, potem wreszcie posyła jej niewyraźny uśmiech, jakby znalazł w jedzeniu włos, ale grzeczność nakazywała mu zachować to dla siebie.

- Już dobrze, Jameela - zwracam się do niej. - Twój kuzyn ma prawo zadać to pytanie. On kieruje się własną interpretacją, a inni ludzie swoją. To właśnie leży u podstaw *ijtehad*. Dzięki temu islam jest tak interesujący.

- A skąd pan to wie? - pyta mnie znowu niemalże gniewnym tonem, jakby jego religia stanowiła tajemnicę, którą nikt inny nie ma prawa się interesować.

- Nie może się tak do ciebie zwracać. Jesteś jego gościem. Nie tego naucza islam - rzuca szyderczo Jameela.

Omar ignoruje jej wybuch, jakby reakcja na niego była poniżej jego godności.

- Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie, nie czułem się jak hipokryta. Bóg przemawia w wielu językach, nie tylko po arabsku.

Wzdycha tolerancyjnie, jak nauczyciel zawiedziony odpowiedzią obiecującego ucznia, ale widzi, że nie jest to odpowiedni moment, żeby ciągnąć temat.

- Chętnie porozmawiałbym jeszcze z panem na ten temat. Może wpadnie pan do mnie i przedstawię pana tak samo zainteresowanym tego typu dyskusją przyjaciółom. Moglibyśmy przeprowadzić krótki wywiad i przeczytałby pan na antenie radia kilka wersetów świętego Koranu. Moglibyśmy poruszyć wiele tematów.

- Z ogromną przyjemnością - odpowiadam.

To kłamstwo, bo nie zamierzam dać mu się wykorzystać dla celów własnej propagandy. Jego wersja religii jest jak dla mnie zbyt upolityczniona.

Później, gdy nasza rozmowa zesła na inne tory, zastanawiam się, czy nie osądziłem go zbyt surowo. Może jego ciekawość była szczerą, a nigdy wcześniej nie miał styczności z ideą, że można być zainteresowanym obcą kulturą i religią nie stając się przy tym fanatykiem. Nie udaje nam się w pełni odbudować nastroju.

- Przepraszam cię - mówi Jameela, gdy wracamy do samochodu. Jest bardziej przygnębiona niż ja. - Potrafi być prawdziwym idiotą. Dla niego i jego przyjaciół liczy się tylko i wyłącznie religia. Wszyscy mają poglądy rodem ze średniowiecza - uspokaja się nieco.

- Przez jakiś czas zadawałam się z nimi - zapala silnik i ruszamy.

- Na jakiej zasadzie? Nie strasz mnie.

- Spraw rodzinnych - odpowiada tonem, jakby wołała zapomnieć o tym rozdziale

swojego życia. - *lis sont tous des fanatiques.* - Spogląda na mnie. Z jej twarzy zniknął uśmiech. - Jednego z nich poślubiłam. Słyszałeś o Osامية bin Ladenie?

- Coś mi świta - mówię. - Dużo o nim ostatnio mówią.

- Wysłałam za jednego z jego braci. Był dobrym człowiekiem - przerywa. - Ale się zmienił. Przez ludzi Osamy. Osama też był dobrym człowiekiem. Przysłużył się Sudanowi. Jego też zmienili. Spotykałam się z nim i jego ludźmi, i za każdym kolejnym razem jego poglądy stawały się coraz bardziej radykalne.

- Chyba nie chcę więcej wiedzieć - mówię. - Patrz na drogę.

- Musisz zrozumieć - kontynuuje, a po jej twarzy przemyka wyraz smutku - że islam oprócz swojej pięknej strony, ma również ohydny. Jesteś chrześcijaninem. Chrześcijanie dopuścili się okropności, zła. Okrutni ludzie zawsze znajdują okazję, by zrobić coś okropnego. Nie ferujesz wyroków o całej cywilizacji, patrząc tylko na nich. W samym sercu islamu można znaleźć... spokój, niewyobrażalny spokój i piękno. Odnajdziesz je w prostych ludziach, w ich życiu. Dla nich bogami są niebo, woda i drzewa. Prawdziwy islam wszystko to akceptuje. Prorok wywodził się z pustyni. Był prostym człowiekiem, który dobrze wiedział, czym jest ubóstwo.

Jakiś czas jedziemy bez słowa. Ten temat wywołuje żywiołową reakcję Jameeli i dokładnie takie niezadowolenie starałby się wykorzystać prawdziwy szpieg, pogłębiając żal, żeby zdobyć informacje. Ale nie muszę nawet próbować go rozbudzać. Kilka minut później wraca sam.

- Nie wypierasz się swojej religii i cywilizacji z powodu fanatyków nazywających siebie chrześcijanami? Nie wypierasz się dobra i piękna, ponieważ istnieje też brzydota. Nie musisz czuć się winny, ponieważ Kościół wzywał do krucjat, masakry, albo, czy ja wiem, przyczynił się do tego, co wydarzyło się w Hiroszynie lub Srebrenicy? Albo że twoi chrześcijańscy przywódcy zbudowali obozy koncentracyjne czy zniewolili miliony niewinnych ludzi? Ale jeśli muzułmanin dopuści się jakiegoś straszliwego uczynku, to na Zachodzie zawsze wskazywać będą na jego religię. Mówią o muzułmanach, jakby jednym słowem dało się opisać miliard ludzi, jakby to słowo rzeczywiście było w jakiś sposób użyteczne.

Zatrzymujemy się przed jej domem. Samochód wciąż jest na chodzie, więc sięgam do zapłonu i wyłączam silnik. Jameela odwraca się do mnie. Wciąż jest smutna. Cała ta kwestia stanęła między nami murem, jakbyśmy się pokłócili i rzuciła cień na przywiązanie, jakie do niej czuję.

- Wiesz, gdzie szukać największych ekstremistów? - pyta. - W Arabii Saudyjskiej,

Egipcie, Palestynie. Oni najbliżej związani są z Zachodem. Tam właśnie zdobywali wiedzę polityczną i uczyli się przemocy. To o nich zawsze się słyszy. A nie o milionach prowadzących spokojne, tolerancyjne i pokojowe życie, wypełnione radością przez islam.

Praktycznie jej nie słucham. Pochylam się ku niej i łagodnie przyciągam dłonią jej głowę. I całuję ją w usta.

- Zakochałem się w tobie - zwierzam się cichym głosem. - Zawsze, gdy się z tobą żegnam, czuję ból.

Przygląda mi się bez słowa, oszołomiona. Ma nierówny oddech.

- Jedź już - mówi. - Jedź, proszę. *Va t'en, je t'en prie.*

Rozdział 11

Następnego dnia otrzymuję od niej list. Kamal przynosi mi go, gdy popijam na balkonie herbatę.

À mon très cher Antoine,

Nie potrafię opisać swoich uczuć, nie będę więc tego robić. Cieszę się, że się poznaliśmy i będę pielęgnować wspomnienia wspólnie spędzonych chwil. Lecz niedługo wyjedziesz z Chartumu i stracimy siebie nawzajem. A gdy tak się stanie, to wiem, że jedno z nas, albo i oboje, będzie ogromnie cierpieć. Nie powiększajmy niepotrzebnie tego bólu. Proszę, uszanuj moje życzenie i nie spotykajmy się już więcej.

Je t'embrasse,

J.

Przed domem krząta się jej gosposia, podlewając bugenwille. Wita mnie z uśmiechem. Nie zastałem Jameeli, mówi. Wiem, chcę jej tylko zostawić prezent, wyjaśniam i zanoszę torby na górę, do jej sypialni. Płatki róż są świeże i pachnące. Wymieszałem je z hibiskusem i jaśminem. Zanurzam w nich dłonie i rozrzucam po każdej powierzchni - łóżku, toalecie, półkach z książkami, aż ich gruba warstwa pokrywa cały pokój. Na stole zostawiam liścik: *Proszę, jedź ze mną na piknik w piątek rano, będziemy mogli omówić twój ważny list (zabranie stroju kąpielowego - nieobowiązkowe).*

Gdy w piątek przyjeżdżam do Jameeli, jest jeszcze w łóżku. Po kilku minutach schodzi do mnie, ubrana w białą, jedwabną pidżamę, wymachując liścikiem, który jej zostawiłem.

- Dlaczego to robisz? - pyta.

Udaje rozzłoszczoną.

- Zaufaj mi - odpowiadam. - Wrócimy jeszcze dzisiaj wieczorem. Pojedź ze mną na ten piknik, a potem zostawię cię już w spokoju. - Choć wcale nie mam zamiaru tego robić.

Pracownik lotniska prowadzi nas do samolotu. To Cessna 172R o wystarczająco dużym zasięgu, aby zabrać nas do celu i z powrotem. Złożyłem już plan lotu i samolot został wycarterowany na dwadzieścia cztery godziny. Dźwigam torby do luku bagażowego.

- Powiesz mi chociaż, gdzie się wybieramy? - pyta Jameela.

Otwieram jedną z toreb i pokazuję jej pletwy.

- Chciałaś pojechać nad morze. Tam cię właśnie zabieram.

Potrząsa powoli głową, ale nie udaje się jej ukryć lekkiego uśmiechu.

- Oszalałeś - komentuje.

Wciskam w dłoń urzędnika na lotnisku banknot studolarowy, gdy ostrzega mnie przed zboczeniem w przestrzeń powietrzną Erytrei, wypluwając z siebie słowa jak karabin maszynowy. Jeszcze tylko kilkuminutowa kontrola samolotu i wznosimy się w powietrze, kierując się na północny wschód od miasta i obserwując Nil wijący się pod nami po lewej.

Jameela w niemej fascynacji przyciska głowę do okna pasażera. Od czasu do czasu słyszę, jak odzywa się przez interkom, wskazując jakieś cechy krajobrazu pod nami. Niedługo później ze słuchawek dochodzi mnie dziwna, smutna muzyka, aż zdaję sobie sprawę, że to ona śpiewa do siebie.

W dwóch trzecich drogi, z dzikiego obszaru pod nami wyłania się łańcuch czarnych gór pozbawionych rzek i jezior. Za nimi, na horyzoncie, widać cienką niebieską wstążkę. Gdy pokazuję ją Jameeli, zagryza niecierpliwie wargi. Zaczynam kołysać samolotem w lewo i prawo, świętując osiągnięcie celu, a na twarzy Jameeli pojawia się olśniewający uśmiech zachwyty. Po niecałych trzech godzinach lotu nawiązuję łączność z kontrolą ruchu lotniczego w Port Sudan i podchodzę do lądowania.

Nad wybrzeżem skręcam na południe i przelatujemy nad leżącym nad Morzem Czerwonym, samotnym portem Suakin. To starożytne miejsce zostało porzucone przez Osmanów w latach dwudziestych XX wieku, teraz zaś zamieszkuje je nieustannie zmniejszająca się miejscowa populacja, a sam port stopniowo pochłania morze. Kilka minut później zauważam lądowisko i schodzę na nie podczas jednego, długiego podejścia. Przy końcu pasa startowego, obok małej szopy z cyny, stoi samotnie biały jeep, tuż przy nim zaś kierowca, powoli machający nad głową rękoma. Niewiele brakuje, żebym pomyślał ciepło o Hallidayu, który w krótkim czasie przygotował wszystko, o co prosiłem.

Lądując, wzbijamy chmurę pyłu. Kołuję do szopy, wykręcam i wyłączam silnik. Zapada błoga cisza. Kierowca podbiega, żeby pomóc z bagażami. Upychamy je na jeepa i ruszamy do Suakin. W popadającym w ruinę porcie przesiadamy się na łódź, którą dla nas znalazł. To mający już swoje lata Zodiac, wyposażony w dwa potężne, podczepiane silniki i nie pytam nawet, jak udało się go zdobyć. Również nasz kierowca nie dopytuje się, dokąd zmierzamy. Wymalowany na czarno numer identyfikacyjny umieszczony na dziobie, wskazuje na wojskowe pochodzenie, czyli może ma kuzyna w armii.

Wyjaśnia mi niuanse sterowania i pokazuje kilka znajdujących się za burtą dużych kanistrów z wodą oraz skrzynkę owoców, jego osobisty wkład. Nagradzam go stosownie do wysiłków i ustalamy miejsce spotkania. Będzie strzegł samolotu podczas naszej nieobecności.

Niedaleko zauważamy kilku rybaków sprzedających ze swoich łodzi świeże owoce

połowu. Jeden z nich wycina filety z ryby przypominającej małego tuńczyka. Odcina dla nas dwa kawałki ciemnego mięsa okopconą maczetą, którą musi wbijać w rybę drewnianym młotkiem. Chowamy mięso na Zodiaku razem z resztą naszych rzeczy, włączam GPS, żeby nawiązał połączenie i silniki ożywają z pluskiem.

Wyływamy z kanału na otwarte morze. Mkniemy przed siebie w pełnym słońcu, podskakując na wodzie. Panuje nieznośny upał i jestem wdzięczny Jameeli, gdy zdejmuje swój szal i obwiązuje mi go wokół głowy. Do tej pory jedynie obrzucała mnie spojrzeniem, w którym mieszały się podejrzliwość i podziw. Pierwszy raz widzę ją bez tego szala. Przeczesuje palcami długie czarne włosy, jak gdyby uwolniła właśnie cząstkę swojego ducha, i pochyla się pod wiatr, niczym pies wystawiający głowę przez okno samochodu. Zgodnie z moimi oczekiwaniami jest zachwycona.

Po piętnastu minutach wybrzeże za nami zamienia się w cienką, czarną linię. Przed nami zaś, dokładnie w miejscu, gdzie wskazuje GPS, z morza wylania się tuzin bezludnych wysepek. Niektóre z nich są małe i pozbawione życia, inne mają większe rozmiary i porasta je roślinność ciągnącą się wzdłuż ich białych plaż.

- Wybierz swoją wyspę - mówię.

Smukłym ramieniem wskazuje mi odległą od nas o kilkaset metrów małą, piaszczystą zatoczkę otoczoną z obu stron skałami, między którymi rozciąga się ciemnozielony dach z drzew. Wciągamy Zodiaka na plażę i przenosimy wodę oraz torby do linii drzew, gdzie z namaszczeniem budujemy nasz zaimprovizowany obóz. Pomijając tykanie systemu chłodzenia, panuje całkowita cisza. Gdy podnoszę głowę, widzę jak Jameela pędzi do wody i daje nura w ubraniu.

Chwilę później już wraca biegiem i zarzuca mi ręce na ramiona.

- Dziękuję - mówi - dziękuję ci.

Przytrzymuję jej mokre ciało blisko swojego, rozkoszując się przez tę krótką chwilę zapachem jej skóry, aż uwalnia się z mojego uścisku i zaczyna grzebać w swoich rzeczach w poszukiwaniu stroju kąpielowego.

Przebiera się pod ręcznikiem, a gdy go zrzuca, staram się nie zdradzić w żaden sposób, jakie wrażenie wywarł na mnie ten widok. Założyła kremowy, dwuczęściowy strój kąpielowy, jak mniemam zakupiony w Paryżu, który sprawia, że jej skóra wydaje się jeszcze ciemniejsza. Wciąż zapominam, gdzie dorastała. Noszona w mieście chusta wysyła sygnał obronny, ochładzający fizyczny aspekt spotkania przeciwnej płci. Tutaj już jej nie nosi, dystans wyparował, a wstrząs wywołany tą bliskością sprawia, że zaczynam się nieco denerwować. Gdy odwraca się w kierunku wody i poprawia zapięcie stanika, mogę zobaczyć

całą jej sylwetkę. Ma długie, pełne wdzięku nogi, a gdy moje zawstydzone spojrzenie pada na linię bioder pod smukłą talią, wypełnia mnie pożądanie.

Z płetwami i fajkami ruszamy na plażę. Przez kolejne kilka godzin unosimy się na powierzchni wody, nieświadomi upływu czasu obserwując rozciągający się pod nami niemy świat. Woda jest nieprawdopodobnie czysta, a każda ryba ma dziwny, zaskakujący kształt i przypomina żywą tęczę, jasną i pomalowaną subtelnymi barwami. Później spacerujemy po piasku, zbierając muszle aż, widząc jak bardzo poczerwieniały mi ramiona, Jameela proponuje, byśmy wrócili do cienia za linią brzegu.

Zbieram drewno pod zadaszeniem z drzew, a gdy znikam z widoku, wydaję telefon satelitarny z wodoodpornego futerału i, korzystając z GPS-a, przesyłam dane dotyczące naszej lokalizacji Seethroughowi. On z kolei przekaże je bufonowatemu Hallidayowi w ambasadzie w Chartumie, żeby wiedział gdzie nas szukać, jeśli spełniłoby się moje marzenie o utknięciu na wysepce z Jameelą u boku. Następnie rozpalam małe ognisko, czekam aż się wypali, zawijam zakupione ryby w grube zielone liście i wkładam je między węgielki. Białe wino, zdobyte od miejscowego pracownika ochrony dorabiającego jako barman w Klubie Pickwicka, jest lekko ciepławe, ale dobrze nam robi, a ponieważ jest straszny upał, lekko się wstawiamy. Pierwszy raz widzę, żeby Jameela piła wino. Pozwala się nakarmić plasterkami mango, co kończy się tym, że mamy ubrudzone całe twarze.

Widząc, że spoglądam na zegarek, pyta kiedy odpływamy. Musimy wzbić się w powietrze przed zapadnięciem zmroku, odpowiadam. Mógłbym lecieć w nocy, ale wolalbym tego uniknąć.

Wydaje się zamyślona.

- Zostańmy tutaj - proponuje. - Na plaży. Pod gwiazdami.

Tak się złożyło, że brałem tę ewentualność pod uwagę i zabrałem ze sobą dwa nylonowe hamaki. Tak, jak się spodziewałem, zrobiłem na niej wrażenie.

Przywiązuję hamaki do drzew kilka metrów jeden od drugiego.

- Oddzielne łóżka. Ależ jestem staromodny - mówię.

To oczywiste, że się przyciągamy. Moje ciało i myśli całkowicie się temu poddały. Ciekawe jak długo uda nam się zachować tę kruchą niewinność, co nie będzie łatwe, jeśli oboje przekroczymy linię, do której się teraz przybliżamy, a zza której nie będzie już powrotu. Oboje jednak wiemy, czym jest bliskość i jak wielki ból wiąże się z jej zniknięciem. I może to sprawia, że przybliżamy się do tej granicy ze zdwojoną ostrożnością.

- Dziękuję - mówi, ale wcale nie ułatwia mi zadania, gdy przytula się do mnie i składa mi głowę na ramieniu, tak, że patrząc wzdłuż jej długich pleców mogę dojrzeć krągłości

bioder.

Rozdmuchuję ogień i przysiadamy przy nim, podczas gdy słońce tonie w morzu, a świat ogarnia ciemność. W świetle płomieni z twarzy Jameeli bije blask, sprawiający, że wydaje mi się piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy dorzucam drewna do ogniska, w górę wzbija się chmura iskier, pozostawiających po sobie ślad pomiędzy świecącymi nad naszymi głowami gwiazdami. Są niezwykle jasne i jest ich dużo więcej, niż można dostrzec w Anglii. Nie potrafię rozpoznać konstelacji, które zwykle widzę, będąc u siebie.

Wdrapujemy się do hamaków. Jest na tyle blisko, że mogę usłyszeć, jak wciera w ramiona środek na komary. Jesteśmy wymęczeni i szczęśliwi.

- Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi, Jameelo - mówię na wpuł do siebie samego.

- *Moi aussi* - odpowiada, zapadając w sen.

Gdy się budzę, Jameeli nie ma w hamaku. Przez krótką chwilę ogarnia mnie panika, póki nie dostrzegam rozbryzgów wody wywołanych ruchami jej płetw. Zdażyła już wskoczyć do morza i nurkuje. Na śniadanie jemy mango, myjemy się, aż wreszcie przychodzi czas, żeby się zbierać. Gdy zawiązuję torby, raz czy dwa wydaje mi się, że słyszę dźwięk silnika, ale za każdym razem odsuwam tę myśl od siebie. Wysepki są niezamieszkane, a woda zbyt płytka na połów. Gdy mamy już wrzucać bagaże na Zodiaca, słyszymy wyraźne zawodzenie przyczepnego silnika, wzmagające się, gdy łódź omija wylot zatoczki i kieruje się do miejsca, gdzie wyciągnęliśmy na brzeg Zodiaca.

- To rybacy - stwierdza Jameela.

Mnie nie wyglądają na rybaków. Obserwujemy ich bez słowa, a gdy zatrzymują się kilka metrów od naszej łodzi i wyłączają silnik, oboje jesteśmy zaniepokojeni.

Podpływają bliżej i pokazują sobie nawzajem Zodiaka, nie zwracając na nas uwagi. Macham do nich, ale nie odwzajemniają gestu, a to dość niezwykle. Ponawiam gest, bo może nas nie zauważyli. Tyle że stoimy niecałe sto metrów od nich i musieli nas widzieć. Wyciągają z wody śrubę i jeden z nich wyskakuje za burtę, żeby wciągnąć łódź na brzeg. Drugi, z nagą klatką piersiową, podnosi coś przypominającego harpun. Ale tylko przypominającego.

- Mój Boże - szepce Jameela - on ma broń. To piraci.

- Tylko spokojnie - mówię.

Staram się rozważyć dostępne nam opcje, ale nie zajmuje mi to dużo czasu. Nie mam broni. Jesteśmy na bosaka. Nie mamy gdzie się schronić ani dokąd uciec.

Wyglądem dopasowali się do swojej profesji. Ten wyciągający właśnie łódź na brzeg

ma zwalistą budowę ciała, krótko przystryżone włosy i bardzo ciemną skórę. Wystający podbródek przypomina rybę patrolującą dno morza. Ten bez koszuli ma pokręconą fryzurę i najwyraźniej to on tutaj dowodzi. Trzyma w rękach AK-47 ze składaną, metalową kolbą, model znany w języku rosyjskim jako „Partyzant”. Podchodzi do nas, wrzeszcząc coś w nieznanym mi języku. Zresztą cokolwiek by nie mówił, nie brzmi to zbyt przyjaźnie, a zbliżywszy się, przekłada lewą dłoń pod łożę karabinu, jakby zamierzał zrobić z niego użytek. Jest smukły, silny i młody, a z mojego punktu widzenia to same wady.

- Mówisz po angielsku? - krzyczę, próbując zyskać na czasie.

Zadaje mi pytanie, z którego nie rozumiem nawet słowa, ale nie brzmi to, jakby zapraszał nas do siebie.

- Mówi po amharsku z dziwnym akcentem. Chce kluczyki do łodzi - tłumaczy mi Jameela drżącym głosem. - Daj mu je.

Stoi obok mnie, zasłaniając się owiniętym wokół talii ręcznikiem, ale wciąż przykuwa uwagę i widać to po naszych gościach. Ten z bronią obrzuca ją spojrzeniem i mówi coś do partnera, który podchodzi do Jameeli. Gdy próbuje chwycić ją za mokry nadgarstek, dziewczyna wyswobadza się, więc sięga raz jeszcze, z podobnym efektem. Przy trzecim podejściu podnosi Jameelę do góry, przyciskając jej ramię do ciała, podczas gdy ona rozpaczliwie, ale bez jakichkolwiek rezultatów, młóci w powietrzu nogami.

To oczywiste, że chcą ją ze sobą zabrać, a gdy już dostaną w swoje ręce i kula kalibru 7,62 mm zrobi mi dziurę w głowie, zdobycie kluczyków do Zodiaca nie będzie żadnym problemem. Ale ponieważ tylko Seethrough wiedział, gdzie nas szukać, to przybycie piratów nie niepokoi mnie za bardzo. Prawdę powiedziawszy, jestem pod wrażeniem, jak przebiegle zostało to wszystko obmyślane, ale nie wolno mi nic po sobie pokazać. Muszę odegrać przygotowaną dla mnie rolę.

- Powiedz koledze, żeby tego nie robił - zwracam się do dzierżącego broń mężczyzny.

- To niegrzeczne.

Zbliżam się do niego o krok, chcąc przyjrzeć się, w jakiej pozycji ustawiony jest przełącznik trybu ognia z boku AK, a także, żeby zwiększyć dystans między nim a jego koleżką. Broń jest zabezpieczona, to zaś oznacza, że zyskałem drobną, ale istotną przewagę. Wyciągam dłonie dalej przed siebie i zaczynam bełkotać po angielsku, licząc, że uzna to za coś ważnego.

Gdy jestem kilka kroków od niego, wyszczerza zęby w grymasie i podnosi broń, celując we mnie. Wylot lufy przypomina wielkie działo, co nie dodaje mi animuszu, ale palec nie powędrował jeszcze do bezpiecznika. Mam nadzieję, że Seethrough przygotował dla nich

jakąś rekompensatę, ponieważ nie tylko świetnie odgrywają rolę piratów, ale na dodatek zaraz zrobię jednemu z nich coś, co zaboli go znacznie bardziej niż mnie.

Stuka mnie lufą w pierś, groźnym tonem wydając mi kolejne niezrozumiałe polecenie. Podnoszę dłonie nieco wyżej. To powtórka z ćwiczeń, które prowadził ze mną H jeszcze w Herefordshire, całe wieki temu.

Podchodzi bliżej, a że nieszczęścia chodzą parami, więc czekam na drugie szturchnięcie. W momencie, gdy mnie popycha, wyprowadzam niski cios lewą dłonią, silnym i szybkim ruchem odtrącam lufę i obracam się w lewo. Leci na mnie siłą rozpędu, więc uderzam prawą ręką w podbródek, popychając swojego przeciwnika tak, że próbuje odzyskać równowagę robiąc krok do tyłu. Podkładam mu nogę, a gdy potyka się o nią, instynktownie zdejmuję lewą dłoń z broni, żeby złagodzić upadek. Chwytam lufę i jakimś cudownym sposobem po chwili mam już karabin w rękach. Gdy mój przeciwnik próbuje podźwignąć się na nogi, udaremniam jego zamiary, strzelając w piasek obok jego ucha.

Jameela i trzymający ją napastnik stają jak wryci, kobieta krzyczy przestraszona i słychać wszechogarniający wrzask stada ptaków wzbijających się w powietrze z drzew za nami. Dziewczyna uwalnia się i wyprowadza imponujący cios prosto w jego szczękę. Mężczyzna już chce się odgryźć, ale widok kulącego się na piasku kompana podsuwa mu inną myśl i pędzi ku linii drzew. Strzelam dwa razy, celując koło jego stóp, aż dociera do niego, co powinien zrobić.

Musimy ruszać. Trzymam na muszce obu mężczyzn, a Jameela zbiera nasze torby. Na wszelki wypadek, gdyby któremuś z piratów zachciało się pobiegać, każę im zdjąć buty i na czworaka wracać do swojej łodzi. Nie chciałbym, żeby wrócili tu ze swoimi kolegami, więc kolbą AK odłamuję czubek świecy zapłonowej w ich silniku. Zmuszeni do wiosłowania będą poruszać się wolniej i przez myśl im nie przejdzie kogokolwiek napadać i porywać.

Jameela kończy załadunek i obrzuca obu mężczyzn pogardliwym spojrzeniem.

- Zabiliby nas - mówi przestraszonym głosem.

I krzyczy coś do nich, zapewne amharskie przekleństwo.

- Chcesz ich zastrzelić? Rekiny będą miały frajdę. - Podaję Jameeli AK, przesuwam jej dłonie na rękojeść i spust, pomagam wycelować broń w kulące się cele.

- Zabiliby nas - powtarza.

- Kobiety z bronią - mówię ze wzruszeniem ramion, jakby tłumacząc się, że decyzja nie należy do mnie. - Przerazające, co?

Nie śmieją się.

Wyływamy z płycizny i zapalamy silniki. Oddalając się widzimy, jak pozostawieni

własnemu losowi mężczyźni przechylają się przez burtę łodzi. Jameela siedzi obok, mocno się mnie trzymając i nie odzywając się słowem. Od czasu do czasu spogląda za siebie. W połowie drogi do celu oddaję jej AK. Z przyjemnością zachowałbym broń, ale trudno by się było z tego wytłumaczyć. Ciska ją w pieniaący się za nami kilwater i dołącza do mnie.

Pierwsze chwile bliskości nie mają sobie równych. Nie posprzątała płatków róż i ich zapach spowija nas, gdy padamy na łóżko i poddajemy się namiętności, narastającej od momentu, gdy zobaczyliśmy się po raz pierwszy. W biegu przekraczamy granicę, wkraczając na nieznaną nam obojgu terytorium, a tam, gdzie wcześniej panowała powściągliwość, teraz jest zapamiętanie.

Jej skóra wciąż jest słona i pachnie morzem, niczym u syreny, której jakimś cudem udało się przeżyć podróż na brzeg. Śmieje się, płacze, i znowu wybucha śmiechem, chwytając mnie z niespodziewaną siłą, po czym ustępuje, jakby jej ciało obróciło się w wodę i upominało się o nie morze. Nigdy wcześniej nie oddałem się nikomu w takim stopniu i nigdy nie zostałem tak szczerze obdarowany.

Budzę się w nocy wystraszony. Zabrałem do swojego snu strzały oddane na plaży. Gdzieś szczeka pies. Obok mnie Jameela śpi jak dziecko, na wpół owinięta prześcieradłem. Gdy idę do łazienki napić się wody z kranu, zauważam wzór, jaki powstał z piasku zmytego z naszych ciał pod prysznicem. Wyciągam telefon satelitarny i wychodzę na balkon, na pachnące pyłem i jaśminem powietrze. Przygotowuję zaszyfrowany raport dla Seethrougha, dziękując mu za zaaranżowanie wydarzeń poprzedniego dnia. Nie spodziewam się natychmiastowej odpowiedzi i tylko siedzę w ciszy, rozmyślając o Jameeli. Nagle widzę błyskające światło na wyświetlaczu telefonu, sygnalizujące nadejście wiadomości: NIEZROZUMIAŁE ODNIESIENIE DO „PIRATÓW” PROSZĘ POTWIERDZIĆ.

Dopiero po chwili, spędzonej na analizowaniu całej sytuacji, dociera do mnie, co naprawdę się wydarzyło.

Widuję się z Jameelą codziennie i zawsze po pracy wracamy do niej. Niecierpliwie wyczekuję nadejścia nocy, gdy będziemy mogli jeszcze głębiej zapuścić się w krainę intymności. Nie planowałem tego przy naszym pierwszym spotkaniu. Teraz znaleźliśmy się w potrzasku. Nie potrafimy obronić się przed swoimi uczuciami, ale i nie przejmujemy się zanedo, dokąd nas zaprowadzą.

Sama pogoda zdaje się działać na naszą korzyść. Któregoś popołudnia Jameela dzwoni z informacją, że wróci wcześniej do domu. Gdy do niej przyjeżdżam, siadamy razem

na balkonie, wdychając pachnące jaśminem powietrze i popijając zimne białe wino. Niebo jest ciemniejsze niż zazwyczaj, i zastanawiam się, czy nie nadchodzi burza.

- To nie burza - odpowiada Jameela zdecydowanym tonem. - Chodź.

Po wąskich, ceglanych schodach wspinamy się na dach, gdzie Jameela wskazuje mi coś w oddali. Na zachodzie, za rzeką, na pustyni za Omdurman, widzę niewyobrażalne zjawisko. Ku miastu toczy się skłębiona chmura pyłu, tak na oko wysoka na trzysta metrów. Rozciągając się na całe kilometry, ta ciemna, wściekła, krwistoczerwona fala wyraźnie pełźnie w naszym kierunku. Jest ogromna i przywodzi na myśl biblijną plagę. Zarys miasta wydaje się czymś żalonym w obliczu postępującego ogromu piasku, a im bliżej nas jest, tym bardziej przygasa światło słoneczne, jak gdyby nakazał tak rozdrażniony bóg. Nie potrafię powiedzieć co się stanie, gdy do nas dotrze.

- Widziałaś to już wcześniej?

- To habub - uśmiecha się. - W ten sposób pustynia się oczyszcza. Jest piękny.

Ten widok przypomina mi, na jaką skalę działa natura. Przez kilka minut przyglądamy się postępowi burzy piaskowej. Jej piękno jest nieodparte. Ale jednocześnie ogarniają mnie złe przeczucia, jakby zbliżał się dzień sądu. Tylko mnie on zagraża. Gdy odwracam się do Jameeli i podziwiam jej urodę, przypominam sobie, jak często piękno z niebezpieczeństwem idą w parze i analogia staje się kompletna.

- Przejdzie - mówi. - Lepiej wracajmy do środka.

Schodzimy z dachu i wchodzimy do mieszkania, gdzie po kolei zamykamy okna i drzwi. Niebo ciemnieje jeszcze bardziej. Czujemy zapach piasku, gdy habub pochłania wszystko, dusząc nawet światło słoneczne i okradając świat za oknami z kolorów tak samo, jak to się dzieje podczas zaćmienia słońca. Skrywamy się w sypialni i znowu się kochamy, jak gdyby starając się znaleźć schronienie w sobie nawzajem, świętowaniem bliskości sprzeciwiając się zesłanemu na miasto nieszczęściu.

Później leżymy obok siebie w stonowanym świetle, czując się, jak gdyby udało się nam przetrwać klęskę żywiołową. Gdy słyszę głos Jameeli, zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie czyta mi w myślach. Odwraca się i cicho pyta, czy nie śpię.

- Wiem, że jesteś szpiegiem - mówi. - Ale nic mnie to nie obchodzi.

- Nie jestem szpiegiem - odpowiadam.

Zapada długa cisza. Nie spodobała się jej moja odpowiedź.

- Ale znam ludzi, którzy nimi są.

- Przysłali cię tutaj?

- Tak.

- Żeby mnie szpiegować?
- Nie. - Kłamstwo. - Nasze spotkanie nie miało z tym nic wspólnego.
- Czego chcą?
- Dowiedzieć się czegoś o bin Ladenie i jego ludziach.
- Ode mnie?
- Nie. Od kogokolwiek. - Kłamstwo.

Znowu zapada długa cisza.

- Wiedziałałam, że prędzej czy później ktoś się pojawi - mówi.

Przekręca się, spogląda na mnie bez słowa i zaczyna wodzić dłonią po moich brwiach, nosie, ustach.

- Nie chciałam, żeby do tego doszło - mówi.

Nie pomijam niczego, co mi mówi. Ze względów bezpieczeństwa piszę na szklanym stole, z którego nie będzie można skopiować odcisków pozostawionych przez długopis, i na jednej tylko kartce papieru, nie podkładając pod nią innych. Opowiada o swoim mężu, jednym z wielu przyrodnych braci bin Ladena, swoim małżeństwie zawartym w Chartumie sześć lat temu oraz pierwszych spotkaniach z członkami jego rodziny na przyjęciach i zgromadzeniach. Wymienia nazwiska tuzina innych braci bin Ladena, opisując ich pełne przepychu życie, domy w Kalifornii i Londynie, umiłowanie interesów, wyścigów, łodzi i samochodów. Nie takich informacji się spodziewałem. Jak mówi, bin Laden jako jeden z nielicznych braci nie charakteryzował się typowym dla jego rodziny zamiłowaniem do bogactwa, może dlatego, że był jedynym synem dziesiątej żony swojego ojca, a tego stracił, będąc jeszcze nastolatkiem. Wiele dowiedziała się o nim od swojego męża, oddalonego od wewnętrznych kręgów bin Ladena i pomagającego zbierać fundusze na finansowanie jego projektów w Sudanie. Jej mąż jest dobrym człowiekiem, mówi, ale uległ urokowi ekstremistów, którzy stali się najbliższymi współpracownikami bin Ladena. Zapewne z tego właśnie powodu się rozstali, ale nie pytam o szczegóły.

Gdy się spotkali, bin Laden już od kilku lat przebywał w Sudanie. Stało się to niedługo po domniemanym zamachu na jego życie, dokonany przez władze sudańskie działające wedle instrukcji potężnych Saudyjczyków, chcących uciszyć bin Ladena i jego krytyczne uwagi na temat Królestwa. To w Sudanie, wyjaśnia Jameela, znalazł upodobanie w Murzynkach i zaczął go otaczać wianuszek saudyjskich dziewczyn. Trudno mieć mu to za złe, myślę. Głębokim uczuciem darzy również sprzęt do robót ziemnych i polowania z sokołami. Cechuje go też osobliwe zamiłowanie do hodowli słoneczników.

Bin Laden, o którym przez ostatnie lata czerpałem informacje z telewizji i doniesień prasowych, w niczym nie przypomina człowieka, którego opisuje mi Jameela. Wizerunku krwiożerczego, genialnego przywódcy nie da się łatwo pogodzić z obrazem pozbawionego wiary w siebie, wręcz nieśmiałego człowieka, znanego jej z rodzinnych spotkań i przyjęć. Wielbiciele znają go jako spokojnego dobroczyńcę, finansującego projekty budowlane w Sudanie i zachęcającego zamożnych saudyjskich przyjaciół do inwestowania tutaj w rolnictwo i nieruchomości. Ale, jak mówi Jameela, ludzie, którzy poznali go lepiej, widzieli jego przemianę.

Opisywanego przez nią, oderwanego od życia nastolatka naznaczyło jedno doniosłe doświadczenie: zaangażowanie w wojnę w Afganistanie. To właśnie tam, żyjąc i walcząc u boku afgańskich mudżahedinów podczas radzieckiej okupacji, jego życie zostało skierowane na inne tory. Zapalił się do idei wspierania Afgańczyków w ich zmaganiach z najeźdźcami, wykorzystując osobistą fortunę do finansowania obozów, szpitali i sieci wsparcia dla bojowników i ich krewnych. Jak wielu innych, również i on zakochał się w tym kraju.

Prostota i surowy charakter życia w Afganistanie odcisnęły na nim głębokie piętno. Po powrocie do Arabii Saudyjskiej postrzegał swój kraj w inny sposób: jako miejsce rządzone przez zepsutych ludzi dbających tylko o dobra doczesne, ludzi, których w najmniejszym stopniu nie interesuje prawdziwa twarz islamu. A tę właśnie twarz miał okazję ujrzeć w Afganistanie. Podjął działania skierowane przeciwko reżimowi saudyjskiemu, a gdy na terytorium Arabii Saudyjskiej wylądowały amerykańskie oddziały zaangażowane w wojnę w Zatoce, wezwał do obalenia rodziny królewskiej. Zdobył przyjaciół z nizin społecznych, ale został zmuszony do opuszczenia swojej ojczyzny.

Przeganiano go z jednego kraju do drugiego, aż wreszcie osiadł w Chartumie. Zaczął żyć wedle rygorystycznych zasad. W jego domu nie ma miejsca dla muzyki, a syn poddawany jest wymagającym próbom. Dwa lata po przybyciu do Sudanu, Saudyjczycy odebrali mu obywatelstwo i zamrozili majątek. Zebrała się wokół niego lojalna świta złożona z „arabskich Afgańczyków” z czasów dżihadu w Afganistanie. W ich planach zaczął dominować pierwiastek polityczny. Kilku z nich postanowiło nadać działaniom bin Ladena nowy, bardziej brutalny kierunek. Jednocześnie pielęgnowali jego żal i idealizm, aby pozostawał w całkowitej zgodzie z ich własnymi, bardziej cynicznymi planami. Do czasu, gdy w 1996 roku Osama został wydalony z Sudanu i powrócił do Afganistanu, całkowicie uległ już ich urokowi, opowiadając się za światowym dżihadem, w którym cywil także staje się celem. Jameela z pogardą wymienia jego radykalnych współpracowników, nazywając ich zimnokrwistymi hipokrytami przynoszącymi ujme islamowi, wykorzystującymi uzasadniony

zał zwykłych ludzi do szerzenia przemocy. Wymienia nazwy organizacji, z których korzystają, i miejsca w Chartumie, gdzie mogą się niekiedy spotykać. Gdy cierpimy ramię w ramię z innymi, efektem jest dobro. W tym przypadku jest inaczej.

Gdy kończy opowiadać, mam już zapisany tuzin stron. Rankiem odjeżdża, a ja przepisuję wszystko dostarczonym przez Seethrougha długopisem na bloczku rozpuszczalnego w wodzie papieru, z którego nauczył mnie korzystać. Z podwójną interlinią i drukowanymi literami. Następnie przykładam do nich czyste kartki dwudziestostronicowego raportu Narodów Zjednoczonych na temat rozminowywania i ściskam wszystko przez kilka minut, żeby zawarty w atramencie niewidzialny barwnik mógł odbić się na czystych kartkach. Nawet pod mikroskopem nie będzie można dojrzeć odkształceń włókien papieru, a atramentu praktycznie nie da się wykryć za pomocą chemikaliów. Ponownie podbijam pieczętkę na wszystkich kartkach, w efekcie otrzymując na pozór zwykły, drukowany dokument wraz z nabazgranymi ręcznie dodatkowymi wyjaśnieniami. Wszystko to zostaje umieszczone w zapieczętowanej kopercie i przesłane na adres pana Hallidaya w brytyjskiej ambasadzie. Palę oryginalne notatki w zlewie, a następnie polewam wodą swój raport.

Papier rozpuszcza się i zamienia w półprzezroczystą papkę. Niewykorzystany arkusz wrzucam do kosza na śmieci Jameeli. Nie trafiam i kulka odbija się od krawędzi kosza, spadając na podłogę.

To zastanawiające.

Zmięta w kulkę kartka papieru zostaje wprawiona w ruch siłą przekazaną przez mięśnie dłoni i ramienia, by wreszcie spaść. Na kierunek, w którym leci i jej prędkość wpływają nieporównywalnie mniejsze siły, oddziałujące na nią w trakcie lotu. Pęd, częściowo osłabiony przez metalową krawędź kosza na śmieci, decyduje, że ostatecznie znajdzie się kilka centymetrów od rogu ściany, pod toaletką Jameeli. I to drobne odchylenie od zakładanego celu, którego kulka papieru nie może być w żaden sposób świadoma, sprawia, że wstaję i podnoszę ją z podłogi, chcąc wrzucić papierek do kosza, gdzie powinien był pierwotnie się znaleźć. Ale gdy się pochylam, coś przykuwa moją uwagę.

Na kafelku u podstawy ściany, pod toaletką, gdzie zakończyła swój lot moja kulka papieru, dostrzegam malutką kupkę białego proszku. Musi tu być od niedawna, w przeciwnym razie już by się rozwiął lub ktoś by go zamiótł, co każe zastanowić się, skąd się tutaj wziął. Coś takiego pozostawia po sobie wiertło elektryczne drążące ścianę. Wącham proszek. To pył z tynku. Rozglądam się za dziurą w ścianie, speszony własną dociekliwością. Bezpośrednio nad toaletką wisi obraz olejny. Przykład surowej, ale imponującej sztuki autorstwa miejscowego malarza, przedstawiający sześć kobiet ubranych w jaskrawo kolorowe

tobe, z dzbanami wody na głowach. Pył pojawił się pewnie, gdy wiercono dziurę pod haczyk. Tyle że od tego momentu musiały minąć miesiące, a nawet lata i dzisiaj nie zostałyby po tym najmniejszy ślad.

Zatem musi pochodzić z dziury nad obrazem. Nie zwróciłem na nią do tej pory uwagi, bo znajduje się kilka milimetrów nad ramą.

Jest jednak coś, czego nie potrafię zrozumieć: pył nie opadł na ramę, a na podłogę, to zaś oznacza, że na czas wiercenia zdjęto obraz. I nie miałyby to najmniejszego znaczenia, gdybym z czystej ciekawości nie przejechał palcami po tej dziurce, która, jak się okazuje, wcale nie jest dziurą, a lekką wypukłością. Szerokokątnym obiektywem ukrytej kamery światłowodowej.

Nie jest to zagadka wszech czasów, ale niewątpliwie daje do myślenia. Jeśli dziurę wywiercono od mojej strony, pytanie brzmi, kto to zrobił. Trudno mi sobie wyobrazić Jameelę posługującą się sprzętem wywiadowczym, więc to zapewne ktoś, kto miał dostęp do ściany od drugiej strony. Kimkolwiek by ten osobnik nie był, musiał mieć ważny powód dla zamontowania kamery obserwującej sypialnię Jameeli i zapewniającej panoramiczne ujęcie łóżka, na którym spędziłem dużą część ubiegłego tygodnia.

Gdy następnego dnia o piątej rano włamuję się do sąsiedniego mieszkania, uderza mnie, że doprowadziła do tego nieregularność lotu kulki papieru. To z kolei prowadzi do myśli, że na wielkie wydarzenia wpływ mają, przynajmniej po części, te małe, na nie zaś jeszcze mniejsze. Jeśli rozwinąć to rozumowanie, stajemy przed poważnym problem, jakim jest wpływ wibrujących atomów na każde zauważalne zdarzenie; a jeśli wszystko rzeczywiście jest już z góry określone, to każde działanie służy tylko i wyłącznie odsłonięciu tej prawdy, a człowiek mógłby równie dobrze nie wychodzić wcale z łóżka. Gdy pomyślę o jaśniejących udach Jameeli i jej szczupłej talii, dochodzę do wniosku, że mogłoby to być najsensowniejsze wyjście z tej sytuacji. Intuicja podpowiada mi jednak, że istnieje związek między na pozór przypadkowym miejscem, gdzie wylądowała kulka papieru, a obawami, jakie budził we mnie widok ogromnego habuba. Nie w sensie skali, a znaczenia.

Wytrychy trzymam w portfelu, w skrytce, którą można odnaleźć jedynie przeszukując go niezwykle skrupulatnie. Są zrobione z wysoce rozciągliwego materiału ceramicznego powleczonego karbidem wolframowym, dzięki czemu są mocniejsze od stali, ale nie zawierają metalu. Jest ich w komplecie sześć sztuk, są czarne, i ułożone, niczym elementy modelu sklejanego samolotu, na tabliczce wielkości karty kredytowej z cienkim, plastikowym wiekiem, które teraz odsuwam. Wyciągam napinacz i jego krótszą końcówkę wkładam do szczeliny na klucz, środkowym palcem dociskając, a pozostałymi dwoma trzymając go

delikatnie. Drugą dłonią trzymam wężyk, którym podnoszę wszystkie piny za jednym podejściem, wsłuchując się jak pstrykają, gdy zmniejszam nacisk napinacza. Pięć kliknięć mówi mi, że mam do czynienia z pięciopinowym zamkiem otwieranym w prawą stronę.

Zamek reaguje z lekkim oporem, co może oznaczać, że został zamontowany stosunkowo niedawno, albo że pokrył go kurz. Pewnie jedno i drugie. Nieważne, co jest prawdą. Wpycham diament do końca zamka i poruszam nim nieco, żeby zorientować się w sytuacji, po czym wciskam piny jeden po drugim, wyczuwając leciutkie zmiany napięcia w napinaczu, gdy cylinder próbuje się obrócić. Niewiele jest czynności możliwych do wykonania ludzkimi rękoma, które sprawiałyby równie wielką satysfakcję, co otwieranie zamka. W jednej chwili jesteś odcięty, a drogę do celu blokuje ci coś na pozór nieustępliwego i stawiającego opór. Aż przychodzi magiczna chwila, gdy napinacz poddaje się, cylinder się obraca, a drzwi w niewytłumaczalny sposób stają otworem.

Wyjmuję wytrychy i cicho zamykam za sobą drzwi. Jameela mówiła, że mieszkanie jest puste i niezamieszkałe - niewiele dzieli to stwierdzenie od prawdy. Nikogo tu nie ma, ale nie jest też do końca puste. Do mieszkania wpada akurat dość światła, żeby dojrzeć zarysy przedmiotów, gdy po omacku przechodzę między pokojami i na piętro. Rozkład pomieszczeń jest lustrzanym odbiciem tego u Jameeli. Pod ścianą sypialni stykającej się z sypialnią Jameeli, stoją dwa składane stoliki i dwa puste krzesła. Ze ściany nad nimi, mniej więcej w miejscu, gdzie się go spodziewałem, wychodzi czarny światłowód. Nie sądziłem jednak, że sprzęt będzie aż tak wymyślny. Kabel jest podłączony do cyfrowej nagrywarki, obok której stoi konsola, płaski monitor i klawiatura. Wszystkie wyłączone, czyli materiał nagrywany jest sporadycznie. Gdy kucam przy krawędzi stołu i, starając się niczego nie dotknąć, przyglądam się sprzętowi, słyszę pulsujące mi w uszach tętno. Z nieopróżnionej zapalniczki rozchodzi się silny, zastały zapach papierosów, a na podłodze leży zgnieciona, pusta paczka po marlboro. Nagle słyszę stłumiony, przesywający mnie dreszczem łomot, na którego dźwięk pędzę do drzwi.

Ktoś wszedł do mieszkania. Wylapuję głosy dwóch mężczyzn. Nie ma czasu na ucieczkę przez okno. Na dole schodów zapala się światło. Cichutko zamykam drzwi i wchodzę do przyległej łazienki, próbując po omacku wejść pod prysznic. Kotarę zostawiam odsloniętą i przyklejam się do wyłożonej kafelkami ściany. Gdy włączają światło w pokoju, przenika ono pod drzwiami łazienki w postaci żółtego paska. Słyszę głosy i kroki.

Serce mi wali, jakby miało zaraz wyskoczyć przez gardło. Zamykam oczy i próbuję uspokoić oddech. Drzwi łazienki otwierają się i zapala się oślepiająco jasne światło, które jednak po kilku sekundach gaśnie. Czuję niewysłowioną ulgę. Sprawdzają mieszkanie, ale nie

przeszukują go dokładnie, w zasadzie nie spodziewając się na nikogo natknąć. Mogli mnie obserwować, jak kierowałem się ścieżką do wejścia budynku, i zastanawiają się, dlaczego jeszcze nie wyszedłem. Może i powinienem, żeby zaspokoić ich ciekawość. A może niczego nie widzieli i tylko jeden z mężczyzn obsługujących cały ten sprzęt wrócił, bo czegoś zapomniał. Tyle, że jakoś w to wątpię.

Wychodzę przez dach, przemykając po nim bez najmniejszego dźwięku, i schodzę schodkami na balkon Jameeli. Chwilę później już leżę obok niej. Mija godzina, nim udaje mi się zasnąć.

Wręcz spodziewam się, że po mnie przyjdą, chociaż nie potrafię powiedzieć, dlaczego mieliby to zrobić i strach przed rychłym uwięzieniem wkrótce mnie opuszcza. Zastanawiam się, czy Jameela nadal jest oficjalnie mężatką, i czy z powodu prawnych implikacji cudzołóstwa grozić mi może wydalenie z kraju. Leżymy nago obok siebie, gdy odzywa się dzwonek do drzwi. Ponieważ nigdy wcześniej go nie słyszałem, w pierwszej chwili zastanawiam się nad źródłem dźwięku, ale jednoczesne głośne walenie do drzwi potwierdza, że nie mamy do czynienia z przyjacielską wizytą.

Jeszcze się ubieramy, dopinając guziki, gdy do pokoju wchodzi dwóch Murzynów w garniturach i z rozchełstyanymi koszulami, wyjaśniając opryskliwym tonem po arabsku, że należą do Mukhabarat, służb wywiadowczych i bezpieczeństwa.

- Jestem obywatelem brytyjskim - odpowiadam po angielsku, pokazując swój paszport. - Mam prawo skontaktować się z ambasadą mojego kraju.

Mężczyzna stojący bliżej mierzy mnie od stóp do głów pełnym niezadowolenia spojrzeniem, odbiera mi paszport i kartkuje go. Po czym mówi coś, czym wprawia mnie w osłupienie.

- Jesteś Brytyjczykiem. Ale ona nie. - Wskazuje stojącą po przeciwnej stronie pokoju Jameelę i pstryka palcami. Jego towarzysz łapie ją za ramię i prowadzi do drzwi.

- Tak mi przykro, Antoine - mówi Jameela.

Sprawia wrażenie całkowicie zniechęconej, zagryza wargi, a jej oczy wypełniają się łzami.

- Jameela, co tu się dzieje? Powiedz mi.

- Przykro mi - powtarza tylko.

Prowadzący ją mężczyzna przepycha Jameelę przez drzwi i sprowadza po schodach, nie oglądając się na nas. Ten widok wywołuje we mnie dziwną reakcję. Nie mogę znieść myśli, że może dziać się jej krzywda. Nagle w moim umyśle pojawia się obraz habuba i

zbliżającej się do mnie ściany miotanego wściekle piasku, aż czuję, że pochłania mnie jego bezkresność. Chcę za nią iść, ale drugi mężczyzna blokuje mi drogę, opierając się o futrynę.

Z jego oczu bije przejmujący chłód. Spogląda na mnie i powoli mówi po arabsku coś niezrozumiałego, ale język grózb jest uniwersalny, a okrucieństwo czające się w jego spojrzeniu jednoznacznie potwierdza, że usłyszałem właśnie poważne ostrzeżenie. Tracę panowanie nad sobą. Praktycznie mogę usłyszeć, jak coś wewnątrz mnie napina się, aż do osiągnięcia granic wytrzymałości, by wreszcie pęknąć. Nie chcę, żeby tak się stało, ponieważ nie będzie już drogi powrotu. Patrzę mu w oczy.

- Wypuść mnie, ale to już - mówię powoli.

- Panie - mówi - nie powinienes posuwać Sudanki. Strasznie hałasuje.

Ludzie zawsze wspominają o potwornościach konfliktu, a tylko z rzadka o towarzyszącej mu euforii. Wojna należy do tych rzadkich popisów na scenie życia, gdy wszelkie tabu i ograniczenia zostają zniesione, uwalniając z okowów zachowania nie do pomyślenia w czasie pokoju. W efekcie, ludzie dokonują niezwykłych czynów, dając niekiedy wyraz przechodzącej wszelkie wyobrażenia, bezinteresownej odwadze, kiedy indziej zaś dopuszczając się czynów tak niemoralnych, że świat wzdryga się na myśl o nich. Zdjęcie ograniczeń pozwala wydobyć na światło dzienne różne rzeczy. Zupełnie jakby w obliczu wojny wyłączał się rozsądek, a kontrolę przejmowało coś innego, obietnica wolności, której w codziennym życiu odmawiano prawa do istnienia, a której smak nie ma sobie równych. Może dlatego właśnie wojnę przyrównuje się do mgły, czy wręcz habuba. Wiem, że z tej ścieżki nie ma już powrotu. Wypowiedziałem wojnę.

Gwałtownym ruchem zginam mu rękę w łokciu, a gdy poddaje się naporowi, wychodzę z pokoju. Wcale mu się to nie podoba. Niemal natychmiast łapie mnie od tyłu i brutalnie wciąga do środka. Nie zamierzam mu pozwolić na pokrzyżowanie mi planów. Koncentruję się, oddechem stabilizując środek ciężkości dla zachowania równowagi. W momencie, gdy mnie ciągnie, obracam się, prześlizgując się obok niego, co sprawia, że mimowolnie za mną podąża. Przyklękam na jedno kolano i upada na mnie. Chwytam go za nadgarstek i ramię, ciągnę ze wszystkich sił.

Nie był na to przygotowany. Jego środek ciężkości przenosi się nad moim, a ja, prostując nogi, wypycham jego biodra swoimi i przerzucam go przez ramię. Wypuszczam powietrze z płuc, zamieniając je w ryk. Przelatuje nade mną. Jest ciężki i upadając roztrzaskuje krzesło, ale od razu próbuje się przeturlać i wstać, więc gdy tylko podnosi głowę, kopię go w twarz. Upada na bok jak trafiona torpedą łódź i sięga prawą ręką do kabury przy lewym boku, ale zanim udaje mu się odpiąć pistolet, już jestem przy nim, uderzając kantem

dłoni w jego nos. Słysząc odgłos miażdżenia kości, a mój przeciwnik traci przytomność zanim jeszcze jego głowa uderza o podłogę.

Chcę zabrać mu broń, ale wyjęcie go z kabury zajmuje zbyt dużo czasu, a jego partner właśnie wpadł przez drzwi z pistoletem gotowym do strzału. Ale nie jest w pełni gotów. Gdyby wszedł do pokoju w pozycji strzeleckiej, mógłby zdążyć mnie zastrzelić, ale ponieważ wymachuje prawą ręką, wykorzystuję swoją szansę i rzucam się na niego, zanim mógłby wycelować. Łądujemy w przejściu. Z jego prawej dłoni, odtrąconej do tyłu, wypada pistolet, odbijający się teraz od kafelków schodów. Wbijają mi paznokcie w szyję. Czuję jego oddech i tłusty zapach skóry. Wciskam mu przedramię w gardło, nie dając szansy na złapanie oddechu i słyszę gwałtowny wdech, gdy zaczyna się dusić. Jeśli tylko uda mi się utrzymać nacisk, nie powinno to długo potrwać.

Nie chcę go zabić. Prawą stopą znajduję framugę i zapieram się o nią z całej siły, wbijając mu przedramię w tchawicę, i całym ciężarem ciała naciskając na klatkę piersiową, aż skończy mu się powietrze i straci przytomność. Nie przewidziałem tylko tego, co dzieje się potem. Lewą ręką wygrzebał, może z paska, nóż o krótkim ostrzu, którego szpic udało mu się rozpaczliwym ruchem zatopić w mojej lewej łydce. Dziwne. Nie czuję bólu, tylko ciepło krwi rozprzestrzeniającej się na materiale spodni. Ale następnym ciosem dosięgnie pewnie moich żeber. Mimo że nie chcę tego robić, to muszę uwolnić jego gardło i chwycić obiema rękoma nadgarstek, wygiąć go i wyciągnąć nóż, ale jest dla mnie zbyt silny i moje wysiłki idą na marne. Znowu wciąga powietrze, niczym nurek, który właśnie wypłynął na powierzchnię. Czas się ewakuować.

Przetaczam się, wpadając do pokoju, wrywam broń z kabury jego partnera, wciąż w ruchu odbezpieczam ją i odwracam się. W drzwiach nikogo nie ma. Przeczłogał się na dół po swój pistolet, ale dzięki Bogu dopadłem go, zanim po niego sięgnął. Oddaję pięć strzałów w ścianę tuż ponad nim, aż wrzeszczy, żebym przestał.

Walka się zakończyła, ale ten, kto przewozi Jameelę, podniesie alarm. Potrzebuję informacji. Nie wiem, kim są ci ludzie, którzy z hukiem wdarli się do mojego życia i nie znam powodów, dla których to zrobili. Nie mam pojęcia, dlaczego zabrali Jameelę, a jest za mało czasu, żeby się tego dowiedzieć. Jeśli ruszę w ciągu kilku minut to, jak podpowiada mi przytłumiona ostatnimi wydarzeniami logika, uda mi się dotrzeć do ambasady i tam znaleźć azyl. Najpierw muszę tylko zmusić go do mówienia. Lufa pistoletu wbita w kark nie pozwala mi zbyt długo namyślać się między kolejnymi pytaniami.

- *Amur amniyati* - sprawa bezpieczeństwa, mówi. To dlatego znaleźli się tutaj.

- Jaka dokładnie? Jaka sprawa bezpieczeństwa?

- *Al jasoos. Britaniyyah. Szpieg... szpieg* - wyrzuca z siebie. - Brytyjski szpieg.

Musiąłem gdzieś po drodze złamać zasady, ale nie mam pojęcia, jakim sposobem mogli mnie uznać za szpiega. Muszę się dowiedzieć, co mnie zdradziło - lub też kto.

- Dlaczego? - wrzeszczę. - Czego ode mnie chcecie?

Potrząsa głową jak szalony, w stopniu, w jakim pozwala na to wąska przestrzeń pomiędzy nią a podłogą.

- *La, la*. Nie od ciebie - mówi. - Od kobiety.

Świat oszalał. Słyszę własny oddech, ale nie mówię niczego, bo nawet nie wiem, co mógłbym powiedzieć. Nic z tego nie rozumiem. Jameela nie jest brytyjskim szpiegiem. To kobieta, którą darzę miłością. Ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

- Wyjaśnij - wbijam pistolet głębiej, osiągając zamierzony efekt.

- Jest agentką. Spotykała się z waszym MI6 z ambasady. Dzień w dzień.

Odpowiada ochryplym szeptem, połowicznie po angielsku i połowicznie po arabsku, ale i tak nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Mówi, że Jameela codziennie odbywa w hotelu kilkuminutową rozmowę ze swoim kontaktem z brytyjskiej ambasady. Nie wie, jaki jest powód ich spotkań. Dlatego właśnie ją obserwowano. To jedna ze standardowych procedur operacyjnych - uważnie przyglądać się wszystkim, którzy spotykają się z urzędnikami wywiadu obcego kraju.

Potrafię to zrozumieć. Gdy każę mu opisać agenta, z którym widuje się Jameela, podaje dokładny rysopis Hallidaya.

- Chudy jak kościotrup - mówi, wspominając także o okularach i tej jego durnej, pokręconej czuprynie. To ten sam Halliday, który od pierwszego naszego spotkania zgrywał bufona, i udawał, że nigdy, przenigdy nie spotkał się z Jameelą.

Wyjaśnia, że zdecydowali się ją zgarnąć na przesłuchanie dopiero gdy odkryłem kamerę umieszczoną w jej pokoju. To nie ja byłem ich celem.

Teraz to się zmieni.

Czas się zwijać. Zamykam obu członków Mukhabarat w łazience, zostawiając klucz w zamku, żeby ich wybawcy nie musieli wyważać drzwi i, choć nie sędzę, żebym zaskarbił sobie dzięki temu ich przychylność, zostawiam rozładowane pistolety na podłodze za drzwiami. Wyjmuję z niezbędnika apteczkę i bandażuję nogę. Utykając, wychodzę na główną ulicę, łapię taksówkę i jadę do swojego pensjonatu.

Nie mam zbyt wiele czasu na spakowanie się. Taksówka czeka na mnie przed budynkiem. Zdejmuję przesiąknięte krwią spodnie i zmieniam opatrunek na nodze. Kieruję się w północne rejony miasta, nie wahając się swobodnym tonem zapytać kierowcy, gdzie

można znaleźć ciężarówkę zmierzającą ku granicy z Erytreą. Może, gdy postanowi pomóc szukającej mnie policji, przysłuży mi się, myląc tropy. Wsiadam do autobusu jadącego na zachód, przecinającego po drodze rzekę i jadę do Omdurman, ostatniego miejsca, w którym będą szukać ściganego obcokrajowca.

Starszawy opiekun grobowca Mahdiego widząc, że utykam, wita mnie z ciepłym, ale poważnym i pełnym troski spojrzeniem. Odprowadza mnie do budynku za grobowcem. Nie staram się nawet ukrywać, że wpadłem w tarapaty. Mówię, że zrozumiem, jeśli nie może udzielić mi azylu, i oferuję datek na utrzymanie grobowca. Przygląda się zwitkowi studolarowych banknotów, który przed nim wykładam. W jego oczach można wyczytać powagę i nieskalaną pewność, być może wykute w ogniu żarliwej modlitwy, której oddawał się całe swoje życie. Gdy nasz wzrok się spotyka, przez krótką chwilę mam wrażenie, że mój własny żywot jest ledwie błahostką. Mało brakuje, żebym przyznał się do tego na głos, gdy wybucha głośnym śmiechem.

- Okażemy ci więcej litości, niż generał Kitchener naszym wojownikom, ale nie za pieniądze. Chronienie cię jest moją powinnością jako muzułmanina.

Oddaje mi zwitek banknotów i prowadzi do małego pokoiku z prostym łóżkiem. Siadam. Wskazuje bez słowa na moją ranę, dając do zrozumienia, że chce się jej przyjrzeć. Podciągam nogawkę spodni do kolana, ale gdy odwijam bandaż, rana znowu zaczyna krwawić i zdaję sobie sprawę, że nie przestanie, o ile na kilka dni nie unieruchomię zabandażowanej nogi. A tyle czasu nie mam. Gdy na migi pokazuję, że chcę zszyć ranę, podchwytuje to natychmiast i przynosi ręcznik. Wyciągam ze swojej torby zestaw pierwszej pomocy, z niego zaś - buteleczkę Betadinu i zestaw do szycia. Podaję starcowi jedną rękawicę medyczną, drugą zaś wciągam na lewą rękę.

Cały drzę z bólu. Igła ma kształt półkola i gładko przechodzi przez skórę, którą starzec ściągnął i teraz przytrzymuje. Jest niewzruszony, świetnie nadawałby się na asystenta chirurga. Nawet wyciera mi pot z czoła i przecina czarną nitkę w miejscu, które wskazałem, tuż za ostatnim węzłem. Jeszcze raz polewam ranę Betadinem i ciasno obwiązuję bandażem.

- *Khelaas*. Pomodlę się u grobu za twoje zdrowie - mówi staruszek. - *Insha'allah* wkrótce wydobrzejesz.

- *Isha'allah* - szepczę.

Ból rozszerzył się teraz na całą nogę. Dzięki adrenalinie umysł nadal pracuje na najwyższych obrotach, ale jestem tak wyczerpany, że marzę, żeby położyć się spać. Ale zostało coś jeszcze do zrobienia. Gdy staruszek wychodzi, wyciągam telefon satelitarny, dziękując Bogu i Mahdiemu, gdy udaje mi się złapać sygnał przy oknie.

W słuchawce słychać nieokreślony dźwięk i kilka kliknięć.

- Mam nadzieję, że nie obudziłem - mówię do słuchawki - ale podobno kowbojki nie zażywają dużo snu.

- Jasny gwint, Tony, odbieram cię jakby z dna potoku. Dzwonisz przez telefon satelitarny?

- Potrzebny mi sprawdzony agent turystyczny - wyjaśniam. - Ma mnie szybko sprowadzić do kraju tak, żeby nikt tego nie odnotował.

- Cholera - komentuje - jeśli to coś nielegalnego, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Ta złożona daleko stąd obietnica pomocy sprawia, że nie wiem czemu jestem bliski płaczu. Wyjaśniam, gdzie dokładnie się znajduję, i że potrzebuję nowego paszportu, biletu i dodatkowej tożsamości. Nie traci czasu próbując dociec, jak doszło do tego, że ukrywam się przed sudańskimi tajnymi służbami. Muszę jej tylko podać swoją lokalizację, czas operacji, drogę ewakuacji; odpowiedzieć, czy system imigracyjny na lotnisku jest skomputeryzowany i czy miejscowe organy ochrony porządku publicznego dysponują moim zdjęciem. Pyta też, jakie znam języki. Ja ze swojej strony obiecuję wspólną kolację w restauracji Nora w Waszyngtonie, gdy tylko to wszystko się skończy.

W jednej chwili jest mi straszliwie gorąco, w kolejnej zimno. Nie mogę spać. W umyśle szaleje wir mrocznych myśli i niezrozumiałych faktów, a uczucia, które mną targają, są tak silne, że nie jestem w stanie logicznie rozumować. Czuję się wykorzystany na samą myśl, że Jameela spodziewała się mojego przybycia do Chartumu i sama brała udział w tej grze. Zastanawiam się, czy Grace również mnie oszuka, skoro wszyscy, którym zaufałem, tak mnie potraktowali.

W środku nocy zapadam wreszcie w sen.

Gdy następnego ranka otwieram przyslaną mi paczkę, czuję się prawie, jakbym doświadczył cudu. Przynosi mi ją staruszek, który właśnie przyszedł mnie obudzić, wyjaśniając, że do grobowca dostarczyło ją dziecko proszące o przekazanie paczki zagranicznemu gościowi. W środku znajduję numer rezerwacji na samolot, kanadyjski paszport na nazwisko Cousteau oraz poprzecierany portfel z kartami kredytowymi, a nawet kanadyjskimi dolarami. Z paszportu wyczytuję, że granice Sudanu przekroczyłem trzy tygodnie temu. Podobno posterunek CIA w Chartumie został zamknięty, ale najwyraźniej z listy płac nie skreślono kilku utalentowanych pracowników. Jak nigdy wcześniej jestem wdzięczny za rzeczowe amerykańskie podejście do załatwiania spraw.

Cała reszta to kwestia szczęścia. Jeśli policja zatrzymuje samochody jadące na

lotnisko, zrezygnuję z tego planu i spróbuję szczęścia na południu. Jeśli zaś tylko sprawdzają paszporty, to mam szansę się prześlizgnąć. Nie dysponują moim zdjęciem, a zidentyfikować mnie może tylko dwóch agentów Mukhabarat.

Biorę taksówkę na lotnisko i przeczekuję w samochodzie, aż w oczy rzuca mi się grupka obcokrajowców wysiadających z hotelowego mikrobusa. Płacę kierowcy ekstra, żeby na mnie poczekał, choć bynajmniej nie zamierzam wracać, i spacerowym krokiem dołączam do turystów wyciągających właśnie swoje bagaże. Lustruję budynek szukając dodatkowych zabezpieczeń, odłączam się od grupy i kieruję swoje kroki do stanowiska linii lotniczych, gdzie podaję numer rezerwacji urodziwej Sudance owiniętej w fioletowy szal. Dziękuję mi i podaje bilet na moje nowe nazwisko. Jest boleśnie podobna do Jameeli, której twarz wszędzie teraz widzę. Ruszam do odprawy paszportowej, gdzie grupka, do której wcześniej dołączyłem, wypełnia formularze, robiąc przy tym nielichy raban. Biorę z nich przykład i w ostatniej chwili przypominam sobie, żeby sprawdzić podpis w paszporcie i jak najlepiej go odwzorować.

Stanę się niewidzialny, zleję się z innymi w nadziei, że zostanę wzięty za członka grupy. Przechodzimy kontrolę bezpieczeństwa i ustawiamy się gęsiego do ostatniej kontroli paszportowej. Prawie mi się udało. Idę powłócząc nogami, ze wzrokiem wbitym w ziemię, bojąc się, że jeśli go podniosę, zwrócę na siebie uwagę. Ale nie potrafię się oprzeć, żeby nie rzucić przelotnie okiem na to, co dzieje się wokół, i dokładnie w tym właśnie momencie, jakby w wyniku zmowy otaczających mnie atomów, urzędnik imigracyjny spogląda prosto na mnie.

Odwracam wzrok, ale wzywa mnie do siebie, a świat zwalnia, jakbym znalazł się we śnie. Gdy ponownie mnie woła, stukając długopisem w swoje biurko, żeby zwrócić moją uwagę, serce podchodzi mi do gardła.

Udaję, że nie słyszę, i odwracam się w stronę drzwi, zastanawiając się, czy po drodze natknę się na policję, i czy uda mi się dotrzeć do taksówki, zanim zaczną się krzyki. Stojąca przede mną w kolejce kobieta, gorliwa Amerykanka w tropikalnym hełmie, klepie mnie w ramię, i chyba już wszyscy wlepiają we mnie oczy.

Próbuję nie zdradzić się ze swoim przerażeniem. Rozważam bieg w stronę drzwi, ale nie poradzę sobie z nogą w takim stanie. Zmuszam się do uśmiechu pełnego zakłopotania. Urzędnik niecierpliwie macha, żebym do niego podszedł. Czuję się, jakbym stał nad przepaścią, a jedyną opcją był krok przed siebie. Podchodzę do budki, z której urzędnik energicznym gestem wytyka mnie palcem. Dopiero teraz niejasno zdaję sobie sprawę, że już go widziałem, i że to właśnie on podbijał mi paszport przy wjeździe do kraju.

Bierze do ręki mój paszport, otwiera go na przypadkowej stronie, nie szukając nawet wizy wjazdowej, i głośniejszym stuknięciem wbija pieczętkę. Nie zauważył, że mam inne nazwisko i obywatelstwo. Wskazuje siebie, a potem mnie i z tym samym szerokim uśmiechem, jakim obdarzył mnie w dniu mojego przybycia do Sudanu, mówi:

- Mój przyjaciel.

Oddaje mi paszport wraz z długopisem, który mu wtedy pożyczyłem, i każe przejść dalej.

Rozdział 12

Kierownictwo Firmy lubi mieć swoich ludzi pod ręką. Dzięki temu nie muszą polegać na transporcie publicznym, gdy dochodzi do jakiegoś „incydentu” i trzeba szybko dostać się do pracy. Nie ma już większego znaczenia, czy mieszkają na północ, czy na południe od rzeki, czy nawet w posępnym Lambeth, w pobliżu byłej kwatery głównej Firmy w Century House, co swego czasu równoznaczne było z piętnem agenta. Jeśli trafiło im się mieszkanie w Kennington, to mogą być zadowoleni. Okolice Oval na południe od gazowni również są wysoce pożądane; Fentiman Road także ma wiele plusów, o ile oczywiście uda się załatwić tam lokum, a o ideał ocierają się spokojne uliczki w pobliżu St. George’s Drive w Pimlico.

Jak się dowiaduję, Seethrough mieszka nieco dalej, choć nadal w promieniu pięciu kilometrów od kwatery głównej, co dodaje wiarygodności jego opowieściom, że zdarza mu się biegać do pracy. Według informacji, które uzyskałem od inżyniera brytyjskiego towarzystwa komunikacyjnego, do którego zwracam się niekiedy z pytaniami delikatnej natury, dom Seethrougha znajduje się nieopodal od St. Luke’s Church w Chelsea i to tam zaczajam się na niego w Gerhardcie z czymś do jedzenia, termosem i wystarczającą ilością paracetamolu, żeby ból nie dawał mi się we znaki.

Nie ma garażu, czyli z samochodu musi jeszcze dojść do drzwi frontowych. Pojawia się wreszcie o dziewiątej wieczorem. Idzie tak szybko, że z trudem mogę za nim nadążyć. Sięgając do kieszeni po klucze, wyczuwa czyjąś obecność za plecami. Odwraca głowę, ale nie na tyle, żeby dostrzec moją twarz. Przez kieszeń kurtki wbijam mu w plecy antenkę telefonu komórkowego.

- Trzymaj ręce przy sobie - nakazuję - i idź.

- W porządku - odpowiada powoli, niczym chirurg mający właśnie wydobyć z rany kulę.

Aż zdaje sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

- Jasna cholera. Powinieneś być w Chartumie.

- Idź, proszę.

- Ant, co się do cholery dzieje?

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Tylko nie rób niczego głupiego - po kilku kolejnych metrach odzyskuje swoje charakterystyczne opanowanie.

- Opałeś się, Ant. I utykasz. Wszystko w porządku?

Będzie teraz próbował przejąć kontrolę nad rozmową. Kusi mnie, żeby sprawdzić, jak się do tego zabierze. Zarzuca przynętę, badając, czego się chwyć. Skręcamy w Sydney Street i podążamy na południe.

- Kto ci pomógł, Ant? W Cheltenham mówią, że zadzwoniłeś na zastrzeżony numer w Stanach.

- Nie powiedziałaś, że Hibiskus dla was pracuje - stwierdzam.

Milknij na chwilę.

- Tak - zaciska usta, jakby próbował wywnioskować, czy zaraz nie zacznie padać. - Oczywiście, że tak.

- Chcę wiedzieć dlaczego.

- Ze zwykłej ostrożności, a tobie nic do tego. Swoją drogą jak się dowiedziałeś?

- Przyszło po nią dwóch uzbrojonych agentów Mukhabarat, a akurat takiego rozwoju sytuacji nie brałem pod uwagę - wyjaśniam.

- No cóż - znowu się zastanawia. - Są znacznie bardziej skuteczni niż kiedyś. Zatrzymali cię u niej, prawda?

Zdażył się domyślić, jak wyglądała cała ta sytuacja.

- Zrobiło się nieprzyjemnie. Jeden nawet próbował mnie dźgnąć.

- Dlatego utykasz? Byłeś z tym u lekarza? Chryste, przecież ściągnęlibyśmy cię do kraju.

- Prowadziliście Hibiskus, zanim jeszcze dotarłem do Chartumu. Wystawiłeś mnie.

- Bzdury - odpowiada lekceważąco. - Nie bądź taki melodramatyczny. Tylko się zabezpieczaliśmy. A co, gdyby nie udało się jej zwerbować? Gdyby zrobił to ktoś inny? Zastanawiałeś się? Mógłbyś narazić na szwank całą operację. A zresztą to nic specjalnego. Dzięki temu źródło czuje, że jest kimś wyjątkowym, że robi coś ważnego. Po drugie, mogliśmy porównać jej wyjaśnienia z raportami, które dostawaliśmy od ciebie. To jak dopasowywanie odcisków palców. Jeśli pojawiają się rozbieżności, wiemy, że coś jest na rzeczy.

- A pojawiły się?

- Na razie nie. Zresztą nie spodziewałem się, że wystąpią, ale tak właśnie załatwiamy te sprawy - ton głosu łagodnieje i Seethrough umiejętnie włącza do gry swój urok. - Musieliśmy też wiedzieć, jak opiekujesz się swoją pierwszą sadzonką. Zaimponowałaś mi tą akcją w Rzymie. Już teraz docierają do nas pierwsze przystępnej jakości CX. Byłem za tym, żebyś dostał swoją szansę z Hibiskus, ale nie wszyscy się ze mną zgadzali. W końcu w zasadzie nie zaliczyłeś oficjalnej ścieżki, ale może czekać cię przyszłość w Służbach, Ant.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- I słusznie. - Zatrzymuje się i odwraca do mnie. Na jego twarzy pojawia się rozbijający uśmiech. - Zaczynasz wykazywać cechy agenta wywiadu. Nie będzie lepiej, żebym taką właśnie opinię umieścił w ocenie twojej pracy, niż że zaatakowałeś mnie z bronią w rękę, gdy wracałem do domu?

- To nie pistolet. - Wyciągam z kieszeni komórkę. - I wcale cię nie zaatakowałem.

Wzdycha.

- No już - mówi. - Jesteś zdenerwowany. Chodźmy do Phat Phuk. Mają niezłe wietnamskie żarcie. To zaraz obok. - Czeka na moją aprobatę i oczywiście doczeka się.

W trosce o moją nogę każe komuś rzucić na nią okiem i następnego dnia przysłała samochód, który zabiera mnie na Wimpole Street. Chirurg ze skwaszoną miną ogląda przez szkło powiększające efekty mojej pracy. Nie zrobiły na nim większego wrażenia. Daje mi w nogę zastrzyk znieczulający, a korpulentna, poważna Polka zawiązuje mu maseczkę chirurgiczną. Delikatnie wyciąga ze skóry nierówne, czarne szwy, zastępując je nowymi - schludnymi i ulegającymi biodegradacji, których nie trzeba będzie usuwać. Leżę na brzuchu, nic nie czując i wspominając niewzruszone spojrzenie opiekuna grobowca Mahdiego.

- To znacznie przyjemniejsze, gdy korzysta się ze środków znieczulających - mówię do chirurga.

Godzinę później, utykając, wchodzę do Regent's Park, oszołomiony otaczającą mnie zielenią. Mając w pamięci suchy, zapyłony Chartum, znacznie łatwiej jest mi zrozumieć, dlaczego w islamie raj jest miejscem porośniętym bujną roślinnością, poprzecinanym rzekami, z licznymi źródłkami.

Przysiadam na chwilę na ławce przy głównej alejce i obserwuję mijających mnie ludzi. Sprawiają wrażenie wyjątkowo czymś zaabsorbowanych i całkowicie nieświadomych dobrodziejstw miejsca, w którym przyszło im żyć.

Przechadzam się też ogrodem różanym i cienistą ścieżką obok stawów, aż wychodzę z powrotem do Outer Circle, gdzie zaparkowałem Gerhardta. Nie patrzyłem na zegarek i za wycieraczką czeka na mnie mandat. Anglia znowu wydaje mi się nierealnym miejscem.

Mimo że w ciągu ostatnich tygodni przez mój prywatny świat przewaliła się prawdziwa burza, to w domu nic nie uległo zmianie. Koszę trawnik, czyszczę staw z liści i zliczam rybki, żeby upewnić się, że żadnej nie brakuje. Przygotowuję obszerny raport dla Seethrougha, opisując w nim wszystko, co wydarzyło się w Chartumie, po czym wysyłam go przez serwer firmy w postaci zakodowanego e-maila.

Trzy dni z rzędu wydzwaniam do Jameeli, ale nikt nie odbiera. Aż wreszcie czwartego dnia podnosi słuchawkę. Gdy słyszę jej słaby głos, wracają wspomnienia. Wypuszczono ją po dwunastu godzinach, nie czyniąc żadnej krzywdy. Muszę zadać jej jedno palące pytanie.

- Tak - odpowiada - wszystko to była prawda. Co do słowa.

- I co teraz zrobimy? - pytam.

- Nie wiem - mówi i zanosi się płaczem.

Ja również nie mam pojęcia. Chciałbym zapytać, kiedy znowu się zobaczymy, ale pytanie uwięzło mi gardle, rodząc długą, bolesną ciszę. Żadne z nas nie wie, co powiedzieć. Jest tutaj miejsce tylko dla tego, co niewypowiedziane, a wszelkie słowa - oboje to wiemy - tylko by zaszkodziły; odkryliśmy tę więź przy pierwszym spotkaniu, gdy wzięła szturmem nasze serca. Nawet tak bardzo oddaleni od siebie, wciąż jesteśmy w jej uścisku.

Dzwonię także do H, który zaprasza mnie do siebie, żebyśmy nadrobili zaległości. Wybieram się do niego następnego dnia. Jest słonecznie i zastaję H w ogrodzie, na drabinie, zdejmującego gąsienice z liści nad tylnym gankiem.

- Wyżerają mi wisterię - wyjaśnia - ale nie lubię ich zabijać.

Pomagam mu je zebrać i wsadzić do pudełka, które zamierza opróżnić na sąsiednim polu.

Nie podoba mu się, jak kuleję, więc długi spacer odpada.

- Chociaż moglibyśmy przez godzinkę poćwiczyć strzelanie - proponuje. - Dobrze wpływa na morale. Dostaliśmy zgodę na skorzystanie ze strzelnicy, więc koniec ze skradaniem się po kamieniołomach.

Cel naszej podróży leży niedaleko. Niecałe trzynaście kilometrów drogi od mostu w Hereford znajduje się wioska ze starym kościołem o wspaniałej historii. Spodziewam się znaku WSTĘP TYLKO DLA PRACOWNIKÓW, co wskazywałoby na tajną placówkę rządową, ale nic takiego nie widzę. Skręcamy z głównej drogi prowadzącej do kościoła i przez blisko półtora kilometra jedziemy trasą szeroką akurat na tyle, żeby z trudem minęły się na niej dwa samochody. Na niczym niewyróżniającym się skrzyżowaniu H odbija w sobie tylko znaną drogę. Gdy mijamy na pozór opuszczoną farmę ni z tego, ni z owego po obu stronach drogi wyrasta wysokie ogrodzenie z siatki. Nie można określić, co się za nim kryje, ponieważ widok zasłaniają gęste, wysokie na sześć metrów krzaki. Nad nie wystają siatki anten wysokiej częstotliwości, typ wykorzystywany w komunikacji dalekiego zasięgu, wyglądem przypominające wieloramienne suszarki do wieszania prania. Nic innego nie zdradza, że mamy do czynienia z obozem treningowym sił specjalnych.

Dojeżdżamy do skupiska niskich budynków. H zwalnia, otwiera szybę i macha do

uśmiechającego się na jego widok mężczyzny, który właśnie wyszedł z budki strażniczej.

- W porządku, H? - pyta z silnym, szkockim akcentem. - Dawno cię tu nie widziałem.
- Sam wiesz, jak to jest - odpowiada H i wyjaśnia, że spędzimy tu jakąś godzinę.
- Nie ma sprawy - pada odpowiedź.

Mijamy mały parking zastawiony zaniedbanymi, podobnymi do siebie samochodami wykorzystywanymi zapewne do treningów. Na pobliskim polu stoi helikopter bez numeru rejestracyjnego. Jakies pół kilometra na lewo od nas wznosi się porośnięty lasem pagórek nazywany przez H Wzgórzem Gibbiego⁵³, gdzie, jak wspomina z rozrzewnieniem, łapał węgorka podczas ćwiczeń ucieczki. Ruszamy w tym kierunku, przecinając po drodze niewinnie wyglądającą, otwartą przestrzeń oraz mijamy kilka budynków, z których część wydaje się lekko podejrzana. H wyjaśnia, że swego czasu służyły za składy amunicji. Ich umocnione ściany miały zapewnić bezpieczeństwo, gdyby doszło do eksplozji. W czasach, gdy ukrywano tutaj wojskowe uzbrojenie, budynki były połączone ze sobą torami. W Pułku nazywają je bunkrami. H wskazuje jeden z nich, imitujący wnętrze domu, gdzie trenował odbijanie zakładników. W jednym z pokoi stoi wygodna kanapa, na której - pomimo dziur po kulach - sypiał, gdy robiło się zbyt późno na powrót do domu.

U stóp wzgórza droga zakręca i zatrzymujemy się przy wjeździe na plac, na pierwszy rzut oka przypominający mały stadion na świeżym powietrzu.

Ma niecałe półtora kilometra kwadratowego powierzchni i z trzech stron otaczają go strome, porośnięte trawą pagórki, wznoszące się na wysokość około dziesięciu metrów. Cały teren jest ogrodzony, a bariera znajduje się na południowym boku - tak żeby uniknąć strzelania pod słońce. Na środku odbywają się ćwiczenia z samochodami, które i my przerabialiśmy, ale H nie chce ryzykować podrażnienia mojej nogi, więc koncentrujemy się na browningu, strzelając do tarczy i zza zasłony. Korzystając z okazji, H postanawia przeciwiczyć też prowadzenie ognia z poruszającego się pojazdu. Jest głośno i emocjonująco. I, jak słusznie stwierdził, to dobrze wpływa na morale.

Wieczorem zbieramy się do domu. Gdy docieramy do wioski, proponuję drinka w miejscowym pubie. H odpowiada, że rzadko go odwiedza. Bywał w nim częściej, gdy się tutaj sprowadził, ale to było zanim SAS zaczęło przyciągać uwagę. Przestał chodzić do pubu niedługo po akcji odbicia zakładników w Prince's Gate, gdy ludzie, którzy dowiedzieli się, że należy do Pułku, zaczęli go traktować w niepokojący sposób, a konkretniej jak jakiegoś boga.

Podoba mi się w H, że woli pozostawać w cieniu. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby

⁵³ Aluzja do powieści George'a MacDonalda zatytułowanej „Sir Gibbie” (przyp. tłum.).

wyszedł z niego po zakończeniu całej tej afery i zaczął prowadzić wykłady dla członków Legii Królewskiej⁵⁴ po pubach wokół Hereford i Leominster. Nic go nie wyróżnia ani w zachowaniu, ani wyglądzie, pomijając wiszący u pasa nóż i noszony w portfelu kawałek nieprzejrzystego plastiku, który H potrafi wykorzystać na wiele różnych sposobów.

Nieliczni członkowie Pułku, których miałem okazję poznać, nie różnią się od siebie pod tym względem. Do głowy by człowiekowi nie przyszło, żeby powiązać ich z budzącą powszechny respekt jednostką wojskową. Wszyscy są w wyjątkowo dobrej formie i łatwo radzą sobie ze wszelkimi przeciwnościami. Wykonując zadania wymagające sprawności fizycznej, cenią sobie porządek i dokładność, a nad teorię przedkładają działanie, co sprawia, że są nieufni wobec ludzi noszących spodnie z moleskinu. Ukojenie znajdują w pięknie mgły unoszącej się nad rzeką o świcie. Rzadko zdarza im się palić, ale piją więcej, niż inni. Dużo więcej, żeby być dokładnym. Ubóstwiają życie na cichej, angielskiej wsi, aż przychodzi kolejna operacja w kraju, o którym mało kto z nas słyszał. Fakt, że w ich garażach można nierzadko znaleźć prawdziwe dziwactwa, ale i oni dostają punkty karne, tak samo, jak wszyscy inni kierowcy.

Zamiast więc udać się do pubu, H przygotowuje nam wczesną kolację, po niej zaś wyciąga butelkę whisky, którą otwieramy w blasku ognia z kominka. Opowiada mi o spotkaniach z ludźmi podającymi się za członków Pułku. Najlepsza jest ta o byłym żołnierzu, wedle jego własnych słów weteranie SAS, który prowadził wykład dla speców od ochrony. H zaprosił go na przyjacielskiego drinka, przy którym mężczyzna ów wyjawiał - w tajemnicy, rzecz jasna - że swego czasu należał do Szwadronu F. Nie było nawet potrzeby sprawdzać jego historii w komórce bezpieczeństwa w kwaterze głównej Pułku, ponieważ SAS nigdy nie dysponowało Szwadronem F.

Niekiedy opowiadki o idących w zaparte Walterach Mitty⁵⁵ publikowane są w „Mars and Minerva” biuletynie Pułku. H wyszukuje dla mnie jeden numer. Zawiera głównie różnorakie ciekawostki i informacje o zlotach weteranów. Jeden z tekstów wspomina o wyrafinowanych i kosztownych zabezpieczeniach, jakie zastosowano podczas budowy podwójnego ogrodzenia wokół nowego obozu w Credenhill. Można też przeczytać listy od byłych członków Pułku i ich żon, szczegóły na temat funduszu dobroczynnego Stowarzyszenia Pułku oraz nekrologi. Członkowie mogą nawet kupić wino z insygniami Pułku na etykiecie. Biuletyn jest równie interesujący, co magazyn parafialny. To zupełnie

⁵⁴ The Royal British Legion - organizacja brytyjska działająca na rzecz weteranów (przyp. tłum.).

⁵⁵ Fikcyjny bohater stworzony przez Jamesa Thurbera, marzyciel wyobrażający siebie w ekscytujących rolach i sytuacjach (przyp. tłum.).

przeciwieństwo wszystkich tych goniących za sensacją książek z płonącymi sztyletami na okładkach, które teraz wydają mi się absurdalne.

- Dziwne - mówię.

- Co takiego?

- Kiedy w filmach mają kogoś przygotować do operacji specjalnej i zabierają go do ogromnej, podziemnej tajnej bazy.

- Takiej z drzwiami odsuwającymi się ze świstem jak w „Star Treku”?

- Właśnie. I urządzeniem, które cię prześwietla i skanuje gałkę oczną. Nie pokazują, jak ratuje gaśienice albo jak siedzi sobie na podłodze czyjś pokoju, z psem śpiącym obok na krześle.

H obdarza czułym spojrzeniem swojego terriera Jeffrey’ a, zajmującego obecnie największe krzesło w pomieszczeniu, i głaszcze go po pysku.

- Witaj w prawdziwym świecie - mówi.

W drodze do domu Gerhardt ma kłopoty, żeby ruszyć na skrzyżowaniu - zapomniałem dolać płynu do przekładni. Zajeżdżam do garażu i próbuję wyciągnąć bagnet, co kończy się dla mnie oparzeniem dłoni o głowicę silnika. Dochodzę do wniosku, że przed wyjazdem muszę poprosić Gemayela o odwzajemnienie przysługi.

Czas również na spotkanie z Baronową. Aranżuję je tak jak zawsze, ale gdy zjawiam się w klubie. Czeka tam na mnie krótka wiadomość mówiąca, że mam udać się do jej domu. Nie wydaje mi się, bym był śledzony, ale zanim stoję przed jej frontowymi drzwiami dokładam starań, żeby pozbyć się ewentualnych obserwatorów. Otwiera przez domofon. Wdrapując się po schodach na drugie piętro czuję ból w łydce w miejscach, gdzie rana jeszcze się nie zagoiła.

Zasłonki są na wpół odsłonięte, jakby nie miała siły dociągnąć ich do końca. Wyraźnie widać, że osłabła i nie potrafię powstrzymać się od myśli, że właśnie dobiega końca pewna epoka. Idąc przez pokój opiera się o meble, ale i tak nalega, że sama, bez mojej pomocy, przygotowuje nam herbatę.

Opowiadam jej o Chartumie, mojej nielegalnej ucieczce i uczuciach, jakimi darzę Jameelę.

- I tak niekiedy bywa - uśmiecha się. Stawia nierówno filiżankę na spodku. Wyraz twarzy Baronowej poważnieje i wiem, że chce mi coś powiedzieć.

- Mam wieści - mówi. - I raczej nieszczególnie dobre.

Spodziewam się czegoś osobistego. Zaskakuje mnie, podejmując temat operacji w

Afganistanie.

- To ledwie szepty, ale podobno pewne grupy wołałyby, żeby operacja zakończyła się klęską.

- Klęską? Dlaczego miałyby komuś na tym zależeć? To pomysł MAKAWITEGO?

Potrząsa głową.

- Nie. Nie ma powodu, aby MAKAWITY o tym wiedział. Wręcz przeciwnie - wzdycha smutno. - Czy zastanawiałeś się, co by się stało, gdyby pociski wpadły w niepowołane ręce i wykorzystano je przeciwko nam? Dla pewnych osób to pożądaný obrót spraw. Wyobraź sobie tylko - uśmiecha się ponuro - nową krucjatę. Sięgnęłaby drugiego końca świata i ciągnęła się przez całe pokolenie.

- Taka wizja niebezpiecznie zalatuje konspiracją - wtrącam.

- Wizja spójna na wyższym poziomie władzy może być niezrozumiała na niższym. Jeśli to prawda, a obawiam się, że tak jest, pozostaje nam nadzieja, że w międzyczasie plan zostanie zdekonspirowany. Sieć od zawsze stanowiła przeciwwagę dla tych, którzy nadużywają potęgi, ale nie jest w stanie nic zrobić z ludzkimi słabościami - ponownie wzdycha i spogląda na mnie. - Musisz być wyjątkowo czujny. Kiedy wyruszasz?

- Niedługo. Za jakiś tydzień.

- Cóż - kolejne westchnięcie - przekazałam ci wszystko, co mogłam.

Nie jestem pewien, co dokładnie ma na myśli, ale chyba chodzi o coś więcej, niż tylko tę informację. Jej wypowiedzi rzadko kiedy pozbawione są drugiego dna, ale dzisiaj jakby zrzuciła swoją maskę i zrezygnowała z roli, którą odgrywała niezłomnie przez te wszystkie lata. Musi zdawać sobie sprawę, że niebawem samotność i niemoc pozbawią ją władzy i przebiegłości, że musi zrzec się ich dobrowolnie, uwalniając się od brzemienia, aby jej życie mogło wreszcie stać się proste i nieskrępowane.

- Pamiętaj - mówi cichym głosem - że wielką sztuką jest znaleźć zajęcie służące zarówno celom oczywistym, jak i ukrytym.

- To jedna z wielu twoich nauk - mówię.

- Kontekst... - zaczyna, ale ostry kaszel nie pozwala jej dokończyć. - Kontekst jest wszystkim. Nie jestem dzisiaj w formie - tłumaczy się. - Nie obrazisz się, jeśli nie odprowadzę cię do drzwi?

- Przyjdę z wizytą, gdy tylko wrócę z Afganistanu.

- Gdy wrócicie.

Ma na myśli Manny'ego. Cieszy mnie to.

- Tak, gdy wrócimy, odwiedzimy cię.

- Oczywiście.

Przecinając drogę prowadzącą do jej domu, spoglądam w górę i widzę ją stojącą w oknie. Macha do mnie. Ale nie jak się to robi współcześnie, gdy ręka odchyła się z boku na bok niczym metronom. Trzyma ramię nieruchomo w powietrzu, a dłoń obraca się w wyniku lekkich, pełnych godności ruchów nadgarstka. Aż podnosi wzrok ku niebu, przez co wygląda, jakby trzymała pod światło starodawną ozdóbkę i przechylała ją do przodu i tyłu, chcąc odnaleźć zatarte hieroglify, które tylko ona jest w stanie odczytać.

W sobotę odbieram telefon.

- Może wpadniesz na herbatkę - pyta H swoim charakterystycznym, chropowatym głosem.

Jego propozycja brzmi dziwnie, póki nie przypominam sobie, że w ten sposób informuje mnie o rozpoczęciu operacji. Upewniam się, że listy leżą w porządku na stole, razem z instrukcją dla mojej siostry, gdyby to ona musiała je dostarczyć.

Wybieram się na krótki spacer - ostatni raz widzę ten wilgotny, spokojny świat, dla moich rodaków będący czymś oczywistym. Gdy idę, moją uwagę zwracają trzy dźwięki. Pierwszym jest lekki szept wiatru w pobliskich drzewach, chwilami sprawiający wrażenie rozmowy prowadzonej wśród drzew. Drugim ciąg nawoływań pary leśnych gołębi. Trzecim wreszcie, odległe, regularne bicie dzwonów jakiegoś kościółka. Poszczególne dźwięki docierają do mnie w oktawie, ale mieszają się ze sobą. Jeszcze chwila i zamieniają się w donośną płataninę. Ostatnia nuta pojawia się po pierwszej, a pozostałe ulegają coraz mocniejszemu zniekształceniu, aż powoli zaczynają układać się na nowo. Następnie, niczym węzeł, który w magiczny sposób sam się rozwiązuje, oktawa odzyskuje właściwą kolejność, a gama pierwotną harmonię. I zapada całkowita cisza.

O świcie lecimy z H na pokładzie Pумы do Londynu, gdzie w Vauxhall Cross ma się odbyć nasza ostatnia odprawa. Oddajemy telefony komórkowe ochronie i ponownie spotykamy się ze Stellą, która bez słowa prowadzi nas na wyższe piętro.

Seethrough już na nas czeka z dwiema torbami na zakupy, w których znajdują się nasze osobiste buty do wspinaczki. Mimo że uważnie je oglądamy, nie potrafimy znaleźć miejsca, gdzie je odczepiono, po czym na nowo przyklejono obcasy, wkładając do nich w tym czasie małe przekaźniki satelitarne na bieżąco informujące o naszym położeniu. To praktycznie taki sam model, jaki potajemnie instaluje się na statkach i w samolotach sprzedawanych wojskom sojuszniczym na całym świecie. Seethrough przypomina, że można je również wykorzystać do oznaczenia celu lub miejsca, na które należało zwrócić uwagę.

Linijka po linii, przerabiamy nasze plany, zasadniczo listę opcji, którymi będziemy dysponować w niefortunnych wypadkach. Seethrough odgrywa rolę oficera operacyjnego, odpytując nas, jakby prowadził quiz, i upewniając się, że wszyscy zgadzamy się co do naszych możliwości działania w określonych sytuacjach.

Potwierdza również, że zaaprobowano przygotowaną przez H listę sprzętu, którego posiadania nie byłoby łatwo wyjaśnić ciekawskim urzędnikom imigracyjnym. Część z niego odbierzemy w brytyjskim konsulacie w Peszawarze, resztę zaś w Afganistanie, przez jedną z kilku zagranicznych ambasad wciąż funkcjonujących w Kabulu. Mamy nie wspominać słowem, kto nam pomógł. Jedyne, co odbiega od normy, są nasze nowe kody, sprawa raczej natury osobistej. Umieszczono je na łatwych do ukrycia kartach pamięci wielkości znaczka pocztowego.

Wreszcie przychodzi czas na, jak nazywa je Seethrough, ostatnie rozporządzenia, gdy przekazujemy mu zapieczętowane kopie naszych testamentów. Nic w jego zachowaniu nie wskazuje, że wie o ryzyku związanym z operacją. Nie ma pojęcia, że nasze plany mogą zostać narażone na szwank, i dostosowuje się wiernie do ogólnie przyjętej hierarchii służbowej, której poskręcane korzenie znajdują się poza zasięgiem któregośkolwiek z nas.

Żadne inne miejsce nie pachnie jak Peszawar. Zapachy spowijające miasto stanowią jego integralną część. Układają się w trzy główne warstwy i nieskończoną ilość mniejszych, a ich intensywność uzależniona jest od naszego szczęścia lub też jego braku.

Najpierw można poczuć zapach samej ziemi, starożytny alians różnorodnych woni, który zapewne nie uległ zmianie od czasów, gdy przez miasto przejeżdżali kolejno Budda, Aleksander, Dżyngis-chan, Mahmud Wielki i Marco Polo. Ten ciepły, wilgotny, zmysłowy i lekko egzotyczny zapach daje o sobie znać, gdy opuszczasz pozbawioną wyrazu atmosferę samolotu. Jego źródłem jest mieszanka pyłu, nieustannie przetwarzanego przez wiatr i deszcz, i tropikalnej roślinności, której zapach nasuwa na myśl ogromne, zielone baldachimy dziewiczego listowia.

Druga warstwa wznosi się niepowstrzymanie z wąskich, otwartych kanałów biegnących wzdłuż wszystkich ulic w mieście, a niosących ze sobą pełne spektrum ludzkich nieczystości, co upodabnia je do oderwanego, nieskończonego długiego jelita. Przez większą część dnia niespokojnie przeskakujesz te kanały lub przechodzisz nad nimi po niestabilnych płytach chodnikowych. Mętna maź płynąca tymi prymitywnymi ściekami powoli gotuje się w upale, szczerze rozsiewając woń rozkładu, nieustannie przypominając o ziemskim rozpadzie i gniciu. Zapach jest jednak dziwnie stłumiony i nie razi, a po kilku dniach przestaje zwracać

na siebie uwagę.

Trzecią warstwę stanowią dodatki XX wieku, w postaci spalin samochodów, wzbijających się w powietrze kłębamii dymu, które wytwarza prawdopodobnie każdy przejeżdżający samochód. Głównymi winowajcami są tutaj przeładowane autobusy i ciężarówki, wręcz nieprzyzwoicie pełne i obciążone. Ciągną się za nimi chmury czarnych spalin wywołujące łzawienie oczu. Boczne uliczki nie są lepsze: zalewa je plaga trójkołowych rikszy, pozostawiających za sobą pniący się ślad niespalonego oleju pochodzącego z pokrytych skorupą sadzy silników dwusuwowych.

Później zaś, w zależności gdzie się znajdziesz, tę podstawową paletę zapachów uzupełnia obecność niezliczonej ilości kolejnych: niebieskawego dymu z niskogatunkowego węgla drzewnego, którym pali się w milionie prowizorycznych piecyków, zapachy orzechów arekowych, kurkumy, kardamonu, pleśni, wełny, betonowego pyłu, wapna, skór dopiero co ściągniętych ze zwierząt, pieczonego chleba, łąjna i gryzących oparów wypalanych śmieci.

Na szczęście miejsce, gdzie się zatrzymamy, leży w najmniej zanieczyszczonej części miasta, zwanej Miasteczkiem Uniwersyteckim. Ponieważ oficjalnie pracujemy jako konsultanci dla trustu zajmującego się rozminowywaniem, otrzymujemy miejsce w należącym do niego pensjonacie. Znajduje się w zachodniej, najbogatszej części miasta, gdzie ulice obwieszane są zakurzonymi eukaliptusami i ciągnącymi się na wiele metrów winoroślami. Tutaj właśnie ONZ i zagraniczne organizacje pozarządowe urządziły swoje kwatery główne - w przestronnych domach wznoszących się na odgradzonych od reszty świata działkach, ze schowanymi za wysokimi murami ogrodami. Z samochodu, który ma nas zawieźć do kwatery głównej trustu w Peszawarze, dostrzegamy też przelotnie rezydencje miejskich polityków, wysokiej rangi wojskowych i wszystkich tych handlarzy i ważnych figur, którzy zbili fortuny na niekończącej się wojnie w Afganistanie. Ich białe, marmurowe wieże i balkony lśnią niczym trujące torty weselne.

Nasze pierwsze spotkanie w Peszawarze odbywa się w brytyjskim konsulacie. To tam właśnie mamy odebrać dużą sumę gotówki, dostarczonej nam w imieniu kuzynów. Przesyłka dotarła z Islamabadu kilka dni temu, wyjaśnia nam konsul. To sympatyczny, tyczkowaty i wytworny osobnik po sześćdziesiątce, dla którego obecny przydział jest prawdopodobnie ostatnim. Nie pyta, co zawiera zamknięta na kłódkę torba, choć zapewne zna odpowiedź.

- Zakładam, że zaświadczenie od ostatniego użytkownika nie będzie konieczne - mamrocze w uroczy sposób i wręcza nam torbę, po czym pyta, czy zostaniemy na obiad.

Przy posiłku zapoznaje nas pokrótce z obecną sytuacją w Afganistanie, opowiadając o nieustających postępach talibów i kurczeniu się terytorium kontrolowanego przez Masuda na

północy kraju oraz impasie w negocjacjach pomiędzy Amerykanami a talibami w kwestii bin Laden.

- Biedny, stary Masud - mruczy, dziobiąc widelcem w puddingu. - Nie poznałem go, ale i tak mi go szkoda.

W drodze powrotnej spontanicznie proszę kierowcę, żeby zabrał nas na Qissa Khane, bazar, który chciałem pokazać H. Przez godzinę spacerujemy otoczeni zgiełkiem i chaosem, wypełniającym zwężające się uliczki Starego Miasta, gdzie w postaci niespodziewanych przeblysków powracają do mnie wspomnienia pierwszej wizyty w tym miejscu, wizyty z Manny'm. Wciąż pamiętam, gdzie popijaliśmy zielonkawy cukier, wybijany na naszych oczach ze świeżej trzciny cukrowej, i gdzie zajadaliśmy się kebabami z dzikim mudzahedinem, który podzielił się z nami pierwszymi dla nas prawdziwymi historiami wojennymi. Przypominam sobie także, z jak magnetyczną siłą przyciągała nas przez granicę ta wojna. Wydawało nam się, że jesteśmy nieśmiertelni.

W drodze powrotnej trafiamy na grupkę ludzi zebranych wokół podstarzałego, pendżabskiego zaklinacza węży. Nosi pomarańczowy turban i na trzciniowym flecie wygrywa dziwną, dźwięczną melodię znużonej kobrze, którą stuka w kark, gdy jest zbyt zmęczona, by tańczyć. W taki właśnie sposób ta dwójka zarabia na życie. Ten widok uświadamia mi, jak szybko przenieśliśmy się do zupełnie innego świata, rządzącego się innymi prawami i zasadami, o których istnieniu większość ludzi Zachodu nie ma pojęcia, nie wspominając o prawdziwym ich zrozumieniu. A ja przynajmniej wiem, że ich nie rozumiem.

Następnego dnia dzwoniemy do naszego kontaktu. Zgadza się wpaść do nas na obiad. Nie wiem, kogo się spodziewać, ale z pewnością nie kogoś takiego. W południe rozlega się stukanie do bramy i dozorca wpuszcza mężczyznę o delikatnej budowie ciała, prowadzącego rower z pokrytymi kurzem, tkanymi sakwami. Nosi powłóczyste szarawary, kamizelkę i czarny kapelusz z owczej skóry, spod którego wyraźnie wystają mu uszy. To musi być Hamid Karzai. Rozpoznaję go ze zdjęć, które Grace pokazała mi w Waszyngtonie.

- Ach, Grace - chichocze, opierając rower o ścianę. Zdejmuje czapkę i przejeżdża dłonią po spoconej i praktycznie gładkiej głowie. - Prawdziwy z niej kowboj. Gdy przyjechała do Afganistanu, traktowali ją jak mężczyznę.

Ma bystry umysł i cięty dowcip, co sprawia, że od pierwszej chwili przypada nam do gustu. Angielskim włada niemal idealnie, z pełną swobodą, więc nasza dyskusja szybko schodzi na palące problemy. Sytuacja, wyjaśnia, nigdy wcześniej nie była równie niebezpieczna. Los sił Masuda wisi na włosku i bez posiłków nie uda mu się powstrzymać

talibów. jeśli otrzyma pomoc, będzie w stanie utrzymać się, póki bunt nie rozprzestrzeni się na grupy Pasztunów, zamieszkujących centrum terytoriów opanowanych przez talibów. To ambitny plan i H pyta, czy naprawdę można ich pokonać. Odpowiedź nas zaskakuje.

- Nikt nie jest w stanie pokonać talibów na płaszczyźnie wojskowej - mówi Karzai, potrząsając głową. - Będą istnieć tak długo, jak istnieć będzie Afganistan. Są jego synami i zawsze znajdzie się dla nich miejsce. Ale talibowie to nie jedna grupa. Przypominają - jak się nazywa ten grecki potwór z wieloma głowami? Jeśli odetnie się jedną, kolejna zajmie jej miejsce.

- Hydra.

- Hydra. Talibowie nie są w stanie zjednoczyć mojego kraju. Nie powtórzą swojego wcześniejszego sukcesu.

- Sukcesu? - pyta H. - Nazywasz sukcesem rząd, który stworzyli?

- Przyjacielu - odpowiada - dla skorpiona nawet gorący piasek niesie ulgę. To nasz punkt wyjścia. I dla talibów jest tutaj miejsce. Nie można im odmówić tego, co dokonali. Ci, którzy nie widzieli, jakie warunki panują w tym kraju, nie będą w stanie zrozumieć ich popularności. Ale sprowadzając obcych bojowników na afgańską ziemię zrobili coś, czego żaden Afgańczyk im nie przebaczy. Ludzie widzą, do czego to zmierza. Dlatego właśnie potrzebujemy przyjaciół, prawdziwych przyjaciół, którzy pomogą nam pokonać ich na arenie politycznej.

- Czy do tych przyjaciół zalicza się również Ameryka? - pytam.

- Oczywiście - odpowiada. - A dlaczego by nie? Nie mam nic przeciwko Ameryce. Tyle że przypomina talibów. Nie ma tylko jednej głowy. Posłuchajcie, przyjaciele. Rozmawiałem z amerykańskimi dyplomatami zarówno tutaj, jak i w Islamabadzie. Prowadziłem rozmowy z Departamentem Stanu w Waszyngtonie. Z CIA i wojskiem. I każdy z moich rozmówców ma inne wyobrażenie o Afganistanie, ale tylko Ameryka jest na tyle potężna, by nam pomóc. - Znowu przejeżdża dłonią po głowie. - Ich wielką słabością jest postrzeganie świata w czerni i bieli. Zawsze są ci dobrzy i ci źli - chichocze. - Podczas naszych spotkań zawsze pytają: „Jest dobry czy zły?”. Chcieliby, żeby to wszystko było czarne lub białe. W Afganistanie nic takie nie jest. Między czernią i bielą znajdzie się tysiąc odcieni szarości.

Pytam, czy jego zdaniem bin Ladena może ktoś wydać.

Wzdycha głęboko.

- Jakiś czas temu byłaby na to szansa. Ale teraz, sam nie wiem. Po tym, jak próbowali go złapać, zrobił się bardzo ostrożny.

Nie wiedziałem, że ktokolwiek próbował to zrobić, ale miałyby to sens, jeśli przypomnieć sobie aluzje Grace, które czyniła jeszcze w Waszyngtonie. Karzai wymownym gestem podnosi palec.

- Osama sprowadzi na Afganistan poważne kłopoty, gwarantuję wam to. Nawet pomimo faktu, że on sam nie jest z nich najpotężniejszy. Nie dajcie się zwieść. To międzynarodowa wojna, w której udział biorą gracze z całego świata.

Porzucamy te mroczne myśli i przechodzimy do pilniejszych spraw. Karzai nie zna lub nie chce znać szczegółów operacyjnych czekającej nas podróży. Ale wspólnie z nami studiuje mapy, wskazując dokładne rozmieszczenie sił talibów oraz wyjaśniając, czego możemy się spodziewać w różnych rejonach. Zgadza się, że podróżując na południe, przez Kandahar, zwrócimy na siebie uwagę, i bezpieczniej będzie zbliżyć się do celu od północy, tak jak planowaliśmy.

- Bez względu na to, jakie macie o nich wyobrażenie - wyjaśnia - talibowie są Afgańczykami, i o ile nie zrobicie czegoś naprawdę głupiego, będą was traktować jak swoich gości. Ale Al-Kaida to inna para kaloszy. Dla nich ludzie Zachodu są źródłem wszelkiego zła. Jeśli tylko zaczną coś podejrzewać, będziecie mieć kłopoty.

- Co przez to rozumiesz? - pyta H.

- Zastrzelą was i nikt nie odnajdzie waszych ciał. Na wasze szczęście większość przebywa obecnie na południu kraju i raczej ich nie spotkacie. Boże broń, żeby do tego doszło.

Zgadza się wysłać wiadomość do kontaktu w Kabulu, informując go o naszym przybyciu i zaleca, żebyśmy uważali, komu ufamy. Wreszcie przychodzi czas na przekazanie pieniędzy, które obiecaliśmy wręczyć mu w imieniu Grace. Zapakowane w folię pliki banknotów zawierają po sto tysięcy dolarów. Podnosi je, upycha radośnie do sakw przy rowerze, życzy nam powodzenia i odjeżdża.

- Dobrze zorientowany w sytuacji, jak na gońca rowerowego - rzuca H, gdy wracamy do środka.

Niewielu turystów podróżuje drogą lądową do Afganistanu. W zasadzie to nie otrzymaliśmy zezwolenia na wkroczenie na terytoria plemienne rozciągające się między Peszawarem a granicą, ale zdobycie go może zająć całe tygodnie, a H chciał zobaczyć przełęcz Khyber, układającą się w serię wywołujących niezwykle wrażenie serpentyn po pakistańskiej stronie granicy. Ta trasa zapewnia niezapomniane i unikalne wrażenia podczas podróży do Afganistanu. Tak też dwa dni później, o świcie, zdobywszy z pomocą trustu wizy,

przebieramy się w miejscowe ubrania i wyruszamy z kierowcą w kierunku granicy.

Z plemiennego punktu widzenia znaleźliśmy się już w Afganistanie. Brytyjczycy wyznaczyli granicę sto lat temu, ale Pasztuni żyjący po jej obu stronach, na odcinku tysiąca sześćset kilometrów, nigdy jej nie uznali, i Afgańczycy nadal żartują sobie, że należy do nich większość Pakistanu. To dzikie tereny. Po drodze można się natknąć na pakistańskie punkty kontrolne, ale człowiek odnosi wrażenie, że ich władza nie rozciąga się dalej, niż są w stanie sięgnąć długą, bambusową pałką. Gdy opuszczamy Peszawar, góry zaczynają się rozrastać, a im bardziej się zbliżamy do przełęczy oficjalnie łączącej oba kraje, tym bardziej droga wiję się pomiędzy ich stromymi zboczami. Otoczenie sprawia opłakane wrażenie, pomijając wznoszące się coraz wyżej góry, wzmacniające tylko uczucie, że wkraczamy do odmiennego świata, rządzącego się własnymi, bardziej surowymi, ale prostszymi regułami. Gdy znika pył równin, nawet niebo się przejaśnia i spada temperatura coraz rzadszego powietrza.

Posterunek graniczny w Torkham to czysty chaos. Składa się na niego grupka zaniedbanych budynków i szerokie, dwuskrzydłowe wrota, a po ich obu stronach stoją, choć to określenie na wyrost, słupy ogrodzenia. Za nimi powiewa na wietrze afgańska flaga. Przy bramie kręci się mniej więcej tuzin pakistańskich policjantów w mundurach w kolorze khaki, którzy na chybił trafił wylawiają kogoś ze strumienia mężczyzn i kobiet płynącego przez przejście graniczne.

O ile nie rozpoznają w nas obcokrajowców, nic nie stanie na przeszkodzie, żeby dostać się do Afganistanu, i wyraźnie czuję, jak wielką przyjemność sprawi H odświeżenie przez ten jeden dzień wspomnień z Wielkiej Gry⁵⁶ i wślizgnięcie się niepostrzeżenie do kraju. Sto metrów przed bramą wysiadamy z samochodu, a nasz kierowca zgadza się poczekać, póki nie zyska pewności, że udało nam się przejść. Wołam afgańskiego chłopca pchającego zakurzony wózek wypełniony workami i pudłami, do którego dokładam też nasze bagaże, i daję mu małą kwotę, żeby spotkał się z nami po drugiej stronie. Żegnamy się z naszym kierowcą i dajemy się ponieść rzece ludzi.

- Do twarzy ci w afgańskim kapeluszu - mówię H.

- Do zobaczenia w Afganistanie - odpowiada.

Mijamy policjantów tak nonszalancko, na ile nas stać i spotykamy się po drugiej stronie. Jestem poniekąd rozczarowany. Chyba nikt tu nie sprawdza paszportów. Spacerem

⁵⁶ Termin odnoszący się do zmagania między Rosją a Wielką Brytanią w walce o dominację w Azji Środkowej (przyp. tłum.).

dochodzimy na podwórze posterunku celnego, gdzie pod drzewem drzemie uzbrojony Talib z AK-47 na kolanach. Budzimy urzędnika, który z kolei proponuje, abyśmy usiedli, a kilka minut później chłopiec przynosi nam herbatę. Chwilę później widzimy, że ktoś macha do nas z budynku, zapraszając do podupadłego biura z zakurzonym biurkiem, pozbawioną klosza lampą i zepsutym wiatrakiem. Uśmiecha się i bez większego zainteresowania podbija nasze paszporty, po czym wskazuje nam jakieś rozlatujące się samochody czekające na pasażerów do Kabulu. Oficjalnie znaleźliśmy się w Afganistanie. Nic nie umknęło przed wojną. Powierzchnia drogi, którą jedziemy, w większej części dawno już zniknęła. Na długich odcinkach nawet sama droga została zniszczona przez powodzie albo zapadła się. Nawet na jej najlepiej zachowanych odcinkach lawirujemy pomiędzy lejami i rowami wyłobionymi przez lata zaniedbań. Słupy telefoniczne i wysokiego napięcia ogołocoło z kabli. Nie sposób znaleźć budynku, ściany, czy konstrukcji zbudowanej ręką człowieka, która by nie ucierpiała. Wszystko sprawia wrażenie, jakby się miało zaraz zawalić albo już zostało rozłożone na czynniki pierwsze. Całą drogę towarzyszą nam ślady konfliktu: zniszczone i rdzewiejące pojazdy opancerzone pozbawione wszystkich części, z jakich mógł być jakikolwiek pożytek, przyczajone w ciszy na poboczu drogi lub otaczających ją polach.

- To nie czołg - stwierdza H, gdy wskazuję mu pierwszy z tych pojazdów. - To BTR-70. Transporter opancerzony. Ten dalej to pojazd bojowy BMP.

Swoją wiedzę o radzieckich wojskach pancernych zdobył w czasach, gdy Zachód drżał przed potęgą Armii Czerwonej, po raz ostatni zaangażowanej zbrojnie nie w Europie, ale w dolinach i na przełęczach Afganistanu.

Nie zmienia to faktu, że krajobraz jest przepiękny. Być może zyskuje jeszcze na urodzie dzięki wszechobecnym świadectwom zniszczenia, co skłania do refleksji nad kruchością życia. Zupełnie jakbyśmy cofnęli się w czasie. Pobliskie wioski, przylegające do zbocza gór, sprawiają wrażenie, jakby wyrosły spod ziemi. Zbudowano je z drewna i suszonej na słońcu cegły, co nadaje im biblijny wygląd. Białobrodzi mężczyźni w turbanach i powłóczystych sukmanach prowadzą poboczem wielbłądy lub kierują drewnianymi pługami ciągniętymi przez woły. Na krótką chwilę powracamy do XX wieku, gdy wjeżdżamy utwardzoną ulicą do Dżalalabadu i zatrzymujemy się przy malutkim straganie na posiłek złożony z kebabów i świeżo upieczonego chleba. Właściciel żartuje sobie z nami i pyta, czy szukamy Osamy.

Stolica mocno ucierpiała podczas wojny. Wjeżdżamy do niej od wschodu, mniej więcej sześć godzin od przekroczenia granicy, przejeżdżając przez zrujnowane przedmieścia Microrayon, gdzie każdy z budynków jest połowicznie zniszczony od ognia artyleryjskiego

lub eksplozji rakiet.

- Jasna cholera - mówi ponuro H, przyglądając się całemu temu zniszczeniu. - Poważnie podeszli do sprawy.

Nawet na peryferiach Kabulu natknąć się można na szkielety czołgów radzieckiej produkcji, z wieżyczkami oderwanymi od obudowy i odrzuconymi kilka metrów dalej przez eksplozje min przeciwczołgowych. Zaczynam się zastanawiać, ile wojen widziały wcześniej, zanim nie skończyły tutaj. Niektóre z nich pochodzą jeszcze z czasów radzieckiej okupacji, która zakończyła się dwanaście lat temu, inne to pozostałości długiej wojny domowej, w trakcie której miasto zostało rozerwane na części przez zwalczające się frakcje. Niektóre mogły nawet brać udział w działaniach w Zatoce Perskiej. CIA wpadło później na genialny pomysł, żeby zebrać cały ten sprzęt z pól bitewnych oraz baz Iraku i przekazać go do Afganistanu.

Kabul sprawia wrażenie, jakby w połowie się wyludnił od czasu, gdy byłem tutaj ostatni raz, zapewne dlatego, że uciekła z niego populacja Tadżyków opowiadających się za Masudem, arcywrogiem talibów. Nie widać nigdzie *pakoul*, płaskich, wełnianych kapeluszy noszonych powszechnie na północy kraju. Za radą kierowcy chowamy swoje czapki. Ulicami nie jeździ wiele samochodów, poza taksówkami i - sporadycznie - furgonetkami o przyciemnionych szybach, którymi podróżują talibańscy dowódcy w towarzystwie swoich ochroniarzy. Można odnieść wrażenie, że trafiliśmy na okres świąteczny i na ulicach nic się nie dzieje. Na niebie nie widać latawców. Talibowie zdobyli miasto duchów.

Pensjonat, w którym się zatrzymujemy, zlokalizowany jest w najmniej zniszczonej mieszkalnej części miasta zwanej Wazir Akbar Khan, gdzie w latach siedemdziesiątych zbudowano domy dla najbogatszych rodzin Kabulu. Trust zapewnia nam dozorcę i strażnika, którzy witają nas wylewnie i są na każde nasze zawołanie. Okna na parterze zabezpieczono workami z piaskiem, a na piętrze powyżej szyby oklejono taśmą zabezpieczającą je przed stłuczeniem, gdyby w pobliżu doszło do wybuchu. Z wdzięcznością rozgaszczamy się w dużych pokojach z wyłożonymi marmurem łazienkami i nie działającymi kranami - z powodu braku elektryczności nie można pompować wody. Ale udało nam się dotrzeć do Kabulu i cieszymy się, że możemy tutaj być.

Z pokoju na piętrze można dostrzec pokryte śniegiem szczyty gór oddalonych od nas o wiele kilometrów na północ. Ostatnie promyki słońca oświetlają je jasnorożowym blaskiem, przywodząc na myśl opadające łagodnie pierze flaminga.

Rozdział 13

Darzę poszukiwaczy min wielkim szacunkiem. Wykonują niebezpieczną pracę, za którą otrzymują marne grosze. Mimo że ratują niezliczone ludzkie istnienia, nie spotykają się z uznaniem, na jakie zasługują, a często traktowani są z podejrzliwością lub wyśmiewani, zwłaszcza na terenach wiejskich, przez ludzi zbyt głupich, by pojąć, jak ważne jest to, czym się zajmują.

Nikt nie przedstawił im idei ubezpieczenia na życie. Gdy zginie członek zespołu, pozostali zbierają pieniądze dla wdowy, pomagając jej w ten sposób przeżyć kilka kolejnych miesięcy. Ale to Afganistan, a oni należą do najbardziej uprzywilejowanych pracowników.

Następnego ranka udajemy się do siedziby głównej trustu w Wazir. Na miejscu wita nas niedźwiedzim uściskiem menedżer, przysadzisty i jowialny Pasztun po pięćdziesiątce, mój wieloletni znajomy. Zwracam się do niego per „pan Raouf” ponieważ on nazywał mnie kiedyś „panem Anthonym” i pozostał nam nawyk mówienia sobie po imieniu. Jako młodszy członek zespołu rozminowującego emanował naturalną pewnością siebie i autorytetem. Już wtedy wiedziałem, że świetnie sobie poradzi. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby awansował, gdy tylko pojawiła się taka możliwość. Dzisiaj jest tutaj dyrektorem, zarządzającym trzydziestoma ludźmi.

- Bogu niech będą dzięki - mówi z uśmiechem - życie jest dobre. Widzisz, jacy jesteśmy teraz wszyscy religijni? - pyta z ironicznym śmiechem, pociągając za swoją gęstą brodę.

Dekretem talibów mężczyźni muszą je zapuszczać. Gładko ogolona twarz kojarzona jest z diabelskim działaniem komunistów, odpowiedzialnych za obrócenie Afganistanu w ruinę, choć nie wszyscy się z tym poglądem zgadzają. Podobnie jak wielu innych Afgańczyków, także Raouf nie rozumie, w jaki sposób brak brody czyni go mniej religijnym, i tak samo, jak wszyscy Afgańczycy, nie lubi, gdy coś mu się narzuca.

Pan Raouf oprowadza mnie i H po nowym ośrodku trustu w Wazirze, po czym zabiera nas na poligon na zboczach góry we wschodniej części miasta, gdzie jego podwładni uczą się wykrywać miny. Jemy obiad w jego biurze, w którym na półkach zgromadzono dość makabryczną kolekcję rozbrojonych min przeciwpiechotnych.

- Za kilka dni - informuję go - będę musiał pojechać w pewne miejsce w południowo-zachodnim zakątku kraju. Będę potrzebował kilku godnych zaufania ludzi do pomocy, takich, którzy nie rozgadają, czym się zajmowali.

- *Dorost*. Zrozumiano. Będą do twojej dyspozycji - deklaruje bez chwili wahania. - Co masz tam do zrobienia?

- Ogromną eksplozję.

Na jego twarzy powoli pojawia się szeroki uśmiech. Skubie brodę, kiwając z podziwem głową.

- Dumą napawa mnie możliwość udzielenia wam pomocy - mówi. - Zwłaszcza w przygotowaniu eksplozji.

Okazałbym brak szacunku zapewniając, że dobrze na tym wyjdzie, więc milczę.

- Twoi ludzie zostaną hojnie wynagrodzeni - mówię.

Słychać pukanie do drzwi i jeden z pracowników informuje nas, że są gotowi na popołudniowy mecz piłki nożnej, ale brakuje im dwóch zawodników. Pan Raouf spogląda na nas pytająco i jesteśmy zbyt zaskoczeni, żeby odmówić. Pożyczam o kilka numerów za małe buty i kuśtykam na boisko. Jego funkcję pełni wolny od trawy plac, nierówny i ubity, jakby wysypano na niego gruz. Powietrze jest tak rozrzedzone, że nie mogę wziąć porządnego wdechu. Ciało Afgańczyka zbudowane jest z substancji twardszej i bardziej wytrzymałej niż zwykłe kości i skóra, więc gdy zderzamy się gołeniami i ramionami z zawodnikami drużyny przeciwnej, obaj z H czujemy się, jakby obijano nas drewnianymi kijami.

Dawno się tak dobrze nie bawiliśmy.

Poranki są spokojne i chłodne, więc siedząc na balkonie wygrzewamy się w promieniach słońca jak jaszczurki. Niewiele zdradza, że kraj rozdarty jest wojną. Łatwo pomylić dochodzący z północy sporadyczny huk artylerii z odległym grzmiotem, a terkot AK-47 na peryferiach miasta z odgłosem kłusującego po asfalcie konia, nierówno niesionym z oddali przez wiatr.

H zajmuje się sprzętem, którego będziemy potrzebować podczas wyprawy lądem. Pan Raouf obiecał, że pomoże nam go zdobyć. Otrzymaliśmy również powiadomienie z Londynu, że można już odebrać specjalne wyposażenie, o które prosiliśmy. Zlokalizowana w centrum miasta zaprzyjaźniona ambasada należy do nielicznych, których jeszcze nie porzucono. Zabieramy do domu dwie duże, czarne, nylonowe torby i rozpakowujemy je na podłodze sypialni, zamknawszy uprzednio drzwi. Przypomina to otwieranie prezentów w Święta - wyjmujemy wyposażenie, drżąc z radości jak dzieci, które nigdy wcześniej nie dostały upominków.

Na samej górze leży kilka wydrukowanych na jedwabiu map Afganistanu. Coś takiego zazwyczaj otrzymują siły specjalne - można je łatwo zwinąć w kulkę i schować, nie martwiąc

się, czy nie zmniejszy to ich czytelności. Nie ma też znaczenia, jeśli się zmoczą, bo i tak będzie można je odczytać i wyschną po kilku minutach na świeżym powietrzu. Dalej znajdujemy dwie krótkofalówki z ładowarkami i adapterami do samochodu. Jest też zmodyfikowany celownik karabinu - Kite - przypominający z wyglądu krótki teleskop, dzięki któremu będziemy widzieć w niemal całkowitych ciemnościach, oraz drugi telefon, który podobnie jak mój przełącza się na częstotliwość satelity, jeśli nie wykrywa sygnału komórkowego. Spakowano również pięćdziesiąt metrów nylonowej liny do wspinaczki, która, jak zakładam, może się okazać pomocna, gdyby H musiał przebić się przez okno ambasady. W paczce znalazły się też dwie plastikowe kabury, dwa browningi, tajemny obiekt pożądania H, oraz kilkaset sztuk amunicji kaliber 9 mm.

- Jak w powieści Andy'ego McFucka⁵⁷ - komentuje z uśmiechem H, wyjmując magazynek z jednego z pistoletów i spoglądając przez celownik. - Tyle że nie takie znowu tajne.

Sięgam do torby, żeby sprawdzić, co jeszcze zostało w środku. W kolejnym plastikowym pojemniku znajduję wojskowego Trimpacka - odbiornik GPS wraz z metalowym wspornikiem do montowania w samochodzie. Sprzęt nie jest nowy i ma za sobą kilka lat służby, ale Bóg jeden wie gdzie go wykorzystywano. Aż trafiam na coś, co przypomina męski, skórzany pasek, tak zaskakująco ciężki, że potrzebuję obu rąk, żeby go wyciągnąć.

- Jakby był napchany złotem - żartuję.

- Bo jest - odpowiada H. Bierze pasek do ręki i odsuwa długi zamek po jego wewnętrznej stronie, wydobywając na światło dzienne dwadzieścia złotych suwerenów, ułożonych jeden za drugim w wodoodpornym rękawie. Nie orientuję się, ile może kosztować suweren, ale każdy z nich musi być wart kilkaset dolarów, co oznacza, że mamy w pasku równowartość mniej więcej dziesięciu tysięcy dolarów w zlocie. A są dwa. - Starczy na kilka kebabów - podsumowuje H.

Chowamy wyposażenie na poddaszu i znaczę je ultrafioletowym długopisem. Przypomniałem sobie właśnie, jak może być użyteczny, więc, w ramach dodatkowego zabezpieczenia, oznaczam również klamki drzwi do sypialni. Najmniejsza choćby zmiana pozycji będzie od razu widoczna, a to pozwoli nam stwierdzić, czy podczas naszej nieobecności ktoś odwiedzał nasze pokoje.

Ale najlepszy prezent jest jeszcze przed nami. H jest zaskoczony, gdy z biura pana

⁵⁷ Wspomniany wcześniej Andy McNab (przyp. tłum.).

Raoufa przychodzi wiadomość o przesyłce dla nas, ja jednak wiem, co to takiego. Wraz z panem Raoufem jedziemy furgonetką trustu na ogromny parking dla samochodów osobowych i ciężarówek zlokalizowany w północno-zachodniej części miasta. Jeśli talibowie dysponują ośrodkiem odpraw celnych, to będzie nim ten parking. Tutaj właśnie wszelkie dobra, którym udało się przetrwać długą podróż z pakistańskiego portu Karachi, zostają wreszcie wyładowane i rozstawione na placu o powierzchni kilku boisk piłkarskich.

Strzegą go dwa ustawione przy bramie transportery opancerzone. Mijamy kilka tysięcy kontenerów i samochodów, a uzbrojony talib prowadzi nas do skupiska podupadłych biur. Tutaj właśnie trwającą bez końca robotę papierkową sprawdza się w nieskończoność przy niezliczonej liczbie dzbanków herbaty. Warto jednak poczekać. Kilka godzin później zostajemy odprowadzeni do ustawionych jedna za drugą, zakurzonych furgonetek z tablicami rejestracyjnymi z Dubaju. W oczy rzuca mi się charakterystyczny kształt. Przez dwadzieścia pięć lat projekt niewiele się zmienił.

- Poznaj potomka Gerhardta - mówię, opierając rękę na masce Mercedesa G400 CDI.

To bardziej zaawansowany model. Dysponuje czterolitrowym silnikiem diesla V8 z turbosprężarką, oferującym dwieście pięćdziesiąt koni mechanicznych, co sprawia, że jest i potężniejszy, i bardziej wymyślny od Gerhardta. No i kosztuje jakieś pięćdziesiąt razy więcej.

- Jakim cudem udało ci się go załatwić? - pyta H.

- Ktoś oddał mi przysługę.

- To ci dopiero przysługa.

W rzeczy samej. Nie mam pojęcia, jak Gemayelowi udało się go załatwić. Zapewne jego przyjaciele w świecie arabskim mają znajomości w świecie talibańskim i gdzieś, na wysokim szczeblu, usunięto wszelkie trudności.

Pan Raouf sprawia wrażenie nieco rozczarowanego.

- I to tyle? - pyta, z namysłem skubiąc brodę.

Pewnie woli land cruisery. W Afganistanie G-Wagen i jego zalety są praktycznie nieznane, a jego pudełkowa konstrukcja dopiero stanie się obiektem pożądania. Przynajmniej nie skupimy na sobie uwagi złodziei samochodów i bandytów, dla których szczytem marzeń jest szoferka Toyoty Hilux. No i nie przyjdzie im do głowy, że ma wbudowany moduł śledzenia satelitarne.

Proponuję panu Raoufowi kluczyki, ale z grymasem odmawia. Wróci furgonetką trustu, która bardziej odpowiada jego gustowi.

H krąży wokół samochodu i puka w zielonkawą szybę jednego z okien.

- Ta zaraza jest opancerzona.

Zgadza się. Nie prosiłem Gemayela o wzmocnienia, ale i tak je dorzucił. Bardzo troskliwie z jego strony. Wszystkie szyby mają na oko ponad centymetr szerokości - przydadzą się, jeśli jakiś snajper będzie miał na nas chętkę. Żeby przebić się przez te szyby, będzie potrzebował broni kalibru 50 mm. Wchodzimy do środka. Opancerzone drzwi ważą chyba z pół tony, a szyb nie da się odsunąć. W środku czuć skórę i pył, ale wewnątrz jest luksusowe i można się poczuć, jak w prywatnej kajucie na jachcie miliardera. Rozpoznaję podstawowy układ i dobrze się w nim odnajduję, ale na samej kierownicy jest więcej przycisków, niż we wszystkich samochodach, które miałem do tej pory. W trosce o kierowców o czułych palcach można nawet podgrzać kierownicę. Lusterko wsteczne automatycznie ciemnieje, aby zniwelować oślepiające odbłaski, można też elektronicznie sprawdzić ciśnienie w oponach. Mój wzrok przykuwa telewizja satelitarna i potrójna elektryczna blokada mechanizmu różnicowego, co oznacza, że będę mógł wjechać tym samochodem praktycznie wszędzie, poza pionową ścianą skalną, jednocześnie oglądając nadawaną z Dubaju arabską operę mydlaną z marnym dubbingiem.

- Sprawdzimy, jak się sprawuje? - proponuję H.

Samochody w Afganistanie wydają dźwięki sugerujące, że rozpadną się po trzaśnięciu drzwiami. Ten chodzi, jakbyśmy właśnie zamknęli właz schronu przeciwatomowego. Silnik od razu zapala i cicho mruży. Ma na liczniku niecałe tysiąc kilometrów i poradzi sobie z kolejnym pół milionem. Pan Raouf jedzie przed nami, kierując się do biura, ale ja wybieram drogę do Kart-e Parwan i odbijam na zachód, objeżdżając wzgórze Aliabad. Mam ku temu dobry powód. Gdy docieramy do skrzyżowania Deh Mazang przy zoo, skręcam w szeroką aleję prowadzącą w linii prostej do pałacu prezydenckiego, oddalonego teraz od nas o niecały kilometr. Powierzchnię drogi zeszpeciły wybuchy pocisków i rakiet, ale samochód w pełni podporządkowuje się mojej woli, gdy lawiruję pomiędzy kraterami.

To surrealistyczna przejażdżka. Oglądamy świat przez zielonkawą mgiełkę, wyciszony i łudząco niegroźny, jakbyśmy należeli do obcej rasy i obserwowali życie wokół nas z wnętrza ochronnej bańki. Od czasu do czasu mijamy rowery i taksówki, ale nic innego tutaj nie jeździ. Mężczyźni ciągną wózki wypełnione po brzegi drewnem i workami, a przypominające zjawy kobiety w jasnoniebieskich burkach przepływają obok nas jakby niesione powietrzem.

Wcześniej nie odważyłem się odwiedzić tej części miasta, ponieważ była bardzo narażona na ataki - w trakcie mojego pobytu w Kabulu praktycznie codziennie spadały na nią rakiety. Budynki po obu stronach drogi są całkowicie zniszczone. Ich podłogi, kolumny i nadproża zapadły się lub pochyliły, tak że teraz tylko żelazne zbrojenie trzyma je w jednym

kawałku. Pomniejsze budynki rozpadają się w wyniku pęknięć. Nie ma metra kwadratowego, który nie zostałby podziurawiony kulami. Od czasu do czasu w oczy rzuca się ślad po wybuchu rakiety - zupełnie jakby ktoś chlusnął na ścianę wiadrem z farbą, tyle że efekt wywołała eksplozja rozgrzanego do białości metalu.

Znajdujemy się w samym centrum stolicy, a krajobraz przypomina raczej pola bitew pierwszej wojny światowej. Na początku lat 90. zniszczyły je rakiety Hekmatjara⁵⁸, których ogromną liczbę hojnie dostarczyło CIA. Później okolica zamieniła się w południowy front przedłużających się bitew, gdy konkurenci rządu zaatakowali miasto z każdego kierunku, poza północą. Ich ataki odpierał serią desperackich kontrataków Masud, którego wyczerpane siły rok później nie były w stanie przeciwstawić się postępowi talibów.

Przed nami majaczą ruiny pałacu. Teraz została z niego już tylko skorupa. Eksplozje rakiet wyrwały w kilku miejscach dziury w dachu, przywodząc na myśl nieudolną próbę otworzenia puszkę ostrym narzędziem. Ściany są całkowicie pokiereszowane pociskami. Parkuję niedaleko i przez kilka minut przechadzamy się z H między opuszczonymi arkadami, krusząc pod stopami potrzaskany gruz w sali, gdzie niegdyś przyjmowano królów i głowy państw.

Wracamy do samochodu, okrążamy pałac jadąc zakurzoną drogą i znów kierujemy się na północ, wzdłuż równie mocno zniszczonego Jade-ye Maiwand, nazwanego na cześć bitwy, w której brytyjski 66. Regiment Piechoty został w 1880 roku pokonany przez siły afgańskie. Jak głosi fama, Afgańczycy skupili się wokół Pasztunki imieniem Maialai.

Na ostatnim zakręcie przed domem prawie wpadamy na starego land rovera, którego pasażerowie gapią się na nas z wyrazem przerażenia na twarzach. To oficjalny samochód BBC. Rozpoznaję bladą, owiniętą w chustę twarz korespondentki z Kabulu. Zakochałem się w niej kilka lat temu po wywiadzie, który przeprowadziła ze mną w Islamabadzie. Wraciałem wtedy już do domu, a Kabul staczał się po równi pochyłej do piekła. Mam wyrzuty sumienia, że nie przystanąłem, żeby się przywitać, ale lepiej nie przyciągać niczyjej uwagi. Nie chciałbym, żeby dziennikarka skojarzyła naszą obecność w Kabulu z sabotażem na dużą skalę.

Z powrotem w pensjonacie parkuję samochód w garażu, ten zaś zamykam nową klódką.

- Przypomina trochę karawan - komentuje H - ale robi wrażenie. Rzućmy okiem na

⁵⁸ Gulbuddin Hekmatjar - afgański przywódca religijny i polityk, po obaleniu komunistycznych rządów w Afganistanie występował przeciwko nowej władzy, przyczyniając się do wybuchu wojny domowej (przyp. tłum.).

instrukcję i zużycie paliwa. Musimy wyliczyć, ile będziemy go potrzebować.

Nigdy tak naprawdę nie wiesz, jakie doświadczenia ukształtowały człowieka. Powiedzenie to jest wyjątkowo prawdziwe w Afganistanie, gdzie każdy, komu udało się przetrwać ponad dwudziestoletnią wojnę, odczuł na sobie jej efekty. Nie chcę wtykać nosa w życie osobiste tego młodego człowieka, ale zastanawiam się, co uczyniło go tak posępnym.

Odwiedza nas po zmroku, ale jeszcze przed godziną policyjną. Wolałbym, żeby nie wiedział, gdzie się zatrzymujemy, ale dochodzimy z H do wniosku, że to niezbędne ryzyko, a okazanie braku zaufania byłoby praktycznie równoznaczne ze złamaniem afgańskiego protokołu zachowania. W końcu jest naszym sojusznikiem. Sattar należy do powołanej przez CIA jednostki wywiadu wewnątrzplemiennego. Tylko on może nam pomóc nawiązać kontakt z Orfeuszem, ponieważ jako jedyny spotkał się z nim w Dżalalabadzie i wie, jak Orfeusz wygląda, chociaż nie ma pojęcia, co mnie z nim łączy.

- Pamiętasz tego człowieka? - pytam, pokazując wykonane jakiś czas temu zdjęcie Manny'ego.

- Cudzoziemiec - odpowiada.

- Możesz przekazać mu wiadomość?

- Jasne.

- Jak?

- Mam swoje sposoby - mówi. - To zajmie kilka dni.

- Dobrze mówisz po angielsku, Sattar.

- Nauczyłem się na uniwersytecie w Kabulu.

- Myślałem, że go zamknięto.

- Gdy ja na niego uczęszczałem, jeszcze funkcjonował - uśmiecha się, ale tylko ustami.

Chyba nie do końca mu wierzę. Nie wiem, kiedy ostatnio nauczano na uniwersytecie angielskiego, ale nie spotkałem jeszcze Afgańczyka, który twierdziłby to samo, co Sattar, i miał mniej niż pięćdziesiąt lat. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zdobył tych umiejętności pracując dla afgańskiej tajnej policji lub pakistańskiego wywiadu ISI, na którym stanowczo za bardzo polegają Amerykanie. Wiem, że nie powinienem wymagać od niego radosnego usposobienia tylko dlatego, że tego właśnie spodziewam się po Afgańczykach, ale wyraźnie brak mu życzliwości i spontaniczności charakterystycznej dla praktycznie wszystkich jego pobratymców, których dane mi było poznać, a suma tych wrażeń wywołuje już coś na wzór podejrzenia. Nie jest to specjalnie dziwne, biorąc pod uwagę, że mówimy o

szpiegu.

Omawiamy sytuację w kraju i najlepszą trasę dla operacji, ale nie podaję dokładnego celu naszej podróży. Sattar proponuje, żebyśmy na wszelki wypadek przejechali przez Bamiyan, gdzie znajduje się regionalna kwatera główna talibów. Będziemy mogli uzyskać tam list zapewniający bezpieczny przejazd przez tereny znajdujące się pod ich kontrolą. Nie potrafię oprzeć się myśli, że to pułapka, ale dziękuję za radę.

- Jak brzmi wiadomość? - pyta.

Wyjmuję banknot o nominale pięćdziesięciu afganów, sam w sobie praktycznie bezwartościowy.

- Przekaż mu go - mówię - dokładnie ten. Powiedz, że to z Anglii.

Przygląda się banknotowi rozczarowany. Nie wie, że igłą zrobiłem w nim kilka malutkich dziur. Jedną na środku, nad grafiką przedstawiającą pałac Darul Aman, a kilka kolejnych nad numerami seryjnymi w rogach. Znalezienie banknotu o odpowiednich numerach zajęło mi trochę czasu, ale miałem ich jakiś tysiąc.

Jeśli Manny otrzyma banknot i będzie wiedział, że to ja mu go przekazałem, domyśli się także, że zawiera jakąś wiadomość i dokładnie mu się przyjrzy w poszukiwaniu wskazówek. Nakłucia powiedzą mu, że chcę się z nim spotkać w zniszczonym pałacu Darul Aman. Gdy spojrzy na liczby, zauważy, że odpowiadają one godzinie osiemnastej, zaś dni tygodnia oznaczone są perskimi inicjałami wskazującymi poniedziałek i wtorek. Dziury robię w takiej odległości od siebie, żeby nawet przy bliższym zbadaniu sprawiały wrażenie zrobionych zszywaczem. Aby dodatkowo zmylić trop, dodałem inicjały Manny'ego. Tylko on będzie w stanie je rozpoznać i połączyć z wiadomością.

- Skąd będę wiedział, że go dostarczyłeś?

- Po prostu czekaj - mówi.

Więc czekam. Mija weekend. Wraz z H odwiedzamy słynne, otoczone murem ogrody XVI-wiecznego władcy, Babura, który, choć podbił większość terytorium Afganistanu i Indii, zażyczył sobie, by pochowano go w umiłowanym Kabulu. Ogrody były swego czasu najpopularniejszym miejscem w mieście, teraz jednak park jest opuszczony i spotkać w nim można tylko podstarzałego opiekuna tego miejsca, grobowiec zaś podziurawiony jest kulami. Składamy również wizytę w dawnej ambasadzie brytyjskiej, niegdyś najbardziej okazałej posiadłości w Kabulu. Teraz została po niej tylko wypalona skorupa, a szmaragdowe trawniki obróciły się w pył.

W poniedziałek jadę taksówką na przedmieścia Del Qalandar, rozciągające się w południowej części miasta, a ostatni odcinek drogi do pałacu pokonuję pieszo. Jego ogromne

pokoje dawno już ogołoco z mebli i wyposażenia, i teraz zasłane są gruzem, gipsem i szkłem. Czekam godzinę, ale nikt się nie zjawia. Wracam następnego dnia o tej samej porze. W gruzowisku bawi się kilkoro dzieci, ale nikt na mnie nie czeka. Zdaję sobie sprawę, jak nikła jest szansa na nawiązanie w taki sposób kontaktu z Mannym. Moje oczekiwania jeszcze bardziej maleją, gdy zaczynam analizować różnorakie czynniki oddalające perspektywę sukcesu.

- Nie daj się wpędzić w depresję - mawia H, który większość swego pobytu w Irlandii Północnej siedział w nieoznakowanych samochodach, czekając na próżno na informatorów. Wie, że liczę na nawiązanie kontaktu z cennym dla Londynu źródłem informacji, ale nie ma pojęcia, co przeszliśmy z Manny'm i jak bardzo jestem rozczarowany.

W czwartek przychodzi wiadomość od pana Raoufa. Nasze zamówienie jest gotowe, co oznacza, że czas wyruszać. Jedziemy do siedziby trustu, gdzie czeka już na nas uśmiechający się szelmowsko pan Raouf. Prowadzi nas do magazynu, gdzie ściąga zakurzony brezent, odsłaniając kilka metalowych kufrów.

- *Befarmaid* - mówi, wskazując je dłonią. - Proszę bardzo.

Rozpakowujemy skrzynie nie kryjąc podziwu. Jest tu kilka drewnianych pudeł wybuchowego plastiku, każde zawierające pół tuzina bryłek wielkości małych cegieł, zapakowanych w brązowy, wodoodporny papier zapobiegający dostaniu się wilgoci do środka. Rozpoznaję ten typ. To irańskie C4 wytworzone z heksogenu, wybuchowego materiału kruszącego z niską zawartością niewybuchowego plastyfikatora, dzięki któremu ładunek można ciąć i formować. Charakteryzuje się prędkością detonacji rzędu ponad dziewięciu kilometrów na sekundę, co czyni go potężniejszym od trotylu, idealnym ładunkiem wybuchowym.

Jest też duży zwój wodoodpornego lontu. Sam wygląd nie zmienił się wiele od czasu Guy'a Fawkesa⁵⁹. To modyfikacja prochu, owinięta w wodoszczelny materiał pozwalający mu palić się również pod wodą, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Dzięki niemu będziemy mieć fory, chociaż trzeba jeszcze przetestować szybkość, z jaką się spala i określić, ile go będziemy potrzebować.

H podnosi coś przypominającego dwa zwoje jasnopomarańczowego przedłużacza. To lont detonujący wypełniony pentrytem, silnym materiałem kruszącym, i dodatkowo obłożony plastikiem. Siła eksplozji tego typu lontów jest różna, ale taki o długości piętnastu

⁵⁹ Uczestnik spisku prochowego z 1605 roku, którego celem było wysadzenie w powietrze brytyjskiej Izby Lordów (przyp. tłum.).

centymetrów ma moc porównywalną do spłonki, i można nim przeciąć słup telefoniczny. Połączymy nimi ładunki, żeby eksplodowały jednocześnie. Jest też pudło zawierające rzeczy mniejszego kalibru, ale równie niezbędne: taśmę maskującą, dzięki której przymocujemy detonatory do lontu, dwa zagniatki, staromodne detonatory ołówkowe i zapalniki nieelektryczne. H wyjmuje bryłę plastiku, wacha i ugniata ją, po czym wkłada z powrotem do pudła.

- Rzućmy okiem na detonatory - mówi do pana Raoufa.

Ze względów bezpieczeństwa detonatory zawsze trzyma się oddzielnie od ładunków, których eksplozję mają zainicjować. Pan Raouf umieścił je w sejfie w swoim biurze. Przynosi nam małą, czerwoną, metalową walizkę z czarno-żółtymi naklejkami z czaszką i skrzyżowanymi kośćmi. W środku znajduje się dwanaście detonatorów wielkości papierosa, po sześć w obu częściach walizki, oddzielone od siebie osobnymi zaczepami. H kiwa głową z uznaniem.

- Można by tym wysadzić w powietrze niewielkie miasteczko - komentuje. -
Podziękuj koledze. A co z resztą?

Pan Raouf prowadzi nas do kolejnej sterty wyposażenia złożonej w magazynie. Znajdują się wśród nich zapasy na wyprawę pod namiot, brezenty, kilka wojskowych śpiworów, długi odcinek metalowego kabla holowniczego i pół tuzina kanistrów na dodatkowe paliwo.

- *Khub ast?* - pyta Pan Raouf. - W porządku?

Załatwił nam wszystko, czego potrzeba na drobną wyprawę.

Bardzo *khub*, myślę. Wyjmuję z kieszeni rulon studolarowych banknotów i wciskam je do ręki pana Raoufa. Przez chwilę udaje, że nie chce ich przyjąć, tłumacząc, że cały ten sprzęt jest przyjacielskim podarunkiem, ale obaj dobrze wiemy, że to cześć rytuału. Nie chcąc nas urazić, wkłada pieniądze do kieszeni kurtki nie przeliczając ich, wiem jednak, że zrobi to zaraz po naszym wyjściu.

Po południu przysłała do nas trzech swoich ludzi, dając nam szansę poznać ich i omówić ogólne zarysy planu. Od razu przypadają nam do gustu. Najstarszy z nich to Sher Del, pracujący jako zbieracz min od kilku lat. Jego imię oznacza „Lwie Serce”. Jest po czterdziestce, ale wygląda przynajmniej dziesięć lat starzej. Służył w afgańskiej armii, później zaś, podczas okupacji radzieckiej, przeszedł na stronę mudżahedinów. Jest brunetem, ale brodę ma praktycznie białą i wygląda na zaprawionego w bojach wojownika. Ma szybki refleks i jest bezpośredni. Tę cechę łagodzi jego bogate doświadczenie, a wszystko razem sprawia, że nie można odmówić mu uroku i dobrego wpływu na morale.

Jego koledzy są młodszy, w okolicach trzydziestki, choć charakteryzuje ich staromodna uprzejmość starszego pokolenia. Aref to jeden z kierowników trustu; mówi znośnym angielskim. Jest wysoki i szczupły, ma orli nos i gęstą, czarną brodę, głos z kolei miękki i nieco kobiecy. Uwielbia zagłębiać się w szczegóły i analizować pomysły. Uważnie i dokładnie tłumaczy moje wypowiedzi na pasztuński dla reszty grupy. Momen również jest zbieraczem min i przypomina mi afgańską wersję braciszka Tucka z „Robin Hooda”. Jest krępej budowy ciała i nieustannie się uśmiecha, a brodę ma ubarwioną henną na pomarańczowo. - Mogłem zostać lekarzem - skarży się żałośnie - albo inżynierem. Ale w Afganistanie mamy tylko wojnę. Wszyscy Afgańczycy to osły - żartuje, a pozostali wybuchają śmiechem. - Są zbyt głupi, żeby przestać ze sobą walczyć.

Studiujemy mapy. Cel naszej podróży znajduje się w południowo-zachodnim rejonie kraju i najłatwiej będzie do niego dotrzeć z leżącego na południu Kandaharu. Tyle że po drodze - wokół miasta i za nim - natkniemy się na punkty kontrolne, a nasz konwój na pewno zwróci na siebie uwagę. Prędzej czy później zostaniemy przeszukani i kogoś zainteresuje cel naszej misji. Nie możemy podjąć takiego ryzyka. Pojedziemy trasą przez odludne, centralne rejony kraju, i choć podróż zajmie wtedy znacznie więcej czasu, nie będziemy tak bardzo rzucać się w oczy.

Wszyscy zgadzają się co do tego, że, biorąc pod uwagę obecną sytuację, najlepiej będzie jechać przez Bamiyan i tam uzyskać zgodę na dalszą podróż od miejscowego talibańskiego dowódcy. Z Kabulu obierzemy południową trasę przez prowincję Wardak, ponieważ na północy toczą się walki i jest niebezpieczniej. Wywiązuje się też dyskusja na temat słynnych posągów Buddy zniszczonych na początku roku.

- Nie powinni byli ich niszczyć - mówi Sher Del. Pytam dlaczego. - Żaden ze wcześniejszych afgańskich władców tego nie zrobił, a kiedyś ludzie byli lepszymi muzułmanami, niż dzisiaj. Więc jakie prawo mieli do tego talibowie?

- Bogatym państwom nie spodobało się zniszczenie posągów - dodaje od siebie Momen. - Ale w nosie mieli wszystkich tych zabitych Afgańczyków.

Słuszna uwaga. Dopóki nie zniszczono posągów, mało kto w ogóle wiedział o ich istnieniu, nie wspominając o tym, że setki lat temu pozbawiono ich twarzy. Dzisiaj chyba wszyscy słyszeli o buddach z Bamiyan, a tylko nieliczni o dokonanej przez talibów mniej więcej w tym samym okresie masakrze Hazarów, zrównaniu z ziemią południowego Kabulu przez Hekmatjara kilka lat wcześniej, gdy życie stracić mogło nawet dwadzieścia tysięcy ludzi, czy rzezi Afgańczyków zainicjowanej przez armię radziecką i ich komunistycznych podwładnych.

- To Al-Kaida kazała zniszczyć posągi - mówi Aref - żeby rozwścieczyć światową opinię publiczną. Afganistan lepiej sobie poradzi bez Arabów.

Dysponując całą tą wiedzą o talibach, plan zgłoszenia się do ich dowódcy w Bamiyan zakrawa na szaleństwo, ale wszyscy popierają to rozwiązanie. Mam wyrzuty sumienia, że podejrzewałem Sattara o próbę wciągnięcia nas w pułapkę, ponieważ okazuje się, że jego rada była jednak rozsądna. Podróż potrwa dłużej, ale przystaję na to.

Z Bamiyan pojedziemy na zachód, do Yakawlang, później zaś, przez góry, do Panjabu. Do tego punktu wszyscy jesteśmy zgodni. Pewne wątpliwości wywołuje trasa, jaką obierzemy później, choć nie ma w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że nie ma tam w zasadzie dróg, a tylko zakurzone i pozostawione własnemu losowi szlaki. Mężczyźni pokazują palcami jak w przybliżeniu mogłaby wyglądać nasza trasa, ale tylko Aref zainteresowany jest szczegółami.

Nie przejmuję się tym zanadto, ponieważ w Afganistanie jeździ się na przełaj, pytając o drogę pierwszą osobę idącą z naprzeciwka. Mapa kraju wyrysowana jest w umysłach ludzi, nie na papierze, bo ściśle trzymanie się jej to pewny sposób, żeby zabłądzić.

Następnego dnia pan Raouf zgadza się na przetestowanie materiałów wybuchowych. Jego zespół oczyszcza właśnie pole minowe godzinę jazdy na wschód od Kabulu, niedaleko dawnych pozycji radzieckich. Wybieramy się tam dwa dni później. Pan Raouf z dumą przedstawia nas pracującym na miejscu ludziom. Zaznaczają oni na mapach oczyszczone z min rejony, a strefę niebezpieczeństwa otaczają pomazanymi na czerwono kamieniami. Znalezione niewybuch i pan Raouf pozwala nam umieścić obok niego ładunek. Ogólnie rzecz biorąc, ładunki wybuchowe mają formę łańcucha, w którym każda kolejna część wywołuje potężniejszą eksplozję. Korzystając z okazji, chcemy wykorzystać jak najwięcej komponentów i przekonać się, czy wszystkie działają jak należy. Odcinamy trochę plastiku z jednej bryłki, owijamy go lontem detonującym, przyczepiamy do wolnego końca detonator, a do tego ostatniego - lont.

Wszyscy zostają ewakuowani i skądś dobiega nas zawroźnienie syreny. Nasz nieliczny zespół, w towarzystwie tuzina mężczyzn należących do pracującej tutaj grupy, wpatruje się nieruchomym wzrokiem w oddalony o kilkaset metrów punkt. Pół minuty później w powietrze wzbija się brązowa chmura pyłu, a za chwilę dociera do nas fala dźwiękowa niosąca ze sobą łoskot wybuchu. Wszyscy się uśmiechają. Ładunki działają jak trzeba. Odzyskujemy wiarę w celowość operacji, której realizacja stała się osiągalna. Po powrocie do siedziby trustu ładujemy materiały wybuchowe do mojego samochodu i zabieramy je do

bezpiecznego garażu.

Po przesłaniu raportu do Londynu otrzymujemy od Makawitego zezwolenie na kontynuowanie działań. Jesteśmy już praktycznie gotowi, ale muszę jeszcze ten jeden raz przed wyjazdem spróbować nawiązać kontakt z Mannym. W poniedziałek ponownie przebieram się w szarawary, chcąc jak najmniej rzucać się w oczy. Poprawiam nylonowy pas oraz kaburę i wsuwam do niej naładowanego browninga. Do jednej z kieszeni wkładam telefon, do drugiej zaś jedwabną mapę i po dziesięciu minutach spaceru łapię taksówkę.

Również i tym razem na miejscu nikt na mnie nie czeka i raz jeszcze muszę zmierzyć się z rozczarowaniem. Będę mógł spróbować ponownie jeszcze tylko jutro, a później czas ruszać - nie możemy zwlekać kolejnego tygodnia. Poza tym nie podoba mi się wizja zdekonspirowania miejsca naszego spotkania, a im więcej czasu mija, tym bardziej staje się to prawdopodobne.

Kolejnego dnia powtarzam całą procedurę. Taksówkarz pyta, czy jestem Irańczykiem, na co odpowiadam, że dorastałem w Iranie, ale niedawno wróciłem do kraju. Zaczyna opowiadać mi o swoim życiu.

- W okresie dżihadu walczyłem u boku Masuda w Pandzszerze - mówi, mając na myśli okres okupacji radzieckiej. - Ranny, zamieszkałem ze swoim kuzynem w Mazar. Kiedy zginął, musiałem walczyć z Dostumem⁶⁰. Gdy wybuchły walki w Kabulu, zostałem schwytany przez siły rządowe i mój brat wykupił mnie za cenę swojego domu. Potem talibowie uznali mnie za szpiega i torturowali. Wrzucili do zimnej piwnicy i okładali kablami. Wypuścili mnie, kiedy wujek oddał im swój dom. Miałem szczęście. Ale do czego tu wracać? - pyta cynicznie, ruchem dłoni wskazując otaczające nas z obu stron zniszczenia.

Do pałacu docieram równo o osiemnastej. Nikogo nie ma w pobliżu. Przechadzam się po centralnym dziedzińcu, jak zawsze zastanawiając się nad intensywnością prowadzonych tu walk. Dzisiaj panuje tutaj całkowita cisza i bezruch. Czuć tylko lekki wietrzyk, wiejący zwykle na chwilę przed zapadnięciem zmroku. Przyglądam się z dystansu swojemu rozczarowaniu. Gdy przyszedłem tutaj pierwszy raz, moje oczekiwania były ogromne, ale teraz, gdy emocje opadły, muszę przyznać, że jestem tylko samotnym obserwatorem zapomnianego pola bitwy, z którego istnienia świat nie zdaje sobie sprawy.

Nachodzą mnie ponure myśli o bezsensie otaczającego mnie z każdej strony zniszczenia i głupocie ludzi, którzy sami sprowadzili na siebie to nieszczęście, aczkolwiek

⁶⁰ Abdul Raszid Dostum - w trakcie radzieckiej okupacji Afganistanu pełnił funkcję ministra obrony. Podczas wojny domowej przewodził jednemu z najsilniejszych ugrupowań na północy kraju (przyp. tłum.).

przy wyraźniej pomocy z zagranicy. Wiedziony impulsem przechodzę wzdłuż arkad we wschodnim skrzydle pałacu i wchodzę do jednego ze zniszczonych pokojów. Puste okna odwzajemniają moje spojrzenie, aż nagle coś przyciąga mój wzrok. Małe ognisko po przeciwnej stronie budynku, w jego północno-wschodniej części, czyli miejscu, uświadamiam sobie, dokładnie odpowiadającym nakłuciom na banknocie.

Puste mury wzmacniają dźwięk moich kroków, gdy zbliżam się do migoczącego ogniska, przy którym kuli się jakiś człowiek. Przez chwilę wierzę, że to wreszcie Manny się zjawił, po czym przeklinam w duchu, wiedząc, że to nie może być on. Nieznajomy spowity jest w ciemne *pattu* i nie reaguje w żaden sposób na moje przybycie. Ale że ten dziwny zbieg okoliczności nie daje mi spokoju, muszę się upewnić.

- Pokój z tobą, *watandar*. Czy mogę ogrzać dłonie przy twoim ognisku?

Gestem powolnym jak u człowieka w agonii, niewyraźna postać wysuwa smukłą, ciemne ramię, zapraszając mnie, abym usiadł naprzeciw. Przechodzi mnie dreszcz, gdy zauważam, że rękę ma wychudzoną, jakby od dawna cierpiał głód. Ogień nie daje tyle światła, żebym rozpoznał twarz, i koszmarne myśli zaczynają wypełniać mój umysł. Może to naprawdę Manny, ale oszpecony, albo też wyniszczyła go jakaś straszliwa choroba i przedwcześnie się postarzał.

- Manny? - wypowiadam na próbę jego imię, nie potrafiąc się zdecydować, czy to on. Dostrzegam jedynie szarą kępę zwisającej z policzka brody i niewyraźne zarysy skrytej w cieniu twarzy. Wyciągnięta w moim kierunku dłoń wygląda na straszliwie starą. Ponownie zachęca mnie gestem, bym usiadł. Siedzimy oddaleni od siebie raptem o kilka metrów, z ogniem płonącym między nami. Kamienna podłoga jest zimna.

- Manny? Odezwij się, Manny. Nie strasz człowieka.

I nagle nieznajomy spogląda na mnie. To nie Manny. To staruszek bez połowy zębów o zmizerniałej, praktycznie pozbawionej mięsa twarzy, wpatrujący się we mnie z szalonym, oświetlonym przez ogień błyskiem w oczach. Z jego wyniszczonych dziąseł wydobywa się świszczący rechot.

- O Chryste - zrywam się na równe nogi, przestraszony. - O Chryste - moje serce wali jak oszalałe, a urok przysł. Robię kilka kroków wstecz, ale ślizgam się na gruzie, w akompaniamencie wywołującego przerażenie śmiechu starca.

I wtedy słyszę głos.

- Spocznij, kapitanie.

Odwracam się instynktownie, automatycznie sięgając prawą dłonią po browninga. Dziesięć metrów za sobą dostrzegam Manny'ego, wyłaniającego się zza jednej z gipsowych

kolumn, ubranego w czarne szarawary i w *pattu* przerzuconym przez jedno z ramion. Jest opalony, szczupły i nosi brodę, ale to bez cienia wątpliwości on. Uśmiecha się i wyciąga w moim kierunku ramiona.

- Ty draniu. Ty skończony draniu - wyrzucam z siebie. - Nikt cię nie nauczył jak się kontaktować?

- Przecież wysłałem ci pocztówkę - odpowiada. Gdy obejmujemy się na powitanie, czuję, jak drży mu klatka piersiowa, zresztą moja również, bo nas obu przepelnia teraz ulga, jakiej nie da się wyrazić przez śmiech i łzy.

Marzenie potrafi się ziścić, wykraczając daleko poza nasze najśmielsze oczekiwania. Nie tylko otrzymujesz to, co chciałeś, ale i ogrom dodatkowych korzyści, o których nawet nie myślałeś. To jak zakochać się w kimś, myśląc, że nie obdarzy cię jednym spojrzeniem, i odkryć, że odwzajemnia twoje uczucia z większą nawet siłą.

Byłem przekonany, że Manny nie żyje lub, w najlepszym wypadku, został uwięziony albo oszalał. Widząc go teraz na własne oczy, nadal nie mogę uwierzyć, że naprawdę tutaj jest. I nie chodzi tylko o to. Jest całkowicie poczytalny. Nie stępiło się jego poczucie humoru. Największą obawą napawała mnie nie wizja jego śmierci, ale że upodobił się do ludzi, pośród których żył.

- My mamy swoje zwyczaje, a oni swoje - mówi, gdy dzielę się z nim tą obawą. - Oni też są ludźmi - dodaje. Choć ma dziwny nawyk mówienia po pasztuńsku, gdy się ekscytuje, i przeklinania po czeczeńsku, umysł ma zdrowy.

- Czas wrócić do domu - mówię.

- Dom - powtarza za mną, jakby przywołując mgliste wspomnienie starego przyjaciela. - Tak. Muszę wrócić do domu.

- Wyciągnę cię, gdy tylko wrócę z operacji.

Spogląda na mnie i potrząsa głową, jakby nie zrozumiał, co powiedziałem.

- Nie mogę zniknąć.

- Dlaczego?

- Muszę zginąć - odpowiada, a mnie na chwilę ogarnia strach.

- Nie musisz - mówię.

- Nie bądź głupi. Muszą zobaczyć moją śmierć. Jeśli tak po prostu zniknę, uznają, że byłem szpiegiem. Zmieniają wszystkie plany, do których miałem dostęp. Wszystkie starania na nic się nie dadzą.

Wyciąga z kieszeni przenośną pamięć wielkości zapalniczki. Nigdy takiej nie

widziałem.

- Co to? - pytam.

Trzyma ją obiema dłońmi z poważnym wyrazem twarzy, jak ksiądz mający właśnie udzielić sakramentu.

- To przyszłość - odpowiada - chyba że ją powstrzymamy. - Ogień przygasa. - Możesz jak najszybciej przesłać zawartość do Londynu?

- Co tutaj jest?

- Lepiej, żebym ci nie mówił. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Tyle udało mi się dowiedzieć. Ich plany przekraczają wszelkie wyobrażenie. Ogromne ataki. Nowy Jork, Londyn. - Potrząsa głową. - Szejk pragnie wojny i to na skalę globalną. I w ten sposób zamierza ją wywołać.

Słuchając go, nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że może udzielił mu się entuzjazm ludzi, do których świata udało mu się przeniknąć. Szczerze wątpię, czy islamscy bojownicy, a szczególnie ci żyjący w odległym zakątku Afganistanu, dysponują środkami lub wiedzą pozwalającą wywołać, jak to ujął, wojnę globalną.

- Nie mogę dłużej zostać - mówi.

Opowiadam mu o operacji, pokazując na jedwabnej mapie lokalizację fortu i trasę, którą zamierzamy do niego dotrzeć.

- Jesteś pewien, że to tam? - pyta stanowczo. - Moja *firqat* miesiąc temu opuściła Sangin. Znam tam ludzi. - Skubie z namysłem brodę. - stingery - mówi cicho. - Zastanawiałem się, gdzie je trzymają. Talibowie mają względem nich plany.

- Podobnie jak i ja - mówię.

Wodzi palcem po mapie, uważnie ją studiując, aż wreszcie spogląda na mnie.

- Potrzebny nam plan - mówi.

Odchodzę o zmierzchu. Dłuższy odcinek drogi pokonuję piechotą, by wreszcie złapać taksówkę, która zawozi mnie na skrzyżowanie Shirpur. Jestem już pół kilometra od Wazir. Nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Wydaje się, że wszyscy chcą przed zmrokiem dotrzeć do bezpiecznego azylu własnego domu. Czuję się zdeprimowany faktem, że nikt nie może wykryć potoku słów przelewających się w mojej głowie, gdy bez końca powtarzam sobie szczegóły spotkania z Manny'm. Idąc, układam listę tematów, które poruszyliśmy, wiążąc je z obrazami, które z kolei rymują się z liczbami od jeden do dziesięć. Opiszę je szerzej po powrocie do domu.

Obracam w dłoni schowaną w kieszeni pamięć przenośną, nie ośmielając się uwierzyć w znaczenie zapisanych na niej informacji. Nie dysponuję oprogramowaniem pozwalającym

samemu przyjrzeć się zawartości dysku, ale mogę przestać dane e-mailem z biura trustu i poczekać na odpowiedź. W roztargnieniu wodzę dłonią po biegnącej obok mnie kamiennej ścianie. Wciąż jest ciepła, chociaż stonco już zaszło. Docieram do ronda w Wazir i wkraczam do rozciągającej się za nim siatki ulic.

Przed sobą dostrzegam stoisko z owocami, mijane przeze mnie każdego dnia. Wysoki talib coś kupuje, a po drugiej stronie ulicy stoi zaparkowana charakterystyczna furgonetka toyoty. Przez krótką chwilę zastanawiam się, czy nie zawrócić i nie wybrać innej drogi do domu, ponieważ nie chcę wdawać się z nikim w konflikt. Ale odrzucam tę myśl w tej samej chwili, gdy formuje się ona w moim umyśle, ponieważ jestem po prostu jednym z niewidzialnych afgańskich wieśniaków i nie mogę zachowywać się jak zbieg.

Gdy podchodzę bliżej, zauważam, że przy stoisku z owocami coś się dzieje. Talib powiedział coś po pasztuńsku do prowadzącego je chłopca i powtarza to znowu, ale gdy chłopak nie odpowiada, mężczyzna zaczyna krzyczeć. Jestem już dość blisko, żeby zobaczyć wyraz twarzy sprzedawcy. Stoi tylko ze wzrokiem utkwionym we własnych stopach, zbyt przestraszony, żeby ośmielić się odpowiedzieć.

Więc talib go uderza. Prawa ręka unosi się i brutalnie trafia chłopca w bok głowy. Ten krzywi się i przyciska dłoń do ucha, mamrocząc przeprosiny. To już pewnie koniec, ale cała scena przykuła moją uwagę na tyle, że przystanąłem, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Błąd.

W szerszym kontekście sytuacja, gdy mężczyzna uderza chłopca, nie ma większego znaczenia. Zwłaszcza w Afganistanie. To surowy kraj, a chłopiec zapewne zdążył już poznać i surowsze kary. To nie moja sprawa. Tyle że ten atak nie został niczym sprowokowany i dałem po sobie poznać, że mnie to oburzyło.

W innym miejscu i innym czasie przeszłoby to bez echa. Powiedziałbym: „Spróbuj tego z kimś swojego wzrostu”, na co on odparłby: „Spadaj” i byłoby po sprawie. Ale jesteśmy w Afganistanie, którego lud znajduje się w stanie wojny, a talibowie przybyli do Kabulu, żeby pokazać, kto tutaj rządzi.

Talib dostrzegł, że stanąłem kilka metrów od niego i obraca głowę w moim kierunku. Nosi ogromny, czarny turban, gęstą, czarną brodę i, co dziwne, jest uderzająco przystojny. Ale jego spojrzenie mówi mi, że jest aroganckim, agresywnym skurwielem, i przez tę sekundę czy dwie, gdy nasz wzrok się spotyka, chcę, żeby to właśnie odczytał z mojej twarzy. Zdaję sobie sprawę, że zbyt długo mu się przyglądam, rzucając tym samym nieme wyzwanie. Nieświadomie zagroziłem jego dumie, a nie można lekceważyć dumy Afgańczyka. Odwracam wzrok, ale już na to za późno.

- Na co się gapisz? - nie rozumiem pasztu, ale to oczywiste, o co pyta.

Gdy go mijam, odwraca się do mnie.

- Mówię do ciebie.

Unoszę dłoń w geście lekceważenia, dając do zrozumienia, że nie miałem na myśli niczego złego, i że odchodzę w pokoju. Jestem teraz odwrócony do niego plecami. Krzyczy za mną, ale nie przestaję iść, to nieodpowiedni moment na konfrontację. Z mapą wojskową w bieliźnie, zaszyfrowanymi plikami i bronią u pasa nie można mnie raczej wziąć za zwykłego przechodnia. Ale on nie zamierza zostawić mnie w spokoju.

Słyszę, jak biegnie w moim kierunku. Odwracam się i podnoszę dłonie do gardła, wydając z siebie dźwięk, jakbym się dusił, dając mu tym do zrozumienia, że nie mogę mówić. Zatrzymuje się tuż przede mną i przygląda mi się z mieszanką złości i ciekawości. Rozpaczliwie szarpie gardło i znowu się odwracam, ale gdy tylko to robię, czuję, jak spada na mnie pierwsze uderzenie.

To dziwne, ale ból ma swoje źródło nie na plecach, ale w brzuchu, i zaskoczony spoglądam w dół, instynktownie się za niego łapiąc. Cios przypomina silne porażenie prądem i gdy zginam się w pół z bólu, resztką sił odwracam się, chcąc zobaczyć, czym mnie zaatakował. Talib stoi za mną trzymając w prawej dłoni kawał grubego kabla, którym musiał uderzyć mnie w ramię i po podbrzuszu.

Nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa. Wpatruję się w niego zdumiony, podczas gdy on wykonuje błyskawiczny ruch. Kabel uderza mnie w drugie ramię, zawija się na nim i wywołuje kolejny ból na plecach. Czuję się, jakby do miejsca, w które uderzył, przyciśnięto rozgrzany do czerwoności kawał metalu. Chwytam się za boki, starając się niczego nie powiedzieć, nie wolno mi.

To zdumiewające, jak szybko ból wywiera wpływ na świadomość. Kilku gapiów przygląda się całej sytuacji ze skraju drogi, ale gdy tylko rejestrują ich obecność, wydają się nierzeczywiści, jak postaci ze snu, którego znaczenia nie pojmuję do końca. Talib wydziera się na mnie, ale nie rozumiem, co mówi, i nie mogę odpowiedzieć. Wydaję z siebie tylko dziwny, zwierzęcy jęk bólu. Mój napastnik chce czegoś więcej i kabel znowu podąża w moim kierunku, wywołując kolejne palące szarpnięcia bólu w moim nadgarstku, ramieniu i plecach, aż potykając się, upadam w pył.

Nie wytrzymam już więcej. Jeśli jeszcze raz mnie uderzy, ból stanie się zbyt wielki, żebym mógł cokolwiek zrobić. Mógłbym spróbować uciec, ale drugi talib, który do tej pory siedział w toyocie, wyszedł z samochodu trzymając w rękach gotowe do strzału AK, dając wszystkim do zrozumienia, że to tylko i wyłącznie ich sprawa. Jego będę musiał zabić w

pierwszej kolejności, póki z moim wzrokiem jest wszystko w porządku i mam pewną rękę. Mogę ratować się ucieczką przez ten labirynt uliczek, ale nie wymknę się im na długo. Nawet jeśli nie zginę od razu, to i tak znalezienie mnie nie zajmie im dużo czasu, i cała operacja zostanie zaprzepaszczona. Może i uda mi się schować gdzieś pamięć, ale będę potem musiał dać znać H lub innej zaufanej osobie, gdzie została ukryta.

Nie mogę tego znieść. Jeśli się przyznam, że jestem obcokrajowcem, to przestanie mnie bić, ale zostanę aresztowany i przeszukany, a mapa i broń będą świadczyły przeciwko mnie. Bóg jeden wie, co się ze mną stanie, jeśli wyląduję w talibańskim więzieniu. Każde rozwiązanie tej sytuacji zwiastuje katastrofę.

Leżę na drodze, podpierając się jedną ręką, i spoglądam mu w twarz zdecydowany, że jeśli jeszcze raz zamachnie się kablem, przeturlam się w lewo i zastrzelę opartego o drzwi furgonetki gościa z AK. Nie będzie się spodziewał takiego obrotu sprawy. Póki co tylko obserwuję z satysfakcją, jak jego koleżka tłucze na kwaśne jabłko pechowego przechodnia. W następnej kolejności zastrzelę tego z kablem, chyba że szybko i grzecznie się podda.

Podchodzi do mnie ze złowieszczą pewnością siebie. Udając, że trzymam się za zębra, powolutku sięgam pod szarawary, do kabury, i chwytam browninga. Odbezpieczam go i kładę palec na spuście. Słyszę, jak mówi coś w stylu:

- Co masz mi do powiedzenia, ty pandźszirski skurwysynu?

Chcąc wzbudzić jeszcze większy strach, owija kabel wokół dłoni i przejeżdża po nim drugą ręką, jakby przygotowując go do zadania kolejnego ciosu. Ale nie będzie miał okazji go wykonać. Dokładnie w chwili, gdy ma mnie uderzyć i, choć tego nie wie, skończyć z dwiema dziurami od kul w klatce piersiowej, kilka metrów za nim słychać przenikliwy pisk hamulców samochodu zatrzymującego się za toyotą. Widząc go, dociera do mnie, że skądś go znam. Dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie skąd. To wracający właśnie do domu land rover BBC, a za przednią szybą wyraźnie widzę wciskającą klakson kobietę, chcącą w ten sposób zwrócić na siebie uwagę.

Wysiada z samochodu, podchodzi do taliba, bez ceremonii przedstawia się jako korespondentka BBC i pyta, co też się, do diabła, tutaj dzieje. Nie rozpoznała mnie, po prostu widzi rozciągniętego na ziemi bezbronnego człowieka i wielkiego, górującego nad nim taliba z kablem w dłoni. Coś tam wygaduje bez cienia strachu, a efekt tego jest tak dramatyczny, że poraża mnie całe to widowisko. Na widok tej najwyraźniej szalonej cudzoziemki o ciętym języku, morderczy wojownik przeobraża się w posępnego uczniaka przyłapanego właśnie przez dyrektorkę szkoły na paleniu papierosów. Nawet się na mnie nie oglądając, wraz ze swoim partnerem zmykają do samochodu i furgonetka z rykiem odjeżdża. Próbuje dźwignąć

się na nogi.

Woła swojego tłumacza i podchodzi do mnie. Unikam jej wzroku.

- Dranie - mamrocze po angielsku. - Co oni ci zrobili?

Z bólu wciąż trzymam się za boki.

- *Khub ast* - wydaję z siebie pomruk. - W porządku.

Staram się trzymać twarz w cieniu. Ale gdy na mnie spogląda, jej troska zamienia się w ciekawość.

- Ja ciebie znam - mówi, zdradzając lekkie zdziwienie. Przykucnęła obok mnie. -
Prawda?

Chcę potrząsnąć głową, ale nie wolno mi pokazać po sobie, że zrozumiałem, co powiedziała.

- Zekriya - krzyczy do swojego kierowcy, człowieka na tyle rozsądnego, żeby z dystansu obserwować całą tę burdę - zapytaj go, czy wszystko z nim w porządku, możesz?

- *Khub ast* - powtarzam, ukrywając głos w grymasie bólu.

- Dziwne - słyszę, jak mówi z westchnieniem, gdy wstaje i odchodzi do land rovera. -
Przypomina mi pewnego znajomego. Zek? - pyta, z rękoma opartymi na biodrach. - Zapytaj go, czy zgodzi się na wywiad. Słowo daję, to naprawdę biedni ludzie.

Rozdział 14

Następnego dnia nie nadaję się do niczego. Ale choć ciało jest unieruchomione, umysł działa na najwyższych obrotach, non stop odtwarzając wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Potrzebuję pewności, a nie mam jej co do żadnej z nękających mnie spraw. Mogę tylko interpretować fakty, a wyjaśnienie, do którego dochodzę, ma zarówno mroczną, jak i jasną stronę.

Mroczna opiera się na założeniu, że, jak to zasugerowała Baronowa, ktoś sabotuje naszą operację próbując przeszkodzić w jej realizacji. Zdążyłem już pogodzić się z cyniczną możliwością, że może istnieć plan uratowania stingerów. Może talib, który mnie wczoraj zaczepił, czekał na mnie, ponieważ zapłacono mu lub namówiono go, by mnie unieszkodliwił bądź zabił. Może w ogóle nie był talibem. Może Sattar, mój główny podejrzany, obserwował dom, zauważył, że wychodzę w poniedziałki i wtorki, i zorganizował wszystko tak, żebym w drodze do domu natknął się na tego mężczyznę. Ale całe planowanie i wysiłek, którego wymagałaby realizacja tego planu, jak również fakt, że można było znaleźć znacznie prostszy sposób na zaaranżowanie mojego zniknięcia, sprawiają, że ten wariant jest mało prawdopodobny. Choć nie wykluczam go całkowicie.

Cały kłopot z drobnymi spiskami jest taki, że prowadzą do większych. Gdy rozważam możliwość istnienia planu, według którego stingery miałyby zostać z rozmysłem oddane w niepowołane ręce, przypominają mi się słowa Grace, że pewni ludzie w Ameryce tylko czekają na wymówkę, by zaatakować Afganistan. Potrzebują jedynie powiązać ten kraj z aktem terroryzmu dokonanym na terytorium USA. A stingery byłyby odpowiednim narzędziem. Tyle że szanse na planowane zaangażowanie wojsk amerykańskich w operację w Afganistanie wydają się tak znikome, że muszę odrzucić podobną ewentualność.

Jasna strona jest taka, że gdyby spotkanie z noszącym turban i kabeł talibem rzeczywiście było chytrą próbą powstrzymania nas, to zamiar ten się nie powiódł. Jeśli szybko wyruszymy, znacznie zmaleją szanse na to, że przeciwnik spróbuje drugi raz. Jestem przekonany, że mam rację, i dzielę się tym pomysłem z H, gdy odwiedza mnie następnego ranka.

- Ruszajmy teraz - mówię.
- Co, że niby dzisiaj? Skąd ten pośpiech? Musisz odpocząć.
- Nie. Zbierzemy ludzi bez uprzedzenia. Nikt nie będzie miał czasu się wygadać.
- Mówisz poważnie? Niech no ci się przyjrzę.

Siadam na krawędzi łóżka, a H ogląda ciemnoczerwone obrzęki na moich plecach i brzuchu. Wokół nich zaczęły pojawiać się ciemne siniaki. Skóra nie popękała, ale całość i tak sprawia wrażenie, jakbym uległ niezwykłemu wypadkowi z udziałem ogromnego rożna. Ciekawe czy zostaną blizny.

- Daj sobie jeszcze dzień - radzi.

Wtedy dokonujemy nowego odkrycia. Proszę H, żeby wyciągnął apteczkę, upchniętą razem z resztą wyposażenia na strychu. W ostatniej chwili daję mu też swój telefon, dzięki któremu sprawdzi światłem ultrafioletowym znaki na torbach i walizkach. Wraca z apteczką, ale zmienił się jego wyraz twarzy.

- Jak oznaczyłeś nasze rzeczy? - pyta.

- Podłużnymi, pionowymi liniami łączącymi się z liniami na podłodze.

- W takim razie - mówi - albo mamy na poddaszu cholernie wielkiego afgańskiego szczura, albo ktoś tutaj buszował. Linie do siebie nie pasują.

Kilka ostatnich dni spędziliśmy poza domem. Możliwe, że jakiś zdeterminowany gość zainteresował się naszymi rzeczami. Pytamy o to siedzącego na dole opiekuna domu, który odkrzykuje, że nie było żadnych gości, ale dodaje, że czasami wychodził.

- Wczoraj po powrocie nie sprawdziłem drzwi. Byłem rozkojarzony - mówię.

- No tak - zgadza się H - raczej nie miałeś do tego głowy.

To nieprzyjemne uczucie. Nie pozostaje nic innego, jak sprawdzić całe wyposażenie i pozostawione w samochodzie zapasy. Zaczynamy od strychu. Znosimy wszystko do pokoju i uważnie oglądamy każdy przedmiot szukając śladów wskazujących na to, że ktoś przy nich majstrował. H sprawdza nawet, jeden po drugim, naboje do browningów. Wszystko jest na swoim miejscu i wygląda na to, że nikt ich nie dotykał.

Następnie schodzimy do garażu i rozładowujemy samochód, szczególną uwagę poświęcając materiałom wybuchowym. H wyjmuje i obwąchuje każdą bryłkę plastiku. Rozwijamy lont, po czym owijam nim ramię, sprawdzając długość, i ponownie zwijam go na szpulę. To samo robimy z lontem detonującym. Detonatory są nienaruszone.

Jeśli nic nie zniknęło, to może coś podrzucono. Najpewniej bombę. Mniej prawdopodobny byłby nadajnik podający naszą lokalizację. Zarówno jedno, jak i drugie, zajmowałyby sporo miejsca. Przejeżdżamy dłońmi po wszystkich szwach w kabinie samochodu, sprawdzając czy na siedzeniach, desce rozdzielczej lub dywanikach nie ma śladów wskazujących, że przesuwano je lub modyfikowano. Szukamy dodatkowych kabli przy zapłonie i desce rozdzielczej. Kładziemy się i z latarkami w dłoniach przeszukujemy wnęki kół, zderzaki i podwozie. Następnie wytaczamy samochód na światło słoneczne i

zaglądamy pod maskę, ale zanim ją w pełni otworzymy, przejeżdżamy pod nią kawałkiem papieru, szukając ewentualnych pułapek. Zaglądamy do baku, chłodnicy, zasobników i obudowy lamp. Zdejmujemy wszystko, co się tylko da.

Ale nie znajdujemy ani bomby, ani nadajnika. Nie zainstalowano przełącznika przechyłowego, który włączyłby się w chwili, gdy samochód wjedzie na pochyłość. Niczego też nie brakuje. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem sam nie poprzesuwałem rzeczy na strychu. Nie jestem pewien.

Jest późne popołudnie. Przez resztę dnia pakujemy się, decydując się na wyjazd nad ranem, nie informując o tym opiekuna domu ani nie dając uprzednio znać reszcie ludzi. Koperta zawierająca list z podziękowaniami i hojny napiwek będzie odpowiednim wyrazem wdzięczności.

Zaraz po wschodzie słońca jedziemy do niespodziewającego się nas pana Raoufa.

- Musimy natychmiast ruszać - mówię. - Przykro mi.

- *Moshkel nist* - nie ma sprawy, odpowiada. Wzywa pozostałych przez krótkofalówkę. Czekając na ich przybycie pytam, czy mogę sprawdzić pocztę na jego komputerze. Podsuwa mi krzesło, zauważając, że siadam z grymasem bólu. Nie wiem, czego się spodziewać po tym sprzęcie, bo modem włącza się dopiero po tuzinie prób. Loguję się na bezpieczny serwer Firmy, szyfruję i przesyłam zawartość pamięci korzystając z osobistego klucza publicznego i proszę pana Raoufa o przechowanie dla mnie oryginału w sejfie, razem z moim drugim paszportem. I wtedy spotyka mnie niespodzianka.

- Mam coś dla was - mówi. Wyciąga spod biurka i z dumą wręcza mi Kałasznikowa AK-74SU ze składaną kolbą.

- Na drogę - dodaje.

Gdy mi go podaje, H unosi brwi, zaskoczony. To kompaktowy karabinek strzelający amunicją kalibru 5,45 mm o małej sile odrzutu i lufie krótszej niż w zwykłym AK. Łatwy do ukrycia pod kurtką czy fotelem samochodu, dzięki czemu jest niezwykle popularny wśród kierowców i ochroniarzy, jak również w rosyjskich tajnych służbach. To hojny dar, bo pan Raouf na pewno jest mocno przywiązany do tak rzadko spotykanej i niezwykle cenionej broni, obiecuję więc zwrócić ją w drodze powrotnej. Kiwa z powagą głową, jakby chciał powiedzieć „gdy wrócicie”. A przynajmniej mam nadzieję, że to właśnie ma na myśli, a nie „o ile wrócicie”.

W mojej ojczyźnie droga stanowi środek do osiągnięcia celu. Jest pozbawiona znaczenia, w zasadzie nie przykuwa uwagi i człowiek nie rozważa nawet możliwości, że

obróci mu się w pył pod kołami, gdy on będzie myślał o celu wyprawy. Koniec podróży wiąże się w oczywisty sposób z osiągnięciem celu.

Ale w Afganistanie te zasady ulegają odwróceniu. Droga od samego początku angażuje uwagę. Wymaga wysiłku, wytrzymałości i determinacji. Dosłownie rozpada się w pył pod kołami samochodu, nie pozwalając o sobie zapomnieć. Tymczasem cel podróży staje się pojęciem abstrakcyjnym, osiągnięcie go nie jest tak pewne, a im dłużej trwa twoja wyprawa, tym większym czujesz się głupcem, ślepo zakładając, że na pewno do niego dotrzesz. Krótko mówiąc, droga staje się celem samym w sobie, a osiągnięcie punktu docelowego - luksusem.

Na naszą karawanę składają się dwa samochody. Prowadzi biała toyota - pikap trustu z Sher Delem, Arefem i Momenem w środku. Ja i H jedziemy za nimi. Na drzwiach i maskach przykleiliśmy otrzymane od pana Raoufa winylowe naklejki identyfikujące nas jako jedną z wielu organizacji charytatywnych operujących w tej części świata, co pomaga ukryć prawdziwy cel naszej misji.

Gdy przejeżdżamy przez zniszczone zachodnie przedmieścia, niebo jest błękitne i bezchmurne. Na peryferiach miasta kończy się utwardzona nawierzchnia. Kiedyś, lata temu, była tutaj, ale po prostu się starła. Została po niej tylko blada szrama, na której samochody podskakują i lawirują, wzbijając w powietrze chmury białego kurzu. Zasady ruchu drogowego są jedynie kwestią przyjętej konwencji.

Patrząc przed siebie, dostrzegamy poprzez pył długie łańcuchy górskich szczytów, wznoszących się na północ i południe od miasta. Mamy wczesną wiosnę, granie przykryte są lodem, a leżące poniżej, wypełnione śniegiem rynny przypominają barwy orki. Trudno uwierzyć, że tak piękny kraj ogarnięty jest od wielu lat wojną. Przypominają o tym zniszczone pojazdy opancerzone, stojące na skraju drogi, niczym okręty porzucone przez marynarzy, gdy osiadły na mieliźnie.

Godzinę drogi od centrum droga się rozwidla. Jadąc na północny zachód dotrzemy do Paghama, na południe zaś - do Ghazni. Wybieramy drugą odnogę i wyjeżdżamy na Maidan Shahr, naturalną przełęcz osłaniającą zachodnią stronę miasta. Godzinę później, na kolejnym skrzyżowaniu, odbijamy w kierunku południowej górskiej prowincji Wardak, gdzie droga jest jeszcze gorsza.

To afgańska wersja drogi klasy B, praktycznie nieprzejezdna według zachodnich standardów, ale nie najgorsza wedle afgańskich, tyle że ze względu na nieustanne podrzucanie i kołysanie człowieka ma wrażenie, że jest na łodzi, a nie w samochodzie. Od czasu do czasu kamieniste podłoże przechodzi w ubitą ziemię i chrzęst kamieni pod kołami

milknie, jakby przerwano ostrzał. Ale kilka kilometrów dalej znowu musimy zмагаć się z pyłem i skałami.

Wczesnym popołudniem zatrzymujemy się, żeby kupić jabłka na ustawionym przy drodze straganie. Podczas gdy ja rozmawiam z rolnikiem, nasi ludzie wyciągają swoje *pattus*, rozwijają je i zaczynają popołudniowe modlitwy.

Otoczeni przepięknymi pejzażami jedziemy na zachód, przez długie, szerokie, wijące się doliny. Zbocza gór łagodnie spływają ku ich szmaragdowej mozaice. Za Jalrez stoki stają się bardziej strome, a trawę zastępują ciemne skały, których coraz więcej pojawia się po obu stronach drogi.

Kilka godzin później słyszę w krótkofalówce głos Arefa.

- Zbliżamy się do Gardandiwal - mówi. - Powinniśmy tu przenocować. Nie uda nam się już dzisiaj dojechać do Bamiyan.

Gardandiwal ulokowane jest w miejscu, gdzie stykają się cztery pasma górskie i budzi skojarzenia z prymitywną wioską poszukiwaczy złota rodem z XIX wieku. Znajdujemy dla siebie miejsce w małym *mehman-khana*⁶¹, pod skupiskiem domów o ścianach z błota, które wypełniają zbocze. O zachodzie słońca siadamy na drewnianej werandzie, a właściciel przynosi nam kebaby i ryż. Płynąca przez tę miejscinę rzeka to Helmand, tłumaczy nam. Zaczyna swój bieg w górach na północnym wschodzie, przepływa przez środek kraju i poddaje się wreszcie pustyniom za Kandaharem.

W dalszą podróż ruszamy niedługo po świcie. Droga zaczyna prowadzić pod górę, ze szczytami napierającymi na nas z obu stron. W tym rejonie nie trwają walki, ale następnego dnia mijamy kilka jadących w przeciwnym kierunku furgonetek z uzbrojonymi pasażerami. Wygląda na to, że wracają właśnie z bitwy i mają za sobą długą podróż - ich ubrania, turbany i broń pokryte są grubą warstwą piasku. Ciekawi mnie skąd przyjeżdżają i dokąd jadą. Brali chyba udział w niedawnych walkach w Yakawlang i wokół niego, a teraz wracają do Kabulu, unikając północnej trasy wiodącej przez równinę Shomali, gdzie oddziały Masuda dręczą innych bojowników.

Znajdujemy się niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów od stolicy, ale można odnieść wrażenie, że cofnęliśmy się w czasie o kilka stuleci. Zbliżając się do przełęczy Hajigak zauważamy ekipę budowlaną wycinającą drogę z górskiego stoku i robimy sobie przymusowy postój, przepuszczając ciężarówki jadące w przeciwnym kierunku. Nie widać żadnych maszyn. Tylko pięciuset pracujących w szaleńczym tempie mężczyzn wyposażonych w kilofy

⁶¹ W krajach Azji Centralnej termin *mehman-khana* oznacza pokój dla gości lub hotel (przyp. tłum.).

oraz łopaty, ryjących i wyrównujących czarną skałę. Gdy tak im się przyglądam, znowu odnoszę wrażenie, że cofnęliśmy się w czasie.

Nie można tego poczuć przyglądając się mapie. Strefa oddziaływania Kabulu zniknęła równie szybko, co wrzucony do studni kamień.

- Zobacz - zwracam się do H, wskazując rozbijających kamienie ludzi - afgańska infrastruktura.

- Już rozumiem, dlaczego Sowieci ponieśli tutaj klęskę - odpowiada. - Najeżdżając kraj musisz przejąć kontrolę nad jego infrastrukturą. A tutaj jej po prostu nie ma.

H ma rację. Afgańczykom tak niewiele potrzeba do przetrwania, że atakująca armia nie ma nad czym przejmować kontroli. Nie istnieją tu mechanizmy, za których pośrednictwem rząd wpływa na swoich obywateli. Władza, jak i pogoń za nią są od siebie oderwane i mają przede wszystkim lokalny charakter, rząd centralny zaś nigdy nie miał dla Afgańczyków większego znaczenia. Stolica nie wpływała w znaczący sposób na życie wsi, pomijając ściąganie podatków i nabór do wojska. Afgańską wieś tworzą społeczności polegające na miejscowych prawach, opracowanych z myślą o ochronie marnych zasobów. A ponieważ Afgańczyków karmi ziemia, to i ich życie skoncentrowane jest na czymś tak prozaicznym jak przetrwanie, nie zaś na abstrakcyjnych dla nich celach politycznych lub społecznych. Osiemdziesiąt kilometrów od stolicy, a może nawet i osiem, mógłby się już rozciągać inny kraj.

Zatrzymujemy się na szczycie przełęczy Hajigak, żeby nasycić oczy spektakularnym widokiem. Nasi towarzysze oddają się modłom przy samochodach. Silniki pachną gorącem. Szczyty na wschód i zachód od nas wznoszą się na wysokość czterech i pół kilometra, a droga za i przed nami zatacza łuk, zakręcając ku przecinającym się bocznym graniom dolin. Nagle, tuż spod naszej linii wzroku, wyłania się jakby spod ziemi mężczyzna w ogromnym, brązowym turbanie w towarzystwie dwójki uśmiechających się od ucha do ucha przyjaciół. Widok jest surrealistyczny, biorąc pod uwagę fakt, że stracił prawą nogę od wybuchu miny i musiał się wspiąć na przełęcz o kulach. Przypatruje się nam z niemym uśmiechem, obnażającym szeroką lukę w miejscu wybitego zęba. Zdumiewa mnie, jak twardym jest człowiekiem, i wręczam mu kilka afganów za podjęty wysiłek, zastanawiając się jednocześnie, jaki dystans dzieli go jeszcze od domu.

Do doliny Bamiyan dojeżdżamy długą, wijącą się w dół drogą. W trakcie tego powolnego zjazdu dochodzę do wniosku, że tutejsze formacje skalne zawierają całe spektrum kolorów, pogłębiających się ku purpurowemu odcieniowi czerwieni im bliżej jesteśmy dna doliny i im bardziej odbijamy na zachód, ku miejscu, gdzie wznosiły się słynne posągi

Buddy. Przelotnie zauważam schody, ściany i zniszczone galerie na urwiskach nad nami, przypominające mi, że Bamiyan było kiedyś buddyjskim stanem opierającym się swoim muzułmańskim suwerenom jeszcze długo po ich przybyciu w VII wieku. Sceneria tego miejsca od zawsze urzekła odwiedzających. Może to pora dnia sprawia, że światło wyjątkowo zachwyca. Teraz, gdy uwolniliśmy się z uścisku gór, dolina wydaje się miejscem delikatnym i uroczym, gdzie smukłe topole okalają brzegi rzeki, a ich jasne liście migoczą w łagodnych promieniach popołudniowego słońca.

- Powalające widoki - stwierdza H. - Myślałem, że Afganistan to tylko skały i pustynia, ale myliłem się.

Blżej miasta, w fałdach czerwonego kamienia nad nami udaje się rozróżnić sypiące się wieże i szanice innej, od dawna porzuconej ufortyfikowanej osady. To Shahr-e Gholghola, Miasto Płazu, zrównane z ziemią w 1222 roku przez Dżyngis-chana, a przynajmniej takie krążą legendy.

Ale miasto wywołuje już inne uczucia. To dziwne, zobaczyć, że miejsce tętniącego życiem bazaru zajęły ruiny. Część miasta została dosłownie unicestwiona. Musiało tutaj dojść do ciężkich walk i część miejscowych hazarskich rodzin ratowała się ucieczką. W społeczeństwie afgańskim to nadal oni są najbardziej narażeni na ataki. Ich praktycznie autonomiczne królestwo zostało rozbite przez XIX-wiecznego króla Abdura Rahmana i od tamtej pory plemiona pasztuńskie traktowały ich jak niewolników. Ostatnio prowadzą wyjątkowo zajadłą walkę z talibami.

Krótkofalówka budzi się do życia z trzaskiem i dobiega mnie głos Arefa.

- Przed nami punkt kontrolny talibów - informuje nas. Momen przejmuję nadajnik.

- Upewnijcie się, że macie wystarczająco długie brody - mówi, chichocząc.

- Żeby tylko nie mierzyli nic innego - odpowiadam, ponieważ na temat talibów krąży wiele podobnych żartów. Obaj mężczyźni zaczynają głośno rechotać.

- Podjedź powoli i zatrzymaj się - mówię.

Czas zapoznać się z miejscowym dowódcą talibów. Aref i Sher Del kierują swoje kroki do wznoszącego się na skarpie nad nami małego posterunku, na którego dachu powiewa czarna flaga. Na spotkanie wychodzi im dwóch uzbrojonych mężczyzn. Nie zachowują się nieprzyjaźnie, ale są wyraźnie spięci, jakby wiedzieli, że nie tutaj jest ich miejsce. Kilku kolejnych opuszcza posterunek i okrążają samochód, ale nie mają odwagi go przeszukać.

H i ja wysiadamy, częstujemy ich papierosami, żeby przełamać lody i pytamy, czy możemy podejść do posągów Buddy. Stojący obok mnie bojownik krzywi się, jakby chciał zapytać na co nam to, ale rusza z nami. Przeprowadza nas przez labirynt schodów i tuneli, aż

wychodzimy nad wydrążoną niszą, z której ogromne posągi oglądały rozciągające się przed nimi krajobrazy przez półtora tysiąca lat. Ze szczytu można podziwiać fantastyczne, pokryte śniegiem szczyty na południu. Nieco bliżej dostrzegamy pędzącego ku nam czerwonego jeepa, pozostawiającego za sobą smugę pyłu.

- To ich dowódca - stwierdza H.

Spotykamy się z nim, wychodząc przez zakurzony otwór u podstawy niszy. Jest zaskakująco miłym człowiekiem, zaintrygowanym spotkaniem z obcokrajowcami i proponuje, abyśmy przyjęli na noc jego gościnę, mimo że nie mamy w tej kwestii większego wyboru. Jedziemy za nim do ufortyfikowanego kompleksu, za bramą parkujemy samochody i wypakowujemy swoje rzeczy.

Czy to przez grzeczność, czy też ze względów bezpieczeństwa, na każdym kroku towarzyszy nam uzbrojony talib. Podejrzewam, że obie te przyczyny odgrywają po trochu swoją rolę. Oddano nam do dyspozycji podłużny, zasłany dywanami pokój i wypijamy tam pierwszą z wielu szklanek herbaty. Wraz z zapadnięciem zmroku pokój wypełnia stopniowo około trzydziestu uzbrojonych mężczyzn.

- Przypomina to kolację w Notting Hill - stwierdza H na widok bojowników odkładających na bok swoje AK niczym serwetki. Magazynek są sklezione taśmą po dwa, tak żeby nie musieli szukać nowego, gdyby go potrzebowali.

Dowódca ma około trzydziestu lat. Podczas posiłku siedzimy obok niego. Co dziwne, manery ma współczesne, co sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy dorastał w Pakistanie. Nie zachowuje się tak formalnie, jak większość Afgańczyków i brak mu ich rezerwy. Bez ogródek pyta mnie o pracę, jaką przyjechaliśmy wykonać. Wyjaśniam, że nawet w Anglii ważnym problemem jest udzielenie Afganistanowi pomocy w walce z minami. A ponieważ w Afganistanie wszystko sprowadza się do kwestii udowodnienia przywiązania do kogoś i powołania się na potężnych nieznajomych, zmyślam mowę królowej, której faktycznej władzy nie są w stanie ocenić, a która pragnie, by Afganistan stał się oazą pokoju i bogactwa. Daję do zrozumienia, jak bardzo będzie wdzięczna za pomoc, jaką uzyskamy tutaj, w Bamiyan.

- Ostatnim razem pokonaliśmy Brytyjczyków, którzy przybyli do Afganistanu - stwierdza radośnie.

- Wtedy wojna wyglądała inaczej - odpowiadam - a bitwy prowadziło się twarzą w twarz.

- Może tu jeszcze wrócą - mówi z uśmiechem - i będziemy mogli stawić im czoła w taki sam sposób.

Gdy zapada zmrok, bojownik pokazuje nam nasz pokój. Jesteśmy w drodze dopiero od kilku dni, ale z jakichś powodów czujemy się, jakby minęły już tygodnie. Przez chwilę zastanawiamy się, gdzie się położyć - przy drzwiach czy przy oknie.

- Jeśli chcą kogoś zabić - informuję H - zwykle robią to, zrzucając mu na głowę kamień.

- Mając tyle broni niepotrzebne im kamienie.

- Zapominasz, jak oszczędnymi ludźmi są Afgańczycy. Używając kamienia zaoszczędzą kulę.

- No cóż - odpowiada - lepiej, żeby był spory. Mam dość twardą głowę.

Następnego ranka odjeżdżamy bez uszczerbku na zdrowiu. Dowódca wręczył nam napisany ręcznie list zezwalający na podróż aż do Yakawlang, ale gdy minimy ten punkt, niczego już nie będzie mógł zagwarantować. Cieszę się, że udało nam się zdobyć ten list. Po drodze na zachód mijamy kilka punktów kontrolnych i na każdym zatrzymuje nas dwóch bojowników. Zachowują się jak gbury, ale ulega to zmianie, gdy tylko otrzymują i przekazują sobie z rąk do rąk przywieziony przez nas list. W pierwszym samochodzie jadą właściwie dobrane osoby. Nie dość, że Sher Del jest Pasztunem, to jego biała broda i pewność siebie zapewniają mu autorytet, którego nikt łatwo nie podważy. Aref perfekcyjnie odgrywa rolę bufonowatego administratora. Żaden z nich nie budzi najmniejszych podejrzeń.

Za Bamiyan wysokie góry rozdzielają się, pas ziemi uprawnej rozszerza się na kilka kilometrów, a obok nas pojawia się połyskujący warkocz rzeki z okalającymi ją topolami. Niższe, czerwone wzgórza są nagie i w porównaniu z ich surowością dolina, ze swoimi zadbanymi polami, wywołują wrażenie jeszcze bardziej łagodnej.

Po południu docieramy do Yakawlang, gdzie tankujemy samochody i zjadamy posiłek, na który składa się kilka kebabów. W mieście panują nieciekawe nastroje i wygląda na to, że ucierpiało w trakcie ostatnich walk, co potwierdza widok kilku porzuconych pojazdów opancerzonych. Nie chcemy marnować czasu, więc odjeżdżamy na południe, w góry, kierując się ku Panjabowi. Praktycznie nie widać samochodów, ale mijamy kilka rodzin z mozołem prących przed siebie, z dobytkiem upakowanym na osłach. Kobieta kurczowo trzymająca dziecko prosi nas o pieniądze. W oczy rzuca się jej desperacja; twierdzi, że talibowie zmusili ją do opuszczenia domu. Jej twarz i gesty prześladowają mnie w trakcie dalszej podróży na południe. Jedziemy po drodze, która jest w coraz gorszym stanie, zwalniając coraz bardziej. Kilka razy dostrzegamy wraki ciężarówek, które spadły z drogi do rozciągających się poniżej wąwozów.

Gdy zbliżamy się do przełęczy Isharat, samochód na przedzie łapie swoją pierwszą gumę, więc gdy Aref i Sher Del zmieniają koło, wraz z H wysiadamy z samochodu, by nacieszyć się nadzwyczajnym widokiem.

- Nie widziałem drugiego takiego miejsca - mówi. - Każdy kolejny region różni się od poprzedniego, jakby należały do różnych krajów. Tutaj nie da się wygrać wojny.

Pytam, dlaczego tak uważa.

- Chodzi o ludzi. Za bardzo są związani z tym miejscem. Nigdy się nie poddadzą.

Spoglądamy na wschód, gdzie niecałe pięćdziesiąt kilometrów od nas błyszczące od lodu wierzchołki Koh-e Baba wznoszą się ponad inne szczyty. Purpurowa mgiełka osiada na krajobrazie, a mając w pamięci nieustanne szarpanie podczas jazdy, panująca tu cisza jest wręcz wszechogarniająca. H recytuje przyciszonym głosem fragment wiersza.

Myśmy pielgrzymi, panie; sięgniemy

Zawsze dalej: bywa że

Poza górę ostatnią z błękitnych, ogrodzonych śniegiem,

Poprzez to gniewne lub inne, połyskliwe morze⁶²

- To wiersz Pułku - wyjaśnia, jakby wybudzając się z transu. - Nie znam ciągu dalszego. Spogląda za siebie, ponad ciemniejące szczyty góry. - Cieszę się, że tu jestem. To wyjątkowe miejsce.

- Czegoś ci nie powiedziałem - zaczynam.

- To normalne - odpowiada. - Ja tobie też nie.

- To znaczy?

- Na przykład, że zabiłem mojego przyjaciela - odpowiada po chwili ciszy.

Jestem wstrząśnięty, choć nie wiem, o co może mu chodzić.

- Jak? Kiedy?

- W Kuwejcie. Ten zespół, który odbił twojego libańskiego koleżkę - należeli do Pułku. Zdjąłeś ich dowódcę.

Przez wszystkie te lata nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego człowiek, którego zabiłem, zawahał się mierząc do mnie.

- Nie miałem pojęcia - mówię.

- I prawidłowo. To była operacja specjalna. Mieliśmy udawać izraelski oddział. Najdziwniejsze jest w tym wszystkim to, że to ja miałem wtedy dowodzić. - Uśmiecha się. -

⁶² James Elroy Flecker, *The Golden Journey to Samarkand*, tłum. Jan Daruk (wiersz nie pojawił się w Polsce w wersji drukowanej, tłumaczenie pochodzi ze strony internetowej tłumacza - przyp. tłum.).

To mnie byś wtedy podziurawił.

- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.

- Miał na imię Kenny. Chyba był z północy, z Glasgow. Kiedy coś mówił, nie rozumiałem co drugiego słowa. Sam go o mało nie zabiłem podczas ćwiczeń odbijania zakładników. Tak to bywa. - Strzepuje z ramienia pył. - A ty czego mi nie powiedziałaś?

Zastanawiam się, ile powinienem wyjawić, ale moc tej ziemi zdążyła już nas obedrzeć z tajemnic i nie widzę sensu czegokolwiek przed nim ukrywać. Więc dzielę się tym, czym mogę, aż do spotkania z Manny'm w Kabulu, włączając w to plan, który ułożyliśmy razem w ruinach pałacu Darul Aman.

O zmierzchu zatrzymujemy się w małej osadzie, gdzie zasypiamy w śpiworach na podłodze malutkiego pokoiku. Nad ranem starzec, który udzielił nam gościny, przynosi paczuszkę owiniętą w gazetę i mówi, że chciałby nam pokazać coś bardzo starego. Odwija tuzin małych, żółtawych figurek, na oko rzeczywiście wyglądających, jakby miały już swoje lata, i wyjaśnia, że znaleziono je w okolicy. Według jego słów mają pochodzić jeszcze z czasów *Yunnan*, Greków. Przedstawiają mężczyzn o szeroko otwartych oczach i długich wąsach, noszących na głowach korony lub ozdobne opaski. Ich twarze wyrzeźbiono z jakiejś kości lub kłów. Z wyglądu bardziej przypominają figury szachowe z Lewis niż cokolwiek z tej części świata i nie sposób nie zadumać się nad tym, do jakiej, niezbadanej jeszcze części historii tego regionu należą. Następnie pokazuje nam tajemniczy, owalny kamienny talizman, na którym przedstawiono uzbrojonego w kopię żołnierza odzianego w coś przypominającego kilt i sandały z długimi, skózanymi paskami, jak u centuriona. Pismo nie przypomina żadnego, które bym znał.

Następnego ranka okrążamy od północy Panjab i rozpoczynamy powolną, pełną zakrętów podróż na południowy zachód, opuszczając prowincję Bamiyan i wjeżdżając do kolejnej, Oruzgan. Zajmuje nam to pięć dni. Krajobraz wydaje się jeszcze bardziej dziki i w mniejszym nawet stopniu dotknięty wpływami świata zewnętrznego. Tracimy cały dzień, gubiąc drogę i odnajdując ją na nowo, wjeżdżając w doliny, gdzie trasa kończy się u podnóża gór lub przechodzi w usianą kamieniami dzicz. Jestem zaskoczony, gdy następnego dnia Aref pokazuje nam stare radzieckie mapy wojskowe z lat osiemdziesiątych w skali 1:200 000, dużo lepsze od tych, z których teraz korzystamy. Wszystkie nazwy zapisane zostały cyrylicą, więc przetłumaczenie ich na angielski, a potem na perski zajmuje nieco czasu, ale są zdumiewająco szczegółowe.

Problem polega jednak na tym, że miejscowi nie znają nazw wiosek nawet w promieniu kilku kilometrów, podając nam w efekcie sprzeczne ze sobą informacje. Nigdy nie

zdarzyło się im jechać do tych osad, ponieważ podróżują ścieżkami, z których my nie możemy skorzystać. Dla wieśniaków jesteśmy wręcz przybyszami z odległej planety i przy każdym postoju nieustannie padają pytania o nasze pochodzenie, zadawane przez ludzi ledwie świadomych faktu, że toczy się wojna.

W jednej z wiosek pewien melancholijny ślepiec wyśpiewuje nam, że nasza podróż zakończy się w ogniu. W kolejnej natykamy się na mężczyznę z tańczącym niedźwiedziem i odwiedzamy grób nastolatka, którego ciało podobno nie poddało się rozkładowi przez ponad trzy lata po śmierci. W jeszcze kolejnej podwozimy z jednego końca doliny na drugi staruszek ze zniekształconą stopą, który prowadzi ze sobą owcę z grubym ogonem. Dzień drogi od fortu to osobliwe otoczenie wydaje się nam bardziej rzeczywiste od naszej misji.

Gdy docieramy do Sarnay, pokonując spektakularną, ostatnią już na naszej drodze przełęcz, wznosząca się pomiędzy dwoma szczytami sięgającymi czterech kilometrów wysokości, czujemy się, jakby udało się nam wyrwać z uścisku gór. Przed nami kolejne szczyty, ale żaden z nich nie sięga wyżej niż trzy kilometry i od tej chwili będziemy jechać już tylko dnem doliny. W *mehman-khana*, gdzie nocujemy, natrafiamy na niespodziewane źródło informacji.

W tym samym miejscu, co i my, zatrzymał się żylasty, jowialny staruszek, który przyszedł tutaj ze swoim osłem z wioski Daymalek, oddalonej o szesnaście kilometrów. Gdy właściciel przybytku zapala kilka lampek naftowych i rozstawia je wokół nas, staruszek dołącza do naszego grona. Opowiada, jak to w czasie dżihadu przemycał przez radzieckie punkty kontrolne broń na grzbiecie swojego osła.

- Prawdziwy z niego przemytnik - żartuje Aref - sławny w całym Afganistanie.

Starzec wciąga ze świstem powietrze, zachwycony tym komentarzem.

- Co tam ostatnio szmuglujesz, *Hajji*? - pyta przekornie Sher Del. - Możesz nam powiedzieć, nie wygadamy.

- Osły! - wykrzykuje staruszek, a wszyscy w pokoju wybuchają śmiechem. - Tuż pod nosami tych przeklętych Arabów! - chichocze.

Słyszac to milkniemy, a staruszek zastanawia się, co też takiego powiedział.

- *Hajji* - mówi Aref - przecież w okolicy nie ma Arabów.

- *Wallah* - odpowiada. - Na Boga, są. Na skrzyżowaniu dróg między Sharow a Dasht, niecałe pół dnia drogi piechotą stąd. Ludzie bez kultury - dodaje lekceważąco. - Słyszałem już arabski, wiem jak brzmi. To Arabowie. I ubierają się też nie tak jak trzeba.

Musimy zrewidować swoje plany, ponieważ w dolinie przed nami znajduje się punkt kontrolny Al-Kaidy.

Rankiem, gdy zostajemy sami, przeglądamy mapy. Z doliny nie da się wyjechać omijając punkt kontrolny, ale zgadzamy się co do tego, że jeśli rzeczywiście znajdują się tam członkowie Al-Kaidy, to nie będą zadowoleni z wizyty obcokrajowców.

Z rozważą podążamy w głąb doliny, a gdy docieramy za wioskę Dasht, wraz z H wchodzimy na grzbiet górski na tyle wysoki, że można z niego obserwować punkt kontrolny. Wspinamy się ukradkiem, nie wychodząc ponad linię gór i pół godziny później zajmujemy pozycje pomiędzy dwoma głazami, skąd rozpościera się widok na dno doliny.

H wyciąga teleskop Kite i ostrożnie ustawia go, osłaniając przed słońcem. Następnie przystawia celownik do oka i przekręca pierścień sterowania ostrością na okularze. - Nie ma wątpliwości, to punkt kontrolny - mówi. - Na dachu RPK⁶³. Z tyłu generator. I wygląda na to, że mają łączność. Rzuć okiem na antenę. Lepiej, żebyśmy z nimi nie zaczynali. - Podaje mi Kite. - Co możesz powiedzieć o tych koleśiach przed budynkiem, obok jeepów?

Przystawiam celownik do oka, a świat nagle szybko się zbliża przez pobłyskujące, rozedrgane powietrze. Są osiemset metrów od nas, ale wyraźnie widzę mężczyznę opierającego się o budynek, z jedną nogą zgiętą i przypartą do ściany. Podnosi rękę, wkłada do ust papierosa. Rozmawia z nim drugi mężczyzna, który po chwili odwraca się i wchodzi do budynku. Na klatce piersiowej ma okazałych rozmiarów parczany pas. Obaj noszą przewieszane przez ramię AK. Od pozostałych odróżnia ich to, że zamiast tradycyjnych szarawarów noszą pustynne bojówki i żadnego nakrycia głowy, rzecz wręcz nie do pomyślenia dla Afgańczyka. Nie poruszają się też jak Afgańczycy, choć to akurat trudniej określić. Relacjonuję to wszystko H.

- Czas na naradę - odpowiada. Zasłania lunetę i chowa ją, po czym schodzi poniżej linii gór.

Pozostali czekają na dole. Uzgadniamy plan. H, ja i Momen przejdziemy piechotą do sąsiedniej doliny leżącej na północ od nas, przekroczyliśmy rzekę Kadj i dołączymy do pozostałych w wiosce Garendj. Zabierzemy ze sobą lunetę, krótkofalówkę i browningi. Wezmę też ze sobą AK pana Raoufa, żeby talibowie nie wyciągnęli konsekwencji wobec reszty grupy, gdy znajdą go w ich samochodzie. Przed wyruszeniem w drogę upewnimy się jeszcze, obserwując punkt kontrolny z górskiego grzbietu, że reszcie udało się wynegocjować bezpieczny przejazd.

- Ale jeśli przekroczycie rzekę, to wasze wyposażenie będzie do wyrzucenia -

⁶³ Ręczny karabin maszynowy produkcji radzieckiej (przyp. tłum.).

protestuje Sher Del.

- Powiedz mu, żeby się tym nie martwił - odpowiada H. - I nie korzystajcie z radia - poucza Arefa. - Trzymaj je włączone w kieszeni, a jeśli coś będzie się działo, naciśnij trzy razy przycisk rozmowy.

Aref kiwnięciem głowy daje znać, że zrozumiał.

- Co zrobimy, jeśli coś rzeczywiście będzie się działo? - pytam H.

- Ujawnimy się - odpowiada, obdarzając mnie jednym ze swoich gniewnych spojrzeń, i nie drażę już dłużej tematu. Zabieramy z samochodu wszystko, czego będziemy potrzebować i pakujemy to do Bergena.

Cała ta operacja zajmuje więcej czasu, niż się spodziewaliśmy. Z górskiego grzbietu obserwujemy, jak samochody docierają do punktu kontrolnego, gdzie jeden z talibów daje naszym towarzyszom znak, żeby się zatrzymali. Z pobliskiego budynku wychodzi kolejny bojownik, który zabiera się za lekturę zezwolenia wydanego nam jeszcze w Bamiyan. Aref wysiada z furgonetki, a po chwili dołącza do niego prowadzący mój samochód Sher Del. Talibowie krążą wokół pojazdów jak hieny osaczające ofiarę.

Irytujący widok. Jeszcze jeden talib obserwuje rozwój sytuacji z dachu budynku. Wszyscy znikają w środku, a piętnaście minut później Aref wraca do furgonetki po dokumenty. Towarzyszy mu jeden z zagranicznych bojowników i wygląda na to, że zasypuje go pytaniami.

Momen jest do tego stopnia zaskoczony przybliżeniem, jakie daje teleskop, że nie może się od niego oderwać. Zgadza się, że nie mamy do czynienia z Afgańczykami. Przez jakieś pół godziny obserwujemy na zmianę punkt kontrolny, na głos relacjonując, co widzimy. Od czasu do czasu jeden z naszych towarzyszy wychodzi na papierosa, dając wyraźny znak, że na razie wszystko jest w porządku, po czym wraca do środka, dołączając do wyraźnie przeciągającej się rozmowy.

- A może - mówi Momen, uśmiechając się w charakterystyczny dla siebie, szelmowski sposób - talibom brakuje towarzystwa i chcą się zaprzyjaźnić.

Po upływie kolejnej godziny nasi towarzysze opuszczają budynek i wracają do samochodów. H obserwuje, jak jeden z bojowników zajmuje miejsce na fotelu pasażera w pikapie.

- Kurwa mać - mówi przez zęby. - Sytuacja właśnie się skomplikowała. Dali nam eskortę. Czas ruszać.

Schodzimy z górskiego grzbietu, wspinamy się zboczem po przeciwnej stronie doliny i szerokim wąwozem znowu schodzimy w dół, na dno kolejnej, cały czas maszerując

wystarczająco wysoko, by wypatrywać wioski po drugiej stronie rzeki. Od czasu do czasu dostrzegamy skupiska niskich budynków z suszonej na słońcu cegły, ale nie wiemy, gdzie dokładnie znajduje się wioska, w której mamy spotkać się z pozostałymi. Możemy jedynie, opierając się na mapie, zbliżyć się do niej tak blisko, jak to możliwe i poczekać do zapadnięcia zmroku.

Gdy po drugiej stronie rzeki, jakieś pięćset metrów od nas, zauważamy sygnał, na który czekaliśmy, oddychamy z ulgą. To świecący w podczerwieni telefon satelitarny, który przyczepiłem do torby na dachu. Gołym okiem go nie widać, ale jeśli spojrzeć przez lunetę, będzie świecić jasno jak rakietka sygnalizacyjna.

W wybranym punkcie przy brzegu H starannie rozkłada nasze wyposażenie na środku brezentu, który zabraliśmy ze sobą. Rozbieramy się do bielizny i dokładamy do sterty nasze złożone ubrania. Wokół tego wszystkiego H układa chrust, żeby pakunek utrzymywał się na wodzie, zawija wszystko w brezent i związuje końcówki dwoma długimi kawałkami nylonowej linki. Następnie przekłada końcówki przez środek pakunku i wiąże je ze sobą. Na koniec odcina dwa krótkie kawałki liny do wspinaczki, na końcu każdej zawiązuje potrójny węzeł i wchodzi do przygotowanej w ten sposób pętli.

- Druga osoba przywiąże się tym do sprzętu - wyjaśnia, doczepiając mały karabińczyk do przygotowanych na poczekaniu pętli przeznaczonych dla mnie i Momena. - Trzeci przypina się do drugiego końca. - Luzuje zwoje liny i podaje mi ją. - Poluzuj i postaraj się nie puścić. Dam ci znak z drugiego brzegu. - Dokręca czerwony filtr do małej latarki.

- Daj mi trochę czasu, żebym znalazł się dokładnie naprzeciw ciebie. Jeśli macham na boki, wszystko jest w porządku, jeśli z góry na dół, to mamy problem i musisz poczekać.

Przyglądamy się z Momenem, jak wchodzi do szumiącej, czarnej rzeki. Odwraca się do nas.

- Nienawidzę zimnej wody - mówi, i w słabym świetle dostrzegam grymas na jego twarzy. Odpycha się i znika nam z oczu. Nurt miarowo szarpie liną, gdy niesiony prądem H płynie po przekątnej w dół rzeki, pokonując dystans dwukrotnie większy od jej szerokości. Wypatruję końca liny, próbując zgadnąć, jak daleko dopłynął, ale równomierne pociągnięcia uniemożliwiają zorientowanie się, gdzie wylądował.

Momen pierwszy dostrzega sygnał po przeciwnej stronie rzeki, naprzeciw nas. Wygląda to tak, jakby ktoś w oddali palił papierosa. Światło przesuwają się z boku na bok. Momen przypina się i podczepiamy do liny przygotowanej przez H tobolek.

- *Boro bekheir* - mówię. Powodzenia. On również znika w ciemności.

Gdy po raz drugi pojawia się czerwone światło latarki, odwiązuję linę od głazu i

wchodzę do rzeki. Jest nieprzyjemnie zimna, co skłania mnie do wymyślenia kilku nowych przekleństw. Ale wszelkie myśli znikają, gdy zaczynam ze wszystkich sił kotłować rękoma. Z satysfakcją zauważam, że lina jest napięta - pozostali ciągną ją z drugiej strony rzeki. Trzęsę się jak osika, gdy nagle, w ciemności, wyciągają mnie na brzeg. Pośpiesznie otwieramy nasz pakunek i wyjmujemy ubrania. Wszystko jest idealnie suche.

Wydaje się to dość banalne. Trzeba opuścić samochód, przeprowadzić go przez punkt kontrolny i spotkać się z resztą już po drugiej stronie. Tyle że ta na pozór prosta operacja sprawia więcej problemów, niż można by się spodziewać. Jest ciemno, a do tego zimno. Jesteś pokaleczony i posiniaczony, a nie możesz odpowiednio zająć się swoimi ranami. Nie znasz terenu. Do twojego samochodu dołączyła uzbrojona i potencjalnie wrogo nastawiona eskorta, zaś jedyny człowiek, który jest w stanie zapewnić ci bezpieczeństwo, może kontaktować się z tobą tylko potajemnie, przez krótkofalówkę, z której nie wolno mu skorzystać.

Na dodatek twoi przyjaciele przebywają właśnie w małej osadzie pełnej cywilów, co oznacza, że nie możesz ot tak sobie do niej wpaść, ponieważ wieści o twojej obecności stanowczo zbyt szybko dotrą do niepowołanych osób. Pozostaje więc uporać się w jakiś sposób z uzbrojoną eskortą, a do tego wykonać to zadanie z dala od oczu świadków. Tyle że nie wiesz, do którego budynku wejść, bo nie znasz rozmieszczenia ludzi. To nie film, w którym tego typu misję da się wykonać bez zawahania, a wszystko rozgrywa się z magiczną łatwością. Jesteś przemarznięty, sfrustrowany, zmęczony, głodny, a jedyne, co ci pozostaje, to czekać i obserwować, no i może jeszcze modlić się, żeby tylko bardziej się nie ochłodziło.

Późnym rankiem następnego dnia dowiaduję się, jak to jest należeć do gangu albo grupy porywaczy. Jest w tym coś niezwykle pociągającego. Talibański stróż stał się, niechętnie, ale jednak, naszym pasażerem. Siedzi na tylnym siedzeniu samochodu, jak zabawkowy piesek z kiwającą się na wszystkie strony głową, którego stawia się za tylną szybą. Tyle że ma afgańską chustę owiniętą wokół głowy.

Ten sukces zawdzięczamy po części Arefowi, który po zapadnięciu zmroku wyszedł z pokoju, gdzie zebrała się cała grupa, tłumacząc się potrzebą skorzystania z latryny. Będąc w niej, szeptem skontaktował się z nami przez krótkofalówkę. Wraz z kilkoma innymi podróżnikami zatrzymali się w prymitywnym *mehman-khana*, co uniemożliwiło podjęcie jakichkolwiek działań aż do rana, gdy pozostali wyruszą w drogę.

No i czekamy do świtu, na zmianę, po dwie godziny, obserwując domostwo z wysuszonego kanału nawadniającego, zaskakująco przytulnego, gdy zaczyna robić się zimno.

Nie możemy bardziej zbliżyć się do oddalonych od nas o kilkaset metrów samochodów, nie wychodząc z ukrycia. Wczesnym rankiem słyszymy powtarzające się trzy razy zakłócenia dochodzące z krótkofalówki - to Aref. Chwilę później słyszymy jego ponagląjący szept.

- Chodźcie - mówi.

Jesteśmy około trzydziestu metrów od samochodu, gdy z pobliskiego budynku wychodzą pozostali. Momen macha do nich. Aref i Sher Del odmachują, jakby zobaczyli właśnie starego przyjaciela. Ich talibański stróż odwraca się w naszą stronę, a na jego twarzy maluje się niepewność, ale nie sięga po broń. Ma dwadzieścia kilka lat. Na lewym ramieniu zwisa mu końcówka czarnego turbana. Niepewność przeradza się w konsternację, gdy H szybkim, jednoznacznym ruchem odbezpiecza swojego browninga i bierze mężczyznę na muszkę. Robię to samo, celując z AK-74 pana Raoufa, a Sher Del zabiera naszemu więźniowi broń i zawiesza sobie na ramieniu. H obwiązuje chustę na głowie zdumionego taliba.

- Lepiej, żeby za wiele nie widział - wyjaśnia, zaciskając węzeł. - Może jechać z nami. Posłucha tylko mojego marnego angielskiego.

Poniekąd współczujemy naszemu nowemu pasażerowi i nie możemy się powstrzymać od rzucenia kilku żartów na jego temat.

- Myślisz, że ma komórkę? Powiedz mu, żeby zadzwonił do swojej dziewczyny, będzie go mogła później odebrać - mówi H.

- Twierdzi, że nie ma dziewczyny Ale jest pewna śliczna oślica, za którą bardzo mu tęskno. - I tak dalej, ponieważ póki co to my jesteśmy górą.

Już tylko jeden górski łańcuch dzieli nas od celu. W linii prostej do fortu byłoby nieco ponad dwadzieścia pięć kilometrów, ale po górach nie da się jeździć samochodami i jesteśmy zmuszeni wybrać trzy razy dłuższą trasę omijającą góry od północy, a w dalszej części - od południa. Podróż zajmuje nam kolejne półtora dnia. Kilka kilometrów od celu przejeżdżamy przez małą osadę, Kadjran, w której zatrzymujemy się, żeby uzupełnić część zapasów. Nie chcemy rzucać się w oczy, więc szybko ruszamy dalej i rozbijamy obóz w opuszczonym zagłębieniu między wzgórzami. Według GPS-a od fortu dzieli nas już niecały kilometr. Ponieważ znajdujemy się w Afganistanie i musimy przestrzegać pewnych zasad, po zapadnięciu zmroku zdejmujemy chustę z głowy taliba i pozwalamy mu zjeść z nami. Po posiłku znowu związujemy mu ręce i wsadzamy do bagażnika pikapa, dając mu wcześniej koc.

Niebo niepostrzeżenie zmienia barwę z turkusowej na coraz bardziej pogłębiającą się purpurę, pojawiają się pierwsze gwiazdy. Ponad nami, na tle nieba, niczym prastara piła rysuje się grań, którą rano wyruszymy, i z której będziemy mogli wreszcie przyjrzeć się

miejscu, do którego odbyliśmy tak długą podróż.

Rozdział 15

Fort wznosi się na wysokiej, wąskiej grani, z której roztacza się widok na dolinę poniżej. Zbudowany na planie idealnego kwadratu, może mieć ze sto lat. Mury połączone są ze sobą czterema okrągłymi bastionami ze szczelinami obronnymi w górnej ich części. Droga prowadząca z dna doliny do fortu została wycięta w stromym podejździe i wiję się zakosami. Za fortem, jak i po jego bokach, surowe zbocza gór wznoszą się na kolejne trzysta metrów. Najbliższe znajdują się co najmniej dwieście siedemdziesiąt metrów od nas. Nieco bliżej widać ścieżkę wychodzącą z boku fortu i prowadzącą przez boczną grań do kolejnego wąwozu, do którego można dostać się z drugiej strony szerszą drogą. Są zbyt strome, żeby pokonać je samochodami. W przesmyku, niczym wyrzucony na mieliznę żółw, leży radziecki wóz piechoty, porzucony co najmniej dekadę temu i ogołocony nawet z kół. W forcie nie widać oznak życia, wyłączając wąską smugę szarego dymu, unoszącą się bezgłośnie ku niebu z centralnego podwórza. Iście wiejska sielanka.

Od świtu, wraz z H obserwujemy fort przez Kite, leżąc między głazami na grani skalnej nad naszym ostatnim punktem postoju. Towarzyszy nam Sher Del, na zmianę z nami przyglądający się celowi. Zgadza się, że powinniśmy być w stanie bez żadnego kłopotu wjechać do fortu i go opuścić.

O dziesiątej rano, gdy niewinne słońce poranka zaczyna wspinać się na bezchmurne niebo, coraz mocniej przy tym grzejąc, H spogląda na zegarek i na mnie.

- Powinniśmy ruszać - mówię.

- No to do roboty.

Schodzimy do naszego małego obozu, gdzie Momen i Aref gotują wodę w czajniku. Nasz więzień siedzi na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, z chustą owiniętą wokół głowy i rękoma związanymi na plecach.

- Czas już, żeby odnalazł swoją oślicę - stwierdza H, gdy kończymy załadunek samochodów i jesteśmy gotowi do drogi. Przecina sznur krępujący nadgarstki taliba i odwiązuje chustę. Częstujemy go herbatą, którą wypija bez słowa, z dziwnie obojętnym wyrazem twarzy. Następnie H wręcza mu pieniądze, które zapewnią mu wyżywienie na kilka dni.

- A teraz spierdalaj i znajdź sobie jakieś porządne zajęcie - mówi na koniec H, a Aref usłużnie tłumaczy talibowi sedno tego, co powiedział. Czeką go teraz spacer do wioski, w której zorientuje się, gdzie dokładnie jest, i dowie się, że ma przed sobą długą podróż do

swojej kwatery głównej - a do czasu, gdy tam dotrze, nas już dawno tutaj nie będzie.

Zjeżdżamy na dno doliny i ponownie wspinamy się pod górę, jadąc wijącą się drogą przez pył, aż wreszcie fort wyłania się przed nami za ostatnim zakrętem. Mury mają jakieś piętnaście metrów wysokości, a jedyną przerwę w nich stanowią ogromne, drewniane wrota, w których znajdują się mniejsze drzwi rozmiarów człowieka. Aref i Sher Del podchodzą do nich, stukają ciężkimi, żelaznymi kołatkami i rozmawiają przez chwilę z kimś w środku. Drzwiczki otwierają się i wychodzi przez nie uzbrojony mężczyzna w turbanie. Po kilku minutach wraca do środka i otwierają się główne wrota. Wjeżdżamy przez nie do fortu.

Wokół szerokiego, centralnego dziedzińca ciągną się dwie kondygnacje zniszczonych pokoi, nad nimi zaś wznoszą się wieże, połączone są ze sobą wąskimi, glinianymi parapetami. Aż dziwne, że w Londynie oglądaliśmy zdjęcia satelitarne tego właśnie miejsca. Dwóch strażników to miejscowi, którzy pilnowali fortu przez ostatni miesiąc. Obaj noszą AK, a gdy H pyta ich o inne uzbrojenie, wskazują lekki karabin maszynowy RPK, umieszczony w jednej z wieżyczek oraz granatnik RPG-7 i kilka granatów do niego, które leżą w kącie dziedzińca.

Strażnicy pytają czy, skoro już tutaj jesteśmy, mogą odejść. Niewielka suma pieniędzy pomaga przekonać ich, żeby jeszcze trochę się z tym wstrzymali.

- Niech jeden z nich idzie na górę - mówi H, wskazując wieżyczkę. - Lepiej, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Pozostali niech zawrócą samochodami i nam pomogą.

Jeden ze strażników prowadzi nas do drzwi i otwiera kłódkę. Pomieszczenie jest wielkości podwójnego garażu, a połowę miejsca zajmuje złowieszczo wyglądający kopiec przykryty zakurzoną brezentem. Ściągamy go, wzbijając w powietrze świecąca w słońcu ścianę pyłu. Pod spodem znajdujemy skrzynie i czarne pudła, które w milczeniu obserwujemy. Nie mogę uwierzyć, że to stingery. Wyrzutnie warte mniej więcej dziesięć milionów dolarów.

- Moglibyśmy rozkręcić niezły interes - stwierdza H. - Do roboty.

Angażujemy do pracy drugiego strażnika i w parach wyciągamy wszystkie pudła z pomieszczenia na podwórze, rozkładając je niczym ciała w kostnicy. Niektóre z rakiet wciąż są oryginalnie zapakowane w plastikowe, szczelne walizy; inne, w drewniane skrzynie; a pozostałe owinięto w jutę, którą musimy rozcinać. Czeka nas też kilka niespodzianek. Trzy zestawy to blowpipe'y brytyjskiej produkcji, jest też pół tuzina radzieckich rakiet ziemia-powietrze. Znaleźliśmy także sowiecki móździerz kaliber 82 mm z kilkoma pudłami amunicji.

- Dobry sprzęt - stwierdza H, pocierając zarost na podbródku. - Szkoda to wszystko wysadzać.

Wraz z H zabieramy się do fotografowania numerów seryjnych i spisywania stanu baterii ułożonych w jednej linii pocisków, przesuwając się z przeciwległych końców ku środkowi. Pozostali odnoszą je jeden po drugim do magazynu, układając w środkowej części pomieszczenia. Całe zadanie zabiera nam ponad dwie godziny. Gdy wszystkie pociski zostały przeniesione, a nasi ludzie strzepują pył z ubrania, przyglądając się nam wyczekująco, wyładowujemy z samochodu materiały wybuchowe.

Układ ma postać łańcucha złożonego z dwóch połączonych ze sobą obwodów. Gdyby z jakiegoś powodu pierwszy nie wybuchł, drugi odpali, a siła jego eksplozji spowoduje także wybuch pierwszego ładunku. Najbezpieczniejsze są układy wykorzystujące lont detonujący, więc układamy na stosie długie odcinki jasnopomarańczowego kabla pełniącego funkcję obwodu głównego, dołączając do niego sześć krótszych, prowadzących do poszczególnych ładunków. Plastik jest toksyczny, więc nie zrywając papieru, w który jest zapakowany, owijamy każdą bryłkę kilka razy lontem detonującym i umieszczamy przy pociskach. Jeden znajdzie się w środku, na pustej przestrzeni, którą specjalnie pozostawiliśmy między pociskami. Może to zbędne zabezpieczenie, ale wolimy mieć pewność. To, co robimy, kojarzy mi się po części z wieszaniem lampek na choince.

Powtarzamy te same czynności przy detonatorach, które przyklejamy do końcówek sześciu odgałęzień. Następnie nacinamy każdą bryłę plastiku, żeby umieścić detonatory w ładunkach wybuchowych.

- Nazywają to wprowadzeniem bezpośrednim - mówi H.
- Nie rozśmieszaj mnie - odpowiadam.
- Po tym wszystkim powinniśmy wypić skrzynkę piwa.
- Dla mnie sok z granatu Kandahari - stwierdzam, rozkoszując się samą myślą.

Aż wreszcie, w ramach ostatniego zabezpieczenia, przyczepiamy do lontu detonatory ołówkowe. Jeśli lont zawiedzie, to odpalą po trzydziestu minutach. Pozostaje tylko przymocować dwa ostatnie detonatory, po jednym na każdy z obwodów, oraz zapalnik czasowy.

- Wyprowadźmy samochody z fortu - mówi H i zaczyna rozwijać lont.

Uruchamiam swój samochód i wyjeżdżam nim przed wrota, pozostali zaś jadą za mną pikapem. Zostawiamy je na chodzie. Strażnicy wspinają się na bagażnik pikapa, z niepokojem chwytając się krawędzi. Wracam do H, który rozwija właśnie lont na opuszczonym dziedzińcu.

Wyliczamy, ile nam go będzie potrzeba, mnożąc długość przez sześćdziesiąt i dzieląc przez prędkość spalania trzydziestu centymetrów lontu. Dwanaście metrów lontu będzie się

spalać dwadzieścia minut. Dwa razy sprawdzamy, czy nie zachodzi na siebie w żadnym punkcie, potwierdzamy umiejscowienie obwodów oraz plastiku, aż wreszcie dochodzimy do wniosku, że wszystko jest gotowe.

- Detonatory ołówkowe - mówi H. - Odbezpiecz je.

Odciągam bezpieczniki i przekręcam po kolei pierścienie.

Spoglądamy na zegarki. H wyciąga w moją stronę końcówkę zapalnika.

- Masz ognia? - pyta, przejeżdżając w roztargnieniu po kieszeniach. Dobrze wiem, że zapalniczka wcale mu nie jest potrzebna, ponieważ do końcówki bezpiecznika przymocowany jest zapalnik.

- Nalegam, żebyś ty to zrobił - mówię.

- *Allahu akbar* - odpowiada, pociągając za pierścień. Słychać trzask i bezpiecznik wybuchu płomieniem. Udaje nam się oprzeć chęci ucieczki. Z wysiłkiem zamykamy bramę, przeciągamy łańcuch przez metalowe pierścienie na niej i zamykamy wszystko na kłódkę.

Zastanawiam się, co powinienem zrobić z kluczem.

- Zatrzymaj go - radzi H. - Na pamiątkę.

Macham do Arefa, który z pikapa daje mi znak, że wszystko jest w porządku. Wsiadamy do mojego samochodu i odjeżdżamy od fortu dość szybkim, ale równomiernym tempem. Kierujemy się na dno doliny, skręcając przy zboczu na drogę, którą tutaj przyjechaliśmy. H obserwuje teren przed i za nami.

- Zatrzymajmy się przy tej grani - mówi, wskazując miejsce, skąd obserwowaliśmy fort. Dojazd tam zajmuje nam dziesięć minut. Z włączonymi silnikami wyczekujemy eksplozji.

- Trzyście minut - mówię. Pozostali wychodzą z samochodu i, podążając za naszym wzrokiem, spoglądają w kierunku fortu.

- Piętnaście minut.

- Jeszcze trochę - mówi cicho H.

Czekanie to męczarnia. Próbuję skoncentrować się na forcie, ale wzrok ucieka mi ku otaczającym go zboczom i dolinie leżącej poniżej, po czym znowu kieruje się tam, gdzie trzeba, ale eksplozja nie następuje. Spoglądam na zegarek i ponownie na fort.

- Dwadzieścia minut - mówię H.

Oblizuje wewnętrzną stronę policzków. Mija kolejna minuta.

- Może lont się gdzieś skręcił. Poczekajmy jeszcze trochę. Za kilka minut powinny wybuchnąć zapalniki czasowe.

No i czekamy. Pół godziny. Pozostali zaczynają szeptać między sobą. Wyciągamy

lunetę i na zmianę obserwujemy fort. Ani śladu życia. Nikt nie mógł majstrować przy ładunkach. Pytam strażników, czy w forcie mógł się chować ktoś jeszcze. Potrzęsają przecząco głowami.

Mija czterdzieści pięć minut. I godzina.

- Nie wypaliło - stwierdza cicho H. - Kurwa. Wracamy.

Powrót do fortu jest przygnębiający. Żaden z nas nie chce wracać. To niespodziewane opóźnienie działa na nasze nerwy jak działająca powoli trucizna. Wiemy, że nie wolno nam zrezygnować z wykonania zadania, można jednak odnieść wrażenie, że to sam los sprzysiął się nagle przeciwko nam. Nie wolno mi poddać się temu uczuciu, ale gdy ponownie przejeżdżamy pod wyniosłymi murami fortu, sprawia on wrażenie zranionego, żywiącego urazę o to, że zamierzaliśmy go zniszczyć, i teraz zamierza nas za to ukarać.

Wkładam klucz do kłódki, ściągam łańcuch i z wysiłkiem otwieramy wrota. W miejscu, gdzie palił się lont, ziemia jest wypalona. Łagodnie otwieramy drzwi pomieszczenia z pociskami. Są nietknięte.

H ostrożnie odwiązuje główny detonator od lontu detonującego i uważnie mu się przygląda. Podaje mi go. Nie odpalił. Jest opalony w miejscu, gdzie stykał się z lontem. Wokół unosi się też ulotny, ale rozpoznawalny zapach, którego nie powinniśmy tutaj czuć.

- Wosk - stwierdzam. - Pachnie jak lak do pieczęci.

Odłączamy detonatory ołówkowe. Co prawda zgodnie z oczekiwaniami odpaliły, ale detonatory, do których były przymocowane są nietknięte, podobnie jak wszystkie pozostałe. H odcina krótki kawałek lontu, wciska go do detonatora, podpala i daje krok w tył. Lont pali się jak powinien, ale nie wywołuje to żadnej reakcji.

- Wszystkie są zjebane - stwierdza H.

To wyjątkowo zła wiadomość - detonatory są chyba najważniejszym elementem ogniwa i nie da się bez nich odpalić plastiku.

- To sprawka Sattara - mówię. - Zrobił to w Kabulu.

- Przebiegły skurwiel - potakuje H. - Musiał je podmienić przed naszym wyjazdem. Zrobił z nas jeleni.

Zapada krótka cisza. Spoglądamy na siebie. Mamy za sobą zbyt długą drogę, żeby teraz pokrzyżowano nam plany.

- No dobra, trzeba coś zaradzić. Jakie mamy opcje?

Nasi towarzysze zostali po drugiej stronie dziedzińca.

Sprawiają wrażenie zawiedzionych, ale są zbyt uprzejmi, żeby zapytać, na czym

polega problem. Macham do nich, żeby przyszli, wyjaśniamy, na czym polega całe wyzwanie i każdy po kolei zabiera głos.

- Wystrzelmy w nie raketę - sugeruje ktoś.

- Do dupy - podsumowuje H. - To samobójstwo. I kto to niby zrobi?

Ktoś inny pyta, czy kawałek lontu detonującego, wepchnięty do opróżnionego naboju 7,62 mm może zdetonować ładunki, gdy nabój zostanie wystrzelony.

- Wątpię - mówię. - Poza tym pozostaje jeszcze kwestia jak trafić z bezpiecznej odległości i upewnić się, że zadziała. Co prawda detonatory są w stingerach, ale trzeba by było je najpierw rozmontować. Znajdą się i w pociskach moździerzowych, ale nawet jeśli byśmy je z nich wyciągnęli, to i tak muszą zostać uzbrojone.

- A co z 82? - pyta H, mając na myśli rosyjski moździerz.

- Gdyby go wtachać na grań, można by pociskami przebić dach. Zawieźlibyśmy go do miejsca, gdzie stoi ten transporter opancerzony.

Tłumacząc pozostałym pomysł H. Wystrzelenie z dużej odległości pocisku ze starego radzieckiego moździerza nie daje całkowitej pewności. H milczy przez kilka minut, podczas gdy reszta oddaje się ożywionej dyskusji. Jeden ze strażników odwraca się od nich i chwytając mnie za rękę, próbując zwrócić moją uwagę.

- *Ba motor bala rafte nemishe* - mówi, potrząsając głową. - Nie wjedziecie tam.

- Nasz samochód wjedzie - zapewniam go.

- Nie - odpowiada - nie o to chodzi. Nie wjedziecie tam, bo teren jest zaminowany.

Mayem hast.

- Jakimi minami?

- Wielkie, rosyjskie - odpowiada, dłońmi rysując w powietrzu koło wielkości talerza. - Przeciwczołgowe. Jeszcze z okresu dżihadu. Mogę pokazać gdzie.

To strzał w ciemno, ale zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić. Radziecka mina przeciwczołgowa zawiera potężny detonator. Jeśli to mina typu TM, czyli najpopularniejszy jej rodzaj, wymontowanie go i przymocowanie do naszego ogniwa nie nastarczy problemów. Zgadza się co do tego, że spróbować trzeba. Jeśli nasz zamiar się nie powiedzie, będziemy ostrzeliwać fort z moździerza tak długo, aż uda się coś osiągnąć.

Samo polowanie na minę nie jest niebezpieczne. Przynajmniej na początku. Myny przeciwczołgowe aktywowane są naciskiem co najmniej stu kilogramów, więc nie odpalą, gdy się na niej stanie. Niebezpieczna może za to okazać się próba wydobycia jej z ziemi. Nie sposób określić, czy jedna mina nie jest połączona z kolejną, umieszczoną pod nią mniejszą miną, która wybucha, gdy podniesie się tę na górze, co prowadzi do detonacji obu. Niektóre

miny posiadają nawet dodatkowe bezpieczniki znajdujące się w ich spodniej części lub tuż obok, aktywujące minę, gdy zostanie zmienione jej położenie. Większość min przeciwczołgowych zawiera kilkukilogramowy ładunek TNT, więc jeśli operacja skończy się niepowodzeniem, nie ma wątpliwości co do efektu. Eksplozja zabije nas wszystkich.

Strażnicy zostają w forcie. Ramię w ramię, na kolanach, przeczesujemy teren, sprawdzając ziemię co kilka centymetrów, podczas gdy stojący kilka metrów przed nami Sher Del pilnuje, żebyśmy trzymali linię. Do szukania min najlepiej nadaje się cienki, metalowy pręt o zastrzonym końcu, ale korzystamy z tego, co mamy pod ręką: noża, długiego bagnetu z karabinu maszynowego strażników oraz prętów do mierzenia poziomu oleju z naszych samochodów, które chyba najlepiej się tutaj sprawdzają. Gdy tak spoglądam na pozostałych, nie potrafię się nadziwić, że w szukaniu min, gdy staramy się jakoś uratować tę operację, pomagają mi ludzie, którzy zawodowo tym właśnie się zajmują. Cieszę się, że to na nich padło.

Mamy kilka fałszywych alarmów, gdy natrafiamy na kamienie i musimy zatrzymać poszukiwania, żeby dokładniej zbadać ziemię. Po upływie kolejnych, ciągnących się w nieskończoność, trzydziestu minut Momen cichym głosem informuje nas, że chyba coś znalazł. Przyklękam obok i ostrożnie wpycham jego bagnet w ziemię, aż wyczuwam opór. Mam wrażenie, że czubek bagnetu przesuwają się po gładkiej powierzchni. Wbijam go pod różnymi kątami i za każdym razem, dokładnie w miejscach, gdzie się tego spodziewam, efekt jest taki sam. Znaleźliśmy minę.

Podchodzi do nas H. Pot się z niego leje.

- Wydobędę ją - mówię mu. - Zabierz wszystkich do fortu. Moździerz gotowy? - Nie dodaję już tego, co oczywiste, czyli „na wypadek, gdyby nie wszystko poszło po naszej myśli”.

Spogląda na wbity w ziemię bagnet, przesuwając wzrok na mnie i kiwa potakująco głową, jakby zapomniał pytania. Wyciera czoło przedramieniem.

- Zostawiam to tobie - mówi. - Postaraj się jej nie upuścić, jak będziesz wracał.

Nie chcę, żeby odchodził. Badając wielkość miny odkrywam, że jest okrągła i ma mniej więcej trzydzieści centymetrów średnicy. Wygląda na to, że ani pod nią, ani obok nie umieszczono innych ładunków. Chyba jest metalowa. Zgaduję, że to radziecka mina typu TM, ponieważ inne modele mają plastikową obudowę, a to da się wyczuć przejeżdżając po nich prętem. Wyliczam, gdzie powinien znajdować się środek i zaczynam ostrożnie usuwać ziemię, aż moim oczom ukazuje się fragment zakurzonej płytki oporowej.

Widać na niej sześć równomiernie rozłożonych zagłębień. Może to wydawać się

dziwne, biorąc pod uwagę sytuację, ale kojarzą mi się ze śladami palców, które włoscy piekarze zostawiają na cieście wyrabiając pizzę. Po chwili jednak nachodzi mnie myśl, że dziwnie byłoby wylecieć w powietrze, mając za sobą całą tę podróż do Afganistanu. Wykopana przeze mnie mina nie jest produkcji radzieckiej; to brytyjski Mark-7 z czasów drugiej wojny światowej.

Ma blaszaną obudowę i wykorzystuje pojedynczy bądź podwójny zapalnik typu Number 5. Można w niej także umieścić mechanizm wywołujący eksplozję przy zmianie położenia, ale na szczęście ten model jest rzadko spotykany. Z drugiej strony, ze względu na swój ciężar świetnie nadaje się na minę pułapkę. Zawiera pół kilograma TNT, mniej więcej tyle, co sześć granatów ręcznych.

Usuwać ziemię z wierzchniej części miny, powoli wydobywając ją na powierzchnię, a krople potu, spadając z czoła na płytkę, pozostawiają ciemne plamy w kurzu. Kapią ze mnie jakby w zwolnionym tempie i wydają się nienaturalnie duże, choć zdaję sobie sprawę, że to tylko złudzenie. Odsłaniam okrągłą, górną krawędź miny. Chcę się tylko dowiedzieć, co pod nią znajdę, niczym człowiek ciekaw swojej przyszłości, która mimo, że jest tuż za rogiem, to nadal pozostaje wielką niewiadomą.

Ogarnia mnie dziwne uczucie, jakbym przekroczył właśnie próg drzwi, za którymi czas rządzi się odmiennymi prawami. Dostrzegam czubek bagnetu wbijający się w ziemię wokół miny i moje dłonie, które wyciągają obluźowane kawałki. Drobne cząsteczki pyłu kłębią się na mojej skórze, by wreszcie opaść spiralnie na włosy na dłoniach, niczym tonący żeglarze z ulgą chwytający się wraku. Na koniuszkach palców pojawia się krew, pnąca się po paznokciach, gdy wbijam dłonie w kamienistą glebę, co przywodzi na myśl gwałtowną powódź w środku lata, zalewającą wypełniony głazami kanion. Te mikroskopijne światy mają w sobie więcej życia, niż mi się do tej pory wydawało, i przez chwilę zagłębiam się w ich pełnej dramaturgii rzeczywistości.

Gdy sięgam pod minę, chcąc sprawdzić, czy czeka pod nią jakaś złowieszcza niespodzianka, czuję wagę jej metalowej konstrukcji, spoczywającej cierpliwie na ziemi, czekającej, aż korozja rozłoży ją na czynniki pierwsze. Dopada mnie uczucie, jakbym poznał wszystkie sekrety świata. Są tutaj - czuję się jakbym oglądał niemy film, mogę obejrzeć, ale nie usłyszeć, sam fakt jednak pozostaje bez zmian.

Nie znajduję drugiej miny, ani mechanizmu detonującego reagującego na zmianę położenia. Gdy wydobywam ją z ziemi, słyszę własny oddech, a świat wraca na swoje miejsce. Nie potrafię powiedzieć, ile czasu mi to zajęło, a gdy spoglądam w kierunku fortu, na najbardziej wysuniętej wieżycyce dostrzegam H, pospieszającego mnie machaniem ręki. W

tej pozie przypomina zniecierpliwionego maszynistę, dmuchającego zapamiętałe w swój gwizdek.

Biegiem wracam do fortu, gdzie pozostali witają mnie jak dawno niewidzianego przyjaciela, poklepując po plecach.

- To jak pracować dla ONZ - mówię. - Jedziemy niemieckim samochodem do afgańskiego fortu, żeby wysadzić amerykańskie rakiety przy pomocy brytyjskiej miny.

- I uzgadniamy to na zjeździe chińskiego parlamentu - dodaje H, używając określenia, które w SAS odnosi się do spotkania wszystkich żołnierzy bez względu na rangę. - Dasz radę wyciągnąć detonator?

- Tak sędzę - odpowiadam, najlepiej jak potrafię parodiując oficcerski ton.

Na pokrywie miny znajduje się wgłębienie przypominające główkę śruby, którą staram się teraz poluzować śrubokrętem z narzędzi Grace. Pokrywa ani drgnie, więc podważam ją trochę mocniej, i mina wyslizguje się, spadając na ziemię. H przykłęka i przytrzymuje ją mocno, żebym mógł spróbować raz jeszcze.

Mam niemal całkowitą pewność, że nie jestem w stanie docisnąć jej na tyle mocno, żeby spowodować eksplozję, ale uczucie i tak jest nieprzyjemne. Szkoda byłoby przebyć całą tę drogę i u jej kresu wysadzić się w ten sposób w powietrze.

Pochyliam się nad miną, chwytając swój śrubokręt obiema rękoma i przekręcając z całej siły, podczas gdy H pcha przedramionami w przeciwnym kierunku. Wydaje z siebie dziwny, zagniewany pomruk, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji napierania z całej siły na płytkę.

Nagle słyszymy metalowe trzaśnięcie - pękł śrubokręt. Uderzamy się głowami tak mocno, że przez chwilę nic nie widzę, a przed oczami zaczynają mi krążyć jasne iskierki i zastanawiam się, czy właśnie zginęliśmy. Gdy odzyskuję wzrok, wpatrujemy się w wierzchnią część miny. Zdjęliśmy płytkę oporową.

Nigdy wcześniej nie targały mną tak sprzeczne emocje. Żyjemy, ale gdy wyjmuję bezpiecznik, okazuje się, że jest zintegrowany z płytką i nie da się go odczepić.

- Chyba się nie nada - mówię.

- Proszę, powiedz, że żartujesz - odpowiada cichym głosem H.

Nie mamy już czasu na rozmyślanie nad innym rozwiązaniem. Sześć godzin temu uwolniliśmy talibańskiego strażnika, który zapewne niedługo dotrze do punktu kontrolnego, gdzie do nas pierwotnie dołączył i zgłosi się do swojego dowódcy. Nasze kalkulacje są bezlitosne. Wykorzystaliśmy swój limit czasu.

Niedobrze mi.

- Załadujmy moździerz na ciężarówkę - mówi H.

A gdy już całkowicie opuszcza nas nadzieja, staje się coś, co odnawia i wzmacnia moje osobiste przekonanie, że wszystko jest ze sobą w pewien sposób połączone - słyszymy krzyki strażnika obserwującego okolicę z południowej wieżyczki. Gdy kierujemy wzrok w jego stronę, widzimy, że szaleńczo do nas macha, więc wraz z H dołączamy do niego biegiem, żeby zatrzymać się w zaokrąglonej części muru przypominającej kształtem kiosk okrętu podwodnego. Podążamy wzrokiem za jego wyciągniętym ramieniem i spoglądamy na dno doliny.

- Mam towarzystwo - mówi H, sięgając do kieszeni po Kite. Zdejmuje osłony, opiera teleskop na zakurzonej krawędzi muru i przytyka do niej oko. - Jezu Chryste - mówi. - Mówiłeś, że będą z nim tylko ochroniarze.

- Tak mi powiedział.

- No to dużo ich ma. - Podaje mi lunetę.

- Chyba będziemy musieli zrewidować nasz plan - stwierdzam, ponieważ nawet plan awaryjny, który uzgodniłem z Manny'm, nie przewidywał takiej sytuacji. Przez chwilę nawiedza mnie myśl, że może Manny nas zdradził, i mimowolnie wyobrażam sobie, jak do niego strzelam. Ale strach mnie opuszcza, gdy przypominam sobie usłyszaną od Baronowej opowieść o Alim i rycerzu.

Pod nami, nieopodal wylotu doliny oddalonego od fortu o półtora kilometra, pędzi w naszym kierunku sześć pikapów, pozostawiając za sobą chmury jasnego pyłu. Na skrzyni każdego z nich siedzi przynajmniej po pół tuzina uzbrojonych mężczyzn. Dotrą tutaj najpóźniej za piętnaście minut. Przekazuję Kite strażnikowi, który uważnie przygląda im się przez teleskop, po czym odwraca się do nas.

- Na Boga - mówi - to nie Afgańczycy. - Na jego twarzy stopniowo pojawia się wyraz zadowolenia.

H krzyczy do pozostałych, którzy przyglądają się nam wyczekująco.

- Policzcie amunicję. Wszystko, co mamy. - Poklepuje dłonią metalową skrzynkę podczepioną do zasilanego pasem z nabojami, leżącego pod naszymi nogami RPK.

- *Chand hast?* - pytam.

- *Devist* - odpowiada strażnik. W skrzynce jest dwieście sztuk naboji. H poklepuje strażnika mocno po plecach, wskazuje dwoma palcami swoje oczy i horyzont. Następnie biegniemy do tylnych wieżyczek i przyglądamy się terenowi za fortem.

- Tędy nie da rady - stwierdza H. - Trasa po prawej jest zaminowana, a ta po lewej za stroma.

Droga prowadząca do najbliższego wąwozu wznosi się pod stanowczo zbyt ostrym kątem dla zwykłego samochodu, ale przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

- Damy radę - mówię. - Moim samochodem. Jest stromo, ale damy radę. Po włączeniu mechanizmu różnicowego i na wolnym biegu. Musimy tylko wydostać się z fortu i jechać wzdłuż bocznych murów. Nie będą w stanie zrobić tego samego.

- No to potrzebna nam dywersja - stwierdza H. - Przygotujmy resztę.

Zbiegamy po glinianych stopniach prowadzących na dziedziniec, gdzie nasi ludzie zgromadzili broń i amunicję. Wszyscy zdążyli już usłyszeć o nadciągających samochodach i na ich twarzach maluje się powaga charakterystyczna dla ludzi niepewnych swojej przyszłości.

Całe nasze uzbrojenie leży na ziemi. Mamy cztery ładunki do granatnika, trzy sztuki AK, włączając w to tę pożyczoną od taliba, oraz AK-SU pana Raoufa, co oznacza, że każdy z nas, poza H, będzie miał jakąś broń. Strażnik ma w pasie sześć pełnych magazynków, które H rozdziela między AK. Mamy też browningi i kilka magazynków naboju kaliber 9 mm.

Wszyscy ustawili się spontanicznie w dość nierównym szeregu, wzdłuż którego H przesuwa się teraz, rozdając sprawdzoną przez siebie broń i wskazując pozycje, które mają zająć. Następnie prosi Arefa, by dla niego tłumaczył i robi kilka kroków w tył.

- Nie zamierzaliśmy wciągać was w walkę - mówi, po kolei spoglądając każdemu z mężczyzn w oczy. - Ale jeśli ludzie, którzy tu jadą, mają złe zamiary, musimy być gotowi, żeby ich pokonać. Nie są naszymi przyjaciółmi. Ani ziomkami. Mam nadzieję, że walki uda się uniknąć, ale gdyby ją wywołali, zapłacą za to.

- *Allahu akbar* - mówi cicho, ale wyraźnie, jeden z mężczyzn.

- Jest ich wielu, podczas gdy nas tylko kilku. Ale pamiętajcie, że nie spodziewają się oporu, i efekt zaskoczenia drogo ich będzie kosztował. Mamy silną pozycję obronną, a oni nie wiedzą ilu nas jest ani jak bardzo jesteśmy zdeterminowani. Ważne, żebyście coś wiedzieli. Jeśli przeciwnikowi uda się zająć pozycje na zboczach wokół fortu, to już po nas. Nie pozwólcie im się tam wdrapać ani wejść przez wrota. Uda nam się, jeśli damy z siebie wszystko. Wszystko jasne?

Na krótką chwilę zapada cisza, aż odzywa się jeden ze strażników.

- Jesteśmy Afgańczykami - mówi spokojnym głosem. - Wiemy, co to walka.

- Więc przygotujcie się na nią - odpowiada H - i niech Bóg wam pomoże.

Wszyscy nasi ludzie zajmują pozycje na wieżyczkach obronnych, poza Sher Demlem, którego doświadczenia i pomocy teraz potrzebujemy. Udajemy się w trójkę do pomieszczenia

z pociskami, skąd wspólnymi siłami wyciągamy drewnianą skrzynię z moździerzem kaliber 82 mm. Podczas gdy H ustawia go na płycie oporowej w rogu dziedzińca, my dźwigamy pudła z amunicją i stawiamy je obok moździerza. Jest w nich łącznie dwanaście pocisków. Sher Del pokazuje nam, jak je uzbroić i załadować. H rozstawia dwójnog, ustawiając moździerz do najwyższego kąta wystrzału.

- Będziesz moim obserwatorem - mówi. - Patrz, gdzie spadnie pocisk i podawaj dystans. - Poklepuje dłonią lufę moździerza. - Będą trzymać nisko głowy. - Uśmiecha się do mnie i przedramieniem wyciera twarz z potu. - Nie przejmuj się - stwierdza. - Jest ich tam raptem pięćdziesięciu. W Mirbat były dwie setki.

Jestem dziwnie spokojny. Cel bitwy jest jasny i precyzyjny, a to sprawia, że nie zastanawiam się nad tym, co było i co będzie. Koncentrując się na nim, uwalniam się od dotychczasowej tyranii umysłu, osiągając spokój, którego pragnę, a którego nie jestem w stanie osiągnąć na co dzień. Życie wydaje się niewiarygodnie piękne i kruche.

Wdrapujemy się w trójkę na przednią wieżę, obserwując wspinający się po drodze konwój pikapów. Wyjmuję z browninga magazynek i wkładam na dłoń dwa naboje. Szczypczykami z narzędzia Grace wyciągam ołowiane pociski i usuwam połowę ładunku kordytu. Po złożeniu naboju wkładam je z powrotem do magazynka.

Samochody przystają na rozciągającym się pod nami płaskim terenie. Strażnik zajmujący pozycję na przeciwległej wieżycze zaciska dłonie na łożu swojego RPK i spogląda na H, który gestem nakazuje mu czekać. Ludzie, którzy do nas jadą, nie spodziewają się walki, to zaś oznacza, że dowódca nie trzyma ich w gotowości bojowej. Mam nadzieję, że według nich nie jesteśmy uzbrojeni i nie możemy stawiać oporu. Spokojnie wysiadają z samochodów, otrzepują ubrania z pyłu i przyglądają się murom fortu jak turyści oglądający interesującą katedrę. Trzech czy czterech mężczyzn z chustami owiniętymi wokół twarzy na środkowowschodnią modłę opuszcza samochody z większą dozą ostrożności i zajmuje pozycje obronne za kabinami samochodów. Może i są wśród nich Afgańczycy, ale nie mamy jak tego sprawdzić. Teraz stali się naszymi wrogami. H leży na brzuchu, obserwując ich przez lunetę.

Jeden z samochodów jest czarny. Za szoferką przymocowano, niczym szatańskie bukiety, powiązane w pęczki pociski do granatnika. Z tyłu siedzi sześciu czy siedmiu mężczyzn, a dwóch zeskoczyło z samochodu i naradzają się z tymi, którzy siedzą w kabinie. Aż nagle drzwi po lewej otwierają się i z samochodu wysiada mężczyzna w czarnych szarawarach, pewny siebie, jakby sprawował tutaj władzę. To Manny. Słyszę dudnienie swojego serca.

- To ten twój kolega? - pyta szeptem H.

- Tak.

- Nie wygląda na to, żeby miał nas ocalić.

Nie odpowiadam. Jeśli sądzić po pozorach, to ma rację. Trudno nie dojść do wniosku, że Manny sprowadził ze sobą te ogromne siły, żeby nas zaatakować. To, co dzieje się w ciągu kilku kolejnych minut zdaje się potwierdzać najgorszy scenariusz.

Manny wyciąga z pikapa megafon i dmucha w mikrofon. Dwóch stojących za nim mężczyzn zdjęło z ramion swoją broń, ale nadal są rozluźnieni.

- Ant, jesteś tam?

Jak gdyby nigdy nic zbliża się do fortu, spogląda do góry i ponownie podnosi megafon do ust.

- Otwieraj, Ant - krzyczy. - Masz tam w środku coś, na czym nam zależy. Jeśli nie otworzysz, to sami to sobie weźmiemy. Chyba możemy się jakoś dogadać? Przecież wszyscy mamy za sobą długą drogę.

To hasło, na które czekałem. H daje mi znak skinieniem głowy i szeptem przekazuje instrukcje Sher Delowi.

- Może wejdiesz i to obgadamy? - krzyczę.

Manny naradza się z mężczyzną, który właśnie do niego dołączył. To zwalisty bojownik z czarną chustą odsłaniającą jedynie oczy. Przez klatkę piersiową przewieszona ma ładownice z amunicją.

- Mogę przyjść z kolegą? - woła Manny.

- Ale tylko jednym - odkrzykuję.

Schodzimy z H na dziedziniec, gdzie H przylega do ściany obok wejścia. Odciągam rygle mniejszych drzwi, otwieram je na oścież i cofam się na środek dziedzińca. Wyraźnie widzę przez nie wąski wycinek światła na zewnątrz, dopóki nie przesłania mi go wchodzący do fortu ochroniarz, za którym idzie sam Manny. Ochroniarz, co zrozumiałe, sprawia wrażenie zdziwionego i niespokojnego. Widzi tylko stojącego za nim, nieuzbrojonego H, ponieważ wszyscy inni pochowali się na murach. Podchodzą do mnie. Ochroniarz zajmuje pozycję po mojej lewej, kilka kroków za Manny'm, który skinieniem głowy daje mu znać, że wszystko jest w porządku.

Witamy się uściskiem, na afgańską modłę. Manny przejeżdża mi dłonią po kurtce tak, żeby ochroniarz tego nie widział. Czuję, jak materiał delikatnie, ale wyraźnie naciąga się, gdy do kieszeni wpada mi coś małego i ciężkiego.

- Prezent - mówi przyciszonym głosem, robiąc krok w tył. - Zapalnik

dziesięciosekundowy.

- Skąd wiedziałeś, że będziemy go potrzebować?

- Wyśpiewał nam to nasz ptaszek w Kabulu, ten sam, który podmienił detonatory.

Miałeś co do niego rację.

- Miałeś przyjechać z garstką strażników, a nie z sześcioma ciężarówkami wypełnionymi po brzegi ludźmi.

- Obawiam się, że nie mogłem nic na to poradzić. Wszyscy chcieli ze mną jechać. Chyba zgarnąłem tych bez umiejętności. - Milknie na chwilę. - Jeśli się poddasz, nie wyjdiesz z tego żywy.

- Tak mi się właśnie wydawało.

- Jesteś gotowy, czy potrzebujesz jeszcze trochę czasu?

- Lepiej przygotowani nie będziemy.

- Dobrze. Kończmy to. Chyba czas umierać.

Krzyczy coś do swojego ochroniarza w języku, którego nie potrafię rozpoznać. To pewnie czeczeński. Odwraca się i idąc wolnym krokiem ku drzwiom unosi ramiona w geście rezygnacji, tak, żeby mogli to dostrzec bojownicy przy samochodach. Można śmiało założyć, że żaden z nich nie spodziewa się tego, co się zaraz wydarzy.

Odczekuję, aż Manny będzie jakieś dziesięć kroków ode mnie, tuż przy drzwiach. Wyciągam browninga z kabury na udzie, celuję w środek jego pleców i oddaję dwa strzały.

Pada na ziemię twarzą do dołu. Płynnym ruchem przetaczam się w prawo i przyjmuję pozycję strzelecką, biorąc na celownik ochroniarza Manny'ego, który instynktownie przykucnął i podnosi właśnie broń do ramienia. To ostatnie, co zrobił w swoim życiu. Zanim naciskam spust, słyszę kolejny strzał, gdy H posyła mu kulę w głowę. Jego ciało składa się, jakby był marionetką. H podbiega błyskawicznie, podnosi broń ochroniarza, odciąga ciało od drzwi i pędem wbiega po schodach prowadzących na wieżę, krzycząc do Sher Dela:

- Granatnik!

H trafnie przewidział, że gdy ludzie na zewnątrz fortu usłyszą strzały, przez kilka sekund będą szukać osłony, zanim zdecydują się odpowiedzieć ogniem. Wykorzystuję te kilka chwil, by zatrzaskać drzwi, zaryglować je i odciągnąć Manny'ego w bezpieczne miejsce.

Uderzenie pocisków wywołało stan podobny do paraliżu. Gdy opieram go o ścianę i zrywam paski przytrzymujące kamizelkę kuloodporną, Manny kaszle i łapczywie chwyta powietrze.

- Chyba połamałeś mi wszystkie zębra.

- Oddychaj. Wyjąłem tyle prochu, ile tylko mogłem.

Ma coś jeszcze dodać, ale nagle słyszemy przenikliwą eksplozję. Wzdrygamy się, gdy uderza w nas fala uderzeniowa. Sher Del strzelił z granatnika do jednej z ciężarówek, teraz zaś bierze na cel kolejną. Jest z nim H. Wbiegam do nich, a Manny za mną, oddychając z wysiłkiem.

- Na ziemię! - krzyczy H.

Granatnik wyrzuca nad naszymi głowami strumień gazów wylotowych, a wieżyczkę spowija dym. Poniżej nas znowu słychać potężny huk. Sięgamy po broń.

- Pomóż mu - krzyczy H, wskazując drugą wieżyczkę. Biegąc do RPK słyszemy, jak pierwsze kule z ogłuszającym terkotem trafiają w mury.

Wyglądamy przez szczelinę na otwartą przestrzeń przed fortem, jeszcze chwilę temu całkowicie spokojną. Teraz to chaos, wypełniony szczątkami i ogniem. RPK wypłukuje serie pocisków w kierunku samochodów, z których wypadają na ziemię ich pasażerowie, zataczając się w pyle.

Wiemy, co trzeba zrobić i strzelamy do bezimiennych kształtów, póki nie przestają się ruszać. Spowija nas kordytowy dym. Sher Del trzeci raz strzela z granatnika, a cienki, szary pióropuszc dymu mknie ku próbującej wycofać się ciężarówce, eksplodując z jasnopomarańczowym błyskiem po uderzeniu w tylną klapę. Silniki pozostałych samochodów wyją na najwyższych obrotach, a koła wyrzucają w powietrze pył, rozpaczliwie starając się wrócić na drogę. Ludzie umykają z otwartej przestrzeni, szukając schronienia za granią, zza której zaczynają właśnie odpowiadać ogniem, gorączkowo szukając celów.

Słychać głośny trzask, gdy seria pocisków trafia w wieżę, a za Afgańczykiem obsługującym RPK wystrzeliwuje w powietrze chmura rozpadającego się błota. Gdy odskakuje w bok, chwytam go, ratując przed upadkiem na dziedziniec. Ociera z twarzy piasek oraz krew i wraca do swojej broni, mamrocząc podziękowania dla *Mushgil Gusha*, jednego z afgańskich określeń Boga, po czym przystawia oko do celownika i znowu zaczyna szukać ruchu.

Biegnę do wołającego nas H. Wskazuje wrogów próbujących obejść fort.

- Skoncentrujcie ogień na nich, potem wypatruj dla mnie celów. Najpierw pojazdy. - Wciska mi lunetę i biegnie w kuckach do tylnych wieżyczek, gdzie Aref i Momen rozpoczęli właśnie ostrzał. Przeciwnicy wbiegli między skały daleko od fortu, więc musimy wykazać się większą precyzją. Pot przeszkadza mi w celowaniu. Kula trafia w szczelinę, uderzając w mur za moją głową.

H przykucnął na dziedzińcu przy moździerzu. Obok niego stoi Manny, z pociskiem w

dłoniach, czekając na mój sygnał. Z martwego pola jakieś trzysta metrów od nas wyłaniają się trzy samochody, próbując wjechać na wyżej położony teren.

Wypatruję, gdzie spadnie pocisk, i dostrzegam uderzenie, zanim jeszcze dociera do mnie dźwięk eksplozji. Sto metrów od samochodów unosi się w powietrze postrzępiona, brązowa kolumna pyłu. Zapalają się światła stopu. Daję znak H, który gorączkowo ustawia trajektorię. Manny wrzuca do lufy kolejny pocisk i obaj kulą się, osłaniając uszy, gdy pojawia się ognisty błysk. Przed samochodami, tym razem z drugiej strony, eksploduje fontanna ziemi. Trzeci pocisk uderza tuż przed nimi. H może się teraz popisać. Czwarty pocisk ląduje między samochodami, piąty zmusza samochód z przodu do zjechania z trasy. Szósty wysadza go w powietrze. Siódmy trafia w grupkę uciekających ludzi. Kierowca ostatniego pojazdu poznał się już na zasadach tej zabójczej gry i skręca prostopadle do naszego ostrzału. Nie da się podać jego pozycji, więc sygnalizuję H, żeby przerwał ostrzał. Na dziedzińcu jest tyle dymu, że ledwo go widzę.

Słyszę wrzask Momena, gorączkowo machającego ręką i wskazującego teren za fortem. Biegnę do niego. Na zbocze nad nami wspina się grupka wyposażona w granatnik. Manny i H z wysiłkiem obracają moździerz, celując w nich, ale wystrzelony pocisk eksploduje wysoko nad celem. Są za blisko dla moździerza, więc Manny wciska się pod niego i podnosi lufę, aż ta stoi praktycznie pionowo. Kolejnemu strzałowi ponownie towarzyszy ogłuszający odgłos eksplozji, a zbocze eksploduje fontanną kamieni. Następny pocisk spada niedaleko atakujących, śmiertelnie raniąc ich odłamkami. Wskazuję miejsce, gdzie dostrzegam minimalny ruch, wykrzykuję odległość i obserwuję, jak zbocze rozrywają dwa kolejne wybuchy. Aż wreszcie, wystrzeliwszy ostatni pocisk, moździerz cichnie, a H z Manny'm wbiegają na tylne wieże, wyłaniając się z dymu niczym złowieszcze zjawy, brudni i błyszczący od potu.

Manny zostaje na wieży, a H i ja biegniemy do przedniej części fortu. RPK przestało strzelać. Afgański strażnik leży obok, z ramieniem przygniecionym przez ciało. Kula przeszła mu kark, zamieniając go w krwawe strzępy.

- Zobacz, co z nim - wykrzykuje H, wskazując mi Sher Dela na przeciwległej wieży. Sher Del, prawdziwy wojownik, wydaje się całkowicie spokojny. Gdy na mnie spogląda, na jego twarzy maluje się dziki uśmiech. Lewa strona twarzy jest cała we krwi, ale chyba tego nawet nie zauważył. Gdy ucichł ostrzał z drugiej wieży, grupka mężczyzn kryjących się na krawędzi otwartego terenu zdążyła się zorganizować. Nie wiem, kto pierwszy usłyszał ostrzeżenie, ale jednocześnie dostrzegam smugę dymu i słyszę krzyk H.

- Uwaga!

Wstrząs towarzyszący eksplozji jest tak potężny, jakby fort miał się zaraz zawalić. Słyszymy dobiegającą z dołu wrzawę i widzimy postacie biegnące do drzwi wysadzonych z zawiasów granatnikiem. H ostrzeliwuje biegnących krótkimi seriami, nie pozwalając im dotrzeć w tym samobójczym pędzie do wejścia, a ja i Sher Del wycinamy w pień tych, których nie trafił. Na obrzeżach otwartego terenu przed fortem dostrzegam eksplozję pyłu - to H próbuje zniechęcić kolejnych śmiałków. Podbiega do nas.

- RPK nie ma amunicji. Lepiej, żeby to się nie powtórzyło. Ci skurwiele nie zamierzają dać za wygraną - spogląda na nas i serdecznie poklepuje Sher Dela po plecach. - Czas ruszać, zanim nas zaatakują. Daj znać reszcie i ściągnij ich tutaj.

Myśl, że zaraz stąd odjedziemy, napędza mnie dziwnym spokojem. Zupełnie jakby powiedział, że czas wracać do domu, a ja tylko czekam, żeby dać o tym znać pozostałym. Gdy biegnę do tylnej wieży, na której przykucnęli Manny i Aref, moją uwagę przykuwa obłoczek dymu, który pojawił się wysoko na zboczu, z tyłu, ponad linią fortu. Nie powinno go tam być.

Wiem, że krzyczę, każąc im się schować, ale nie słyszę własnego głosu, a czas znowu zdaje się wydłużać, nie pozwalając mi wystarczająco szybko zareagować. Gdy rzucam się na ziemię pod parapetem, zasłaniając przedramionami uszy i całą głowę, wyraźnie widzę, jak Manny odwraca się w moją stronę. Wieża znika w eksplozji dymu, a we mnie uderza chmura szczątków przywodzących na myśl stado oszalałych ptaków próbujących zadziobać mnie na śmierć. Gdy spoglądam w górę, w miejscu wieży widzę tylko ziejącą dziurę.

Zeskakuję z parapetu na schody i pędzę do pomieszczenia, gdzie spadł Manny. Dach złagodził upadek i teraz oszołomiony, trzymając się za głowę, z trudem podnosi się na nogi. Eksplozja wyrzuciła Arefa na dziedziniec. Nie żyje, zabił go albo upadek, albo sama eksplozja. Wybuch zerwał też z niego część ubrania i mimowolnie zauważam, jak biała jest skóra jego klatki piersiowej w porównaniu do twarzy.

Musimy ruszać. Nasi ludzie giną, a przeciwnik niedługo wedrze się do fortu. Pomagam Manny'emu dojść do samochodu i biegnę do pocisków. Wydaje się, jakby cała wieczność minęła od czasu, gdy spokojnie badaliśmy je w świetle słonecznym, jeszcze kilka godzin temu. Zauważam, zupełnie jakby informował mnie o tym cichy, rzeczowy głos, że w pomieszczeniu zrobiło się chłodniej i ciemniej. Wyciągam z kieszeni granat. To ciemnozielony, przypominający kształtem jajko radziecki RGD-5. Odkręcam zapalnik - UZRGM⁶⁴ - i zastanawiam się, czy naprawdę jest to wersja z dziesięciosekundowym

⁶⁴ Uniwersalny Zapalnik Ręcznych Granatów - Modernizowany (przyp. tłum.).

opóźnieniem, choć teraz i tak nie ma to znaczenia. Do lontu detonującego wciąż przyczepiony jest pasek czarnej taśmy, którym łączę go detonatorem, po czym spoglądam na dziedziniec, szukając wzrokiem reszty.

Wszystkie drzwi mojego samochodu są otwarte. Manny już jest w środku. Momen i drugi afgański strażnik dźwigają ciało Arefa na bagażnik. Sher Del podbiega, wciąga wszystkich do środka i zamyka drzwi. Jakimś cudem kula wystrzelona zza wrót trafia w przednią szybę i ze świstem, niczym fajerwerk na festynie, rykoszetuje od zbrojonego szkła.

Krzyczę do H, żeby zapalał silnik i przez krótką chwilę zastanawiam się, jaki dystans będę musiał pokonać biegnąc po otwartej przestrzeni, żeby dotrzeć do samochodu. Pociągam zawleczkę granatu i puszczam bezpiecznik. Upada na ziemię. Biegnę.

Nie słyszę silnika, bo wszystko zagłusza dźwięczenie w uszach, choć dopiero teraz zwróciłem na nie uwagę. Zatraskuję za sobą drzwi i obrotomierz podskakuje, gdy dociskam pedał gazu. Gdy Sher Del łapie mnie z tyłu za ramiona, odwracam się do niego i widzę, że ma odstrzeloną małżowinę.

- *Besyaar khub jang mikonid!* - mówi. Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech - Dobrze walczysz!

Pusty pikap ma zwolnione hamulce; gdy wytoczy się na skraj płaskiego terenu przed fortem, skupi na sobie ogień przeciwnika. W pierwszej chwili nie zorientują się, że nie ma nas w środku. I całe szczęście, bo gdy go wypycham, widzimy, jak kule zamieniają jego tylną szybę w ser szwajcarski, posyłając w powietrze wszystko, w co trafia.

Pikap oddala się od nas, a my nabieramy prędkości i odbijam w prawo, czując jak rośnie moc silnika. Objazdzamy wieżę i nagle można odnieść wrażenie, że do drzwi i okien dobija się z całych sił tłum ludzi. Kule uderzają w okna z przenikliwym trzaskiem, w drzwi zaś z niskim, głuchym odgłosem, jak kamień wpadający do błota. Koło zapasowe na tylnych drzwiach wybucha z gwałtownym sykiem. Gdy wspinamy się na zbocze prowadzące do drogi za fortem, tylna szyba, wyrwana z ramy od ciągłych uderzeń, pęka w drobny mak, a jej drobiny wpadają do środka. Z siłą uderzenia młota pocisk z AK uderza głucho w siedzenie za mną, ale powstrzymują go naszyte warstwy kevlaru.

Gdy docieramy do bocznej grani, sięgam dłonią do blokady mechanizmu różnicowego. Skręcam i koła zaczynają podskakiwać na sypkiej powierzchni. Jedno po drugim, słychać kilka głośnych uderzeń w dach, aż nagle pojawia się przed nami linia horyzontu, niczym w nurkującym myśliwcu. Broń podskakuje na desce rozdzielczej. Jest bardziej stromo, niż zakładałem i samochód pędzi w dół jakby miał się w ogóle nie zatrzymać. H zapiera się dłonią o szybę i przeklina.

- *La illaha illallah* - krzyczy Sher Del. Nie ma bóstwa ponad Boga Jedyne.

I wtedy to czujemy. Zaczyna się od kompresji powietrza, która wręcz wsysa nam uszy do głowy. Eksplozja, która nadchodzi później, jest tak potężna, że jej siła przenosi się na kierownicę, jak gdyby ktoś wymierzył potężny cios w opony. Przetacza się przez nas - i wokół nas - głęboki, dudniący grzmot, po nim zaś niemal natychmiast nadchodzi kilka kolejnych. Strzały cichną.

- Mam nadzieję, że ktoś zrobił zdjęcie - mówi H, zapierając się o dach i krzywiąc, gdy samochód niebezpiecznie przechyla się na jedną stronę. Myśli formują się w mojej głowie jakby w zwolnionym tempie i jego komentarz wydaje mi się pozbawiony sensu, dopóki nie zdaję sobie sprawy, że ma na myśli satelity. Potem dociera do mnie, że wciąż żyjemy. Pomimo wszystkich przeciwności udało nam się wykonać powierzone nam zadanie - nikt już nie skorzysta z pocisków. Przypominają mi się słowa Baronowej: „Chcę, żeby wam się powiodło”, i omal nie wybucham śmiechem, ponieważ naprawdę to zrobiliśmy. Ten, kto planował wywołanie katastrofy używając do tego celu stingerów, musi wymyślić coś innego, a osoba, która chciała na nią pozwolić, będzie zmuszona poczekać na inną okazję.

Koła trzymają się kamienistego zbocza jak przyklejone, ale poruszamy się straszliwie powoli. Nagle, kilka metrów przed nami, widzimy jasny błysk i eksplozję, po której uderza w nas chmura skał i odłamków. Z przodu odpada nam kilka części, ale nadal jesteśmy w ruchu.

Ze zdumiewającą zwinnością H przeskakuje na tylne siedzenie, opiera swoje AK na ramie okna i koncentruje ogień na górskim grzbiecie nad nami, skąd wystrzelono pocisk. Hałas jest ogłuszający, a wewnątrz samochodu wypełnia gęsty kordytowy dym. Ale zbliżamy się do wylotu wąwozu, a nachylenie stoku zmniejsza się, więc zmieniam przełożenie skrzyni biegów i przyspieszam.

Gdy tak pędzimy przed siebie, z tylnego siedzenia dochodzi mnie zawrotenie. To Momen recytuje modlitwę. Na tablicy rozdzielczej rozbłyskują światła sygnalizujące zagrożenie, ale nie mam czasu na nią spojrzeć. Nawierzchnia zaczyna się wyrównywać i po ostatnim podskoku wpadamy na drogę. Skręcam w kierunku wylotu doliny. H zajmuje miejsce za moim fotelem.

- Oddalmy się nieco - mówi.

Pędzimy doliną, delektując się słodyczą ucieczki. Niecały kilometr dalej zbocza po obu stronach zaczynają wznosić się pod coraz ostrzejszym kątem. I wreszcie, gdy już nam się wydaje, że wrogowie nie mają możliwości nas dopaść, sto metrów przed nami na drogę wpada ciemny kształt, tarasując przejazd. Rozpoznaję go - to pikap, którego widziałem wcześniej przed fortem. Zaczynam się zastanawiać, czy nasze spotkanie to tylko

nieprzyjemny zbieg okoliczności. Może po prostu się zgubili. Ale maska samochodu nagle się obniża - kierowca wcisnął do oporu hamulce. Znalazł się dokładnie tam, gdzie chciał: naprzeciwko nas.

- Jezu Chryste - krzyczy H. - Zasadzka przed nami!

- Nie dam rady skręcić. - Zbocze jest zbyt strome. - I zatrzymać się też nie mogę.

Dwóch mężczyzn wyskakuje z szoferki pikapa i biegną za zasłonę. Dwóch pozostałych zajmuje pozycje za maską. Jeden ma AK, a drugi właśnie przygotowuje do strzału granatnik. Tym AK nie martwię się specjalnie. Słyszymy trzaśnięcia i głuche uderzenia, gdy kule uderzają w przód naszego samochodu, ale jeszcze trochę wytrzymamy. Za to granatnik może nam narobić kłopotów. Jeśli się zatrzymam lub zacznę cofać, zamienimy się w tarczę strzelniczą.

H również zdaje sobie z tego sprawę. Odwraca się do mnie i mówi:

- Gaz do dechy.

Nie mam pojęcia, na jakim dystansie uzbiera się pocisk granatnika. Wystrzelony w kierunku celu, który znajduje się zbyt blisko, nie eksploduje, ponieważ nie zdąży się uzbroić. Po prostu odbije się od niego, pozostawiając za sobą smugę dymu. Tyle że nie wiem, o jaki dystans chodzi. Wydaje mi się, że jakieś dziesięć metrów, ale równie dobrze może być to i półtora. Szkoda by było teraz zginąć, gdy od wolności dzieli nas zaledwie jeden krok, ale nie możemy w zasadzie nic zrobić. Mam nadzieję, że widok pędzącego w ich kierunku samochodu skłoni naszych przeciwników do ustąpienia z drogi.

Wciskam pedał gazu w podłogę i słyszę, jak bieg przełącza się na niższy. Silnik wydaje z siebie ryk, a pełna moc cylindrów zostaje przekazana do kół. Przednia część samochodu unosi się, jakby próbował wystartować. Jedziemy jakieś sto kilometrów na godzinę, ale towarzyszy temu uczucie, jakbyśmy przebijali się przez melasę. Mija pięć czy sześć sekund. Dla mnie to cała wieczność.

Nie mam okazji dowiedzieć się, czy wystrzelono z granatnika. Celuję w tylną część pikapa, która jest najlżejsza i wyrządzi nam najmniejszą szkodę. Uderzenie jest zaskakująco łagodne. Jakby w zwolnionym tempie, obracamy się i zatrzymujemy za ich samochodem. H daje nura przez drzwi po stronie pasażera, a ja automatycznie podążam za nim, tak samo, jak to ćwiczyliśmy. Gdy zaczynamy strzelać nad maską samochodu, wyraźnie czuję, jak obok mojego ucha przelatuje pocisk. Ponieważ minęliśmy pozycje zajmowane przez naszych przeciwników, nic ich teraz nie chroni. W polu widzenia pojawia się ranny mężczyzna, ale przewraca się na plecy po moim strzale. Kolejne ciało pada, jak gdyby odstawiało błazeński taniec. H pędem wybiega zza samochodu, dając mi znak, żebym pobiegł na lewo, i osłaniając

się nawzajem zbliżamy się do kryjówek nieprzyjaciół. Gdy w skałach niecałe dwadzieścia metrów ode mnie dostrzegam niewyraźny ruch, strzelam w jego kierunku. Kurek AK trafia na pustą komorę, więc odrzucam karabin i sięgam po przytroczonego do uda browninga. Pot zniekształca obraz i nie jestem pewien, gdzie wcześniej dostrzegłem przeciwnika. Strzelam trzy razy, aż wreszcie i browning cichnie po opróżnieniu magazynku. Widać tylko skałę. Słyszac podwójne stuknięcie w wykonaniu H, gwałtownie odwracam głowę, po czym wszystko ogarnia dziwny bezruch.

Na dany przez H sygnał wycofujemy się do samochodu.

Spod maski wydobywa się pióropusz pary. Przez przednią szybę prawie nic nie widać, a karoseria jest podziurawiona pociskami. Silnik wciąż działa, ale słabnie i zaczyna rżęzić, jak człowiek z przestrzelonymi płucami. Koszula H jest zakrwawiona między karkiem a ramieniem, gdzie kula drasnęła mięśnie, ale on tego nawet nie zauważył.

Przez jakieś trzy kilometry jedziemy na samych obręczach, aż w końcu silnik daje za wygraną. Wraz z H zabieramy broń i złoto, a pozostali wyciągają z samochodu ciało Arefa i układają je na ziemi. Niczym w jakimś demonicznym obrzędzie pogrzebowym, namaczamy w ropy ręcznie szyte, skórzane pokrowce, i spychamy samochód w dół zbocza, po którym najpierw podskakuje, a potem toczy się, by wreszcie wpaść w głazy daleko pod nami.

- I tak nie był za ładny - podsumowuje H.

- A przegląd kosztowałyby fortunę.

- Szczególnie biorąc pod uwagę jak jeździsz.

Słońce zalewa krajobraz płynnym złotem. Wnosimy zawinięte w *pattu* ciało Arefa na pobliskie wzgórze, porośnięte pochylającymi się na wietrze topolami i chowamy je w płytkim grobie. Pozostali przyklękają i odprawiają modły.

Gdy kończą, podchodzi do mnie afgański strażnik fortu.

- Wracam do swojej wioski - mówi.

Wyjmuję z pasa kilka złotych suwerenów i podaję mu je. Spogląda na monety, po czym bez słowa chowa je do kieszeni. Obejmuje każdego z nas na pożegnanie i odchodzi.

Manny jest w kiepskim stanie. Eksplozja w forcie oślepiła go i ogłuszyła, trudno jednak powiedzieć, na jak długo. Decydujemy się skierować swoje kroki do małej wioski. Idziemy wzdłuż zwierzęcego szlaku prowadzącego do sąsiedniej doliny. Przez blisko dwie godziny maszerujemy z mozołem, nie odzywając się do siebie. Na zmianę z H pomagam iść Manny'emu, który nie radzi sobie najlepiej na tej drodze.

Gdy schodzimy do rozciągającej się u naszych stóp wioski, można odnieść wrażenie, że wkroczyliśmy do spokojnego świata istniejącego poza otaczającą go rzeczywistością, gdzie

nikt nie wie, czym jest przemoc. Ciche domostwa otacza mozaika pól w różnych odcieniach zieleni. Staruszek pracujący przy ciągnących się między polami kanałach nawadniających przerywa swoje zajęcie i podchodzi do nas, po czym, nie zadając żadnych pytań, wprowadza do malutkiej osady nad połyskującym strumieniem.

Wciskam mu w dłoń złotego suwerena.

- To za twoją pomoc - mówię. Po czym daję drugą monetę. - A to za milczenie.

- *Aqelmand ra eshara kafee ast* - odpowiada chrapliwym głosem. Mędrcowi wystarczy znak.

- Więc oddaj to na biednych.

Staruszek rozpala ognisko na podwórzu swojego prostego domostwa i przynosi nam herbatę, podczas gdy my obmywamy się w strumieniu z pyłu i brudu. Zbiera też nasze ubrania do prania i przynosi własne. Obwiązuję oczy Manny'ego pasem materiału, żeby dać im odpocząć. Mam nadzieję, że nie są zbyt poważnie uszkodzone.

Gdy wchodzimy do domu, gospodarz przynosi nam półmisek ryżu. Zjadam kilka garstek. Wtedy, niczym niepowstrzymana fala, dopada mnie zmęczenie i oparłszy się na kilka sekund o ścianę przymykam oczy.

Gdy światło poranka budzi mnie ze snu, zastanawiam się, gdzie jestem. Przysiadam spanikowany, czując ból w całym ciele. Ktoś przykrył mnie kocem, pozostali zaś śpią w rzędzie obok mnie. Brakuje tylko H.

Wychodząc na zewnątrz osłaniam oczy od słońca, które wspięło się wysoko na niebo. Zdaję sobie sprawę, że wciąż dzwoni mi w uszach, ale żaden inny dźwięk nie zakłóca ciszy, jest godzina dziesiąta, na zewnątrz jest gorąco, a nasze ubrania zdążyły wyschnąć i powiewają łagodnie, rozwieszane na linie ciągnącej się przez całe podwórze. Otwieram skrzypiące zewnętrzne drzwi i podchodzę bliżej rzeki, gdzie dostrzegam H. Jest ubrany, ale ma odsłonięty tors. Polewa wodą ranę na ramieniu i sprawdza poszczególne mięśnie, dociskając je dłonią. Wołam go cicho.

Odwraca się i spogląda na mnie. Nie odpowiada nic, tylko się uśmiecha. W tym uśmiechu zawiera się nasza przyjaźń. Przypomina mi się afgańskie przysłowie i powtarzam je sobie cicho.

Yak roz didi dost, roze dega didi bradar. Jednego dnia jest przyjaźń, kolejnego braterstwo.

Ciszę przerywa strzał. Nie wiem, skąd dobiegł, ponieważ wpatruję się w H, który wzdryga się i zatacza nad linią wody. Powoli spogląda w dół, na swoją klatkę piersiową,

gdzie nagle pojawiła się ciemna plama, i ze zdumieniem podnosi wzrok. Kilka sekund później słyszę drugi strzał, a H przewraca się do przodu, w wodę. Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Chwilowy paraliż znika i obracam się w kierunku, z którego dobiegł strzał. Trzydzieści metrów ode mnie stoi jakiś mężczyzna. Widząc jego brudne, poszarpane ubranie, zdaję sobie sprawę, że może to być tylko czwarty pasażer pikapa. Obrzucając mnie zimnym spojrzeniem, przesuwa broń w moim kierunku i składa się do strzału. Słychać ciche kliknięcie. Z wyrazem niezadowolenia odrzuca pusty magazynek na ziemię i sięga do pasa po kolejny.

Rozwścieczony, pędzę w jego stronę przez otwarty teren. Jestem w połowie drogi, gdy wkłada magazynek i odciąga zamek. Wylot lufy wędruje do góry, a głowa strzelca przechyla się, gdy do mnie celuje i zdaję sobie sprawę, że zginę, ale przynajmniej walcząc.

Mimo że słyszę strzał, to niczego nie czuję. Dzieje się coś niezrozumiałego. Broń odzywa się jeszcze raz, i jeszcze jeden, i kolejny, aż talib wypuszcza karabin z rąk i pada do tyłu trafiony strzałami z browninga H. Gdy do niego dobiegam, już nie żyje.

Spoglądam na H, stojącego w wodzie z bronią u boku, i przez krótką chwilę myślę, że może to wszystko było tylko złudzeniem, a H jest cały i zdrowy. Ale gdy ruszam w jego stronę, pada na kolana, a płynąca za nim woda nabiera czerwonej barwy, jakby ktoś wlał do niej wino.

Łapię go w momencie, gdy zaczyna przewracać się na bok. Wołam pozostałych, po czym przenoszę go pod ścianę budynku. Sher Del i Momen wybiegli już i drą kawałki materiału, przyciskając je do klatki piersiowej H, z której krew tryska jak z zepsutego kranu. Opieram H o ścianę.

- Dorwałem go? - pyta. Próbuje się uśmiechnąć.

- Tak - odpowiadam.

- Dobrze. Tak myślałem, że mógł być jeszcze jeden. Pozostali w jednym kawałku?

- Nic im nie jest.

Przewraca oczami, jakby to były bąbelki powietrza w poziomicy. Umiera.

- Zrobisz coś dla mnie? Pomóż mi wejść na wzgórze. Chcę stamtąd spojrzeć na okolicę.

Podnoszę go. Pozostali zostają z tyłu, dobrze wiedząc, co się stanie. Niosę go przez strumień, za linię topoli, gdzie przebijające się przez listowie światło pokrywa jego twarz cętkami. Walczy, by nie opuścić głowy. Próbuje też zanucić jakąś melodię, ale dźwięk pojawia się tylko wtedy, gdy stawiam kolejne kroki, wypychając mu po trochu powietrze z

płuc. Znosi się spazmatycznym kaszlem, a z ust wypływa mu strużka krwi. Mogę tylko się przyglądać, jak uchodzi z niego życie.

- To będzie dobre miejsce - mówię. Kładę go na ziemi i opieram o zbocze, tak, żeby widział dolinę. Przysiadam obok, wycierając płynące mi z oczu łzy. Nie potrafię ich powstrzymać.

- Miło tutaj - odpowiada. Zwiesza głowę i po chwili znowu podnosi. - Chyba zostanę tu dłużej.

Przez te kilka minut, gdy powoli spowija nas tajemnica śmierci, siedzimy w ciszy. Aż wreszcie łagodnie, jakby zapadał w sen, H składa głowę na moim ramieniu i wyraźnie czuję, że coś się uwolniło, jakby rzeka, która wreszcie wpadła do morza.

Obmywamy ciało w strumieniu i zanosimy je na podwórze domu staruszka. Z wioski przychodzą dwie kobiety, żeby owinąć je w białe sukno. Sam wykopuję grób, chowając w nim but z nadajnikiem, choć nie mam pojęcia, jak długo jeszcze będzie podawał swoją pozycję. Gdy w czwórkę zanosimy jego ciało do grobu, Manny maszeruje trzymając mi dłoń na ramieniu. Poniżej obserwuje nas staruszek, kilkoro wieśniaków, którzy opuścili właśnie swoje chatki, i jasno ubrane, ciekawskie dzieci.

Jeden po drugim, Sher Del i Momen odmawiają nad grobem modlitwy, a gdy pierwsza garstka ciemnej ziemi spada na białe płótno, ból staje się zbyt wielki i muszę odwrócić spojrzenie.

Wzrokiem zamglonym przez łzy spoglądam w górę i wysoko nad sobą dostrzegam orła unoszącego się w samym centrum lazurowego nieba. Kołuje nad nami. Obserwuję jego sylwetkę, gdy bez wysiłku manewruje przez czyste powietrze, aż wreszcie modlitwy sprowadzają mnie na ziemię. Gdy ponownie spoglądam w niebo, orła już tam nie ma.

Uzgadniamy, że zostaniemy razem, choć dałem Sher Delowi i Momenowi wybór.

- Razem - mówi Sher Del - będziemy silniejsi.

Wciąż mamy jedwabne mapy, pistolety, dość złota, żeby sfinansować niewielki przewrót i wiele opowieści, które nie pozwolą nam nudzić się w trakcie wędrówki. Jeśli będziemy unikać głównych szlaków i dróg, nikt nie powinien nas zauważyć i za kilka dni dotrzemy do Kandaharu, gdzie włączymy się w życie miasta. Tam możemy się rozdzielić i niewidoczni wrócić transportem publicznym do Kabulu.

Staruszek daje mi swoje szarawary. Zawijamy nasze rzeczy w *pattu*, a gdy mamy ruszać, Sher Del przerzuca je przez ramię. Wyglądamy jak ubodzy, wymęczeni tubylcy.

Ponownie spoglądam w górę, szukając wzrokiem orła, ale odleciał, a niebo jest

cudownie puste.

Ku pamięci

H

1940-2001

Szwadron A 22. Pułku SAS

*POZA GÓRĘ OSTATNIĄ Z BŁĘKITNYCH,
OGRODZONYCH ŚNIEGIEM*